



A.F. BRADY

NA
KRAWĘDZI

NIE TYLKO ONA MA SEKRET

A.F. BRADY

NA
KRAWĘDZI

PRZEŁOŻYŁ
Paweł Wołak



WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału: ***The Blind***

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/Panczakiewicz Art.Design*

Redakcja: *Anna Kowalska*

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Mariola Hajnus*

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© Magdalena Russocka/Trevillion Images

© 2017 by A.F. Brady.

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form. This edition is published by arrangement with Harlequin Books S.A.

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2018

© for the Polish translation by Paweł Wolak

ISBN 978-83-287-1035-1

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2018

Dla źle zrozumianych

– Och, na to nic nie poradzisz – odpowiedział Kot. – Wszyscy tu jesteśmy stuknięci. Ja jestem wariat. Ty jesteś wariatka.

– Skąd wiesz, że jestem obłąkana? – rzekła Alicja.

– Musisz być obłąkana – powiedział Kot – bo inaczej byś się tu nie przybłąkała.

Lewis Carroll
Przygody Alicji w Krainie Czarów
(tłum. Robert Stiller)

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

18 PAŹDZIERNIKA, 09.40

19 PAŹDZIERNIKA, 11.12

19 PAŹDZIERNIKA, 13.15

20 PAŹDZIERNIKA, 19.44

21 PAŹDZIERNIKA, 08.55

23 PAŹDZIERNIKA, 23.37

26 PAŹDZIERNIKA, 15.35

28 PAŹDZIERNIKA, 09.12

28 PAŹDZIERNIKA, 11.00

28 PAŹDZIERNIKA, 22.01

31 PAŹDZIERNIKA, 10.25

1 LISTOPADA, 11.11

2 LISTOPADA, 22.53

3 LISTOPADA, 8.31

6 LISTOPADA, 18.14

8 LISTOPADA, 11.03

9 LISTOPADA, 10.00

9 LISTOPADA, 16.46

11 LISTOPADA, 08.36

14 LISTOPADA, 12.34

14 LISTOPADA, 21.21

16 LISTOPADA, 21.14

18 LISTOPADA, 12.03

22 LISTOPADA, 11.06

23 LISTOPADA, 14.14

26 LISTOPADA, 00.45

29 LISTOPADA, 09.11

1 GRUDNIA, 17.30

1 GRUDNIA, 19.06

1 GRUDNIA, 20.23

5 GRUDNIA, 09.21

5 GRUDNIA, 14.49

6 GRUDNIA, 11.13

7 GRUDNIA, 0.22

7 GRUDNIA, 12.27

8 GRUDNIA, 16.17

8 GRUDNIA, 23.28

9 GRUDNIA, 12.14

10 GRUDNIA, 22.24

12 GRUDNIA, 15.23

14 GRUDNIA, 19.11

15 GRUDNIA, 04.33

15 GRUDNIA, 06.16

16 GRUDNIA, 14.12

19 GRUDNIA, 13.19

20 GRUDNIA, 15.46

21 GRUDNIA, 21.46

22 GRUDNIA, 11.34

CZĘŚĆ DRUGA

27 GRUDNIA, 08.37

27 GRUDNIA, 11.22

28 GRUDNIA, 15.20

29 GRUDNIA, 12.47

29 GRUDNIA, 17.11

31 GRUDNIA, 23.47

3 STYCZNIA, 11.40

3 STYCZNIA, 14.00
4 STYCZNIA, 22.56
5 STYCZNIA, 13.17
5 STYCZNIA, 17.34
10 STYCZNIA, 11.00
12 STYCZNIA, 15.09
13 STYCZNIA, 09.50
17 STYCZNIA, 11.08
18 STYCZNIA, 22.47
19 STYCZNIA, 10.19
20 STYCZNIA, 11.14
20 STYCZNIA, 14.23
20 STYCZNIA, 15.15
24 STYCZNIA, 10.44
31 STYCZNIA, 11.02
31 STYCZNIA, 12.01
2 LUTEGO, 21.37
7 LUTEGO, 11.22
9 LUTEGO, 19.21
10 LUTEGO, 09.13
14 LUTEGO, 11.01
14 LUTEGO, 12.11
CZĘŚĆ TRZECIA
21 LUTEGO, 10.57
21 LUTEGO, 14.37
24 LUTEGO, 17.41
28 LUTEGO, 10.32
1 MARCA, 16.46
2 MARCA, 15.20
3 MARCA, 13.14
7 MARCA, 13.57

11 MARCA, 13.41

11 MARCA, 19.11

12 MARCA, 14.39

13 MARCA, 09.22

13 MARCA, 10.04

21 MARCA, 07.44

PODZIĘKOWANIA

CZEŚĆ PIERWSZA

Kłęczę na podłodze w swoim gabinecie i staram się zawiązać worek ze śmieciami, pamiętając, żeby jednocześnie wycisnąć z niego nadmiar powietrza. Personel sprząający zawsze zostawia na dnie kosza dodatkowe torby, więc mogę włożyć świeży worek do środka, a pełny wyrzucić do kontenera. To chyba najbardziej dyskretny sposób na pozbycie się nieprzyjemnego zapachu alkoholu, który unosi się w powietrzu, kiedy zrygam się do kosza. Wydaje mi się, że mam na tyle wytrzymały żołądek, żeby nigdy nie wymiotować, ale to nieprawda. Następnego ranka po ostrym pijaństwie najczęściej muszę sobie ulżyć i kłęcząc na podłodze, puszczam pawia.

Nazywam się Sam. Jestem psychologiem i pracuję w szpitalu psychiatrycznym. To miejsce nie przypomina jednak instytucji, które znacie z *Rain Mana* albo *Przerwanej lekcji muzyki*. Mieści się na Manhattanie. Wokół budynku nie rozciągają się rozległe trawniki i nie rosną starannie przystrzyżone żywopłoty. Nie ma tu szerokich korytarzy i wysokich na trzy metry drzwi, jak w *Locie nad kukułczym gniazdem*. Wszędzie czuć smród środków odkażających wymieszany z zapachem gumy do żucia. To wcale nie przypadek: specjalnie dodają taki aromat do chemikaliów, żeby było przyjemniej. Na sufitach wiszą świetlówki, toalety wiecznie się psują, a w windzie o rozmiarach hangaru zawsze jest tłoczono. Pracuję tutaj od sześciu lat i jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby w środku nie było ludzi. Co ciekawe, codziennie któryś z pasażerów naciska na guzik alarmowy.

Na moim oddziale płyty sufitowe są pokryte w rogach zaciekami. Wszystkie drzwi są szare i mają owalne okienka z wtopioną w szkło metalową siatką. Jedynym wyjątkiem są pomieszczenia biurowe: wejścia nie mają okien i pomalowane są na jasnożółto. Na każdych drzwiach wisi papierowa tabliczka z jakąś informacją, na przykład „Przerwa na lunch”, „Trwa konsultacja” albo „Proszę nie przeszkadzać”. Ciągłe musimy robić nowe, ponieważ pacjenci lubią na nich bazgrać.

Za każdym razem, gdy wchodzę do tego budynku, mam wrażenie, że świat robi się nagle mniejszy. Nie docierają tutaj żadne odgłosy z zewnątrz, chociaż to przecież centrum najgłośniejszego miasta na świecie. Tylko do jednej sali przeznaczonej na zajęcia grupowe dochodzi słońce i rosną tam rośliny. Jednak pomieszczenie to jest strasznie zakurzone i nikt nie lubi

w nim przebywać.

W szpitalu leczy się wielu różnych pacjentów, razem jest ich stu sześciu. Najmłodszy ma szesnaście lat, a najstarszy dziewięćdziesiąt trzy. Do niedawna mieliśmy jeszcze dziewięćdziesięciopięciolatka, ale zmarł kilka miesięcy temu. W jednym skrzydle mieszkają mężczyźni, a w drugim kobiety. Prawie każdy musi dzielić pokój z kimś innym. Jedynka przysługuje tylko agresywnym pacjentom lub takim, którzy sprawiają kłopoty. Kiedy chorzy się o tym dowiadują, zaczynają szaleć. Nie zdają sobie jednak sprawy, że pojedyncza sala to tak naprawdę zwykła dwójka przedzielona harmonijkowym parawanem. Oznacza to, że jeden z pacjentów nie ma dostępu do okna. Szpital, w którym pracuję, nazywa się Centrum Psychiatryczne Tyflos. Nie mam pojęcia dlaczego.

Czuję się jak hochsztapler i mam wrażenie, że biorę udział w jakiejś głupiej komedii. Wiem jednak, że nie różnię się niczym od innych ludzi przebywających w tej instytucji. Zadaniem personelu jest nieść nadzieję. Mamy być cierpliwi i wykorzystywać swoje talenty oraz zdobytą w pocie czoła wiedzę, żeby poprawić dolę pacjentów. Jesteśmy z tego dumni i uważamy się za kogoś w rodzaju pasterzy. Wmawia się nam, że wykonujemy szlachetną pracę przynoszącą wiele pożytku całemu społeczeństwu. Ale to stek bzdur. Tak naprawdę jesteśmy podobni do naszych podopiecznych. Tylko pozornie dzieli nas przepaść. W gruncie rzeczy to tylko niewielka szczelina, linia na piasku, którą łatwo przekroczyć. Mam klucz do swojego pokoju, a oni nie. Jestem tutaj, żeby udzielać im wsparcia, ale oni nie są w stanie odwdziżyć mi się tym samym. Jednak czasami ta granica się zaciera. Ludzie mówią: „Jeśli czegoś nie potrafisz, zostań nauczycielem”. No cóż, jeśli nie umiesz sobie pomóc, spróbuj pomóc komuś innemu.

19 PAŹDZIERNIKA, 11.12

W tym tygodniu pojawił się nowy pacjent, jednak nikt nie pali się do tego, żeby z nim pracować. To mężczyzna z prawie pustą kartoteką. Krążące wśród personelu plotki są tak absurdalne i przerażające, że trudno w nie uwierzyć. „Podobno zamordował swojego ostatniego terapeutę. Nie odpowiada na pytania i nie chce wypełniać formularzy. Leczenie go jest prawdziwym koszmarem”. Nawet ja nie mam ochoty się nim zajmować, chociaż to właśnie pod moje skrzydła trafiają chorzy, których nikt nie chce. W tym wypadku zupełnie nie wiadomo, o co chodzi. Trudno oddzielić prawdę od fałszu. Z dokumentów naprawdę niewiele wynika: pacjent najprawdopodobniej odmówił odpowiedzi na pytania zadawane podczas wywiadu psychospołecznego. Większość informacji jest więc związana z jego wyglądem fizycznym albo pochodzi z materiałów zgromadzonych, gdy przyjmowano go na leczenie. Na pewno był w więzieniu: co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Siedział za kratkami przez dwadzieścia kilka lat, ale kartoteka milczy na temat zarzutów, które mu postawiono. Potem przebywał w różnych ośrodkach resocjalizacyjnych, a niedawno został wysłany na leczenie. Był to jeden z warunków uzyskania nadzoru kuratorskiego.

Naszą władzę uważamy za coś oczywistego, jednak to tylko iluzja. Pacjenci nie zdają sobie sprawy, że mogą się nam przeciwstawić. Nagle pojawia się jakiś facet i zaczyna wszystko kwestionować. W pewnym sensie darzę go szacunkiem.

Chyba utnę sobie drzemkę w gabinecie i może wtedy coś się zmieni. Wydaje mi się, że cała nadzieja w tym nowym pacjencie.

– Okay, w jakiej sytuacji mówimy, że coś jest dziedziczne?

Prowadzę terapię grupową z psychoedukacji i moim zadaniem jest pomóc pacjentom zrozumieć, co im tak naprawdę dolega. Psychiatrizy często podają nazwę choroby, ale nigdy nie tłumaczą, co oznacza.

– Mówimy tak na coś, co występuje w rodzinie, prawda? – To Tashawndra. Ma jedenaścioro dzieci. Wszystkie, jedno po drugim, zostały jej odebrane przez opiekę społeczną. Tashawndra nie ma pojęcia, gdzie obecnie przebywa większość jej latorośli, i twierdzi, że dwoje najprawdopodobniej umarło, ale nie jest tego pewna. Tak wygląda jej świat.

– Zgadza się! Dziedziczność jest związana z naszymi genami. Jakie choroby psychiczne są uwarunkowane genetycznie? – Zadaję to pytanie, siedząc jak zwykle na blacie biurka.

– Rak. Moja mama miała raka piersi i ja też musiałam pójść do lekarza, ale wszystko było w porządku. – To Lucy.

– Tak, to prawda. Nowotwory są w znacznym stopniu uwarunkowane genetycznie, więc jeśli cierpiał na nie ktoś z naszej rodziny, warto się regularnie badać. Ale co z chorobami psychicznymi? Jak wygląda sytuacja w wypadku schorzeń, które leczymy w tym ośrodku?

– Chyba wszystkie są dziedziczne, prawda? Słyszałam, że jeżeli twoi rodzice albo rodzeństwo biorą narkotyki, to ty najprawdopodobniej również będziesz uzależniony. W tym szpitalu leczy się ludzi z takimi problemami. Mam na myśli narkomanów. Można też wpaść w depresję tylko dlatego, że cierpi na nią ktoś z twoich bliskich – ciągnie Tashawndra.

– Tak, masz rację – mówię, kiwając palcem w jej kierunku. – Depresja jest również uwarunkowana genetycznie. Tak samo jak schizofrenia, zaburzenia afektywne dwubiegunowe i wiele innych chorób, którymi się tutaj zajmujemy.

– Czyli wychodzi na to, że mamy przesrane! Jeśli twoja matka jest chora na schizofrenię, to ty również wylądujesz w psychiatryku. I co gorsze, nic nie możesz z tym zrobić. Przychodzisz na świat i już jesteś popieprzony. Tak jak w tej piosence. *Born to be Bad*. Rodzisz się, żeby zostać wariatem. – To Tyler. Cierpi na schizofrenię. Ma dwadzieścia dwa lata, ale jak na swój wiek jest wyjątkowo dojrzały. Sprawia wrażenie, jakby rozumiał więcej niż reszta

z nas. Pogodził się ze światem i zaakceptował rzeczy, z którymi inni ciągle się zmagają. Po prostu sobie odpuścił.

– Nie, nie zawsze tak jest. Poza tym nie powinieneś przeklinać. Kiedy masz predyspozycje genetyczne, czyli inaczej mówiąc, kiedy ktoś z twoich krewnych cierpi na jakieś schorzenie, ty również możesz zachorować, ale niekoniecznie. Wiele zależy od okoliczności. Ważne jest, czy narażasz się na czynniki, które wywołują chorobę, czy też żyjesz w sposób minimalizujący ryzyko.

Kiedy to mówię, uderzam obcasami w przód biurka.

– Co masz na myśli? Chodzi o narkotyki i podobne świństwa? – pyta Tyler. – Mój brat ćpał w szkole razem z kolegą i potem mu odbiło. Zamknęli go w wariatkowie. Uwierzcie mi, kompletnie ześwirował. Wcześniej nigdy nie zachowywał się w ten sposób. Wszystko przez prochy.

– Tak, masz rację. Narkotyki odgrywają dość istotną rolę – tłumaczę, z entuzjazmem kiwając głową. – Ale tak samo jest z biedą i przemocą. Negatywny wpływ mają również wychowanie przez tylko jednego rodzica, brak jedzenia albo niechodzenie do szkoły. To wszystko stawia cię w niekorzystnej sytuacji i jeśli masz genetyczną skłonność do depresji lub schizofrenii, to ciosy zadawane przez życie mogą sprawić, że się rozchorujesz.

– Tak jak pałkarz, który trzy razy nie trafi w piłkę. – Na korytarzu często rozmawiam z Tylerem o baseballu. Boję się, że pewnego dnia spotkam go przypadkiem na stadionie New York Yankees.

Kiedy robi się późno i wiem, że niedługo wyjdę z pracy, zaczynam skupiać uwagę na rzeczach, o których lepiej nie myśleć. Niestety nie mam pod ręką niczego, co mogłoby mi pomóc stawić czoło narastającemu przygnębieniu: ani papierosa, ani alkoholu. Wiem, że to zły pomysł, lecz nie mogę się powstrzymać i zaglądam w otchłań.

Zdaję sobie sprawę, że po powrocie do domu zostanę sama z milczącym telefonem i wtedy nadejdą czarne myśli. Równie dobrze mogę zacząć martwić się już teraz. Łudzę się, że dzięki temu zrobi mi się lżej na sercu. Może nie będę płakać aż tak bardzo rozpaczliwie. Swoim zwyczajem założę w pociągu ciemne okulary, żeby ukryć opuchniętą twarz i zapłakane, wypełnione smutkiem oczy. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale każdego dnia, kiedy tylko otworzę drzwi wejściowe do swojego mieszkania, spod moich powiek tryska fontanna łez.

Nie zawsze tak było. Kiedyś przynajmniej czasami wydawało mi się, że wszystko ma jakiś sens. Miałam wrażenie, że rozumiem, co się dzieje, i moje życie to coś więcej niż tylko zachowywanie pozorów normalności.

Metro przestało kursować. W tunelu linii A/C wybuchł pożar, więc trzeba było wyjść na powierzchnię na stacji położonej jakieś sto przecznic od mojego domu. Wiem, że kiedy spaceruję, zbiera mi się na przemyślenia, lecz mimo to decyduję się wrócić na piechotę. Podejrzewam, że to zła decyzja, ponieważ nie mam przy sobie gotówki i nie będę mogła wejść do baru, żeby się napić i wyłączyć umysł.

Panuje przenikliwy chłód, który sprawia, że bolą mnie kolana i drętwieją usta. Mam łzy w oczach, ale udaje mi się powstrzymać od płaczu. Palę papierosy jednego za drugim, nie mam jednak rękawiczek, więc muszę przekładać je z ręki do ręki.

Chociaż jest przeraźliwie zimno, po mieście snują się ludzie. Na przykład po drugiej stronie ulicy idzie kobieta z wózkiem spacerowym. Towarzyszy mi już od dawna i mam wrażenie, że jest do mnie podobna. Dokładnie rzecz ujmując, wygląda jak moja matka. Obie mamy blond włosy. Wydaje mi się, że nieznajoma ma także niebieskie oczy, chociaż z tej odległości nie potrafię tego stwierdzić na sto procent. Jest drobna, więc znacznie góruję nad nią wzrostem. No cóż, mój ojciec to musiał być kawał chłopca. Idę na południe przez mroźne miasto i myślę o swojej rodzinie.

Wychowywała mnie tylko matka. Ojciec gdzieś tam był, ale nie mam pojęcia gdzie. Nigdy nie doszło do spotkania między nami, ale nie miało to większego znaczenia, ponieważ nawet z jednym rodzicem było mi ciężko. Matka czasami wychwalała ojca („To wspaniały człowiek”), ale częściej mieszała go z błotem („Pieprzony przybłęda z Irlandii, który na mnie nie zasługuje”). Ciekawe, czy leżące w wózku dziecko wie, kto je spłodził.

Nazywam się Samantha, tak samo jak moja matka, i chyba dlatego wolę, kiedy ludzie mówią do mnie „Sam”. Na nazwisko mam James. Wychodzi na to, że mam dwa imiona i zawsze powtarzam, że nie należy ufać komuś takiemu.

Z tej odległości widzę już swoje mieszkanie. To jedyny lokal na piętrze, w którym nie pali się światło. Mieszkam w stojącej na samym środku osiedla starej wapiennej kamienicy bez windy. Przyjechałam do Nowego Jorku kilka lat temu, żeby skończyć studia magisterskie i wiele razy przeprowadzałam się z jednej kawalerki do drugiej, zawsze wybierając Brooklyn i Manhattan. Teraz mam trzy szafy wnękowe, co jest niezwykle rzadkością, i wannę w łazience. W salonie jest i biurko, i stolik kawowy. Można odnieść wrażenie, że to prawdziwe mieszkanie dla dorosłych ludzi, jednak dorośli kupują jedzenie i trzymają je w lodówce, a ja tego nie robię. Mam też brązową kanapę z poduszkami w różnokolorowych poszewkach, które zmieniam w zależności od pory roku. Teraz są ciemnoniebieskie. Na podłodze leży dywan, który zdążył już wypłowieć, ponieważ okna wychodzą na południe i w lecie przez cały dzień wpada do środka słońce. Dywan miał ładne kolory, ale teraz wygląda, jakby był zabrany z pokoju małej dziewczynki. W kuchni jest zawsze bardzo czysto. Nad zlewem mam okno, przez które wyglądam, kiedy myję kieliszki, i widzę wszystko, co dzieje się w okolicy. Włączony kaloryfer wydaje z siebie cichy pomruk, ale wcale mi to nie przeszkadza. Bez tego dźwięku w mieszkaniu panowałaby grobowa cisza. Nigdy nie włączam telewizora, ponieważ źle się wtedy czuję.

Drzwi wejściowe do kamienicy mają skomplikowany zamek, który zawsze się zacina, kiedy wieje silny wiatr, a mnie od niego bołą uszy. Ciemnozielone kafelki w korytarzu są ciągle zakurzone. Boję się, że się na nich pośliznę i rozbiję sobie głowę. Szerokie kręcone schody wydają się pochodzić z dawno minionych czasów. Kiedy tylko wchodzę na górę, zdejmuję z siebie wierzchnie ubrania.

Otwieram butelkę wina, którą kupiłam wczoraj wieczorem w sklepie monopolowym po drugiej stronie ulicy. Kiedy piję, zawsze staram się zachowywać jak subtelna dojrzała kobieta. Chociaż upijam się co wieczór,

nie uważam, żebym miała z tym problem, ponieważ raczę się tylko drogim winem i używam eleganckich kieliszków, które myję przed pójściem do łóżka. Zawsze czyszcę też popielniczki, ponieważ uważam, że walające się po domu niedopałki to coś obrzydliwego. Kilka razy starałam się rzucić palenie, ale w końcu dałam sobie spokój. Przecież i tak nie umrę na raka płuc: wcześniej dopadnie mnie jakieś inne świństwo. Rozpacz sprawia, że zaczynasz mieć bardzo ciekawe podejście do życia.

Powoli sączę gorzką przypaloną kawę, którą wzięłam z automatu stojącego w korytarzu. Czekam na swoją szefową Rachel, która za chwilę poprowadzi zebranie personelu klinicznego. Na brudnych paznokciach mam resztki lakieru. Podnoszę głowę i napotykam spojrzenie mojego kolegi, Gary'ego. Odwraca wzrok, ale po chwili znowu na mnie patrzy.

– Coś się stało? – pytam go, lekko unosząc brwi.

Podnosi lewą rękę i wierzchem dłoni muska skroń, po czym wysuwa do przodu podbródek.

– Tak?

Ponownie wykonuje ten sam gest.

Odkładam czerwony długopis, odstawiam kubek z kawą i przecieram rękami twarz. Na małym palcu zostaje smuga źle nałożonego makijażu oraz drobne kawałki czegoś, co wygląda jak zaschnięte strupy.

Rachel rozpoczyna zebranie.

– Witam mój wierny zespół! Cieszę się, że w ten jesienny poranek widzę was wszystkich zwartych i gotowych.

Słysząc stłumiony śmiech i sarkastyczne chrząknięcia.

– Zdaję sobie sprawę, że możecie się czuć nieco przytłoczeni liczbą nowych pacjentów, którzy ostatnio pojawili się w naszym szpitalu. Dobrze jednak wiecie, że zdrowie psychiczne ma związek z porami roku i cyklami przyrody. Chociaż mamy dopiero październik, to jednak w powietrzu czuć już zimę... – Rachel wygląda przez okno i potrząsa gniewnie pięściami. –

Zrobiło się chłodno, a dni są znacznie krótsze. Ludzie częściej cierpią na depresję, sezonowe zaburzenia nastroju i podobne dolegliwości. Zresztą nie mówię wam niczego, czego byście sami nie wiedzieli. Tak naprawdę chciałam was poinformować o przyjęciu do naszej placówki nowego podopiecznego. Dzisiaj zaczynamy jego leczenie.

Lekarze zaczynają się nerwowo rozglądać. Niektórzy poprawiają koszule, inni wbijają wzrok w notatniki, starając się udawać, że są zupełnie gdzie indziej.

– Słyszałam, że na korytarzach aż huczy od plotek. Zdaję sobie jednak sprawę, że takie spekulacje to coś całkiem naturalnego. Sugerując się

pogłoskami, bardzo trudno zachować pozytywne nastawienie, bezwarunkową obiektywność i otwarty umysł. Dobrze wiecie, o co mi chodzi. – Obrzuca nas gniewnym spojrzeniem.

– No cóż, czy mogłabyś udzielić nam więcej informacji na temat tego faceta? – pyta Gary.

– Niestety nie, wiem dokładnie tyle samo, co wy, więc jedziemy na tym samym wózku. Proszę was jednak o odrzucenie przyjętych z góry założeń, pozbycie się uprzedzeń i skupienie na faktach, do których mamy dostęp. Ten mężczyzna trafił do nas na leczenie. Potrzebuje pomocy i naszym zadaniem jest mu jej udzielić. Nie wolno nam robić z niego potwora.

– Ja również jestem zwolennikiem pozytywnego nastawienia i bezwarunkowej obiektywności, ale czy nie powinniśmy wziąć pod uwagę naszego bezpieczeństwa? – kontynuuje Gary. – Słyszałem, że kartoteka tego gościa jest niekompletna, ponieważ zaatakował swojego ostatniego terapeutę. Krążą też plotki, że odmawia odpowiedzi na pytania, nie chce rozmawiać o swojej chorobie, a jeśli rozmówca staje się zbyt natarczywy, wpada w szal. Na dodatek to przestępca. Nie jestem pewien, czy chciałbym pracować z kimś, kto podniósł rękę na lekarza.

– Wiecie, że nie mamy zwyczaju odsyłać kłopotliwych pacjentów. – Rachel pochyla głowę i przerzuca leżące w teczce dokumenty. – Nie posiadamy żadnych dowodów wskazujących na to, że w przeszłości ten mężczyzna był agresywny w stosunku do personelu.

– W jego papierach w ogóle nic nie ma! Teczka jest prawie pusta! Można się jedynie dowiedzieć, że to wysoki facet, który chodzi w czapce, uparczywie milczy i przez połowę życia siedział w więzieniu. Jednak z jakiegoś powodu nie ma żadnych informacji na temat postawionych mu zarzutów. Ciekawe, prawda? Przecież nie możemy leczyć więźnia, nie mając wglądu w wyniki wywiadu psychospołecznego, nie znając historii jego choroby ani nawet diagnozy, którą mu postawiono. Musimy wszystkiego sami się dowiedzieć, ponieważ do dyspozycji mamy jedynie domysły. Bułka z masłem! – Gary jest wyraźnie zirytowany. Kiedyś pracował jako psycholog w branży finansowej. Firma, która go zatrudniała, zajmowała się zwolnieniami i Gary miał za zadanie otoczyć opieką ludzi, którzy tracili swoje posady. Po jakimś czasie czuł się jak posłaniec przynoszący złe wieści i nie był w stanie tego wytrzymać. Postanowił więc znaleźć jakieś spokojniejsze zajęcie, które przynosiłoby mniej zgryzot i byłoby łatwiejsze do zniesienia. Okazało się, że wpadł z deszczu pod rynnę. Patrząc na niego, można odnieść wrażenie, że ciągle rozgląda się dookoła zdziwionym

wzrokiem, zastanawiając się, jakim sposobem tu trafił.

– W takim razie co powinniśmy twoim zdaniem zrobić, Gary? – pyta David, który podczas zebrań zazwyczaj nie angażuje się w dyskusje.

– Odesłać go gdzie indziej!

– Absurdalny pomysł! Przecież to właśnie tutaj jest „gdzie indziej”. Wolisz, żeby ten koleś wylądował na ulicy? Mamy mu odmówić leczenia? Wykluczone! – mówię, wycierając plamę po kawie ze stołu konferencyjnego.

– Okay, chodzi mi o to, że nie chcę się nim zajmować. Nie mam wolnych mocy przerobowych, a oprócz opieki nad kolejnym pacjentem musiałbym uzupełnić całą kartotekę i ryzykować, że ten facet wbije we mnie nóż. Poza tym on się w ogóle nie odzywa. Przykro mi, ale dziękuję. Nie! – Gary robi naburmuszoną minę, splata ręce na piersiach i odchyła się na krześle.

– W takim razie dlaczego tu pracujesz? – pyta Shirley i niemal od razu żałuje swoich słów. Kuli się na krześle, licząc, że ten komentarz nie narazi jej na konieczność leczenia niechcianego pacjenta.

Rachel uznaje, że musi przejąć kontrolę nad sytuacją.

– To ważne, żebyśmy w naszym gronie mogli dzielić się wszelkimi wątpliwościami. Powinniśmy otwarcie mówić o tym, co myślimy. Mam nadzieję, że będzie to możliwe właśnie podczas naszych zebrań. Nie spotykamy się tutaj, żeby się nawzajem atakować. Chciałabym, żebyście bez skrupowania opowiadali o tym, co słyszeliście i co was niepokoi. Możemy również swobodnie rozmawiać o Richardzie, nowym pacjencie przyjętym właśnie do naszej placówki. Muszę was jednak przestrzec przed bezkrytyczną wiarą w plotki, które zazwyczaj mijają się ze stanem faktycznym. Nie wolno nam nabrać uprzedzeń do tego człowieka.

Gary jeszcze bardziej osuwa się na krześle, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru kontynuować dyskusji. Julie, nasza afektowana księżniczka, oznajmia piskliwym głosem, że boi się o własne bezpieczeństwo. Jest zbyt słaba i bezbronna, żeby skutecznie zajmować się kimś, kto budzi w niej strach. Pozostałe kobiety kiwają głowami i wydają z siebie pomruki wyrażające aprobatę. Julie już od kilku tygodni stara się za wszelką cenę wywinąć od nowych obowiązków.

– Dlaczego siedział w więzieniu? – pyta Shirley.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia – odpowiada Rachel. – Jak już wspominałam, korzystamy z tych samych dokumentów i nie ma w nich

takich informacji.

– Ale musisz przyznać, że to dość dziwne, prawda? Powinniśmy chyba wiedzieć – nalega Julie.

– Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – wtrącam swoje pięć groszy. – Przecież to żadna różnica, czy wsadzili go do pudła za napad z bronią w rękę, czy też za wymuszenia. A może chodzi o narkotyki? Niewykluczone, że popełnił trzy drobniejsze wykroczenia i zgodnie z powiedzeniem „do trzech razy sztuka” na długie lata wylądował w więzieniu. Na pewno nie popełnił przestępstwa na tle seksualnym, ponieważ nie figuruje w rejestrze. Sprawdziłam to. Uważam, że powód, dla którego został skazany, nie powinien mieć żadnego znaczenia. Ważna jest natomiast informacja, że przebywał w zakładzie karnym. Niewątpliwie to go zmieniło. Najprawdopodobniej doświadczył tam okropnych rzeczy. – Kiedy to mówię, zdaję sobie sprawę, jak bardzo niekomfortowo się czuję, nie wiedząc, dlaczego ten koleś tak długo siedział w pierdłu.

– Doszły mnie słuchy, że on w ogóle nie odpowiada na pytania i bywa agresywny. Co więcej, nie przestrzega regulaminu, źle dogaduje się z innymi pacjentami i odmawia wypełniania dokumentacji – mówi Shirley.

– No cóż, z pewnością nie lubi papierkowej roboty, ale jeśli chodzi o resztę zarzutów, to możemy jedynie snuć przypuszczenia. Mam prośbę, żebyście postarali się nie dramatyzować i nie zapełniać luk w naszej wiedzy najgorszymi scenariuszami. Sprawa wygląda tak, że będziemy musieli z nim pracować. – Rachel nie patrzy na nikogo i staje się jasne, że zaraz ogłosi swoją decyzję. Wszyscy zaczynają się nerwowo wiercić.

– Sam... – Wbija we mnie wzrok, lekko się uśmiechając. – I Gary. – Gary jeszcze bardziej osuwa się na krześle, zdając sobie sprawę, że przegrał. – Będziesz się zajmować Richardem, a Sam zapewni ci niezbędne wsparcie. Na pewno dużo się nauczysz. Jestem przekonana, że jesteś gotowy na takie wyzwanie. Twoja koleżanka świetnie sobie radzi z trudnymi pacjentami i jest ważnym członkiem zespołu klinicznego. Jednak chciałabym, żeby Richard zaczął pracować z mężczyzną, a potem zobaczymy. Wszyscy jesteśmy gotowi udzielić ci pomocy. Jestem pewna, że sobie poradzisz.

Shirley i Julie spoglądają na siebie z ulgą, a reszta głośno wzdycha. David pojednawczo ściska moje ramię. Gary znowu robi naburmuszoną minę i przekrzywia głowę, kiedy Rachel wręcza mu teczkę Richarda. Nic nie mówi, tylko wbija we mnie wzrok i nerwowo macha nogą.

– W porządku, Rachel. Wchodzę w to. – Zbieram swoje papiery, biorę kubek z kawą i razem z resztą zespołu wychodzę na korytarz. Rachel podaje mi kopię dokumentacji nowego pacjenta.

Gary zapewnia mnie, że bez problemu weźmie Richarda pod swoje skrzydła i nie będę musiała brać udziału w prowadzonych przez niego sesjach. Gary to idiota.

– Super, ale wolałabym, żebyśmy poszli do mnie i wspólnie omówili plan działania. Nie uważam, że sobie nie poradzisz, jednak jeżeli mam ci udzielać wsparcia, chciałabym być na bieżąco.

– Naprawdę nie mam teraz czasu, a dobrze by było, gdybym jeszcze dzisiaj spotkał się z tym koleśkiem. – Gary opiera się całym ciałem o drzwi do sali konferencyjnej i wskazuje palcem w stronę swojego gabinetu.

– Daj spokój. To tylko dziesięć minut.

Jest wyraźnie sfrustrowany i wydaje z siebie głośne jęknięcie, ale idzie za mną korytarzem.

Wchodzimy do mojego pokoju.

– Siadaj – mówię. Teatralnie osuwa się na krzesło dla pacjentów, wylewając przy tym na dywan napój izotoniczny.

– Jeszcze dzisiaj przed południem znajdę go na oddziale i wezmę do siebie na rozmowę. Pogadamy jak facet z facetem. Pokażę mu, że wcale się go nie boję i jego przeszłość nie robi na mnie większego wrażenia. Moim zdaniem całe zamieszanie wynika z faktu, że ten koleś siedział w pierdłu, a więźniowie zwykle wzbudzają strach. Jednak dla mnie to nic wielkiego. Ta sytuacja wcale nie napawa mnie lękiem – wyjaśnia Gary, wcierając butem rozlany płyn jeszcze głębiej w dywan.

– I tak wygląda twój plan? Po prostu odbędziecie męską rozmowę? – pytam i uznaję, że nie ma sensu tego zapisywać.

– Tak, Sam, to bardzo proste. Richard jest pacjentem, a ja jego terapeutą, więc będzie musiał odpowiadać na moje pytania. Nie rozumiem, czemu do tej pory sprawiał wszystkim tyle kłopotów.

Kręcę skacowaną głową, starając się zrozumieć, dlaczego Gary serwuje mi takie głupoty.

– Czy mógłbyś mi podać jakiegokolwiek szczegóły? W jaki sposób masz zamiar do niego dotrzeć, jeśli na razie nikomu się to nie udało?

– Już ci powiedziałem. Pogadam z nim jak facet z facetem – powtarza,

starannie wymawiając cztery ostatnie słowa.

– Co to znaczy „jak facet z facetem”? – pytam, podnosząc długopis, gotowa do robienia notatek. Nie jestem jednak w stanie patrzeć Gary’emu w oczy, ponieważ boję się jego odpowiedzi.

– Nie zrozumiesz tego, ponieważ nie jesteś mężczyzną. – Wstaje i zbiera się do wyjścia, jednak wcześniej na chwilę się zatrzymuje, żeby poklepać mnie protekcyjnie po ramieniu. – Spotkamy się znowu, jak wycisnę z niego więcej informacji – dodaje i znika za drzwiami.

Ostatni raz wyrzucałam śmieci prawie tydzień temu i w koszu już nic więcej się nie zmieści. Pod zlewem jest mało miejsca, a ponieważ więcej piję, niż gotuję, postanowiłam wstawić między drzwi a lodówkę kolorowy pojemnik. Jest tak duży, że przypomina kosz na bieliznę.

Niebieski worek z prześwitującego plastiku leży na dnie przygnieciony butelkami, więc muszę mocno pociągnąć za czerwone sznurki, żeby go wydobyć. Rozlega się trudny do zniesienia brzęk, a z worka cieknie jakiś dziwny płyn. Na dodatek w powietrzu zaczyna się unosić smród zepsutego alkoholu wymieszany z gryzącym zapachem soku pomarańczowego, którego używałam dziś rano do przygotowania drinków. Zbiera mi się na wymioty. Właśnie dlatego zawsze odkładałam tę nieprzyjemną czynność na ostatnią chwilę.

Ciągnę worek z pustym szkłem po wyłożonym wykładziną korytarzu, ponieważ gdybym niosła go na plecach jak święty Mikołaj, hałas byłby znacznie gorszy. Niestety, na starych marmurowych schodach prowadzących do piwnicy nie mam już innego wyjścia.

Otwieram drzwi do śmietnika. Kiedy włączam światło, po podłodze rozbiega się mnóstwo insektów. Schowały się tutaj na zimę i trudno się dziwić, ponieważ rozkładające się resztki jedzenia to dla nich prawdziwa uczta. Do plastikowego kontenera wrzucam ogromną torbę pełną butelek po alkoholu i słyszę, jak kilka z nich rozbija się z trzaskiem. Czuję, jak po spodniach od piżamy spływa jakaś maź. Staram się ją wytrzeć zdjętą z haczyka szmatą.

Wracam do mieszkania i usuwam z podłogi brudne smugi. Do świeżego worka wkładam dwie butelki po piwie, o których najwyraźniej zapomniałam, po czym wrzucam wszystko do stojącego w kuchni pojemnika. Na regale z książkami stoją dwie flaszki szkockiej, które dotrzymują mi towarzystwa. Nie opróżniam ich do końca i zawsze zostawiam jakieś cztery palce trunku. Uważam, że wygląda to sztywnie. W lodówce trzymam też przynajmniej jedną butelkę wina, jednak nie dlatego, że jestem oszczędna. Po prostu kupuję alkohol w hurtowych ilościach.

Kiedy wracam z zajęć grupowych dla kobiet, Gary kręci się koło drzwi mojego gabinetu.

– Cześć, Gary! Czegoś ode mnie potrzebujesz? – Widzę w jego oczach desperację i od razu wiem, z czym przyszedł.

– Tak. Muszę z tobą pogadać. Masz chwilę?

– Jasne, zapraszam do środka.

Osuwa się na krzesło i przeczesuje włosy spoconymi palcami.

– Ja chyba zwariuję. Nie jestem w stanie wydusić z tego faceta ani słowa, a od zeszłego piątku spotykam się z nim codziennie.

– Masz na myśli Richarda McHugh? – pytam, chociaż doskonale wiem, o kim mówi.

– Tak. Jak już wspomniałem, widziałem się z nim w piątek i chciałem przeprowadzić wywiad, żeby postawić diagnozę i uzupełnić dokumentację. –

Pochyla się nad biurkiem i zaczyna wymachiwać w moją stronę masywną pięścią. – Ale on milczał jak zakłęty. Nie wykrztusił z siebie ani słowa, tylko siedział i na mnie patrzył. Pomyślałem, że może jest głuchy. Zadawałem mu wciąż te same pytania, ale on zachował spokój i tylko czasem wyglądał przez okno. Przyszło mi do głowy, że może potrzebuje czasu. Opowiedziałem mu więc o sobie, chciałem nawiązać z nim jakąś relację. Oznajmiłem, że będę go traktować jak człowieka, jeśli on odwdzięczy mi się tym samym, ale nie przyniosło to spodziewanego efektu. – Gary jest szczerze zdziwiony, że jego śmiały plan spalił na panewce. Mam ochotę zaśmiać mu się prosto w twarz, ale wiem, że muszę zachować profesjonalizm i udzielić koledze wsparcia.

– Okay. Zatem twoja taktyka zawiodła. Powiedziałaś, że od tamtej pory spotykałeś się z nim codziennie. Zmieniłeś swoje podejście?

– Tak. To znaczy robiłem wszystko, co potrafię. Na początku zastosowałem metodę „pogadaj z nim jak facet z facetem”, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu. Poprosiłem, żeby przyszedł do mnie w poniedziałek, i wcale nie protestował. Pomyślałem, że od razu przejdziemy do konkretów i zrobimy wywiad. Ale on nie odpowiedział na żadne pytanie! Zamiast tego czytał gazetę! Przyniósł ze sobą cały plik jakichś pism i nawet na mnie nie spojrzął.

– Okay. Domyślam się, że wczoraj i dzisiaj było tak samo. – Czuję, że ta sytuacja zaczyna mnie męczyć.

– Tak, kompletna cisza. Nawet nie mówi mi „dzień dobry”. – Gary odchyła się do tyłu wyraźnie zadowolony, że teraz to również mój problem.

– Cztery razy próbowałeś nawiązać kontakt z facetem, który najwyraźniej nie jest szczególnie rozmowny. Nie powinieneś więc się dziwić, że konwencjonalne metody zawiodły.

– Nie wydaje mi się, że chodzi o moje metody. To chyba ze mną jest coś nie tak. On mnie po prostu nie lubi. – Gary próbuje połechtąć moją próżność. Liczy, że z własnej woli przejmę opiekę nad pacjentem i nie będzie musiał mnie o to prosić.

– Co planujesz dalej robić? – pytam. Nie mam zamiaru łatwo dać za wygraną.

– Moim zdaniem to ty powinnaś się nim zająć. Mam ograniczone moce przerobowe i nie mogę pracować z kimś, kto nie chce ze mną rozmawiać i odrzuca moją pomoc. – Krzyżuje ręce na piersi i zaczyna nerwowo potrząsać głową. Te nieskoordynowane ruchy sprawiają, że wygląda jak wystraszone zwierzątko.

– Nie mogę sama podjąć takiej decyzji. Będziesz musiał porozmawiać z Rachel.

– Daj spokój, Sam. Co stoi na przeszkodzie?

– Wzięłam już od ciebie Shawna – tłumaczę, po czym głośno wzdycham.
– Zrobię to, ale najpierw musisz uzyskać formalną zgodę. Do tego czasu Richard pozostaje pod twoją opieką. – Zamaszystym gestem zamykam notes i otwieram drzwi, dając Gary’emu do zrozumienia, że powinien wziąć sprawy w swoje ręce i znaleźć szefową.

O dziewiątej rano mamy zwykle zebranie całego zespołu. Omawiamy na nim postępy w leczeniu pacjentów i różne administracyjne pierdoły, którymi akurat trzeba się zająć. Zawsze wolno to idzie. Oprócz mnie i Rachel wszyscy niemiłosiernie deliberują.

Rachel to prawdziwa wojowniczką. Ma ogromną charyzmę, a jej tubalny głos i bystry umysł są w stanie przerazić nawet największego twardziela. Urodziła się, żeby kierować tym szpitalem. Na dobrą sprawę nie ma prywatnego życia i dzięki temu doskonale wywiązuje się ze swoich obowiązków. Ma pozlepiane, brązowe, trochę myszowate włosy, które zazwyczaj upina z tyłu głowy aksamitną frotką. Ubiera się w swetry i materiałowe spodnie, które są zbyt ciasne w biodrach, przez co ich rozcinane kieszenie wystają na zewnątrz jak kocie uszy.

Lubi mnie, ponieważ uważa, że zawsze jestem pełna energii i mam do wszystkiego pozytywne nastawienie. Tryskam wręcz optymizmem! Na oddziale odgrywam rolę supermanki: jestem świetnym mediatorem, rozwiązuję problemy i w trudnych sytuacjach można się do mnie zwrócić o pomoc. Moi współpracownicy nie darzą mnie z tego powodu sympatią, jednak zmieniają zdanie, kiedy biorę za nich zastępstwa na sesjach grupowych, zabieram ich pacjentów na SOR albo pomagam w pisaniu raportów, analiz i harmonogramów leczenia. Często rzucam autoironiczne komentarze, które mają działać jak mechanizm samoobronny. Zawsze pytam kolegów, co robili w weekend i jak się czują, ponieważ ludzie uwielbiają o sobie opowiadać i mam gwarancję, że sami nie zadadzą mi takiego pytania. W ten sposób nie muszę nikogo okłamywać.

Pierwsza zaczyna składać sprawozdanie Shirley:

– Frankie jest już z powrotem w szpitalu. Stał na środku ulicy i usiłował kierować ruchem. To było jedno ze skrzyżowań na Broadwayu. Aż dziwne, że nic mu się nie stało. Podobno kiedy policjanci chcieli go aresztować, rzucił się do ucieczki. Biegał między samochodami, odbijając się od nich... Niezły cyrk! W końcu jakoś go złapali i zawieźli na oddział psychiatryczny szpitala uniwersyteckiego. Jest teraz pod obserwacją, ale wydzwaniamy do mnie tamtejsi lekarze i narzekają, że odmawia współpracy. Nie wiem, co powinnam z tym zrobić. – Shirley już wiele lat temu straciła zapal do pracy. Jest zniechęcona i pozbawiona empatii.

– Musisz tam pojechać – mówi Rachel rozdrażnionym tonem. Czyżby przechodziła menopauzę? – Spotkasz się z lekarzami i poinformujesz ich, że to ty odpowiadasz za leczenie Frankiego. Kiedy uznają, że sytuacja jest opanowana, wyrażą zgodę na jego powrót. To nasz pacjent i musi wiedzieć, że go nie porzuciliśmy. – Rachel patrzy na nas jak na niegrzeczne dzieciaki, które wyjadły wszystkie ciasteczka. – Pamiętajcie, że dla wielu naszych podopiecznych jesteśmy najbliższymi osobami na świecie. Pełnimy rolę matek i ojców. Otaczamy ich opieką, a oni powierzają nam swoje największe sekrety...

Nie przyszedłam do pracy w szpitalu, żeby odgrywać rolę czyjegoś rodzica. Nie podoba mi się to, co właśnie usłyszałam. Zresztą Rachel już wiele razy wygłaszała podobne kazania. Piję powoli kawę i wyglądam przez jedyne okno w sali konferencyjnej. Po drugiej stronie ulicy coś budują. Słucham dobiegających z zewnątrz hałasów i obserwuję mężczyzn ubranych w dżinsy i odblaskowe kamizelki, kursujących w górę i w dół z deskami i prętami, z których powstaje rusztowanie. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby któryś z robotników skoczył w dół.

– Czas na pozostałe ogłoszenia – kontynuuje Rachel. – Chciałabym was poinformować o ważnej zmianie personalnej. Gary ciężko pracował, żeby dotrzeć do naszego nowego pacjenta, Richarda McHugh, ale niestety jego próby zakończyły się fiaskiem. Wczoraj osobiście spotkałam się z Richardem, żeby omówić jego preferencje co do terapeuty. Wybrał ciebie, Sam. Podał nawet twoje imię. Tak więc do boju! Życzę powodzenia! – Nie jestem zaskoczona, ponieważ szefowa już wczoraj przekazała mi swoją decyzję. Jej zachowanie to tylko popis przed resztą zespołu.

Prosi mnie na bok i dziękuje za pomoc. Bycie jej pupilem sprawia mi ogromną przyjemność. Rachel we mnie wierzy i dzięki temu nie straciłam jeszcze całkowicie pewności siebie. Kolejny raz przypomina mi, że Richard wybrał właśnie mnie. Wyraźnie powiedział, że chce pracować z Samanthą James.

Przed drzwiami do sali konferencyjnej czeka na mnie Julie.

– Nic dziwnego, że Gary nie podołał temu zadaniu. Jestem pewna, że ty świetnie sobie poradzisz. Trudno uwierzyć, że Rachel postanowiła marnować czas, stawiając na kogoś tak niekompetentnego. – Julie zawsze szuka u innych potwierdzenia tego, że sama jest bardzo profesjonalna. Zachowuje się, jak gdybyśmy były dwudziestoletnimi psiapsiółkami. Stoi bardzo blisko, trzymając mnie za ramię i szepcząc mi coś do ucha. Czuję na twarzy jej oddech pachnący kawą.

– Uważam, że te zebrania nie powinny się odbywać bladym świtem, kiedy wszyscy jeszcze leczą kaca i nie są w stanie niczego przeczytać – mówię, starając się pozbyć natrętnej koleżanki.

– Masz kaca?

– To taka figura retoryczna, Julie. Świetnie się czuję. – Kłamstwa. Kłamstwa. Kłamstwa. Wiele bym dała, żebym mogła pochylić się teraz nad sedesem. Rozmowa z Julie nie przynosi mi żadnej ulgi.

– Aha, bo pomyślałam, że wczoraj wyszłaś na drinka. Słuchaj, może byśmy się gdzieś razem wybrały? Masz jakieś plany na wieczór?

Julie mnie lubi i chciałaby się ze mną zaprzyjaźnić, jednak zachowuje się jak idiotka, która nie skończyła jeszcze szkoły średniej. Na dłuższą metę nie jestem w stanie słuchać jej niedorzecznych przemyśleń i analizować z nią dziecinnych problemów, które mają jej wyrafinowane koleżanki z wyższych sfer. Kiedy przechodzi obok nas David, znacząco się do mnie uśmiecha i wydaje z siebie zdławiony chichot.

– Nigdy nie robię planów na wieczór o tak wczesnej porze. Dam ci znać później. Na pewno powinnyśmy wyjść razem na drinka. – Szeroko się uśmiecham i kiedy zbliżamy się do mojego gabinetu, wyswobadzam się z jej uścisku. Próbuję wyjąć klucze z kieszeni, ale nie jest to łatwe, ponieważ trzymam w rękach kubek i teczkę z dokumentami. W pewnym momencie orientuję się, że zostawiłam drzwi otwarte.

Całe szczęście, że nic nie zginęło. Musiałam zapomnieć przekręcić klucz w zamku. Może ciągle jestem trochę pijana. Na leżącym na biurku stosie książek widzę swojego iPoda i poplątane słuchawki. Gdyby ktoś wszedł do środka, na pewno by go zabrał. W rogu pokoju, tam gdzie je zostawiłam, walają się moje tenisówki. Kilka miesięcy temu podczas jednej z sesji grupowych Shirley nie zamknęła drzwi i ktoś ukradł baterie ze wszystkich urządzeń elektronicznych.

Moje pierwsze spotkanie z Richardem ma się odbyć już dzisiaj, więc od godziny sprzątam gabinet, porządkuję papiery oraz poprawiam fryzurę i makijaż. Zdaję sobie sprawę z tego, że boję się nowego pacjenta. Ostatni raz czułam się w ten sposób piętnaście lat temu, kiedy zaczynałam pracę na oddziale psychiatrycznym. Miałam wtedy niecałe dwadzieścia dwa lata. Od tamtej pory to się nigdy nie powtórzyło, chociaż spotykałam się oko w oko z wariatami i psychopatami. Niektórzy z nich to były prawdziwe VIP-y: dyplomaci i ważni dygnitarze. Myślałam, że już nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć, ale się myliłam. Od bardzo dawna nie dygotałam cała ze strachu.

Meble są ustawione zgodnie z wytycznymi: moje krzesło stoi bliżej drzwi niż krzesło dla gości. Chodzi o ułatwienie terapeutcie ucieczki, na wypadek gdyby pacjent zrobił się agresywny i wymagał interwencji służb ratowniczych. Nigdy się nie zdarzyło, żeby w moim gabinecie doszło do aktów przemocy. Takie rzeczy dzieją się zwykle w miejscach wspólnego użytkowania. Zauważam, że na biurku, w zasięgu pacjenta, leżą nożyczki, więc chowam je do szuflady. Czasami siadam na blacie, żeby móc wyglądać przez okno i udawać, że prowadzę zupełnie inne życie.

Rozlega się pukanie. Ktoś wali w drzwi tak mocno i natarczywie, że tracę panowanie nad skołatanyimi nerwami. Czuję, jak serce podchodzi mi do gardła, i nie jestem w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Wiem jednak, że muszę udawać spokój i nie wolno mi pokazać, jak bardzo się boję.

– Cześć, Richard. Zapraszam do środka.

Przytrzymuję otwarte drzwi. Czekam, aż usiądzie, po czym zamykam gabinet. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Richard mości się na krześle i kładzie na rogu biurka gruby plik gazet.

– Od dzisiaj ja będę twoją terapeutką. Chciałam odbyć z tobą wstępne spotkanie, żebyśmy się trochę lepiej poznali i zaczęli uzupełniać brakującą dokumentację kliniczną – tłumaczę i zajmuję swoje miejsce.

Richard nic nie odpowiada, tylko podnosi gazetę i z namaszczeniem ją otwiera, po czym przerzuca strony w poszukiwaniu interesującego go działu. Po chwili zdejmuje czapkę, brązowy kaszkiet gazeciarza z wzorem w jodełkę, i kładzie ją delikatnie na stercie czasopism. Kiedy przekręca szyję, widzę, że tuż nad kołnierzykiem ma dwie małe okrągłe blizny.

Otwieram prawie pustą teczkę i szeleszczę papierami.

– Może zaczniemy od historii rodziny? – kontynuuję. – Opowiesz mi o swoich krewnych i nie będziemy musieli do tego wracać, kiedy zajmiemy się tobą.

Odwraca się, składa gazetę na kolanach i skupia wzrok na mężczyznach wspinających się na rusztowania po drugiej stronie ulicy.

– Okay, nie odpowiada ci ten temat. W takim razie możemy omówić cele terapii. Co chciałbyś osiągnąć podczas pobytu w Tyflos?

Unosi brwi, głośno wypuszcza powietrze i lekko się przekrzywia, żeby lepiej widzieć pracujących robotników.

– W porządku, wyraźnie nie masz na to ochoty. Proponuję zatem, żebyś mi o sobie opowiedział. Nie będę zadawała żadnych pytań, tylko postaram się wyłuskać z twojej historii potrzebne informacje. Co ty na to?

Richard rzuca w moją stronę gniewne spojrzenie.

– Mam tu siedzieć i opowiadać o swoim życiu? Jak podczas rozmowy o pracę?

– Jeśli chcesz, możesz to tak potraktować. Świetny pomysł.

– Nie – oznajmia kategorycznym tonem.

W zasadzie nie posuwam się do przodu i nie udaje mi się osiągnąć więcej niż Gary'emu. Praca z tym pacjentem będzie mnie kosztowała więcej wysiłku, niż podejrzewałam. Na samą myśl o tym czuję się wykończona.

Wydaję z siebie głośne, sfrustrowane westchnienie i celowo kieruję powietrze w stronę Richarda. Mam nadzieję, że poczuje ode mnie smród alkoholu, wymiocin i kawy, a wtedy może zrozumie, jak bardzo jego opór działa mi na nerwy.

Jadę pociągiem i obserwuję kłótnię pary siedzącej przede mną. Na zewnątrz jest zimno, ale w wagonie panuje tłok i wydzielane przez pasażerów ciepło sprawia, że po szyi cieknie mi pot, a następnie wsiąka w szalik. Kołysanie wprawia mnie w rodzaj transu i słyszę tylko, jak dziewczyna mówi swojemu chłopakowi, że ma wszystkiego dosyć.

Ja również teraz się z kimś spotykam. Nie wiem, dlaczego ludzie mówią, że się z kimś „spotykają”. Kojarzy mi się to z chodzeniem do terapeuty, ale sama używam tego określenia. Robię tak, ponieważ nie chcę powiedzieć, że jestem „w związku”, chociaż randkujemy już od jakiegoś czasu.

Ma na imię Lucas i przynajmniej teoretycznie to świetny materiał na męża. Zajmuje się finansami i opowiada o tym z taką emfazą, że mam ochotę walnąć go pięścią w twarz. Wie, czym różni się cabernet od merlota, i uczy mnie, jak dobrze wyczuwać taniny. Ma psa rasy cavalier king charles spaniel, który wabi się Maverick, i już to sprawia, że nie za bardzo do siebie pasujemy. Skończył Cornell University i czesze się z przedziałkiem. Codziennie rano bierze do ręki grzebień z drobnymi ząbkami, nakreśla linię po lewej stronie głowy, a potem starannie oddziela włosy. Sama jestem pedantką, ale on jest zupełnie stuknięty. Zawsze wkłada do butów prawidła: to najważniejsza czynność, którą musi wykonać zaraz po powrocie z pracy. Buty są wtedy jeszcze ciepłe i bardziej podatne na odkształcenia. Ja nie przejmuję się takimi rzeczami. Lucas jest wysoki i ma włosy w kolorze popielatego blondu. W kieszeni marynarki nosi pieczolowicie złożone poszetki i nie da się ukryć, że jest ode mnie ładniejszy.

Czasami wspomina coś o ślubie. Dla mnie to zupełnie absurdalny pomysł. Nie jestem dobrą kandydatką na żonę. Spotykam się z nim tak długo tylko dlatego, że próbuję go ratować. W moim życiu to często powtarzający się schemat, ale dopiero niedawno zdałam sobie z tego sprawę i pogodziłam się z tym faktem.

Lucas ma wszystko, czego szukają dziewczyny: pieniądze, wygląd, wykształcenie i stabilne życie. Jednak to tylko fasada, za którą kryje się wystraszony, niepewny siebie człowiek z urazem psychicznym. Właśnie z taką osobą się spotykam.

Nie interesuje mnie ideał. Wcale nie chcę ulizanego dżentelmena z wyższych sfer, który wkłada prawidła do butów i jest członkiem country

clubu. Fascynuje mnie schowany w jego wnętrzu mały szczeniaczek, który za wszelką cenę stara się coś udawać przed całym światem. Chciałabym go odszukać, pogłaskać po brzuszku, znaleźć mu dobry dom, a potem, kiedy już weźmie się w garść, zostawić. Taki mam plan. W ten sposób nie zostanę zraniona i będę miała poczucie, że komuś pomogłam.

Nie uważam się za kogoś wartościowego, więc muszę szukać uznania na zewnątrz. Kiedy zauważę, że podziw Lucasa słabnie, zniknę z jego życia i wyruszę w pościg za kolejnym facetem, który da mi to, czego potrzebuję. Tak naprawdę ta strategia nigdy nie była skuteczna, ale nie jestem jeszcze gotowa na zmianę.

Rano do mojej grupy terapeutycznej dołącza Richard. Nagle czuję się jak aktor występujący na scenie, a nie psycholog moderujący zwykłą sesję. Richard siedzi obok stosunkowo nowego chłopaka, Devona. Devon jest w moim wieku i co zaskakujące, bardzo modnie się ubiera. Dziś ma na sobie markowe džinsy, sztucznie postarzone buty z czarnej skóry, które są trochę za długie i wyglądają jak kowbojki z kreskówek, obcisły szary T-shirt i zajebistą kurtkę. To autentyczny ciuch noszony przez motocyklistów, a nie wystylizowany gadżet, który można kupić w eleganckim domu towarowym za dziewięćset dolarów. Devon nosi też dredy, które spiął dzisiaj w grubo kucyk. Gdybym spotkała go w innych okolicznościach, uznałabym go za niezłe ciacho. Może z wyjątkiem butów.

Devon cierpi na schizofrenię zdezorganizowaną. W naszym szpitalu to dość nietypowa odmiana tej choroby: u większości pacjentów zdiagnozowano schizofrenię paranoidalną. Laicy nie widzą szczególnej różnicy, ale w tych murach precyzja jest szczególnie ważna.

Devon siedzi z dziwacznie splecionymi nogami na samej krawędzi krzesła. Cały czas wykręca też ramiona i kilka razy podczas dzisiejszych zajęć bałam się, że za chwilę się przewróci. W przeszłości zdarzało mu się stać w bardzo podobnej pozycji: jedna noga opleciona wokół drugiej, lekko ugiętej, i wyciągnięte przed siebie ręce. Po jakimś czasie zaczynał wykonywać powolne skoncentrowane ruchy, jak gdyby trenował tai chi. Wyglądało to jak walka z cieniem. Ten widok wzbudzał we mnie zarówno fascynację, jak i niepokój.

Teraz również podobnie się zachowuje i zaczynam się bać, jaki to będzie miało wpływ na innych pacjentów, szczególnie na Richarda. Obserwuję Devona kątem oka, udając, że całą uwagę poświęcam grupie. Richard trzyma się na uboczu. Usiadł tak, żeby między nim a pozostałymi uczestnikami sesji zostało przynajmniej jedno wolne krzesło. Widzę jednak, że przestał czytać gazetę i spogląda znad okularów na Devona. Inni również zauważyli, że coś się dzieje. Atmosfera zrobiła się nieprzyjemna i pojawiły się głosy, że to świr i powinnam go wyrzucić za drzwi.

– Nikogo nie mam zamiaru stąd wyrzucać, Barry. Proszę cię, wyluzuj – mówię, odchylając się do tyłu.

– Ale, kurczę, ten koleś jest naprawdę dziwny i nie chcę mieć z nim nic

wspólnego. Rozprasza nas i powinien stąd zniknąć! – Barry lubi pozować na rozjemcę, ale sam często wszczyna awantury w imię sprawiedliwości albo poprawy skuteczności prowadzonej przeze mnie terapii. Moim zdaniem robi zamieszanie, żeby zagłuszyć głosy w swojej głowie.

– Barry, skoro mianowałeś się rzecznikiem grupy, to może pójdziemy za twoim przykładem i porozmawiamy o stygmatyzowaniu. – Wiem, że nienawidzą tego tematu.

– Naprawdę musimy? Mam już dość gadania o stygmatach.

– O stygmatyzowaniu.

– Wszystko jedno. Mam tego po dziurki w nosie.

– Okay. Co to jest stygmatyzowanie? Jak rozumiecie to pojęcie?

– Chodzi o rodzaj uprzedzenia, prawda? Traktujesz kogoś jak śmiecia, tylko dlatego że nie podoba ci się jego wygląd albo kolor skóry. – To Lucy. Ma siedemnaście lat, nosi seksowne stroje i za mocno się maluje. Cierpi na psychozę maniakalno-depresyjną. Czasami potrafi tak bardzo błysnąć intelektem, że mam ochotę wysłać ją na Harvard, ale w niektóre dni nawet nie pamięta, jak się nazywa.

– Masz rację, Lucy. Świetnie to wyjaśniłaś. Stygmatyzowanie ma wiele wspólnego z wrogością. To negatywne przekonanie żywione w stosunku do kogoś tylko i wyłącznie z powodu jego przynależności do jakiejś grupy. Czy kiedykolwiek mieliście z tym do czynienia? – Od czasu do czasu odnoszę wrażenie, że jestem przede wszystkim nauczycielem. Kiedy rozkręca się ciekawa dyskusja, zdarza mi się uderzać obcasami w przód biurka. Wiem, że siadanie na blacie jest zabronione: to jedna z reguł, które mają pomóc nam zachować odpowiedni dystans do naszych podopiecznych. Jednak im dłużej tu pracuję, tym mniej mnie to obchodzi.

Wszyscy unoszą w górę ręce, przyznając, że byli w przeszłości stygmatyzowani. Nawet Richard. Jedynie Devon nie reaguje na moje pytanie. Uznaję, że muszę się do niego zwrócić bezpośrednio.

– Devon, zauważyłeś, że pozostali podnieśli ręce? Ty nigdy nie padłeś ofiarą napiętnowania? – Staram się go jakoś zaangażować, żeby nie czuł się wyobcowany, ale chyba popełniłam błąd. Patrzy na mnie i coś mruczy pod nosem.

– Przepraszam, ale siedzisz trochę za daleko i nic nie słyszę. Mógłbyś powtórzyć? – Znowu coś mówi, tym razem podnosząc głowę, jakby chciał nawiązać ze mną kontakt. Albo przynajmniej tak mi się wydaje.

– Przykro mi... – stękam zażenowana.

– Powiedział, że trzyma się z dala od innych ludzi. – To Stephen.

– Dziękuję, Stephen. Czasami słabo was słyszę. Okay, Devon, czyli trzymasz się na uboczu. Robisz to, żeby uniknąć napiętnowania?

Kiwa głową.

– Bycie ofiarą stygmatyzacji jest bolesne, prawda?

Znowu przytakuje.

Inni robią to samo.

– Z jakiego rodzaju uprzedzeniami się spotkaliście? Co ludzie zwykle myślą o chorych psychicznie?

– Uważają nas za idiotów – rzuca Stephen. Zapisuję jego słowa na wiszącej za moimi plecami tablicy.

– I głupich niewykształconych leni – dodaje Barry.

– Jesteśmy ciężarem dla społeczeństwa. Nie robimy nic, żeby Ameryka rosła w siłę – mówi Lucy.

– Możemy być groźni. – Jestem zdziwiona, gdy orientuję się, kto to powiedział. Adelle ma prawie sto lat i sprawia wrażenie niezwykle kruchej. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł ją uznać za niebezpieczną. Jednak po chwili przypominam sobie, że kiedy przestała brać leki, dźgnęła jakiegoś faceta w pierś nożyczkami.

– Jesteśmy brudni i odpychający. Ludzie nie chcą przebywać w naszym towarzystwie. Boją się koło nas stanąć. Sami również tak siebie traktujemy – oznajmia Darryl. Strzelił sobie w głowę i cierpi na urazowe uszkodzenie mózgu. Nadal zмага się z głęboką depresją, ale przysięga, że już nigdy nie targnie się na swoje życie. Po wypadku odeszła od niego żona, ponieważ nie była w stanie patrzeć na jego zniekształconą twarz.

– Dobra, powiem to, o czym wszyscy myślą. Nazywają nas świrami – oświadcza Barry, najwyraźniej starając się zatrzeć złe wrażenie. Spogląda na Devona. – Przepraszam cię, ale tak właśnie o nas myślą i nie muszą tego mówić na głos.

Devon kiwa głową.

– Dziękuję, Barry. To było miłe z twojej strony. Coś jeszcze? Mielicie do czynienia z innymi formami napiętnowania? – Widzę, że Richard spogląda na Barry'ego w taki sposób, jak gdyby aprobował jego dziwne przeprosiny.

– Niektórzy myślą, że mogą się od nas zarazić. Uważają, że od uprawiania seksu dostaną dwubiegunówki – mówi Lucy.

– Jak sądzicie? Czy to możliwe? – pytam. Staram się ich czegoś nauczyć, lecz nie chcę, żeby czuli się jak w szkole. Patrzę na Richarda, jednak widzę, że myślami jest gdzie indziej.

– Bzdury! W ten sposób można złapać AIDS lub podobne świństwo, ale nie chorobę psychiczną – odpowiada Barry.

Zapisuję ich słowa na tablicy. Zaczynam czuć się winna, ponieważ mam wobec nich dokładnie takie same uprzedzenia. Robi mi się smutno i przyjmuję pozycję obronną.

Po zakończeniu zajęć czekam, aż wszyscy wyjdą na korytarz. Chodzę po sali, ustawiam krzesła z powrotem w półkole i zbieram zostawione przez pacjentów śmieci. Na wciśniętym w kąt krześle, na którym siedział Devon, leżą jakieś dziwne płatki przypominające odpryski farby lub kawałki confetti. Zrzucam je na podłogę i idę dalej.

Wycieram tablicę, starając się zapamiętać wszystko, co zapisałam. Zastanawiam się, jak często sama jestem stygmatyzowana i co tak naprawdę sądzą o mnie inni ludzie. Nie pierwszy raz zaczynam podejrzewać, że w gruncie rzeczy mogę pasować do profilu.

1 LISTOPADA, 11.11

Przygotowałam dla Richarda harmonogram terapii: cotygodniowe sesje indywidualne oraz odbywające się prawie codziennie zajęcia grupowe. Pacjenci zwykle lubią mieć jasno wytyczony plan. Poza tym zależy mi na tym, żeby Richard był zajęty. Dzięki temu będę miała czas, żeby go rozpracować. Dzisiaj jest wtorek i zgodnie z harmonogramem spotykamy się o jedenastej. Richard wchodzi do środka, powłócząc nogami, po czym siada i wierci się na krześle, starając się zająć jak najwygodniejszą pozycję. To wielki facet i mój gabinet jest dla niego zbyt mały. Richard wygląda jak duża kukiełka, którą ktoś próbuje upchnąć w miniaturowym domku dla lalek. Pod pachą ściska plik gazet i jeszcze przez dłuższą chwilę kiwa się w przód i w tył, żeby jak najlepiej się ułożyć. Kiedy wreszcie mu się udaje, kładzie gazety na rogu biurka i dość niezgrabnie opiera się na nich łokciem. Druga ręka jest ugięta pod dziwnym kątem i wygląda jak proteza, ponieważ Richard trzyma sztywno nadgarstek.

– Dobrze, chyba możemy zacząć. Chciałabym wrócić do twojej dokumentacji. Czy moglibyśmy poświęcić temu kilka minut i mieć to już za sobą? – mówię pełna nadziei i pozytywnej energii.

– No nie... Znowu jakieś testy? – pyta rozdrażnionym tonem. Nawet nie zdjął czapki, co strasznie mnie wkurza, ponieważ uważam, że to niegrzeczne. Nagle orientuję się, że najlepszy sposób na opanowanie strachu to złość. Skupiam więc swoją uwagę na jego irytującym zachowaniu. Ciągłe ma na głowie ten idiotyczny kaszkiet z tweedu, który w latach dziewięćdziesiątych spopularyzowały zespoły grające R&B.

– Nie przyszedłem tu, żeby wypełniać jakieś papiery – oznajmia spokojnym męskim głosem. Nie stara się ze mną kłócić, tylko po prostu stwierdza fakt.

– Nie przyszedłem... – bezwiednie go poprawiam, ale unikam kontaktu wzrokowego i zajmuję się przerzucaniem dokumentów.

– Jestem tutaj z własnego wyboru i wiem, że nie muszę wypełniać żadnych formularzy. Mam zapewnioną prywatność i nic, co powiem, nie może wyjść poza te ściany. Nie mam obowiązku odpowiadać na twoje pytania i jeśli wyrzucisz mnie z gabinetu, to trudno. Znam swoje prawa. Słyszałem, że jesteś w tym szpitalu najlepszą terapeutką. Wydawało mi się, że nie będziesz mi zawracać głowy pierdołami jak ten palant, z którym się wcześniej spotykałem. – Kiedy mówi, jeszcze bardziej się ode mnie odsuwa,

cały czas wykonując dziwne ruchy rękami, jak gdyby starał się wytrzeć coś ze swoich kciuków. Jest wyraźnie niespokojny i zachowuje się nerwowo.

– Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty, ale jeśli będziesz mnie ignorował, nie polepszysz swojej sytuacji. Mamy razem pracować podczas twojego pobytu w tym ośrodku. Moim zadaniem jest zapewnić ci pomoc i sprawić, żeby proces leczenia był jak najmniej bolesny. Jestem osobą, do której możesz się zwrócić, jeśli czegoś potrzebujesz. Udzielę ci wsparcia w sytuacji, gdy pojawią się jakiegokolwiek problemy z innymi pacjentami i potrzebna będzie moja interwencja. Jednak ty również musisz się zaangażować. W przeciwnym razie jestem bezradna. – Wszystko, co mówię, to starannie przygotowane wystąpienie.

Wydaje mi się, że moja strategia polegająca na maskowaniu strachu złością zaczyna działać. Richard milczy. Patrząc mu prosto w oczy i po raz pierwszy widzę, że są niebieskie. Z jakiegoś powodu jestem zaskoczona. Zwykle spogląda na mnie spod przymrużonych powiek i trudno powiedzieć, czy robi tak, żeby groźnie wyglądać, czy też razi go światło. Jego oczy są wyjątkowo jasne, dużo jaśniejsze niż moje.

Kiedy prostuje palce, widzę, że ma zadbane paznokcie. Niby nic dziwnego, ale ten szczegół odróżnia Richarda od wszystkich innych pacjentów, również kobiet, które normalnie wydają ostatni grosz na elegancki manicure. Jednak w szpitalu przestają zwracać uwagę na takie rzeczy: nie używają pilnika i po jakimś czasie spod jaskrawozielonego lakieru wystaje pół centymetra nierównego chropowatego pazura.

Richard nadal nic nie mówi. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy dzieje się tak dlatego, że zabiłam mu klina, czy też może za chwilę rzuci się na mnie z pięściami, ponieważ odezwałam się w niewłaściwy sposób. Wiem, że jak dotąd nikt nie wygłosił do niego tak długiej przemowy i nie mam pojęcia, skąd wzięłam odwagę, żeby to zrobić.

– Zacznijmy od czegoś prostego. – Wkładam okulary i sięgam po długopis. – Jak się nazywasz?

Chciałabym usłyszeć, jak wymawia swoje nazwisko, ponieważ obawiam się, że jeśli popełnię błąd, to się obrazi. McHugh. Czy pierwsze „h” jest nieme? Nie jestem tego pewna. Muszę nakłonić go do mówienia i nie mogę sama rzucać sobie kłód pod nogi.

– Richard McHugh. – „Mak-hju”. Dobrze, przynajmniej to udało mi się ustalić. – Mam się do ciebie zwracać „pani doktor”?

– Jeśli chcesz, ale wolę, żebyś mówił mi na ty.

– Dlaczego?

– No cóż, jeżeli mam być szczerą, to łatwiej krzyknąć „Sam” z jednego końca korytarza na drugi. A ty dlaczego używasz pełnego imienia? Istnieje przecież tyle uroczych zdrobnień. – Czy nie pozwalam sobie na zbyt wiele? Może powinnam sobie darować ten nonszalancki ton? Czuję się naprawdę zmęczona i nie mam w sobie wystarczająco dużo energii, żeby zachowywać się w pełni profesjonalnie. Poza tym nie chcę już dłużej udawać. Wiem, że w moim mózgu dzieje się coś dziwnego: podczas sesji terapeutycznej zdradzam swoje prawdziwe uczucia, zapominając o przywdzianiu odpowiedniej maski.

– Po prostu lubię taką formę. Nikt nie mówi do mnie „Dick”.

– W porządku, proszę pana.

– Nie zwracaj się do mnie w ten sposób. Jestem Richard.

– Okay, Richard. – Nigdy nie spotkałam się z podobną reakcją. Ludzie nie mają zwykle nic przeciwko formom grzecznościowym. – Następne pytanie: data urodzenia?

– Czternasty lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty rok. Czwartek.

– Naprawdę? – Nawet nie ukrywam, że jestem zaintrygowana. – Skąd to wiesz?

– Od mojej matki. Powiedziała mi, że to był najgorszy dzień jej życia i od tej pory nienawidzi czwartków. – Nie mogę uwierzyć, że udało nam się ruszyć z miejsca. Boję się, że zrobię coś nie tak i żółtów znowu schowa się w skorupie.

– No cóż, ja uwielbiam czwartki. Mam przed sobą cały weekend. – Przyjazny komentarz. Muszę go zachęcić. Błagam, otwórz się przede mną. – A gdzie się urodziłeś?

– Na Queens.

– Aha, w Nowym Jorku. Masz jakieś rodzeństwo?

– Nie. – Znowu jednosylabowa odpowiedź.

– Historia rodziny...

– Nie.

– Poczekaj, jeszcze nie zadałam pytania. Chciałam przejść do rubryki dotyczącej twojej rodziny, środowiska, z którego...

– Nie. Nie będę o tym rozmawiać – przerywa mi w pół zdania.

– Okay, rozumiem, że możesz czuć się niekomfortowo, ale musimy poruszyć ten temat. To konieczne dla dalszego leczenia i...

– Nie i kropka. Nic więcej nie powiem. – Koniec, żółw schował się do skorupy.

– Dobrze, to nie jest aż takie pilne. Możemy przełożyć tę rozmowę na jakiś...

– Skończyliśmy? Chcę już iść – wchodzi mi w słowo, zanim udaje mi się go uspokoić, po czym zrywa się na równe nogi, otwiera drzwi i wybiega na korytarz.

Zdziwiona stwierdzam, że mam przed sobą regał z książkami, a nie biurko. Richard potrącił moje krzesło i spadłam na podłogę. Co się stało? Powiedziałam coś nie tak? Jak to możliwe, że po raz kolejny się nie udało?

Umówiłam się z Lucasem na drinka. Nie mieszkamy razem, ale spędzamy w swoich domach tyle czasu, że czasami zamiast robić pranie, wkładam jego ubrania. Umawianie się z Lucasem jest jak randkowanie z dwoma różnymi osobami. Z jedną nie można się jednak pokazywać w miejscach publicznych. Moją głowę pokrywają swędzące strupy, ale nadal się z nim spotykam i toleruję jego zachowanie.

Dziewięć razy na dziesięć chodzimy do tego samego baru i rozmawiamy z tymi samymi ludźmi. Niektórzy to znajomi, a reszta to stali klienci, z którymi zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Czasami wpadnie też David, mój kolega z pracy. Jednak dzisiaj postanowiliśmy pójść gdzie indziej, ponieważ Lucas uznał, że nie ma siły na imprezowanie.

Ostatecznie wylądowaliśmy w Flatiron Lounge na Dziewiętnastej Ulicy. Serwują tu bardzo wyrafinowane i drogie drinki. Sala jest ciemna, a siedzenia nieszczerólnie wygodne. Na dodatek obsługują nas atrakcyjne kelnerki i zaczynam się czuć niepewnie. Całe szczęście Lucas naprawdę ładnie wygląda w blasku świateł i staram się nie myśleć o tym, że być może zabrał mnie tu, ponieważ chce ze mną zerwać.

– Świetnie się dziś prezentujesz, kochanie – mówi. Kiedy słyszę jego głos, wyobrażam sobie równo pracujący silnik diesla, na który ktoś wylał roztopione masło.

– Dziękuję, kotku. To pewnie dlatego, że od wielu godzin jestem nieprzyzwoicie trzeźwa. – Kiedy się denerwuję, trudno mi zachować powagę. Chociaż nie traktuję Lucasa jak faceta na całe życie, nie chciałabym, żeby to on zakończył ten związek, a już na pewno nie w tym momencie. To nie jest część mojego planu. Mam nadzieję, że chodzi o coś innego. Jak było do przewidzenia, zaczynam się zastanawiać, dlaczego w ogóle jestem z Lucasem i z jakich powodów toleruję jego wyskoki.

– Nie miałem dziś siły na towarzystwo. Rozumiesz, prawda? Chodzenie codziennie do baru Nicka jest czasem męczące... – Lucas naprawdę sprawia wrażenie całkowicie zdrowego na umyśle.

– Jasne, rozumiem. – To kłamstwo. Wolałabym siedzieć u Nicka, ponieważ wszyscy mnie tam znają i myślą, że jestem piękną i wspaniałą kobietą. Rzecz jasna, nic nie wiedzą o moim prawdziwym stanie. A dzisiaj potrzebuję ich podziwu. Kiedy wierzą w odstawianą przeze mnie komedię,

kiedy grupa inteligentnych nowojorczyków daje się nabrać i patrzy na mnie i Lucasa jak na dwójkę zdrowych, racjonalnych i zrównoważonych ludzi, którzy tworzą zdrowy, racjonalny i zrównoważony związek, wtedy sama zaczynam tak uważać. Wiem, jak bardzo tego potrzebuję. Potrzebuję tej całej błazenady, tej szopki odstawianej na użytek reszty świata. Jeżeli inni sądzą, że wszystko ze mną w porządku, to ja również zaczynam tak czuć. I właśnie dlatego jestem w stanie znieść zachowanie swojego partnera.

Patrzę na te wszystkie długonogie Europejki i czuję się coraz mniejsza i coraz brzydsza. Trudno mi opanować rosnącą ochotę na prawdziwy alkohol. To, co sączę, to jakieś świństwo z pianą z ubitego jajka. Czuję, że trudno będzie się tym upić.

– Muszę przyznać, że to niejedyny powód, dla którego chciałem pójść dzisiaj w jakieś spokojniejsze miejsce. – Lucas patrzy na mnie uwodzicielskim wzrokiem, ale wydaje mi się to śmieszne. Jest niezwykle przystojny, jednak w tym momencie mam wrażenie, że wygląda jak postać z kreskówki. To wszystko dlatego, że za bardzo się denerwuję.

– Aha... A co chodzi? – Czuję, jak pomiędzy piersiami ścieka mi strużka potu.

– Chciałem wrócić do tematu wspólnego mieszkania. – Przysuwa się bliżej i jego łokieć zajmuje cały stolik koktajlowy. Nagle zdaję sobie sprawę, jak mało jest tu miejsca. Mam wrażenie, jakby światła zaczęły nagle migotać, i kręci mi się w głowie. Staram się mocno oprzeć obie nogi na podłodze, ale to się nie udaje. Muzyka gra za głośno i ktoś mnie pyta, czy chcę jeszcze jednego drinka. Czuję, że zaraz stracę przytomność. Lucas widzi, co się święci. Dobrze zna ten wyraz mojej twarzy. Szybko łapie mnie za rękę i stara się podtrzymać.

– Nie będę na ciebie naciskać – kłamię. – Chodzi o możliwość otwarcia dyskusji. Wiem, że nie jesteś zwolenniczką takiego rozwiązania i pragniesz zachować niezależność, ale moje mieszkanie jest za duże jak na jedną osobę i mam naprawdę sporo wolnego miejsca. – Odchyła się do tyłu i mogę wreszcie odetchnąć.

Robię gest w kierunku barmana, a on posyła do nas kelnerkę. Dziewczyna musi jeszcze przejść dzielące nas kilka metrów i pochylić się nad naszym stolikiem, żeby usłyszeć, jak chrapliwym głosem zamawiam cztery szoty tequili Patron Silver. Lucas spogląda na mnie protekcyjnym wzrokiem. To dla niego typowe. Robi tak, ponieważ chce, żeby pozostali goście żywili fałszywe przekonanie, że sam stroni od alkoholu i nie upija się

codziennie do nieprzytomności. W tym barze łatwo mu będzie zachować pozory, a należy pamiętać, że Lucas uwielbia pozory.

– Uważam, że naprawdę dobrze nam się układa i moglibyśmy pójść o krok dalej.

– Ja również jestem zadowolona, ale nie wydaje mi, że powinniśmy cokolwiek zmieniać.

– Dlaczego tak bardzo boisz się zaangażować? – Lucas krzyżuje ramiona i przyjmuje pozycję obronną. Ludzie rzadko mu odmawiają. Jestem pod tym względem wyjątkiem, ponieważ zwykle zgłaszam weto.

– Nie boję się zaangażowania. Wydaje mi się, że jestem w pełni oddana wszystkim ważnym ludziom w swoim życiu. Tak samo traktuję również ciebie, prawda? Dlaczego więc nie mogę zachować autonomii? – Chyba mówię głośniej, niż powinnam.

– Przecież możesz mieszkać ze mną i być niezależna. To się wcale nie wyklucza. – Lucas zmierza donikąd i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Tak się zazwyczaj kończą nasze dyskusje.

Na stoliku pojawiają się zamówione szoty. Od razu wypijam dwa, nawet nie dając Lucasowi szansy na wzniesienie toastu. Mój chłopak delikatnie podnosi trzeci kieliszek, a ja sięgam po czwarty.

– Za to, żebyśmy zawsze byli najlepsi we wszystkim – wygłasza ten sam głupi tekst, co zawsze.

Chociaż pochyla się w moją stronę, nie mam ochoty stukać się z nim kieliszkami. Jego toast jest nie tylko idiotyczny, lecz także wyjątkowo napuszony. Wychyłam tequilę jednym haustem. Obok stolika pojawia się kelnerka ze świeżymi serwetkami i pretensjonalnym piwem z browaru rzemieślniczego. Zastanawiam się, czy Lucas żyje w jakiejś alternatywnej rzeczywistości.

3 LISTOPADA, 8.31

Richard siedzi teraz u mnie w gabinecie. Kiedy przyszedłam rano do pracy, stał pod drzwiami i wyglądał na zmartwionego. Robię poważną minę. Wiem, że śmierdzą papierosami, ale jestem gotowa, żeby zażegnać kryzys.

– Nie chcę brać udziału w tych samych sesjach grupowych, co Julie – oznajmia.

– Richard... – jęczę zmęczonym głosem i czuję, że dręczy mnie kac gigant. – Dlaczego nie możesz chodzić z nią na zajęcia?

– Ona nie wie, o czym mówi. Stwierdziła na przykład, że po burakach będę srał na czerwono. Co mnie to obchodzi? Zresztą w ogóle nie serwujecie tutaj buraków, więc niby gdzie miałbym je zjeść? Nie życzę sobie, żeby ten babsztyl opowiadał o kolorze mojego gówna. Nie chcę być z nią w jednej grupie. Nie ma mowy. Zaproponuj coś innego.

– Chodzisz na zajęcia o zdrowym żywieniu, więc trudno się dziwić, że poruszacie akurat takie tematy.

Richard unosi wysoko brwi.

– Okay, w porządku. Gdzie chcesz się przenieść? Kogo jesteś w stanie tolerować?

– A ty jakie zajęcia prowadzisz? Rzecz jasna w tym samym terminie.

– To nie jest grupa dla ciebie. Zajmujemy się różnymi pacjentami i niektórzy potrzebują specjalistycznej opieki. To są właśnie takie przypadki.

– Czy w takim razie mogę mieć wolne? Albo pójść do sali komputerowej?

– No cóż, wydaje mi się, że powinniśmy zastanowić się nad celami twojej terapii i nad tym, jak najlepiej wykorzystać twój czas.

– Moje cele? Na pewno nie jest to gadanie o gównie i burakach.

– Wolałabym, żebyś nie używał takich słów. Można przecież powiedzieć „odchody” albo „kał”. – Mój komentarz wydaje się całkowicie nie na miejscu. Richard chyba znowu wygrał. Który to już raz? Odchyła się na krześle i wygląda przez okno. Siedzi z założonymi rękami i widać, że jest zły.

– Nie chcesz chyba, żebym podczas sesji robił sceny i wrzeszczał na Julie?

– Oczywiście, że nie. Jednak wydaje mi się, że jesteś rozsądnym facetem, który potrafi nad sobą panować i okazać szacunek innym. Jeżeli praca z tą grupą nie przynosi rezultatów, wykreślę ją z twojego planu. – Siadam za biurkiem i sięgam do szuflady po jego teczkę. – Musimy jednak dokładnie przedyskutować to, czego potrzebujesz i jak ma wyglądać twoje leczenie. A to oznacza konieczność uzupełnienia dokumentacji klinicznej. – Pokazuję mu nie do końca wypełniony formularz. – Dzięki temu będę w stanie zaproponować ci odpowiednie zajęcia grupowe, co pozwoli osiągnąć wyznaczone cele.

– Znowu te cele...

– Tak, większość pacjentów znalazła się w tym ośrodku, żeby realizować cele terapeutyczne.

– Dobrze.

– Na pewno? – pytam. Głowa pęka mi z bólu i marzę tylko o tym, żeby zamknąć oczy i się położyć. – Czyli chcesz porozmawiać o celach?

– Tak, pomyślę o tym, co chciałbym osiągnąć podczas swojego pobytu w szpitalu – mówi i od razu wychodzi na korytarz. Dociera do mnie, że na dobrą sprawę nic nie osiągnęłam, a Richard uzyskał nade mną przewagę. Nie musi brać udziału w sesjach, które mu się nie podobają, a ja nadal nie uzupełniłam dokumentacji i nie mam bladego pojęcia, po co on w ogóle się tu znalazł. Połykam dwie tabletki przeciwbólowe, popijam sporym łykiem kawy i staram się zebrać siły na resztę dnia.

Zanim advil zaczyna działać, rozlega się dzwonek telefonu. To David.

– Cześć, słoneczko – mówi trzeźwym i radosnym głosem.

– Cześć. Mam nadzieję, że nic ode mnie nie chcesz. Mam ogromnego kaca.

– To miła odmiana. Ukradłaś mój advil?

– Tak. Dlatego do mnie dzwonicz? – Jedną ręką rozcieram grzbiet nosa, a drugą ściszam głos w słuchawce.

– Nie. Mam do ciebie inną sprawę. Nie wziąłem ze sobą nic na lunch i chciałbym, żebyś wybrała się ze mną do tej nowej knajpy na Riverside Drive.

– Kazesz mi tam iść na piechotę?

– Głupie pytanie.

– Tak, bardzo głupie. Ale możesz mi przynieść kanapkę. – Uśmiecham

się sama do siebie. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie David i nasze durnowate gadki.

6 LISTOPADA, 18.14

Siedzę na dachu apartamentowca, w którym mieszka Lucas. Obok mnie kręci się jego pies Maverick ubrany w kaszmirowy sweterek. Czekamy na Lucasa, który zszedł na dół po butelkę wina. Przyszliśmy tutaj, ponieważ mój chłopak chciał obejrzeć zachód słońca, zanim zmienią czas na zimowy i znacznie się robić ciemno już o wpół do piątej. Jest niedziela i najwyraźniej inni lokatorzy wpadli na podobny pomysł. Starannie przystrzyżone żywopłoty z bukszpanu oddzielają od siebie poszczególne tarasy wypoczynkowe, ale wiem, że nie jesteśmy sami, ponieważ od czasu do czasu widzę unoszący się w różnych miejscach dym z papierosa.

Na dachu porozstawiano duże grzejniki, które wyglądają jak srebrne wibratory w czapeczkach. Sama siedzę obok takiego urządzenia. Maverick położył mi się na kolanach, które przykryłam pomarańczowym pledem z wyszytą w rogu literą „H”. Lucas uparł się, żeby wziąć go na górę. Jeśli sama miałabym koc marki Hermès, najprawdopodobniej nigdy bym go nie używała, a już na pewno nie zabrałabym go na brudny dach.

Mój chłopak wychodzi zza rogu, gdzie znajduje się wejście do windy. W rękach trzyma dwa nieskazitelnie czyste kieliszki i kryształową karafkę wypełnioną bordowym trunkiem. Maverick nie zwraca na niego uwagi, tylko jeszcze wygodniej mości mi się na kolanach. Lucas przechodzi obok pary palącej papierosy i teatralnym gestem odgania dym, jak gdyby był jedyną osobą uprawnioną do trucia swoich szlachetnych płuc. Delikatnie stawia kieliszki na stoliku z drewna tekowego i kręci karafką.

– Opowiadałem ci o tym winie, kiedy byliśmy ostatnio na kolacji. Uznałem, że dzisiaj jest odpowiedni moment, żeby go spróbować.

– Dobry pomysł. – Odgarniam włosy z twarzy, a Lucas nalewa odrobinę wina, nie więcej niż trzy małe łyki. Podaje mi jeden kieliszek, a sam wtyka nos do drugiego, po czym odchyła się na krześle, kładzie nogi na stole, zamyka oczy i bierze głęboki wdech. Każe mi zrobić to samo.

– Co czujesz? – pyta z wciąż zamkniętymi oczami.

Wpycham nos do środka i zakręcam kieliszkiem, tak jak kiedyś mi pokazał. Czuję wino.

– Skóra – stwierdzam, ponieważ wiem, że właśnie takie rzeczy mówi się o czerwonym winie. Wyjmuję z paczki papierosa i wkładam go do ust. –

I tytoń – dodaje.

– Dobrze. Coś jeszcze? – On naprawdę żyje w innej rzeczywistości, w jakimś pretensjonalnym świecie, w którym nie można tak po prostu napić się wina. W jego mniemaniu smakowanie trunku to głębokie doświadczenie, któremu należy się całkowicie poświęcić. Zapalam papierosa. Kiedy słychać trzask zapalniczki, Lucas otwiera oczy, zdejmuje nogi ze stołu i błyskawicznym gestem wyszarpuje mi papierosa z ust. Filtr przykleja się jednak do suchych warg i mój chłopak odrywa mi również kawałek naskórka.

– Nie możesz palić, kiedy chcesz się napić margaux, rocznik osiemdziesiąty szósty! Wszystko zepsujesz! Robisz krzywdę nam obojgu. Jezus Maria! Tak trudno ci się skupić, Sam?

Strofuje mnie, a ja mam wrażenie, że jestem marudnym dzieckiem, które nie potrafi wykonać prostego polecenia. Lucas patrzy na mnie z pogardą i jest wyraźnie zawiedziony. Wypełnia mnie coraz większa pustka. Kiedy czuję jego dezaprobatę, mam wrażenie, że on robi się duży, a ja malutka. Był dla mnie dzisiaj taki miły, a ja znowu wszystko spieprzyłam.

– Przepraszam, masz rację. Nie chciałam tego popsuć. O jaki zapach ci chodzi? – Ssę krwawiącą wargę i staram się go słuchać. Pochyliłam się do przodu i przystawiam kieliszek do nosa, ale metaliczny smak w ustach tłumi inne doznania. Kiedy biorę łyk wina, czuję szczypanie. Maverick zauważa narastające między nami napięcie i zaczyna się niepokoić. Obwąchuje moją twarz i niezgrabnie się wierci. Próbuje przytrzymać jego małe łapki i go ułożyć, ale niechcący przekrzywiam kieliszek i mikroskopijna strużka wina zaczyna powoli ściekać po zewnętrznej ściance. Wszystko dzieje się jakby w zwolnionym tempie: Maverick ześlizguje się z kaszmirowego koca, a ja staram się zapobiec katastrofie. Z wrażenia zatykają mi się uszy i robię się czerwona. Niestety, mogę tylko patrzeć, jak kropla margaux, rocznik osiemdziesiąty szósty, spada na wyszywaną literę „H”. Podnoszę wzrok, żeby sprawdzić, czy Lucas to zauważył, ale on już jest wściekły i siedzi ze spuszczoną głową. Zanim zdążę przeprosić i osuszyć plamę rękawem swetra, bierze karafkę i odchodzi od stolika. Maverick próbuje lizać wino, a ja rozpaczliwie wycieram tkaninę palcami, ale na niewiele się to zdaje. Chociaż brudny ślad jest na dobrą sprawę niewidoczny, wiem, że dla Lucasa koc został już nieodwracalnie zniszczony.

Jedną ręką podnoszę papierosy i kieliszek, a drugą łapię za smycz Mavericka. Serce wali mi jak oszalałe. Złożony zgodnie z wytycznymi Lucasa koc wkładam pod pachę, ustawiam krzesła na miejsce

i przygotowuję się do zejścia na dół, gdzie czeka na mnie mój chłopak. Zaplanował perfekcyjny wieczór: mieliśmy raczyć się wspaniałym winem i podziwiać cudowny zachód słońca. Jego idealny pies siedziałby spokojnie na eleganckim kocu, ale ja wszystko zepsułam. Niepotrzebnie zapalałam tego cholernego papierosa i rozlałam to pieprzone wino.

Naciskam guzik windy i czuję, jak ze strachu ściska mnie w żołądku. Wchodzę do wyłożonej lustrami kabiny i widzę swoją przerażoną twarz. Maverick siada obok mojej nogi, a kiedy zjeżdżamy w dół, podnosi głowę i patrzy na mnie z zainteresowaniem. Im bliżej jestem mieszkania Lucasa, tym więcej adrenaliny krąży w moich żyłach. Kiedy widzę jego drzwi, zatrzymuję się w pół kroku. Na wyłożonej wykładziną podłodze stoi odwrócona do góry dnem moja torebka, a jej zawartość wala się po całym korytarzu. To wyraźna sugestia, żebym sobie poszła. Kucam, żeby pozbierać swoje rzeczy, po czym zaczepiam smycz Mavericka na klamce i ostrożnie stawiam kieliszki pod drzwiami. Po chwili orientuję się, że pies może rozlać wino, więc wypijam duszkiem resztę cennego margaux. Wcale nie jest takie dobre.

Na dnie torebki znajduję plik żółtych karteczek samoprzylepnych, pobrudzonych okruciami tytoniu i jakimiś paprochami. Z zamykanej na suwak kieszeni wyciągam firmowy długopis z logo Tyflos i piszę: „Przepraszam, że popsułam ci wieczór”. Odrywam lekko postrzępioną karteczkę i przyklejam ją do drzwi. Przytulam Mavericka i wtedy po policzku spływa mi pierwsza łza. Dochodzę jednak do wniosku, że lepsze takie upokorzenie niż to, co by się stało, gdyby mój chłopak zostawił drzwi otwarte albo zaprosił mnie do środka. Wtedy musiałabym dochodzić do siebie przez wiele dni.

8 LISTOPADA, 11.03

Jest wtorek, jedenasta rano. Zaraz w moim gabinecie pojawi się Richard i spędzi tu najbliższą godzinę. Podczas dotychczasowych sesji prawie nic mi nie powiedział, a kiedy go przyciskałam w sprawie dokumentacji, udzielał jedynie zdawkowych odpowiedzi albo oświadczał gniewnym tonem, że nie chce na ten temat rozmawiać. Nadal się go boję, ale jest już lepiej. Staram się pokazać Rachel, że dobrze sobie radzę i jako jedyny psycholog potrafię dotrzeć do Richarda i udzielić mu pomocy, której potrzebuje. Bardzo zależy mi na jej uznaniu, na byciu piątkową uczennicą. Dzięki temu w ogóle jestem w stanie funkcjonować.

Chociaż mój nowy pacjent to twardy orzech do zgryzienia, nie jestem w stanie się skupić i myślę o wielu sprawach jednocześnie. Ciągłe zastanawiam się, co mogło się wydarzyć w niedzielny wieczór, i kombinuję, jak wymigać się od użerania się z formularzami. Na razie nie poczyniłam większych postępów niż moi poprzednicy, a mam jeszcze na głowie wystarczająco dużo własnych problemów.

Ledwie zauważam, jak Richard wchodzi do mojego gabinetu z plikiem gazet i siada na krześle, po czym zdejmuje czapkę i delikatnie kładzie ją na biurku. Czasami nosi tweedowy kaszkiet, a czasami szary. Wydaje mi się, że oswoił się nieco z moim towarzystwem. Mieliśmy już kilka sesji indywidualnych i zajęć grupowych. Zdarza się, że mówi mi „dzień dobry”, ale równie często milczy. Dzisiaj, wchodząc do środka, na pewno nic nie powiedział.

Wreszcie się odzywa:

- Jesteś dzisiaj jakaś inna.
- Nieprawda. Jestem taka jak zawsze. Stara dobra Sam. – Nawet nie podnoszę wzroku znad papierów.
- To dlaczego ciągle wbijasz wzrok w tę samą kartkę? Gapisz się na nią od dwudziestu minut.
- Staram się skoncentrować.
- Na czym? – Jest spostrzegawczy i widzi więcej, niż mi się wydaje. A przecież to on jest wariatem, a ja jako profesjonalistka powinnam przezwyciężyć problemy ze skupieniem uwagi.
- Jeśli nie zamierzasz uzupełniać ze mną dokumentacji ani omawiać

celów terapii, to zajmij się lekturą swoich gazet i pozwól mi w spokoju pracować – mówię łagodnym głosem, zdając sobie sprawę, że znowu przegrałam.

– Jeszcze nie widziałem, żebyś była spokojna.

Kurczę, jesteś moim terapeutą czy co? Nigdy tego nie zobaczysz. Szkoda czasu, Richard.

Zapada milczenie i oboje udajemy, że pochłaniają nas własne sprawy. Zaczynam się zastanawiać, co robię ze swoim życiem. Richard wierci się nerwowo na krześle. W pewnym momencie wyciąga przed siebie lewą rękę, jakby chciał ją w pełni rozprostować. Głośno przy tym sapie i nie mogę się skupić.

– Coś się stało, Richard?

– Tak, jestem ciekaw, co się dzieje z tym chłopakiem, z którym chodzę na prowadzone przez ciebie zajęcia grupowe.

– Z Devonem. Nie wiem. Dlaczego o to pytasz?

– Podczas spotkań zawsze odstawia te swoje akrobatyczne popisy. Bardzo mnie to rozprasza. I ciągle chodzi w kurtce, chociaż w sali jest tak gorąco, że można się ugotować. Wszędzie zostawia konfetti. W jego towarzystwie czuję się nieswojo. Jak mogę w takich warunkach wrócić do zdrowia? – Wydaje mi się, że problemem jest również to, że Devon jest wielkim facetem, ale wolę, kiedy Richard narzeka, niż kiedy w ogóle nie chce ze mną rozmawiać.

– W porządku. Co chciałbyś, żebym z tym zrobiła?

– Nie wiem. To ty jesteś psychologiem, a nie ja – oświadcza, rozkładając lekceważąco ręce.

– To wygląda bardziej na kwestie porządkowe. Albo związane z czystością. Mogę poprosić Devona, żeby przestał się tak zachowywać. Jednak musisz pamiętać, że to szpital i należy tolerować dziwaczne zachowania innych pacjentów.

– W granicach rozsądku.

– Tak, masz rację, w granicach rozsądku. Jednak oplatanie jednej nogi wokół drugiej i walczenie z cieniem jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Może powinniśmy porozmawiać o tym, jak radzisz sobie z frustracją.

– Całkiem nieźle. Po prostu nie mam zamiaru brać udziału w zajęciach z facetem w skórzanej kurtce, który rozrzuca konfetti i udaje precla.

– Okay, przyjęłam do wiadomości. Zajmę się sprawą i przekażę ci, co udało mi się załatwić. Zgoda?

Richard unosi brwi i widać, że nie udało mi się go przekonać. Po chwili znowu wbija wzrok w gazetę.

– A poza tym on śmierdzi. Powinnaś to wiedzieć! – Jeszcze jedna uszczypliwość i na dzisiaj koniec.

9 LISTOPADA, 10.00

Jenni siedzi na krześle pacjenta w moim gabinecie, nerwowo miętosząc mankiety koszuli. Przez wiele lat była maltretowana i każda osoba posiadająca jakąś władzę wywołuje w niej strach i poczucie zagrożenia. Przebywa w naszej placówce od niedawna i nadal dochodzi do siebie po tym, czego wcześniej doświadczyła.

– Jak ci się układa ze współlokatorką? – pytam, ponieważ zwykle zaczynam od jakiegoś lżejszego tematu, często związanego ze szpitalną codziennością. Chcę, żeby pacjenci poczuli się swobodnie, zanim przejdziemy do poważniejszych spraw.

– Z Tashawndrą? W porządku. Dobrze nam się razem mieszka. Dbą o czystość i nie bałagani. Każda z nas stara się trzymać rzeczy po swojej stronie pokoju. Ona jest tutaj już od bardzo dawna i we wszystkim świetnie się orientuje. Pomaga mi się oswoić z nową sytuacją. No i pożycza mi swój balsam do ciała.

– Cieszę się, że udaje wam się dogadać. Tashawndra to bardzo miła dziewczyna. To ważne, żeby warunki mieszkaniowe spełniały twoje oczekiwania. A jak się czujesz po detoksie? – Przed przyjęciem do Tyflos Jenni musiała przejść detoksykację, ponieważ była uzależniona od heroiny i nie radziła sobie z głodem narkotykowym.

– Lepiej, ale nadal strasznie boli. Jeszcze nigdy nie czułam się tak słabo. Heroina wysysa z ciebie życie, ale kiedy ją odstawisz, jest jeszcze gorzej. Myślałam, że mój stan już nigdy się nie poprawi. Głód heroinowy to coś naprawdę przerażającego. – Łapie się za brzuch i zaczyna kołysać w przód i w tył.

– To prawda. Jesteś bardzo dzielna, że zdecydowałaś się na leczenie. Dzięki temu już nigdy nie pojawią się objawy abstynencyjne. Teraz, kiedy udało się zapanować nad fizyczną stroną uzależnienia, poświęćmy więcej czasu na jego psychiczne i emocjonalne aspekty. Wprowadziłam parę zmian do twojego harmonogramu, żebyś mogła brać udział w zajęciach grupowych poświęconych wychodzeniu z nałogu i podwójnej diagnozie. Podczas naszych spotkań również zajmiemy się tą tematyką. Jesteś na to gotowa?

– Co to jest podwojona diagnoza? – pyta, rozdrapując strupek na głowie.

– Podwójna, nie podwojona. To sytuacja, w której ktoś jest uzależniony

od narkotyków albo alkoholu i dodatkowo cierpi na zaburzenia umysłowe lub chorobę psychiczną. Zmagając się jednocześnie z dwoma problemami, znajdujesz się w bardzo trudnej sytuacji. Musimy mieć pewność, że otrzymujesz od nas właściwe wsparcie.

– Okay, rozumiem. O czym konkretnie będziemy rozmawiać podczas sesji indywidualnych? – Jenni podwija rękawy koszuli, które wcześniej nerwowo tarła. Na jej przedramionach wciąż widać ślady po ukłuciach igły. Ciągną się od zgięcia w łokciu do wierzchu dłoni.

– No cóż, na początek chciałabym, żebyś opowiedziała mi historię swojego uzależnienia. Kiedy zaczęłaś, co brałaś i tak dalej. Jesteś na to gotowa?

– Tak, jestem gotowa. – Bierze głęboki oddech i związuje rzadkie włosy w rachityczny koczek. – To się zaczęło, kiedy byłam naprawdę bardzo młoda. Chodziłam jeszcze do szkoły. Wyrzucili mnie w drugiej klasie liceum, ale pierwszy raz wzięłam prochy jako jedenasto-, może dwunastolatka. Mojej mamy prawie w ogóle nie było w domu. Harowała na dwa etaty, a po pracy chodziła zwykle do baru, więc byłyśmy z siostrą zdane tylko na siebie. Jackie jest cztery lata starsza ode mnie. Miała swój pokój w garażu i cały czas odwiedzali ją znajomi i jej ówczesni chłopacy. Palili zioło i papierosy, pili alkohol i słuchali muzyki. Czasami do nich zaglądałam, ale tylko żeby popatrzeć. Sama nigdy nie sięgałam po używki. Jackie od nich nie stroniła. Część jej przyjaciół była dla mnie bardzo miła, szczególnie jeden chłopak. Nazywał się Ronnie. Pewnego razu, kiedy bawili się w garażu, a ja siedziałam w kącie obok kosza na śmieci, podszedł do mnie i zapytał, jak się czuję i czy paliłam kiedyś trawkę. Odpowiedziałam, że tak, chociaż to nie była prawda. Nie chciałam jednak wyjść na naiwnego dzieciaka.

Kiedy to słyszę, uśmiecham się w myślach, ponieważ sama jako dziecko spędzałam dużo czasu w gronie starszego ode mnie towarzystwa i często opowiadałam o swoich rzekomych przygodach, które tak naprawdę widziałam w telewizyjnych programach dla nastolatków.

– Tak więc podał mi skręta i powiedział, żebym pokazała, jak to się robi. Zaciągnęłam się, ale za mocno, ponieważ wydawało mi się, że zioło pali się tak samo jak papierosy, a z tymi miałam już styczność. Zaczęłam kaszleć i czułam, że zaraz się porzygam, więc wybiegłam przed dom i puściłam pawia. Ronnie wyszedł za mną i pogłaskał mnie po plecach. Oznajmił, że dobrze się spisałam i mogę siedzieć razem z nimi.

Jenni spogląda mi prosto w oczy, a na jej twarzy pojawia się smutny, nostalgiczny uśmiech.

– Nie wiem dlaczego, ale bardzo dobrze pamiętam tamten wieczór, chociaż późniejsze wydarzenia zlewają się w mojej głowie w jedną mglistą całość. Od tamtej pory regularnie z nimi przesiadywałam i zaczęłam codziennie palić trawkę. Na początku trochę się bałam, bo zdawałam sobie sprawę, że narkotyki są niebezpieczne. Koledzy wyjaśnili jednak, że to całkowicie naturalna substancja produkowana przez rośliny i nic mi nie grozi. Tylko syntetyczne prochy są szkodliwe dla zdrowia. Byli przekonujący i wydawało się, że wszystko, co robią, jest w porządku. Ronnie zawsze siadał obok mnie i głaskał mnie po plecach i nogach. Czasami czułam się niezręcznie, ponieważ był ode mnie dużo starszy, ale jednocześnie jego zainteresowanie bardzo mi schlebiało. Poza tym wiedziałam, że Jackie nie pozwoli, żeby stało mi się coś złego. Po jakimś czasie Ronnie zaczął przynosić heroinę. Powtarzali te same argumenty: to naturalny narkotyk produkowany z maku, a ziarnkami maku posypuje się przecież bajgle, więc jeśli jem bajgle, to nie powinnam mieć żadnych oporów przed braniem heroiny. – Jenni pogardliwie prychnęła i kręci głową. –

Trudno w to uwierzyć, ale naprawdę sądziłam, że bajgle i hera to w zasadzie to samo.

Jenni opowiada dalej swoją historię. Słucham o tym, jak Ronnie ścisnął jej rękę gumką recepturką, ponieważ pasek, z którego sam korzystał, był za gruby jak na jej szczupłe przeguby nastolatki. Tak jak wielu innych pacjentów, była uzależniona nie tylko od narkotyków, lecz także od swojego dealera, czyli w tym wypadku od Ronniego. Z czasem Ronnie zaczął domagać się czegoś w zamian. Jenni zdążyła tak bardzo zobojętnieć, że mówi o tym, co się stało, jak gdyby odczytywała na głos listę zakupów. Pozwalała się gwałcić, chociaż dla niej słowo „gwałt” straciło jakiegokolwiek znaczenie. Czasami litowała się nad nią Jackie i szła uprawiać seks z Ronniem zamiast swojej dwunastoletniej siostry.

– Powoli kończy nam się czas – oznajmiam. – Musimy przerwać, ale chciałam ci podziękować za szczerość i odwagę, z jaką o wszystkim dzisiaj opowiedziałaś. Myślę, że powinnaś dołączyć do specjalnej grupy dla kobiet, ofiar przemocy seksualnej, które wspólnie pracują nad tym, jak sobie radzić z traumatyczną przeszłością – mówię, a Jenni radośnie przytakuje.

Kiedy zbiera się do wyjścia, patrzę na strupy pokrywające jej głowę i widzę, że w niektórych miejscach ma wyrwane włosy. Przypominam sobie również o ponakłuwanych ramionach. Dzięki Bogu, alkohol nie zostawia

podobnych śladów. Wyobrażam sobie chwilę, w której skulona w kącie dostaje od Ronniego heroinę, a on domaga się od niej zapłaty. Myślę o Lucasie i zastanawiam się, czy ja również skończę z wyrwanymi włosami.

Richard wciąż narzeka na Devona, jego kurtkę i porozrzucane konfetti. Ma na tym punkcie obsesję i najwyraźniej nie zamierza odpuścić. Przez pół dnia wiercił mi dziurę w brzuchu, próbując mnie przekonać, że coś z tym trzeba zrobić. Nie byliśmy umówieni na sesję, ale kilka razy pukał do moich drzwi, oczekując, że zajmę się tą sprawą. Uznałam, że muszę pogadać z Shirley, i właśnie idę do jej gabinetu. Shirley jest terapeutką Devona, więc wie o nim coś więcej.

– O co chodzi z Devonem i tą jego kurtką? Mam pacjenta, którego strasznie to wkurza. Nie pytaj, dlaczego.

– Jaką kurtką? – pyta Shirley, cały czas jedząc sałatkę owocową plastikową łyżeczką.

– Kurczę, Shirley! Mówię o skórzanej katanie motocyklisty, którą Devon nosi swiatek czy piątek, lato czy zima. Nie mów, że tego nie zauważyłaś. On chyba w ogóle jej nie zdejmuje. A konfetti? Za każdym razem, gdy wychodzi ode mnie z zajęć, zostawia za sobą jakieś brązowe paprochy. To również umknęło twojej uwadze? – Patrzę na jej krzesło i widzę, że jest całe pokryte drobnymi kawałkami papieru albo farby.

– Aha, chodzi o gównokurtkę...

– Gówno co? – Nigdy nie słyszałam, żeby Shirley używała takich słów. Poczulałam się tak, jakbym zobaczyła własną babcie pijącą whisky albo palącą skręta. O co tutaj chodzi? – Shirley!

– To środek odstraszaający.

– Odstraszaający co? Albo kogo?

– Ludzi. Gównokurtka ma odstraszać ludzi. Devon nauczył się tego w czasach, gdy był bezdomny. Spał na ulicy i bardzo często zdarzało się, że ktoś go dręczył. Musiał znaleźć jakiś sposób na przetrwanie, więc wymazał odchodami tył swojej kurtki. Smród miał zniechęcać potencjalnych agresorów. – Shirley opowiada mi o tym z taką nonszalancją w głosie, jak gdyby podawała przepis na świątecznego indyka. Wydaje się zupełnie niewzruszona. To, co słyszę, wydaje się jednocześnie obrzydliwe i fascynujące.

– Mój Boże! Przykleił sobie do kurtki kawałki gówna? Chcesz mi powiedzieć, że porozrzucane po całym oddziale konfetti to tak naprawdę

wyschnięte fekalia? Jezu Chryste!

Trzaskam drzwiami i co sił w nogach biegnę do łazienki, po czym odkręcam kran i szoruję ręce. Jestem naprawdę zszokowana i z trudem panuję nad złością. Jak to możliwe, że pracownicy dotykają w różnych miejscach resztek ludzkiego kału, a Shirley nawet nie pomyśli, żeby nas o tym poinformować? Nic dziwnego, że Richardowi coś się nie podobało w tej pieprzonej kurtce!

Siadam za biurkiem i zaczynam pisać trzy e-maile. Jeden do Rachel, w którym domagam się skonfiskowania feralnej części garderoby, ponieważ stanowi ona zagrożenie sanitarne. Drugi do szefa personelu technicznego z prośbą o gruntowne wyczyszczenie wszystkich pomieszczeń, w których odbywają się zajęcia grupowe. Ostatni adresuję do swoich kolegów i koleżanek. Zawiadamiam ich, że wszechobecne konfetti to w gruncie rzeczy kawałki zaschniętego gówna. Przypominam im też – na wypadek, gdyby o tym zapomnieli – że pracują w psychiatryku i otacza ich szaleństwo. Sama staram się nie postradać zmysłów i cieszę się, że istnieje jednak jakaś granica oddzielająca mnie od moich pacjentów. W dni takie jak ten nabieram przekonania, że mimo wszystko potrafię znaleźć powody, dla których to ja mam klucze, a oni nie.

– Dzień dobry, Rachel – witam się radosnym głosem, po czym wmaszerowuję do jej biura i siadam na krześle dla pacjentów.

– Dzień dobry, Sam. Widzę, że jesteś dzisiaj pełna dobrej energii – mówi i zaczyna porządkować dokumenty w jednym kącie biurka, żebym mogła położyć tam swoje papiery. Zaraz zaczniemy naszą wspólną sesję superwizji. Rachel rzadko spotyka się w tym celu ze swoimi pracownikami, ponieważ brakuje jej czasu i zakłada, że każdy jest sobie w stanie sam poradzić. Ostatnio do szpitala trafiło wielu nowych pacjentów, a skomplikowana procedura przyjęć sprawia, że Rachel ma pełne ręce roboty. Uznała więc, że musi zrezygnować z tradycyjnej superwizji, i zachęciła nas do kontaktu, jeśli mamy jakieś pytania lub problemy.

– Jak zwykle tryskam optymizmem – kłamię, starając się zapanować nad dręczącą mnie zgagą. Zakładam okulary do czytania i wyciągam teczkę z nie do końca uzupełnioną dokumentacją Richarda. – Uznałam, że skoro mamy dzisiaj mało czasu, to od razu przejdę do sedna. – Rachel kiwa głową, pije łyk kawy i obraca się na krześle w moją stronę. Zakłada nogę na nogę i wykonuje gest oznaczający, że mogę zaczynać. – Spotykam się z Richardem McHugh w każdy wtorek o jedenastej. Krążyło wiele plotek, że jest rzekomo niechętny do współpracy, ale regularnie bierze udział w sesjach i zawsze przychodzi na czas. Odnoszę wrażenie, że lubi porządek i ustalony harmonogram. Jest jednak pewien problem: Richard stawia opór podczas zajęć. Nie ma najmniejszej ochoty uzupełniać ze mną formularzy, a kiedy próbuję wyciągnąć z niego jakieś informacje, robi się podejrzliwy i chowa się w swojej skorupie.

– Czy w jego towarzystwie czujesz się bezpiecznie? – pyta Rachel.

– Tak. Nie próbuje mnie zastraszyć i nie zachowuje się agresywnie. Jest po prostu wycofany i małomówny. Nie wyobrażam sobie jednak, żeby mógł zrobić mi krzywdę. Wydaje mi się, że mrukliwość to jego strategia obronna. Nie lubi opowiadać o swojej przeszłości.

– Czy próbowałaś ustalić, dlaczego był w więzieniu?

– Nie. Jego papiery budzą we mnie wiele wątpliwości. Na przykład sekcja dotycząca historii leczenia jest na dobrą sprawę pusta. Znalazłam nazwy ośrodków resocjalizacyjnych, w których przebywał, ale brakuje danych kontaktowych i numerów telefonów. Żadnych namiarów na ludzi,

którzy się nim zajmowali. Tak samo jest z zakładami penitencjarnymi: mam adresy i daty, ale nic więcej. To wszystko jest bardzo niejasne. W jego teczce są też jakieś kserokopie z celowo zaczerpniętymi fragmentami tekstu. Nie wiem, jakie postawiono Richardowi zarzuty, więc trudno ustalić, dlaczego wylądował w więzieniu. Sam nie puścił na ten temat pary z ust.

Rachel kiwa głową.

– Kiedy go do nas przyjmowałam, miałam dokładnie takie same spostrzeżenia. Dostaliśmy bardzo mało informacji na jego temat, ale jednocześnie Richard chciał być leczony właśnie u nas. To trochę dziwne. Podczas rozmowy z nim prawie niczego się nie dowiedziałam, ale był grzeczny, choć może trochę za bardzo oficjalny. Dla mnie ten człowiek to wielki znak zapytania. Skontaktowałam się z ludźmi pracującymi w ośrodkach resocjalizacyjnych, na przykład Revelations and Horizons House, ale nic o nim nie wiedzieli. W takich miejscach jest ogromna rotacja pracowników i panuje straszny bałagan. – Rachel sięga za biurko i zaczyna grzebać w różnych pudłach z papierami. Najwyraźniej czegoś szuka.

– Miałaś już wcześniej podobnych pacjentów? Nie do końca wiem, jak powinnam postępować. Sama powiedziałaś, że Richard to wielki znak zapytania. Mam problem z przydzieleniem go do właściwych grup i nie jestem w stanie uzyskać od niego potrzebnych informacji. – Rachel uwielbia, kiedy proszę ją o radę.

– Szukam oryginalnego dokumentu, który dostałam od Richarda, gdy przyjmowałam go do szpitala. Dałam mu pustą kartkę, ponieważ odmówił wypełniania formularzy. Poprosiłam, żeby sam określił cele leczenia i tak dalej. Pamiętam, że coś nabazgrał, ale nie jestem sobie w stanie przypomnieć, co konkretnie. – Rachel jeździ krzesłem po całym gabinecie, otwiera szuflady i grzebie w ogromnej szafie, w której panuje wyjątkowy nieporządek.

– Na razie zamierzam kontynuować cotygodniowe sesje indywidualne – uspokajam swoją szefową. – Chcę też, żeby Richard brał udział w dobrze prowadzonych, stymulujących intelektualnie zajęciach grupowych. Może z czasem poczuje się swobodniej w moim towarzystwie i wyjdzie wreszcie ze swojej skorupy. – Rachel chyba w ogóle mnie nie słucha. Jest całkowicie pochłonięta poszukiwaniami.

– Znalazłam! Bingo! – mówi i wyciąga z notatnika kartkę papieru z pomiętymi rogami. – Mam nadzieję, że na coś ci się przyda.

Biorę od niej dokument i patrzę na odręczne pismo Richarda. Używał

tępego ołówka i stawiane przez niego litery są nierówne i rozmazane. Na początku nagłówek: „Cele w Tyflos”. A potem wypunktowana lista: „Lepiej się poczuć. Przebaczyć. Wrócić do życia”. W wielu miejscach na kartce pojawia się nazwa naszego ośrodka. Richard robił to celowo, ponieważ najwyraźniej chciał trafić właśnie tutaj. Jest jeszcze kilka innych notatek, ale tekst się rozmazał i niewiele da się odczytać. Pod nagłówkiem „Terapia” udaje mi się odcyfrować dwa interesujące słowa: „otwarcie” i „Samantha”.

14 LISTOPADA, 12.34

Na zewnątrz pada śnieg. Siedzę na rogu biurka i wyglądam przez okno. Mimo zmiany pogody na rusztowaniu wciąż pracują robotnicy. Ostatnio było naprawdę zimno, ale kiedy spadł śnieg, wydaje się, że zrobiło się nieco cieplej. Świat przykryty białym całunem sprawia wrażenie przytulnego i bezpiecznego. Grube i mokre płatki przyklejają się do zaparkowanych na ulicy samochodów. Niestety, w mieście można się cieszyć tym bajkowym krajobrazem tylko przez kilka godzin. Potem zjawiają się pługi i idealnie biały puch zmienia się w brudną szarą breję, która czasem sięga aż do pasa. Jedyne, za czym tęsknię z moich rodzinnych stron, to piękny śnieg utrzymujący się w nienaruszonym stanie przez wiele tygodni.

Przez lekko uchylone drzwi słyszę szmer rozmów prowadzonych przez pacjentów. Po drugiej stronie korytarza znajduje się sala komputerowa, popularne miejsce, w którym można skorzystać z internetu, włamać się na strony pornograficzne albo po prostu pogadać ze znajomymi. W środku stoją dwie rozpadające się kanapy i przynajmniej na jednej z nich zawsze ktoś przysypia.

W pewnym momencie dobiega do mnie szept tuż zza drzwi. Pewnie ktoś opiera się o ścianę pod salą komputerową. To nieznany mi głos męczyzny mówiącego z brooklińskim akcentem. Facet lekko sepleni, jakby brakowało mu kilku zębów. Ma donośny, szorstki i nieprzyjemny głos, ale stara się mamrotać konspiracyjnym tonem. Przysuwam się do szczeliny w drzwiach i zaczynam nasłuchiwać, tak żeby nikt mnie nie zobaczył.

– To kobiety... To przez kobiety lądujemy w takich miejscach. Nieważne, jak bardzo się starasz, zawsze będą niezadowolone.

– Jesteś tutaj przez jakąś babę? – odzywa się inny męski głos, którego też nie jestem w stanie rozpoznać.

– Tak. To robota mojej eks.

– Co takiego zrobiła? – Nie wiem, kto opowiada tę historię, ale na pewno potrafi przyciągnąć uwagę rozmówcy.

– Najpierw ze mną zerwała, a potem zaczęła się pieprzyć z moim najlepszym przyjacielem. Tak właśnie było. Wiesz, że to bardzo nie w porządku, prawda? Nie miałem innego wyboru. Musiałem ją odzyskać. Nikt nie będzie mną pomiatał.

– I co zrobiłeś? W jaki sposób ją odzyskałeś?

Mężczyzna jeszcze bardziej zniża głos i syczy z nienawiścią:

– Zabiłem sukę.

– Zabiłeś ją? – dyszy ze zdziwienia jego kolega.

– Kurczę, ciszej! Stul pysk albo nic więcej ci nie powiem. Musisz się tak wydzierać?

– Jak to się stało? – pyta szeptem drugi mężczyzna. Cały czas ich podsłuchuję, ale na razie nie jestem zaniepokojona. Barwne opowieści o zbrodniach to dla mnie nic nowego. Niektórzy traktują szpital jak więzienie i uważają, że jeśli nastraszą innych pacjentów, sami będą bezpieczniejsi. Wymyślają więc historie o rzekomych morderstwach.

– Dobra, opowiem ci, co zrobiłem. Ta zdzira miała dom na Bronxie i często wypuszczała psa do ogrodu, żeby załatwił tam swoje potrzeby. Pewnego wieczoru zakradłem się tam i czekałem, aż wypuści swojego kundla, a potem przelałem przez płot i go złapałem.

Z sali komputerowej dobiega szuranie krzesel, a potem słychać kroki. Najwyraźniej historia przyciąga kolejnych słuchaczy.

– Wziąłem ze sobą puszkę gazu do zapalniczek i wylałem zawartość na tego starego, kudłatego sierściucha. Jest tak głupi, że zaczął to zlizywać. Chyba nawet mu smakowało. Przestał dopiero, kiedy go podpałem.

– Chyba żartujesz! Podpałeś go?

– Właśnie tak! Zaczął piszczeć i skowycić, więc złapałem go za fraki i wrzuciłem przez okno do domu tej suki. Wpadając do środka, wybił szybę. Po chwili zapłonęły zasłony. Słyszałem skamlenie psa, a potem wrzask Alishy. Starła się ugasić swojego pupila, ale na niewiele się to zdało. Ogień robił się coraz większy – opowiada coraz donośniejszym głosem, a ja zaczynam zaciskać pięści.

– „Dobra”, powiedziała. „Pieprzyć psa. Muszę ratować własną skórę”. Wybiegła przez tylne drzwi, a ja już na nią czekałem. Było ciemno, więc niczego się nie spodziewała. Wpadła prosto w moje ramiona. Schwyciłem ją mocno i obróciłem w stronę domu, żeby patrzyła, jak wszystko staje w płomieniach. Zatkąłem jej usta, bo nie chciałem słuchać jej wrzasków. Widzicie? Mniej więcej tak. – Wyobrażam sobie, jak zgromadzona publika wyciąga szyje, żeby zobaczyć to, co pokazuje mężczyzna. – Ta zdzira zaczęła mnie gryźć w rękę, ale dostała w ryj i przestała. Dom palił się bardzo szybko i zrobiło się naprawdę gorąco. W gęstym dymie nic nie było widać.

Zaciągnąłem ją w głąb ogrodu, w ciemną alejkę za domem. Wierzgała i próbowała się wyrwać, ale wiedziała, że nic nie wskóra. W pewnym momencie dała za wygraną i tylko patrzyła, jak wszystko płonie. Panował coraz większy hałas i kiedy przyjechały wozy strażackie, nic nie było słychać, nawet krzyków. Zdjąłem więc rękę z jej twarzy i powiedziałem: „To nagroda za to, że mnie wychujałaś”.

– I nikt cię nie widział? Nie złapali cię?

– Jasne, że nie. Nie mieli pojęcia, że tam jestem. Ta dziwka się rozbeczała i zaczęła mnie błagać o litość. Uznałem, że tego już za wiele. Złapałem ją za szyję i mocno ścisnąłem. To trwało dosłownie chwilę.

Słyszę te przepełnione pogardą dla kobiet brednie i czuję, jak na mojej twarzy pojawia się grymas wściekłości. Jestem przytłoczona reakcją pacjentów: ta obrzydliwa historia opowiedana przez socjopatę wzbudza w nich podziw i nieskrywany zachwyt. Chyba nigdy tego nie zrozumiem. Pracuję w tym zawodzie od wielu lat i nasłuchiwałam się już za dużo podobnych obrzydliwości. Mam wrażenie, że wnikają mi do umysłu i mają zły wpływ na moje zdrowie psychiczne. Na korytarzu zbiera się coraz większy tłum i niektórzy z zebranych relacjonują spóźnialskim to, co przed chwilą usłyszeli. W pewnym momencie zaczynają przybijać sobie piątki i wtedy ktoś chrapliwie dyszy, jakby wpadał w panikę. Po chwili rozlega się znajomy głos. To Tyler.

– Podпалиłeś psa tej kobiety, a potem wrzuciłeś go do domu, żeby wzniecić pożar? – mówi, najwyraźniej przerażony tym, co usłyszał.

– Owszem. I co z tego?

– I co z tego? Zamordowałeś ją dlatego, że cię zdradziła? – pyta coraz bardziej piskliwym głosem.

– Masz z tym jakiś problem, kolego?

– Tak, mam z tym pieprzony problem.

– Witam panów! – Wychodzę z gabinetu, udając, że niczego nie słyszałam. – Co się tutaj dzieje? Jak się czujecie? – W korytarzu panuje napięta atmosfera i kilku pacjentów zdążyło czmychnąć do sali komputerowej i schronić się na kanapach. Pozostali wpatrują się w Tylera i w mężczyznę, który opowiedział makabryczną historię.

– Dzień dobry. Nazywam się doktor James. Chyba się jeszcze nie poznaliśmy. – Wyciągam rękę do gawędziarza, który jednak mnie ignoruje i cały czas gapi się na Tylera. – Jak masz na imię?

– Floyd – odpowiada, ani na chwilę nie spuszczaając wzroku ze swojego adwersarza. Jest od niego trzydzieści centymetrów niższy, ale kilkanaście kilogramów cięższy. Widzę, że Tyler aż się trzęsie ze złości.

– Wydaje mi się, że nie powinno pani tutaj być.

– Naprawdę? – pytam radosnym tonem, jakby nieświadoma tego, co się dzieje. – Niby dlaczego?

– Ten facet nie szanuje kobiet. – Tyler przestępuje z nogi na nogę i zaciska pięści. Floyd się nie rusza, tylko skupia wzrok na Tylerze, czekając na jego reakcję.

– Wiesz, że za kilka miesięcy upływa termin zgłaszania do gry miotaczy i chwytaczy? – Rozmowa o sporcie to mój as w rękawie, dzięki któremu być może uda mi się rozładować napięcie bez konieczności wzywania ochrony. –

Floyd, ty też interesujesz się baseballlem? – pytam i robię krok do przodu, żeby stanąć między nimi. W powietrzu czuję zapach potu. Widzę, że obaj mężczyźni z trudem opanowują wściekłość. – Razem z Tylerem kibicujemy Jankesom. – Jestem nieco wyższa od Floyda, więc kiedy się do niego przysuwam, nie widzi Tylera i chcąc nie chcąc, musi nawiązać ze mną kontakt wzrokowy i odpowiedzieć na moje pytanie.

– Tak, czasem lubię obejrzeć dobry mecz.

– Ulubiona rozrywka Amerykanów. Piękna gra. Dobrze, moi panowie...

– zmieniam temat i klaszczę w dłonie. – Gdzie teraz powinniście być? Jestem pewna, że moglibyśmy zająć się czymś bardziej produktywnym niż sterczenie na korytarzu, prawda?

Nikt mi nie odpowiada, ale kilku pacjentów obserwujących nas z sali komputerowej wstaje z kanap i zbiera się do wyjścia. Tyler trochę się cofnął, ale nadal czuję na plecach jego oddech.

– Nie? Dobrze, róbcie, co chcecie, ale ja mam parę spraw do załatwienia. Tyler, czy mógłbyś odprowadzić mnie na następne zajęcia? – Wiem, że Tyler to dżentelmen i na pewno nie odmówi kobiecie, która zwraca się do niego o pomoc.

– Dobrze, nie ma sprawy. – Słyszę, jak zgrzyta zębami, po czym staje przede mną i powoli rusza wzdłuż korytarza. Zsuwam okulary na czubek nosa i obrzucam Floyda gniewnym spojrzeniem.

W drodze do sali znowu zagaduję Tylera o baseball. Jest całkowicie rozkojarzony i najwyraźniej nie może zapomnieć o tym, co się przed chwilą stało. Trzęsie mu się głos i nie potrafi zapanować nad jękaniem. Kiedy

docieramy na miejsce, proszę, żeby wszedł do środka razem ze mną.

– Tyler, kiedy słyszysz taką historię i postanawiasz zareagować, tylko karmisz bestię. Ten koleś opowiadał te brednie, żeby nas sprowokować. Nie powinniśmy dawać mu satysfakcji. Jeśli coś wyprowadza cię z równowagi, powinieneś w spokoju się oddalić. Nie wolno ci się angażować. Następnym razem zwróć się o pomoc do mnie albo do kogoś z personelu, dobrze?

– Kiedy usłyszałem, że ten palant podpalił psa i zamordował niewinną kobietę, wpadłem w furję.

– Ja też, Tyler, ja też. Nie możemy jednak pozwolić, żeby to nas dotknęło. Musimy ignorować takie rzeczy.

– Uważasz, że to brednie? Wymyślił tę historyjkę, żeby nastraszyć innych?

– Całkiem możliwe, że to wytwór jego chorej wyobraźni. Nawet jeśli nie popełnił tej zbrodni, to oboje wiemy, że codziennie na świecie mordowane są zwierzęta i niewinne kobiety. Nie możemy jednak z tego powodu tracić głowy i wdawać się w bójki. Jesteś tutaj, żeby o siebie zadbać, a nie martwić się o innych, prawda?

– Tak, pełna zgoda. Muszę zająć się sobą, no i nie zapominać o Jankesach. W poprzednim sezonie gra naszych miotaczy pozostawiała wiele do życzenia.

– Lepiej bym tego nie ujęła.

14 LISTOPADA, 21.21

Siedzę na kanapie u siebie w mieszkaniu i czekam, aż Lucas przyniesie jedzenie. Powinien wrócić już godzinę temu, ale ciągle go nie ma. Próbuje czytać książkę, lecz żeby zobaczyć słowa, muszę zamknąć jedno oko. Jestem głodna i trudno mi się skoncentrować. Co chwilę zerkam na telefon, żeby sprawdzić, czy Lucas coś napisał. Sama wysłałam mu pół godziny temu SMS z pytaniem, kiedy zamierza wrócić, ale nie dostałam żadnej odpowiedzi. Nie mogę się skupić i ciągle czytam tę samą stronę.

Obok mnie stoi pusty kieliszek i pusta butelka. Kiedy jestem zdenerwowana, piję o wiele za szybko. Chociaż na zewnątrz jest zimno, znacznie zimniej niż o tej porze roku w kilku ostatnich latach, ciągle raczę się schłodzonym białym winem. Rękawem bluzy starannie wycieram z blatu krople wody i idę na czubkach palców do kuchni. Wrzucam zroszoną jeszcze butelkę do kosza i otwieram następną. Lepiej, żeby Lucas nie wiedział, że podczas jego nieobecności zdążyłam opróżnić całą flaszkę. Wracając na kanapę, słyszę wibrację telefonu i potykam się o nogę stolika kawowego.

To Lucas. „Otwórz drzwi, bo zapomniałem klucza”.

Od razu mu odpisuję.

„Musisz nacisnąć guzik, inaczej nie zadziała”.

Po chwili byczy wideofon. Lucas dzwoni długo i uporczywie: mam wrażenie, jak gdyby na mnie krzyczał. Wpuszczam go na klatkę schodową i na małym ekraniku widzę, że jest w złym humorze. Wali w przycisk wzywający windę. Mieszkam na trzecim piętrze, więc zwykle idzie po schodach. Wybiera windę tylko wtedy, gdy jest wkurzony lub pijany, albo gdy niesie coś ciężkiego. Dzisiaj w grę wchodzi wszystkie trzy możliwości naraz. Lekko uchylam drzwi wejściowe i wracam na kanapę. Nalewam sobie mały kieliszek wina i czekam. Przyciągam kolana do klatki piersiowej i opieram się o poduszki.

Lucas wpada do przedpokoju i rzuca zakupy na podłogę, po czym wpycha je nogą do kuchni i nerwowym gestem ściąga płaszcz.

– Mogłabyś mi chociaż pomóc... – rzuca naburmuszonym głosem. Wstaję z kanapy i daję mu całusa w policzek na powitanie. Podnoszę torbę z zakupami i stawiam ją na kuchennym blacie. Niestety, jedzenie zdążyło już

wystygnąć, a Lucas jest bez wątpienia pod wpływem narkotyków. Potargane włosy przykleiły mu się do szyi, a kołnierz koszuli jest mokry od potu. Co chwilę zaciska szczęki, a w kącikach ust ma kropelki gęstej, białej śliny. Kokaina. Lucas nic więcej nie mówi, tylko idzie do toalety, żeby doprowadzić się do ładu. Wieszając jego płaszcz na oparciu barowego stołka, sięgam do kieszeni, żeby sprawdzić, co tam schował.

Dwie paczki papierosów: jedna pełna, druga w połowie pusta. Czarna jednorazowa zapalniczka ze spodem zniszczonym od otwierania butelek. Zmięty paragon z knajpy First Wok z dzisiejszą datą. Transakcji dokonano dwie godziny temu. Wkładam wszystko z powrotem i wsuwam rękę do górnej kieszeni. Natrafiam na zrolowany banknot pięćdziesięciodolarowy: z jednej strony wilgotny, a z drugiej pokryty białym proszkiem. Do tego pusta foliowa torebka, w sam raz na jeden gram koki. Czuję uderzenie adrenaliny i chowam do płaszcza to, co znalazłam.

Siadam na kanapie i wypijam duży łyk wina. Zapalam papierosa i czekam, aż mój chłopak spuści wodę. W ten sposób Lucas stara się zwykle zagłuszyć odgłosy zażywania kokainy. Najprawdopodobniej ma przy sobie jeszcze jedną torebkę. Mieszkam w starym budynku ze słabo funkcjonującą kanalizacją. Kiedyś tak długo wciągał koks i tyle razy spuszczał wodę, że aż zalał łazienkę. Z jakiegoś powodu ciągle nie jestem na sto procent pewna, co on tam robi. Wreszcie słyszę wyczekiwany szum i w drzwiach pojawia się Lucas.

– Uff! Przepraszam, że tyle na mnie czekałaś – mówi i sadowi się obok mnie na kanapie. – To był długi dzień, a na sam koniec musiałem taszczyć to chińskie żarcie, nie mogłem znaleźć klucza i zacząłem się tym wszystkim irytować. A co u ciebie? – Odwraca się i całuje mnie w usta. – Jak minął dzień?

Czuję smak narkotyku i od razu drętwieje mi dolna warga, więc szybko się wycieram.

– U mnie w porządku. A jak tam twoja kokaina?

– Ojej, Sam, nie mam ochoty wracać do tego tematu. – Przewraca oczami i nerwowo gestykuje. – Miałem ciężki dzień i potrzebowałem czegoś na wzmocnienie. Brian miał trochę towaru i kiedy wychodziliśmy z biura, podarował mi jedną torebkę. Pracowaliśmy nad bardzo ważną fuzją i w ten sposób chcieliśmy uczcić nasz sukces. Przepraszam, że o niczym ci nie powiedziałem, ale bałem się, że zaczniesz robić z igły widły. – Bierze do ręki moje wino i upija spory łyk, po czym pochyła się nad stolikiem i wbija

wzrok w etykietę na butelce. W ogóle na mnie nie patrzy, a ja milczę. Po chwili wstaję i idę do kuchni, żeby przynieść mu kieliszek. Zastryk adrenaliny sprawił, że prawie zupełnie wytrzeźwiałam i czuję się, jakbym w ogóle nic nie piła.

Kiedy wracam do pokoju, Lucas ciągle patrzy na etykietę. Nalewam mu wino, po czym uzupełniam swój kieliszek i rozsiadam się wygodnie, nie odzywając się jednak ani słowem. Wiem, że po kokainie nie będzie w stanie długo zachować milczenia. Czekam więc cierpliwie, zdając sobie sprawę, że i tak wróci do tematu.

– Wcale nie chciałem cię okłamywać – oświadcza nagle błagalnym tonem. – Tyle razy rozmawialiśmy już o kokainie i obiecałem poprawę, jednak w mojej branży takie zachowanie to norma.

– Zauważyłeś, że lata osiemdziesiąte skończyły się już dawno temu?

– Być może, ale w świecie finansów traktujemy ten okres z wielkim poważaniem. Marzymy o powrocie do tamtej epoki i zdarza nam się zachowywać tak, jak gdyby te czasy już wróciły. To chyba nie jest żaden problem i nie powinnaś tego brać do siebie.

– Jak mam nie brać do siebie tego, że mnie okłamujesz? – Oboje zapaliliśmy papierosy i unoszący się w powietrzu dym wygląda jak szara zorza polarna.

– To prawda, nie powinienem cię okłamywać. – Odwraca się do mnie i ściska moje kolano. Między palcami cały czas trzyma papierosa, a w drugiej ręce kieliszek, z którego co chwilę popija, głośno siorbiąc. Między łykami spogląda na mnie dzikim wzrokiem i zaczyna głaskać mnie po udzie.

– Dlaczego tak późno wróciłeś do domu? – pytam.

– Ponieważ razem z Brianem zażywałem narkotyki. Ile razy mam ci to tłumaczyć? Nie musisz mnie ciągle strofować. Już przyznałem się do winy. Nic nie wskórasz, zachowując się jak prokurator. – Zabiera rękę z mojej nogi, brudząc mi spodnie popiołem.

Przeproszał mnie przez około trzydzieści sekund i wtedy miałam nad nim przewagę, ale karta atutowa szybko wypadła mi z ręki i leży teraz pod kanapą. Ze wszystkich kłamstw i grzechów Lucasa najzacieklej walczę z kokainą. *Modlitwa o pogodę ducha* nauczyła mnie, że są rzeczy, których nie mogę zmienić. Jednak z jakiegoś powodu uważam, że walka z narkotykami ma sens. Jestem zwolenniczką metody małych kroków

i staram się cierpliwie zmieniać mojego chłopaka na lepsze. Pewnego dnia będę wystarczająco silna, żeby powstrzymać Lucasa przed wyrządzeniem nam obojgu krzywdy.

Teraz jednak mój chłopak jest wściekły, że przyłapałam go na gorącym uczynku. Staram się wymyślić jakiś dobry sposób na załagodzenie sytuacji, ale on zrywa się nagle na równe nogi i wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać z kanapy.

– Może byśmy coś zjedli? Przyniosłem dla nas pyszne chińskie jedzenie. Przekąsimy coś i zapomnimy o tym, co się stało, dobrze? – Ściska mnie mocno za nadgarstek i ciągnie do kuchni. Wyjmuje z szafki nad zlewem dwa talerze i z hukiem stawia je na blacie, po czym sięga do torby z logo First Wok i wyciąga dwa opakowania z białego kartonu. W pewnym momencie przestaje mnie trzymać za nadgarstek, który bezwładnie opada wzdłuż mojego boku. Lucas nakłada na talerze lo mein i kurczaka w sezamie. Z każdym ruchem robi się coraz bardziej zdenerwowany. Widzę to i zaczynam wycofywać się z kuchni.

– Dokąd się, kurwa, wybierasz? Powiedziałaś, żebym wpadł do ciebie i przyniósł obiad, więc jestem i przygotowuję nam coś do jedzenia. Nie wymykaj się teraz chyłkiem i nie udawaj, że nie popsulaś wieczoru dumnym śledztwem i niepotrzebnymi oskarżeniami. Trzymaj... – Wpycha mi do rąk talerz z zimną chińszczyzną. – To dla ciebie. Przecież tego chciałaś, prawda? – Zostawia swoje jedzenie na blacie i rusza w moją stronę z pochyloną głową i ściągniętymi z wściekłości brwiami. Ściskam kurczowo talerz i robię krok do tyłu.

– Dziękuję, że przyniosłeś jedzenie, ale to nie ja popsulałam dzisiejszy wieczór. To ty spóźniłeś się kilka godzin i na dodatek przyszedłeś naćpany.

– A więc to moja wina? – warczy.

– Słuchaj, wcale nie musimy spisywać tego wieczoru na straty... – mówię błagalnym tonem, ale Lucas wyrywa mi talerz i ciska go na podłogę. Wokół nas rozbryzgują się kawałki porcelany, kluski i kurczak w sezamie. Mój chłopak toruje sobie drogę, odgarniając butem kleistą breję, i robi krok do przodu. Opieram zaciśnięte pięści na jego klatce piersiowej i staram się go odepchnąć, ale jest zbyt duży i zbyt ciężki. Staje tuż przede mną, dysząc z wściekłości.

– Uderz mnie – szepcze spokojnie, ale jego twarz wykrzywia złośliwy uśmiech. – Uderz mnie, bo wszystko spierdoliłem. Popsulałam wieczór, prawda? Więc powinienem za to oberwać. – Zaczyna wrzeszczeć, po czym

szturcha mnie wyprężoną klatką piersiową i wpadam plecami na ścianę. – No, dalej! Uderz mnie! – Wskazuje na swoją szczękę i jeszcze raz mnie popycha. Łąduję wciśnięta między jego ciało a mur. Nie mam miejsca, żeby się wyślizgnąć. Lewą ręką łapię za uchwyt szafki i staram się ją otworzyć, ale Lucas jest szybszy. Kładzie swoją wielką łapę nad moją głową, uniemożliwiając mi jakikolwiek ruch.

– Uderz mnie – powtarza, chwytając mnie drugą ręką za gardło. – No, dawaj!

16 LISTOPADA, 21.14

Siedzę w barze Nicka i rozmawiam ze starym znajomym. Chociaż już wcześniej słyszałam, że jest czarujący i seksowny, dopiero teraz to zauważyłam. Stoi naprzeciwko mnie i flirtujemy. Za moimi plecami, obok stanowiska DJ-a, tłoczy się reszta towarzystwa z naszej paczki. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że ten facet ma tak piękne oczy. Patrzy na mnie, a ja czuję łaskotanie w żołądku i mam wrażenie, że ziemia ucieka mi spod stóp. Ten koleś dosłownie pożera mnie wzrokiem, a ja wcale nie chcę, żeby przestał.

To znany podrywacz i wszyscy o tym wiedzą. Jeszcze wczoraj patrzyłam, jak kokietuje jakąś gówniarę, która ledwie odrosła od ziemi. Od dawna ma reputację podrywacza, który nie jest szczególnie wybredny. Wiele razy widziałam, jak kobiety tracą dla niego głowę. Byłam tym rozbawiona, jednak miałam nadzieję, że pamiętają o zabezpieczeniu. Jeszcze śmieszniejsze były młode dziewczyny, które wpadały w rozpacz, gdy zostawiał je po wspólnie spędzonej nocy. Zawsze uważałam go za sympatycznego gościa i nic więcej, ale teraz jest inaczej. Wydaje mi się, że patrzę na mężczyznę, który byłby w stanie kompletnie mną zawładnąć i wyrzucić mój świat do góry nogami, gdyby tylko zechciał poświęcić mi choć odrobinę uwagi.

Ktoś wyjął telefon i zaczął robić zdjęcia. To niewątpliwie problem, ponieważ wszyscy znają Lucasa i wiedzą, że jesteśmy parą. Zdaję sobie sprawę, że powinnam myśleć o swoim chłopaku, ale w tym momencie nie pamiętam nawet, jak ma na imię. Nie do końca uświadomionym gestem przesuwam apaszkę, żeby zakryć siniaki na szyi. Nasza paczka stoi zbita w kupę i co chwilę ktoś trzaska fotki, które na pewno wylądują na Instagramie. Wtedy moja niewierność wyjdzie na jaw, Lucas mnie zostawi, a ja znowu będę sama. Nie mogę sobie na to pozwolić.

Pozuję więc do zdjęć, uśmiecham się i udaję, że nic się nie dzieje, chociaż w środku czuję buzujący ogień, który pulsuje w moich żyłach, w moim brzuchu i w moich spodniach. Jak można się było spodziewać, obok mnie staje mój adorator, szczerzy się do aparatu i całuje mnie w policzek.

Cała grupa trzyma się naprawdę bardzo blisko siebie i od moich znajomych dzieli mnie nie więcej niż centymetr. Właśnie dlatego nikt nie zauważa, kiedy mój amant nagle mnie obejmuje i kładzie mi rękę na piersi.

Dobrze wiem, że nie powinien tego robić, ale jednocześnie bardzo mi się to podoba i nie chcę, żeby przestał. Pragnę być przez niego pieszczona. Nie miałabym nic przeciwko, gdyby zabrał mnie stąd i zaczął robić ze mną jeszcze przyjemniejsze rzeczy. A potem już nigdy mnie nie zostawił...

Jednak to wszystko błyskawicznie się kończy: nagle orientuję się, że jestem na ulicy i idę na piechotę do domu. Na pożegnanie pocałował mnie w usta, ale w tym towarzystwie prawie wszyscy tak robią, więc nawet jeśli byli jacyś świadkowie, to nie ma to żadnego znaczenia. Akurat z nim całowałam się w ten sposób po raz pierwszy i teraz moje wargi płoną z pożądania. Wracam do Lucasa, lecz mam ochotę się odwrócić i pobiec prosto w ramiona tego drugiego mężczyzny. Ale wtedy mój chłopak mnie zostawi, a ja nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę się jednak zobaczyć z tym przystojniakiem. Kiedy będzie to możliwe? Nie wiem, ale traktuję to jak cel do zrealizowania. Chcę, żeby był mój, niezależnie od wszystkiego. Ma na imię AJ i nawet nie wiem, co oznaczają te inicjały.

Siedzę z Davidem w jego gabinecie i jemy lunch, starając się odciąć od świata. David zwykle przynosi coś do pracy i kończy się na tym, że podkradam mu połowę porcji. Czasami idziemy razem na kanapki. Dzisiaj zamówiliśmy kurczaka z ryżem w stojącej na rogu budce z arabskim żarciem. Najczęściej robimy sobie przerwę w tym samym czasie co pacjenci, niezależnie od tego, czy jesteśmy akurat głodni. W ten sposób nikt nam nie przeszkadza i mamy święty spokój.

– Widziałeś Julie dziś rano na zebraniu? – pytam, grzebiąc plastikowym widelcem między zębami.

– Tak, widziałem. A czemu pytasz? Co robiła?

– Siedziała za stołem konferencyjnym i nagle wyjęła puderniczkę Chanel, żeby zrobić sobie makijaż.

– A co w tym dziwnego?

– Przecież ona pracuje w szpitalu psychiatrycznym. Dlaczego tak bardzo przejmuje się swoim wyglądem? Jest żałosna.

David wybucha śmiechem.

– Nienawidzisz jej, prawda?

– Nie, nikogo nie darzę takim uczuciem, po prostu uważam, że jest niewiarygodnie głupia i w ogóle nie pasuje do tego miejsca. Powinna pracować w domu towarowym Bloomingdale's.

– Byłaś kiedyś na jej zajęciach grupowych?

– Nie, a ty? – David rzadko obgaduje ze mną Julie, ponieważ jest dojrzałym facetem i nie zniża się do takich rzeczy. Tym większą radość sprawiają mi chwile, kiedy pozwala sobie na plotkowanie.

– Tak, byłem świadkiem, jak jeden z twoich pacjentów wybiegł jak burza z jej sesji, no wiesz, ten nowy wielki koleś.

– Richard? Poszło o buraki?

– Ha! – David otwiera usta, żeby się roześmiać. Obok mnie przelatuje ziarenko ryżu i przykleja się do okna. – Tak – potwierdza, wycierając dłonią twarz. – Julie chciała w jakiś delikatny sposób wytłumaczyć, że niektóre rodzaje żywności mogą zmieniać kolor i konsystencję moczu i kału, a wtedy on strasznie się najeżył. Niektórzy ludzie wpadają w panikę na widok

czerwonego gówna, bo myślą, że to krew. Moim zdaniem Julie usiłowała jedynie pokazać, że taki lęk może być zupełnie bezpodstawny.

– Jasne, tylko że w szpitalu w ogóle nie serwują buraków. Robi z siebie księżniczkę, a to zwykła idiotka! Mówiłam, że się tutaj nie nadaje.

– Uhm. Rachel prosiła mnie, żebym miał na nią oko. Wpłynęło sporo skarg.

– Naprawdę? Cudowna wiadomość! Może dostanę od Tyflos prezent pod choinkę i wywalą ją na zbity pysk! – Z radością wkładam do ust kolejną porcję kurczaka.

– Za bardzo się nie podniecaj. A tak przy okazji, jak ci idzie z tym nowym pacjentem? Ostatnio mówiłaś, że nie robicie żadnych postępów.

– I nic się, do cholery, nie zmieniło. Mam mętlik w głowie. Richard świetnie sobie radzi i wydaje mi się, że wszystko z nim porządku. Tylko co on tutaj robi? Dlaczego trafił na leczenie?

– A jaka jest diagnoza?

– Jasne, diagnoza... Myślisz, że znalazłam coś na ten temat w jego papierach? To byłoby zbyt proste.

– W ogóle da się go zdiagnozować?

– Gdybym musiała wydać opinię, na przykład dla firmy ubezpieczeniowej, powiedziałabym, że to zaburzenia adaptacyjne. Ale to tylko domniemanie. Wydaje mi się, że nie potrafię dostrzec czegoś bardzo istotnego. To naprawdę dziwne, że ten koleś został przyjęty do szpitala. Jest niechętny do współpracy i uparty jak osioł, ale poza tym wydaje się całkiem normalny.

– Chcesz, żebym się z nim spotkał? Może uda mi się coś ustalić. – David jest zawsze bardzo pomocny i dokłada wszelkich starań, żeby ułatwić mi życie.

– Nie, dziękuję. Ale miej oczy szeroko otwarte. Może coś zauważysz.

Posyła mi serdeczny uśmiech i niezdarnym gestem klepie mnie po kolanie, po czym odwraca się do okna. Zastanawiam się, o czym może teraz myśleć. Czy David ma w sobie jakieś miejsce, w którym mogłabym się schować?

Chociaż nadal nie udało się uzupełnić dokumentacji, wydaje mi się, że Richard czuje się swobodniej w moim towarzystwie. Być może rodzi się między nami zaufanie. Zaczął ze mną rozmawiać, co prawda nie na temat zdrowia psychicznego, ale cieszę się, że w ogóle coś mówi. Opowiada o swoich lekturach i o książkach, których nie miał jeszcze okazji przeczytać. Ja peroruję o tym, co wydarzyło się ostatnio w przemyśle muzycznym, chociaż wiem, że ten temat nieszczególnie go interesuje. Dzisiaj mamy kolejną sesję, podczas której próbujemy się lepiej poznać.

– Masz komórkę? – pyta. Nie ogolił się i z tłustych porów na skórze jego brody wyrastają siwe włoski.

– Tak, mam prywatny telefon. Dlaczego pytasz? – Zakładam nogę na nogę i przesuwam krzesło tak, żeby mieć Richarda naprzeciwko siebie. Zwykle siedzimy w ten sposób, nawet jeśli Richard nie jest szczególnie rozmowny. To znana strategia terapeutyczna. Gdy zalega cisza, ludzie czują się nieswojo, więc terapeuta stara się zająć miejsce przodem do pacjenta, żeby zmobilizować go do zabrania głosu.

– Przeżyłem prawdziwy szok. Nie było mnie, kiedy te urządzenia stały się popularne. Teraz mają je nawet bezdomni.

– Przebywałeś wtedy w więzieniu?

Po raz pierwszy jednoznacznie zasugerował w mojej obecności, że był w pudle. Czuję, że muszę wydobyć z niego więcej informacji na ten temat.

– Nie mieliśmy nawet pecetów, a teraz każdy nosi w kieszeni superkomputer.

– W zakładzie karnym nie było dostępu do internetu?

– Telefony są teraz bardziej zaawansowane technologicznie od komputerów. – Richard najwyraźniej nie ma ochoty rozmawiać ze mną o swojej przeszłości.

– To prawda. Bardzo ułatwiają komunikację – mówię z nadzieją, że zrozumie aluzję.

– Nie tylko komunikację, ale niemal wszystko. Nowoczesne aparaty mają kamery, można wysłać maile, surfować po internecie, a nawet czytać książki! Kiedyś trzeba było nosić ze sobą walizkę wypełnioną wszelkiego rodzaju sprzętem, a teraz wszystko można mieć w jednym urządzeniu, mniej

więcej tej wielkości... – Wyciąga otwartą dłoń, żeby pokazać mi rozmiar współczesnego smartfona.

– Cud technologii.

Richard z niedowierzaniem potrząsa głową, po czym wraca do lektury swoich gazet. Być może uda mi się podtrzymać rozmowę, jeśli opowiem mu o interwencji w sprawie Devona i jego gównokurtki.

– Zanim zupełnie się wyłączysz, chciałabym cię poinformować, że przekazałam dalej twoje uwagi na temat Devona.

– Naprawdę? – Z zainteresowaniem unosi brwi i czeka na dalszy ciąg.

– Rozmawiałam z jego terapeutką i opowiedziałam jej o kwestiach dotyczących higieny i dziwnym zachowaniu Devona podczas zajęć grupowych. Od tamtej pory odbyła z nim rozmowę w cztery oczy. Devon ma zamiar się zmienić, ale to wymaga czasu. Mam nadzieję, że w tym okresie będziesz dla niego tolerancyjny i okażesz mu wyrozumiałość.

– Okay, dziękuję.

– Dasz mu w takim razie spokój?

– Nie do końca.

– Co to znaczy?

– Nic, po prostu chciałem ci podziękować. Bardzo dawno nikomu nie dziękowałem. Naprawdę doceniam, że zajęłaś się tą sprawą – mówi i lekko pochyla głowę.

– Skoro okazałam ci szacunek i spełniłam twoje życzenie, to może w zamian zgodzisz się popracować nad formularzami? – To ostatnia próba na dziś.

Richard wbija wzrok w gazetę, po czym podnosi rękę i muska wierzchem dłoni swój policzek. Wygląda to tak, jakby odrzucał moją prośbę.

Nie jestem w stanie ukryć zawodu. Czuję ucisk w piersiach i robię głęboki wdech. Spotykam się z Richardem prawie od miesiąca, a udało mi się z niego wydobyć jedynie najbardziej podstawowe informacje. Kończą mi się sposoby, żeby przebić się przez jego pancerz.

23 LISTOPADA, 14.14

Julie stara się skontaktować ze mną przez interkom. Mówi tak ostrym i nieprzyjemnym głosem, że mam wrażenie, że zaraz pękną mi od tego bębenki. Nie czekam więc ani chwili i jak najszybciej podnoszę słuchawkę, starając się trzymać ją jakieś trzydzieści centymetrów od ucha.

– Tak? – odzywam się z pretensją w głosie, zachowując bezpieczną odległość. – O co chodzi?

– Cześć, Sam! – Głos Julie przypomina lepki syrop. Boję się, że wycieknie ze słuchawki i spłynie mi na szyję. Moja koleżanka przez chwilę czeka, aż odpowiem na jej radosne powitanie. Ja jednak milczę. – Uhm, czy masz może chwilę, żeby zajrzeć do mojego gabinetu? Jest tu teraz jeden z twoich pacjentów. Wcześniej podczas zajęć grupowych doszło do małego incydentu. – Kiedy mówi o „małym incydencie”, wyobrażam sobie przedszkolaka, który zsikał się w majtki w trakcie leżakowania.

– O kogo chodzi?

– O Tashawndrę – starannie wypowiada każdą sylabę. Pewnie boi się, że jeśli popełni błąd w wymowie, zostanie uznana za rasistkę, która straciła kontakt z rzeczywistością, i nikt nie będzie jej lubił.

– Przyjdę do ciebie za minutę. – Odkładam słuchawkę, zanim zaleje mnie potokiem uprzejmości, i wychodzę na korytarz.

Głośno pukam i zdaję sobie sprawę, że chociaż pracujemy razem już od kilku lat, jeszcze nigdy nie byłam u niej w gabinecie. Otwiera mi drzwi, widzę Tashawndrę. Ma zawstydzony wyraz twarzy i siedzi na zabranym z sali do zajęć grupowych niebieskim krzeselku z plastiku. Wygląda na to, że dla Julie nie starczyło krzeseł biurowych z prawdziwego zdarzenia. Zaprasza mnie do środka i mogę obejrzeć wnętrze.

Nie widać żadnych książek ani segregatorów, które wskazywałyby, że to gabinet psychologa. Na półce siedzi za to ogromny pluszowy miś w zielonym swetrze marki Ralph Lauren. Na ścianach wiszą zdjęcia rodzinne oprawione w białe drewniane ramki z wrytymi cytatami o siostrach. Kiedy Julie zamyka za mną drzwi, rozlega się dźwięk dzwoneczków. Odwracając się, zauważam dwa haczyki: na jednym wisi płowokarmelowy płaszcz z zarzuconym szalikiem w różową szkocką kratę, a na drugim wypchany czymś wieniec z koronkowym obszyciem

i metalowymi dzwoneczkami. Najgorsza jest jednak obramowana tabliczka z materiału wyglądającego jak drewno z odzysku, na której widnieją namalowane kwiaty i celowo zniszczony napis: „Żyj, śmieję się i kochaj”. Czuję, jak do gardła podchodzi mi żółć i niestrawione jedzenie. Z trudem powstrzymuję się, żeby nie zwymiotować prosto na idealną fryzurę mojej koleżanki. Nie jestem w stanie ukryć obrzydzenia. Zaniepokojona Julie łapie mnie za ramię i pyta, czy wszystko ze mną w porządku.

– Sam? Dobrze się czujesz?

Wyrywam się z uścisku, lekko ją odpycham i siadam za jej biurkiem. Gdzieś w gabinecie musi stać rozpylacz zapachów, ponieważ czuję wyraźną woń zasyпки dla dzieci.

– Tashawndra? – Siedzi ze spuszczoną głową i sama muszę się schylić, żeby nawiązać z nią kontakt wzrokowy. – Opowiesz mi, co się stało?

– A nie może tego zrobić Julie? – pyta, chowając twarz w dłoniach. Tashawndra ma włosy splecione w dredy i warkoczyki różnej długości. Niektóre sterczą sztywno w górę, a inne opadają jej na oczy. W chwilach zdenerwowania niespokojnie się nimi bawi, a kiedy jest wesoła, przywiązuje do nich wstążki i kolorowe sznureczki. Teraz szarpie za żółty kawałek przędzy przyczepiony do jednego z dredów po lewej stronie twarzy.

– Wolałabym usłyszeć to od ciebie, oczywiście jeśli się zgodzisz. Interesuje mnie twoja wersja wydarzeń. – Kawałek przędzy wyskakuje pomiędzy jej palców.

Tashawndra prychnęła jak rozjuszony byk.

– Byłam na zajęciach grupowych u Julie i zajmowałam się własnymi sprawami, kiedy nagle zauważyłam, jak Barry gapi się na prowadzącą. On ma nie po kolei w głowie i od razu wiedziałam, o czym myśli.

– A o czym myślał? – pytam. Julie stoi tuż obok i na dźwięk swojego imienia zalewa się rumieńcem.

– O tym, żeby wbić zęby w te wspaniałe nogi! – mówi, wskazując na wystające spod krótkiej, ale regulaminowej spódnicy nogi terapeutki. Julie odruchowo się schyla i zakrywa kolana rękami.

Kiedy to słyszę, nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

– I co wtedy zrobiłaś?

– Rzuciłam w niego kubkiem. – Tashawndra odchyła się na krześle i splata ręce na brzuchu. Jak zwykle nie ma na sobie stanika i obwisłe piersi wchodzą jej pod pachy.

– Była w nim kawa? – pytam, nawet nie próbując zapanować nad chichotem.

– Nie! Kubek był pusty. Barry powinien dostać ode mnie w twarz.

– Coś was łączy?

– No cóż, teraz już nic, ale zanim zaczął wykazywać niezdrowe zainteresowanie terapeutkami, spotykaliśmy się ze sobą. Trwało to parę tygodni. Pewnego razu przyniósł mi kwiaty, które zabrał ze stołu w jadalni. Podarował mi też resztę papierosów ze swojej paczki i powiedział, że jestem najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek poznał. Jedliśmy razem lunch, a potem paliliśmy na balkonie. Ale to już się skończyło!

– Robiliście razem jeszcze inne rzeczy? – W Tyflos kontakty cielesne między pacjentami są surowo zabronione, ale tej reguły nie da się do końca wyegzekwować. Pacjentów jest coraz więcej i nie można cały czas sprawować nad nimi kontroli. Nie zawsze wiadomo, gdzie w danym momencie przebywają, a co dopiero, czym się zajmują. Nie jest żadną tajemnicą, że w nocy uprawiają seks ze swoimi współlokatorami, nawet jeśli normalnie nie pociągają ich osoby tej samej płci. Do zbliżeń dochodzi też w toaletach, a nawet na balkonie, i to w biały dzień! Były również przypadki kopulowania na korytarzach i w salach do zajęć grupowych. Tashawndrę wiele razy przyłapywano na złym prowadzeniu się. Dostawała za to kary i była pozbawiana przywilejów, jednak jak do tej pory Barry nigdy nie był jej partnerem.

– Nieee. Wiem, że podczas leczenia nie mogę się z nikim bzykać – mówi, międląc w dłoni żółty sznurek. Wierzę, że nie kłamie. Wydaje mi się, że zależy jej na Barrym, a Tashawndra rzadko uprawia seks z kimś, na kim jej zależy.

– Dobrze. Cieszę się, że przynajmniej na tym froncie udało ci się zrobić jakieś postępy. Zdajesz sobie również sprawę, że nie wolno ci rzucać przedmiotami w pacjentów? Nawet jeśli patrzą na inne dziewczyny?

– Jasne. – Zawstydzona rozkłada ręce i upuszcza na podłogę kawałek żółtego sznurka. – Dostałam to od niego w prezencie, żeby wpiąć sobie we włosy.

Podnoszę sznurek i zaciskam go w dłoni.

– Tashawndra, wiem, że to przykre, gdy ktoś, kogo darzymy sympatią, nie zwraca na nas uwagi i patrzy na inną osobę, ale w takiej sytuacji trzeba się odpowiednio zachować. Masz coś do powiedzenia swojej terapeutce? –

Julie cały czas stoi nad nami jak podekscytowany chłopiec od podawania wody podczas narady drużyny. Przysłuchiwała się naszej rozmowie z rozdziawionymi ustami, a kiedy zorientowała się, że o niej mowa, nagle się wyprostowała, udając gotowość do działania.

– Julie, przepraszam, że podczas twoich zajęć dostałam napadu zazdrości. Wiem, że faceci będą na ciebie patrzeć, bo jesteś piękna, ale z tego powodu nie wolno mi rzucać przedmiotami – oświadcza Tashawndra, szarpiąc za swoje dredy.

– Dziękuję. Moim zdaniem ty również jesteś piękną dziewczyną.

Tashawndra zalewa się rumieńcem i przyciska ramię do podbródka, a na jej twarzy pojawia się nieśmiały uśmiech.

– Porozmawiasz o tym z Barrym? – pytam.

– Uhm, chyba tak. Wydaje mi się, że mogę mu wybaczyć.

– Cieszę się, że to słyszę. – Oddaję jej kawałek żółtego sznurka. Tashawndra przypina go do jednego z dredów, który opada jej na oczy, po czym razem wychodzimy z gabinetu Julie. Na korytarzu biorę głęboki wdech, żeby pozbyć się nieznośnego zapachu zasyпки dla dzieci. Właśnie w takie dni czuję się jak dozorca w ogrodzie zoologicznym i nie mogę wyjść z podziwu, jaką ilość gówna jestem w stanie tolerować.

Znowu jestem w barze u Nicka i czekam na Davida. Przyszłam tu razem z Lucasem, ale mój chłopak za bardzo się spił, żeby normalnie funkcjonować. Siedzi przy kontuarze i gapi się w telefon, a ja gadam z naszymi znajomymi. Wszyscy myślą, że stanowimy z Lucasem idealną parę, ale to bardzo delikatna kwestia. Chociaż o tym nie rozmawiamy, z całych sił staramy się zachowywać pozory. Kiedy jesteśmy sami, boję się o własne życie, ale w obecności innych odgrywam przedstawienie, udając, że wszystko z nami w porządku i tworzymy perfekcyjny związek. Jesteśmy jak latarnia rozświetlająca mroki, w których majaczą ruiny przeszłych niepowodzeń naszych znajomych. Dajemy nadzieję, a w końcu na tym polega moja praca.

Gdybym im powiedziała, że Lucas mnie bije albo że kilka godzin wcześniej pieprzyliśmy się z anonimową prostytutką na zapleczu sex-shopu, albo że właśnie w tej chwili mój chłopak łyka w toalecie oksykodon, popsułoby im to cały wieczór, a ja przecież chcę tego uniknąć. Ich przekonanie, że jesteśmy idealni, pomaga mi samej w to uwierzyć. Bez tego moje życie rozpadłoby się na drobne kawałeczki.

Do baru wchodzi David i zaczyna się rozglądać. Macham do niego jedną ręką, a w drugiej trzymam szklaneczkę z jackiem daniel'sem i colą. David to chyba jedyna osoba, która zna prawdę o mnie, prawdę o Lucasie i część prawdy o naszym związku. Urzędujemy w przylegających do siebie gabinetach i David słyszy wszystko, co się u mnie dzieje: wie, kiedy wymiotuję do kosza na śmieci i płaczę nad kubkiem kawy. Stara się również zadawać dyskretne pytania. Dopuściłam go do wielu moich tajemnic, ale on nigdy nie wykorzystał tej wiedzy przeciwko mnie.

David jest moim najlepszym przyjacielem, nie tylko w pracy, ale w ogóle. Nigdy z nim nie spałam, chociaż może powinnam. Wiem, że się we mnie podkochuje. Flirtuję z nim i jestem dla niego miła, ponieważ chcę, żeby jego zadurzenie trwało jak najdłużej. Staram się jednak zachować ostrożność i nie pozwolić, żeby zaczął oczekiwać ode mnie wzajemności. Wszystko w rozsądnych granicach, pełna kontrola. Podchodzi do mnie, patrzymy sobie w oczy, po czym bez słowa bierze słomkę i wypija spory łyk mojego drinka. Daję znak stojącemu za barem Sidowi, żeby przygotował następną kolejkę.

Stoję bardzo blisko Davida, może nawet za blisko, i plotkujemy.

Schroniliśmy się w naszej bańce i korzystamy ze względnego bezpieczeństwa, żeby obserwować otaczające nas towarzystwo. David udaje, że nie widzi Lucasa. Nie mam jednak pojęcia, dlaczego tak robi: może chce być grzeczny, a może się boi.

Lucas nie wygląda najlepiej. Żeby nie stracić równowagi, opiera się o kontuar, ma częściowo poluzowany krawat i rozpięty jeden ze środkowych guzików koszuli. Zatłuszczone okulary przekrzywiły się na czubku jego głowy, a marynarka poniewiera się w którymś z boksów. Jednak mimo to zachowuje się przyjaźnie i jest dla wszystkich przeuroczy. W rogu zebrały się kelnerki, widać, że go obgadują. Mój chłopak trzyma dłoń na udzie dziewczyny jednego z naszych znajomych. Nikomu to jednak nie przeszkadza.

Kiedy do niego podchodzę, cofa rękę i kładzie ją na swoim kolanie.

– Zachowuj się tak, jakbyś mnie kochał, ty pieprzony dupku – szepczę, szeroko się uśmiechając.

– Kocham cię, moja brudna dziwko – odpowiada, a ja nie wiem, czy to tylko żart. – Jestem zmęczony, przede mną ciężki tydzień, więc zbieram się do domu. – Wsuwa ręce w rękawy płaszcza i zaczyna się rozglądać za marynarką. – Zabierz ją ze sobą, jak znajdziesz, dobrze? Nie mam teraz czasu na szukanie.

– W porządku – mówię, chowając w dłoniach papierosa i zapalniczkę. Chciałam wyjść zapalić, ale wolałabym, żeby Lucas się nie zorientował. Zależy mi, żeby szybko sobie poszedł i nie zrobił mi kolejnej pijackiej awantury.

– Nie musisz ze mną wracać. Poradzę sobie – bełkocze, a ja spoglądam z ukosa na dziewczynę, którą obmacywał. Żegnamy się, nie żałując sobie uścisków i pocałunków. Lucas zapomina zapłacić rachunek i chwiejnym krokiem wychodzi na ulicę. Udaję, że nie widzę, jak jego śladem podąża dziewczyna.

– Nie masz nic przeciwko, jeśli też się zwinę? – pyta mnie David, zachowując się tak, jakby on również niczego nie zauważył.

– Nie, możesz iść. Sama wypiję jeszcze jednego, góra dwa drinki.

Zarzuca sobie płaszcz na plecy i kładzie na barze banknot pięćdziesięciodolarowy, po czym mocno się do mnie przytula.

– Widzimy się w poniedziałek, ale zadzwoń, jakby coś się działo, dobrze?

– Dzięki, David. Do zobaczenia po weekendzie. Wracaj bezpiecznie do

domu.

Po wyjściu Lucasa i Davida mogę wreszcie skupić uwagę na AJ-u. Wcześniej siedział w jednym z boksów z jakimiś nieznanymi ludźmi, ale z posyłanych mi spojrzeń wywnioskowałam, że oboje czekamy na tę samą chwilę. Chcemy stąd uciec i znaleźć się sam na sam w jakimś innym miejscu, a być może nawet w innym wszechświecie, w którym będziemy mogli o wszystkim zapomnieć, zatopić się w sobie, nie przejmować się tym, co myślą inni ludzie, ani tym, co widzą lub z czego zdają sobie sprawę. Jednocześnie jesteśmy świadomi, że to się nigdy nie zdarzy i tylko karmimy się iluzją, wyobrażając sobie miejsce, w którym możemy spacerować w blasku słońca i nie słyszeć, jak nas obgadują. Pozostaje nam wyobraźnia. Milczymy, ponieważ tak naprawdę nie potrzebujemy słów.

Chociaż bawimy się w tym samym barze, co zawsze, wydaje mi się, że wnętrze zostało odnowione, a wszystko dookoła jest jakby jaśniejsze. Zabawne cytaty wypisane kredą na wiszącej za barem tablicy bardziej mnie śmieszą, a lecąca z głośników muzyka brzmi jak coś, czego nie słyszałam przynajmniej od dwóch miesięcy. AJ patrzy na mnie w taki sposób, że znikają wszelkie mury, którymi próbowałam odgradzić się od świata.

Mój adorator stoi teraz obok stanowiska DJ-a i wskazuje na mnie palcem. Robię wszystko, żeby trzymać się od niego z daleka, a on widzi moje wahanie. Zaczyna lecieć moja ulubiona piosenka, a AJ przekazuje mi wiadomość, bezgłośnie poruszając ustami: „To dla ciebie”. Kiwam głową, udając, że nie robi to na mnie specjalnego wrażenia, ale mam ochotę krzyczeć z radości i myślę tylko o tym, żeby uciec z tym facetem, a przecież nie znam nawet jego pełnego imienia.

Nikt na nas nie patrzy. AJ podchodzi do mnie i przyciąga do siebie. Wtulam twarz w jego szyję: wydaje mi się, że to jednocześnie bezpieczna przystań i najgroźniejsze miejsce na świecie.

– Lubię cię... I nie chodzi tylko o seks – szepcze mi do ucha.

Wybucham śmiechem, ponieważ nie mam pojęcia, w jaki sposób powinnam zareagować. AJ mocno mnie przytula i zaczyna opowiadać, jak bardzo chciałby mnie stąd zabrać. Pachnie jak prawdziwy mężczyzna. W pewnym momencie pyta, dlaczego się z kimś spotykam.

– Ja się z kimś spotykam? – odpowiadam.

– Masz przecież chłopaka.

– Tylko dlatego, że wcześniej cię nie znałam.

Uśmiecha się i przyciąga mnie jeszcze bliżej.

Opieram się o jego ramię i przed oczami staje mi zupełnie nowe życie. Nagle AJ robi krok do tyłu i idzie w stronę łazienki. Rozglądam się dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt na nas nie patrzy. Czyżby żaden z gości nie zauważył, że w ten bar właśnie uderzył piorun? Chyba nie. Wchodzę do toalety i widzę, że AJ zamknął się w kabinie. Myję ręce i czekam, aż wyjdzie, udając, że wcale nie przyszedłam tu ze względu na niego.

Kiedy mnie widzi, jest wyraźnie zaskoczony. Podchodzi do umywalki i patrzy na mnie spod zmarszczonych brwi. Nadal rżnę głupa i zachowuję się jak niewiniątka. AJ wychodzi z łazienki i wydaje się, że straciłam swoją szansę. Jednak nie wraca na salę, tylko chowa się w magazynku na sprzęt gospodarczy. Ruszam przed siebie i kiedy mijam drzwi, łapie mnie za ramię i wciąga do środka, po czym gasi światło i zaczyna mnie całować. Mam wrażenie, że wstępuję we mnie nowe życie.

Pieści mnie jedną ręką, a drugą stara się przytrzymać drzwi. Przeczesałem palcami jego włosy, głaszczę go po pośladkach i czuję, jak nabrzmięwa jego kutas. Chciałabym całkowicie zapomnieć o świecie i zostać tutaj, aż minie wszelki ból.

AJ przestaje mnie całować, przytrzymuje mój podbródek i mówi:

– Spójrz na mnie.

Podnoszę wzrok i zanurzam się w szarej głębi jego pięknych oczu. Nie jestem w stanie nad sobą zapanować i zupełnie się rozklejam. Mam ochotę się z nim kochać.

– Jesteś piękna – szepcze i znowu zaczyna obsypywać mnie pocałunkami. Po chwili lądujemy na podłodze.

Nigdy w życiu Lucas nie był mi tak obojętny. Gdyby w tej chwili stanął przede mną w tłumie innych mężczyzn, nie byłabym w stanie go rozpoznać. Obściskujemy się jak szaleni i chcę, żeby to trwało jak najdłużej...

Ale nagle wszystko się kończy.

AJ uchyla drzwi, żeby sprawdzić, czy możemy bezpiecznie wrócić na salę. Wymykam się pierwsza i wydaje mi się, że nikt niczego nie zauważył. Postanawiam strzec naszego sekretu jak tajnych kodów uruchamiających rakiety z głowicami atomowymi. AJ całuje mnie na pożegnanie, ale na naszych znajomych nie robi to większego wrażenia, po czym wychodzi z baru i znika w ciemnościach.

Zanim się wygodnie rozsiądę i wygrzebię z torebki opakowanie advilu, słyszę miarowe skrobanie w drzwi. Dobrze znam ten dźwięk: w taki sposób puka tylko Eddie. Tak samo robi Davidowi. Kursuje między naszymi gabinetami, głośno szurając, i bez końca drapie w drzwi. Zwykle czeka przed salą konferencyjną na zakończenie porannego zebrania, a potem idzie za mną albo za Davidem i zamęcza nas pytaniami. Jeśli się spóźni, łązi od gabinetu do gabinetu i puka. Prędzej czy później ktoś z nas musi wyjść na korytarz, żeby zaprosić pacjenta na sesję. Czasami się nad nim litujemy i do niego wychodzimy.

– Ssaamm, Daaaviiid. – Eddie wypowiada każde zdanie tak, jak gdyby było to jedno długie słowo. Na dodatek używa intonacji wznoszącej i wszystko w jego ustach brzmi jak pytanie. Często też mamrocze, ale w sumie da się go zrozumieć. Nie jest moim pacjentem. Nie jest też pacjentem Davida. Za jego leczenie odpowiada Gary, ale z jakiegoś powodu Eddie czuje się z nami związany. Być może chodzi o to, że do naszych gabinetów jest łatwy dostęp.

W korytarzu ciągle słychać szuranie.

– Ssssaamm... Wiem-że-tam-jesteś... Proszę-otwórz-drzwi-to-ja-Eddie...

Jego głos przypomina syk opony, z której ucieka powietrze. Podnoszę telefon, przykładam go do ucha i zaczynam głośno mruzczyć:

– Mmm-hmmm.

Zakładam okulary i wyglądam na korytarz. Patrę na Eddiego, udając, że dopiero teraz usłyszałam jego skrobanie. Eddie traktuje to jak zaproszenie i wsuwa w szczelinę w drzwiach brudnego adidasa, w którym nie ma sznurowadeł. Najwyraźniej chce się wprosić do środka. Mówię bezgłośnie: „Rozmawiam przez telefon. Przyjdź później!”. Mam nadzieję, że to wystarczy, ale się myślę.

– Nnnniiiiieeee, Sssssaaaamm... Muuuuszę-z-tobą-pogadać... – Kładzie obie ręce na drzwiach i zaczyna pchać, na szczęście dość lekko.

Nie wychodzę z roli i wolną ręką zasłaniam słuchawkę.

– Wiem, Eddie. Ja też chciałabym się z tobą spotkać, ale mam teraz bardzo ważny telefon. Musimy to przełożyć.

– Wwww-poorząądkuu... Za-godzinę?

Potwierdzam skinieniem głowy i zamykam drzwi. Kiedy za godzinę tu wróci, będę udawać, że mnie nie ma. Chciałabym zebrać w sobie wystarczająco dużo siły i energii, żeby mu pomóc, ale dzisiaj po prostu nie dam rady. Rano nie byłam w stanie umyć włosów. Obudziłam się z zakrwawionym strupem na głowie, więc postanowiłam upiąć wymyślny kok tak, żeby nie było widać opatrunku. Zdejmuję okulary, odkładam telefon i zaczynam się zastanawiać, ile jeszcze jestem w stanie wytrzymać.

Eddie leczy się w Tyflos Bóg wie od jak dawna. Sama pracuję tu już sześć lat i w tym czasie przynajmniej trzy razy był zabierany na oddział intensywnej opieki psychiatrycznej. Za każdym razem chodziło o groźby i zachowania samobójcze. To chyba jeden z najgorszych aspektów pracy w tym zawodzie: naszym zadaniem jest stwierdzić, czy różne gesty i słowa należy brać na poważnie, a następnie uruchomić odpowiednie procedury. W takich warunkach trudno jednak podjąć właściwą decyzję. Pacjenci wpadają na przykład na pomysł, żeby pocierać nadgarstki spinaczami do papieru tak długo, aż pojawią się obrzęk i pierwsze kropelki krwi. Na dodatek ciągle powtarzają: „Jak nie dostanę soku pomarańczowego, to się zabiję”.

Cztery miesiące temu, kiedy Eddie po raz kolejny został zabrany z naszego ośrodka, mieliśmy zebranie poświęcone tylko i wyłącznie jego przypadkowi. Pamiętam, że Gary cały czas pocił się jak mysz. Co chwilę pociągał wielki łyk gatorade o smaku wiśniowym i miał od tego mokry, czerwony ślad nad górną wargą. Bał się, że jeżeli Eddie się zabije, to on zostanie pozwany do sądu. Żeby się jakoś obronić, niezwykle gruntownie analizował dokumenty ubezpieczeniowe, wyniki leczenia, notatki służbowe i formularze oceny postępów terapii. Szukał błędów, literówek i plam po rozlanej kawie. Drukował i kopiował wszelkie możliwe papiery, aż udało mu się zebrać dossier, które chroniło go przed ewentualnymi oskarżeniami. Rzecz jasna Eddie nie miał żadnej rodziny, więc sam pomysł, że w wypadku jego śmierci ktoś pozwałby terapeutę, wydawał się raczej absurdalny.

Pamiętam, jak Rachel odebrała Gary’emu głos, ponieważ nie był w stanie się uspokoić i opowiedzieć o tym, co się stało. Skopiowała kilka ważniejszych dokumentów z teczki Eddiego, na których pozaznaczane były różne fragmenty, rozdała kserówki i kazała podzielić się z „sąsiadem”. Obok mnie siedział jak zwykle David. Miałam wielkiego kaca i David po cichu usiłował mi powiedzieć, że mam we włosach niedopałek. Delikatnie go wyjął, starając się nie zwracać na siebie uwagi, a potem skupiliśmy się na

materiałach. Chociaż mieliśmy przed oczami jedynie część kartoteki Eddiego, był to gruby plik papierów, pełen skreśleń, poprawek i zmian. Do samoprzylepnych karteczek poprzyklejane były inne karteczki, a wszystko przypięte zszywkami do kilku kopii tych samych dokumentów, na których widać było czarne linie przecinające strony na pół. Tak wygląda teczka trafiająca z jednego biurka na drugie, kiedy trzeba odesłać pacjenta do kolegi po fachu, ponieważ samemu straciło się wiarę we własne umiejętności. Eddie najwyraźniej przegrywał z systemem. Jedną z najsmutniejszych rzeczy w tym zawodzie jest obserwowanie tonącego bez możliwości udzielenia mu pomocy.

Pamiętam, jak razem z Davidem przerzucaliśmy gorączkowo kartki, szukając jakichś punktów zaczepienia, i w pewnym momencie natrafiliśmy na opinię wydaną w 2003 roku przez niejakiego W.D.R.: „Nie do uratowania. Nie można mu pomóc”.

– Co to jest, do cholery? – przerwałam Rachel w pół zdania, ale nie mogłam się powstrzymać. Byłam naprawdę wściekła na to, co właśnie przeczytałam. – Pytam serio: co to za gówno?

– O czym ty mówisz? – zapytała Rachel.

– Nie można mu pomóc? A czy naszym zadaniem nie jest właśnie niesienie pomocy? Jak to nie do uratowania? Przecież mówimy o istocie ludzkiej, a nie o jakimś budynku po przejściu huraganu. Jezus Maria!

– Masz rację, Sam, ale musisz pamiętać, że w wypadku Eddiego leczenie od wielu lat nie przynosi żadnych skutków.

– W porządku, ale jeśli stawiasz na pacjencie krzyżyk, to co ten człowiek ma niby zrobić? Nie wolno nam się poddawać! Nie na tym polega nasza praca. A może to ze mną jest coś nie w porządku i do reszty zwariowałam?

David położył rękę na oparciu krzesła i zaczął delikatnie masować kciukiem mój bark. Ten gest mnie uspokoił. Po chwili wyszeptał mi do ucha: „Spokojnie, tygrysku”. Wtedy poczułam się zupełnie wyluzowana.

– Nie, Sam, nie zwariowałaś. Całkowicie się z tobą zgadzam – powiedziała Rachel.

Zachowałam się w stosunku do Eddiego jak nadopiekuńcza matka, ponieważ był tak bardzo przywiązany do mnie i do Davida. Zresztą nadal mam do niego słabość.

Teraz siedzę w swoim gabinecie i wspominam zebranie sprzed kilku miesięcy. Nagle ogarniają mnie wyrzuty sumienia: przecież powinnam

otworzyć drzwi, wpuścić Eddiego do środka i poświęcić mu trochę czasu. Nikt inny nie potrafi go uratować, więc to zadanie dla mnie. Mogę zanurkować i wyciągnąć go na brzeg. Jednak za bardzo zaprzatają mnie myśli o Lucasie i AJ-u. Zaczynam się paranoicznie bać reakcji mojego chłopaka, gdyby dowiedział się, co wydarzyło się w barze u Nicka. Niestety w tych okolicznościach nie jestem w stanie wykrzesać z siebie energii potrzebnej, by skupić się na Eddiem.

1 GRUDNIA, 17.30

Co roku członkowie zatrudnionego na oddziale personelu muszą przejść badania psychologiczne. Wielu z nas to zawodowcy z odpowiednimi certyfikatami uprawniającymi do przeprowadzania takich badań, więc od dawna robimy to we własnym gronie i przekazujemy wyniki przedstawicielowi Stanowego Biura do spraw Zdrowia Psychicznego, w skrócie BZP. Jeżeli ktoś okazuje się niezdolny do pracy w tak trudnym i stresującym środowisku, podejmowane są stosowne kroki. Rzecz jasna, nikt nie jest na tyle głupi, żeby lustrować kolegów szczególnie skrupulatnie, ponieważ naprawdę niewielu specjalistów chce tutaj pracować z własnej woli.

W tym roku z powodu rosnącej świadomości Amerykanów i istotnych zmian w sposobie traktowania kwestii związanych ze zdrowiem psychicznym nie wolno nam już badać samych siebie. W zamian BZP zawarło umowę z kilkoma wysokiej klasy psychiatrami, słynącymi z bezwzględności i niezbyt skorymi do kumoterstwa. Ich zadaniem jest przeprowadzenie gruntownych, trwających tydzień badań poszczególnych pracowników. Członkowie personelu, w szczególności ci, którzy mogą kontaktować się ze wszystkimi pacjentami, dysponują pełnym wglądem w dokumentację i mają dostęp do leków, powinni zostać prześwietleni przez dwóch niezależnych psychiatrów. Procedura zakłada rozwiązanie mnóstwa testów psychologicznych, wzięcie udziału w kilku wywiadach i poddanie się procesowi weryfikacji danych. Rzecz jasna mam z tego powodu niezłego stracha. Weryfikacja zaczyna się już w poniedziałek i obiecuję sobie, że w weekend nie spiję się do nieprzytomności, ponieważ muszę mieć klarowny umysł. W ten poniedziałek na pewno będę w świetnej formie.

Przez cały dzień odliczam godziny dzielące mnie od upragnionej chwili, kiedy będę mogła razem z Davidem uciec od swojego życia i schować się w wypełnionej alkoholem króliczej norze. Każdy dzień pracy w Tyflos jest długi i męczący. Na dodatek w ostatnim czasie mamy pod opieką coraz więcej pacjentów i mnożą się zadania, które musimy wykonywać. W takich warunkach szanse na naprawdę udany wypoczynek stają się znikome. Nie mogę się już doczekać, kiedy będę mogła stąd czmychnąć i wymigać się od wszystkiego, co określa się mianem dorosłych obowiązków.

– Poczekaj chwilę – mówi David. – Właśnie dostałem wiadomość od

Julie.

Teatralnie przewracam oczami, dając mu do zrozumienia, że nie mam ochoty na jej towarzystwo. Jednak kiedy David zaczyna pisać odpowiedź, zupełnie niepodziwianie pojawia się przed nami nasza wspólna koleżanka, odziana w kaszmir i kratę burberry.

– Cześć! Wysłałam do ciebie SMS, David. Co u was słychać? – Nie mam pojęcia, jakim sposobem po całym dniu przepracowanym w Tyflos można mieć w sobie tyle entuzjazmu.

– Tak, wiem. Właśnie miałem ci odpowiedzieć – mówi David i chowa telefon do kieszeni spodni.

– Wychodzicie gdzieś razem po pracy? Strasznie bym chciała do was dołączyć – prosi błagalnym tonem, wpatrując się w nas szeroko otwartymi wilgotnymi oczami. Chyba nie mam serca, żeby ją okłamywać. Chyba...

– Tak – odpowiada David, zanim zdąży zareagować. – Idziemy do Jimmy’ego. Zabierasz się z nami?

– Do Jimmy’ego? Fuj... Naprawdę tak ustaliliśmy? – mówię z udawaną nonszalancją. – Raz przespałam się z tamtejszym barmanem i potem przez miesiąc do mnie wydzwaniał. Nie mogę się tam pojawić. Idźcie sami. Spotkamy się następnym razem. – Ruszam korytarzem do wyjścia, wydaję z torebki paczkę papierosów i zaczynam szukać zapalniczki.

– Sam, poczekaj... Ja...

Zanim jeszcze skończy zdanie, ogarnia mnie wściekłość. Mam ochotę wyrzucić mu prosto w twarz, że nie może zaprosić tej małej larwy do jednego z naszych barów. Przecież ktoś taki właduje się z butami w moje życie i niszczy naszą przyjaźń! Dlaczego w ogóle się na to zgodził? Dlaczego wybrał ją, a nie mnie? Zdaję sobie sprawę, że nie wolno mi wybuchnąć i muszę zrobić wszystko, żeby zachować twarz. Ale przecież David nie może mnie zostawić dla takiej przybłedy! W takim razie to ja odchodzę! Nie pozwolę, żeby mnie tak traktował.

– Nie przejmuj się. Do zobaczenia jutro. – Kiedy wychodzę na zewnątrz, jest już dość ciemno. Staram się zapalić zapalniczkę, ale pieprzony wiatr ciągle gasi płomień i nie jestem w stanie zaciągnąć się papierosem. Chce mi się krzyczeć. Mam łzy w oczach, ale wmawiam sobie, że to przez silne podmuchy wiatru. Chciałabym pobiec na stację metra, schować się w ostatnim wagonie i udawać, że wcale nie chcę zamordować Davida. Zdradził mnie i zostawił! Po tylu latach i po tym wszystkim, co dla niego

zrobiłam, wybrał sobie Julie! Julie, tę żalostną parodię człowieka! Jezu Chryste!

Wpadam do metra i zwijam się w kłębek na siedzeniu dla niepełnosprawnych. Jadę linią C, znaną z tego, że pociągi strasznie trzeszczą i podskakują na torach, jednak dzisiaj miarowe kołysanie mnie uspokaja. Muszę znaleźć jakieś pocieszenie. Powinnam zrobić coś, co pozwoli zapomnieć o upokorzeniu. Chcę, żeby ktoś mnie kochał. Gdzie jest ten pieprzony AJ?

1 GRUDNIA, 19.06

Od kiedy wysiadłam z metra, mój telefon nie przestaje wibrować. Dzwoni David, ale nie odbieram. Wysłał mi też SMS-y. Wszystkie przeczytałam, ale nic, co napisał, nie może być zadośćuczynieniem za to, że wybrał Julie, a nie mnie. On nawet nie rozumie, dlaczego tak bardzo mnie zranił, umawiając się z tym tandetnym zamiennikiem z plastiku.

Siedzę w barze u Nicka i witam się ze znajomymi. Ochoczo rozdają pocałunki, przytulam się i pytam, co u nich słychać i jak się czują. Odgrywam komedię fałszywej szczerości, ale jednocześnie lustruję wzrokiem salę w poszukiwaniu osoby, dla której tutaj przyszedłam.

Siedzenie w barze przypomina trochę jazdę autobusem. Na zewnątrz wieje wiatr, jest zimno i cicho, a tutaj można się ogrzać i panuje przyjemny rozgardiasz. W przyćmionym świetle każdy wygląda dobrze, nawet jeśli to najgorszy dzień w jego życiu. Na ścianach wisi mnóstwo telewizorów pokazujących zbyt wiele programów nadawanych w tym samym czasie, a do damskiej toalety zawsze trzeba stać w długiej kolejce. DJ mruga do mnie porozumiewawczo, a ja rozsiadam się na swoim ulubionym stołku przy samym środku kontuaru. Nie przywitałam się jeszcze z Sidem, ale widzę, że już nalewa mi szklaneczkę jacka z colą.

– Sammy! – mówi ze swoim irlandzkim akcentem. – Jak się masz, laleczko?

– Sid Vicious! Co słychać, skarbie? – Niezależnie od tego, co dzieje się w moim życiu i w mojej głowie, zawsze odstawiam tę samą szopkę. Niewielu ludzi ma ochotę sprawdzić, co się za tym kryje, a tylko nieliczni są w stanie cokolwiek zobaczyć.

Spotkanie Jetsów jeszcze się nie zaczęło, więc oglądałam przedmeczowe studio. Staram się kątem oka obserwować drzwi wejściowe, ale tak, żeby nikt tego nie zauważył. Nie wiem, w jaki sposób zwabić tutaj AJ-a. Nie mogę przecież poprosić kogoś, żeby znalazł jego numer i zaprosił go do baru. Muszę się zdać na łut szczęścia. Kiedy Sid stawia przede mną drugiego drinka, zdaję sobie sprawę, że narzuciłam niezłe tempo. Powinnam trochę zwolnić. W pewnym momencie podchodzi do mnie Claire, śliczna blondynka, chyba najseksowniejsza z młodych kelnerek.

– Cześć, kochanie! – Pochyla się i całuje mnie w policzek, trzymając w ręku tacę z pustymi szklankami i kieliszkami. – Gdzie jest Lucas?

– Możesz powtórzyć? – Dobrze usłyszałam pytanie, ale potrzebuję czasu na zastanowienie się nad odpowiedzią. Jak powinnam zareagować? Może powiedzieć, że Lucas bierze właśnie narkotyki? Pieprzy się z jakąś dziewczyną? Kupuje w sklepie kilka flaszek Jamesona, żeby się zaprawić przed pójściem do baru? Okłada sobie lodem knykcie po tym jak mnie...?

– Lucas! Gdzie jest Lucas? – mówi radosnym głosem.

– Jeszcze nie wyszedł z pracy. Zajmuje się jakimiś ważnymi transakcjami finansowymi. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co on robi przez cały dzień w biurze.

Patrzę jej w oczy i widzę, że jest zakochana w moim chłopaku.

– Okay, cieszę się, że wpadłaś! – Dziewczyna odstawia tacę na kontuar, a ja posyłam jej chłodny uśmiech.

Zaczynam przeglądać wiadomości, które dostałam od Davida. Na początku był zdumiony i pytał, dlaczego sobie poszłam. Potem próbował ratować sytuację, pisząc, że średnio bawi się w towarzystwie Julie i że za mną tęskni. W ostatnich SMS-ach, wysyłanych wyraźnie pod wpływem alkoholu, zaczął przekraczać niewidzialną granicę między przyjaźnią a czymś więcej. Świadomość, że David ciągle się we mnie podkochuje, działa na mnie uspokajająco. Czuję się bardziej wyluzowana, chociaż wciąż nie pojawił się AJ. Na dodatek przypominam sobie, że Lucas jak dotąd w ogóle się ze mną nie skontaktował.

Zaczyna mnie ogarniać znajome odrętwienie: mam zwolniony czas reakcji, a przestrzeń wokół mnie jakby się skurczyła. Już się nie rozglądam, tylko skupiam na świetle w promieniu najbliższych kilkudziesięciu centymetrów. Mam w ręku drinka i jestem pewna, że David nadal się we mnie durzy. W ogóle mnie nie interesuje, czy Claire taksuje mnie wzrokiem, czekając na Lucasa. Znowu mam na sobie swój pancerz. Z telewizorów dobiegają dźwięki czołówki czwartkowego studia sportowego. Jestem we właściwym miejscu i czerpię satysfakcję ze status quo.

W pewnym momencie znowu wibruje mój telefon. Kolejna wiadomość od Davida: „Straszliwie się spiła i zupełnie nie wiem, co robić. Gdzie jesteś?”. Czuję w żołądku ukłucie zazdrości, a w ustach metaliczny posmak rozpacz. David zaopiekował się Julie. Nie mogę pozwolić, żeby ta larwa zyskała nade mną przewagę. Muszę coś odpowiedzieć.

Piszę i kasuję kilka SMS-ów, aż wreszcie decyduję się na ostateczną wersję: „Wiesz, gdzie mnie znaleźć”.

„Będę za dziesięć minut”. David zostawi ją, żeby się ze mną spotkać? Nie spodziewałam się takiego rozwoju wypadków. Czy naprawdę chcę, żeby tutaj przyszedł? Jeszcze nie do końca straciłam nadzieję, że zobaczę dzisiaj AJ-a. Rzucam w myślach monetą, żeby zdecydować, czy powinnam wybić Davidowi ten pomysł z głowy, ale zanim coś postanawiam, mój kolega materializuje się tuż obok mnie.

– Dlaczego sobie poszłaś, do cholery? Musiałem dotrzymać jej towarzystwa przez parę godzin! Ona nie potrafi pić. To była kompletna katastrofa. – David z trudem łapie oddech i jest wyraźnie wkurzony. Podejrzewam, że musiał przebiec całą drogę z dworca kolejowego.

– Do mnie masz pretensję? A co za idiota zaprosił ją do naszego baru? – Nie wiem, czy cieszę się, że go widzę, czy też ciągle jestem zła, ponieważ mnie zostawił.

– Sam, to ty dałaś nogę. A mogłaś przecież iść z nami. – David daje znak barmanowi, że chciałby zamówić szklankę wody.

– Jasne. Dobrze wiesz, że nie mam ochoty spędzać czasu razem z Julie. – Kiedy to mówię, nie jestem w stanie na niego patrzeć, ponieważ boję się, że zobaczę w jego oczach lęk. Oznaczałoby to, że odsuwa się ode mnie i bierze stronę naszej koszarnej koleżanki.

Przechyliłam się na lewo, żeby nie dostać łokciem, kiedy David zwała się na stołek obok i próbuje wyrównać oddech.

– Ona ma naprawdę słabą głowę! Nawet nie byliśmy u Jimmy’ego. Powiedziała, że woli jakieś elegantsze miejsce, więc wylądowaliśmy w barze na Osiemdziesiątej Ósmej, tym z obrusami w czerwonej kratce. Kojarzysz? Wypiła dwa kieliszki sauvignon i była kompletnie zaprawiona. – Próbuje mnie udobruchać, ale nie mam zamiaru łatwo dać za wygraną.

Siedzimy blisko siebie i oglądamy początek meczu. Dotykamy się ramionami, ale ciągle czuję się za bardzo zraniona, żeby się do niego odzywać. W pewnym momencie pyta, czego chcę się napić.

– Tequili Patron Silver – mówię, nawet na niego nie spoglądając. David przyciąga uwagę Sida i przykłada sobie palce do górnej wargi, udając, że to wąsy. Sid z właściwą sobie uprzejmością nalewa trzy kieliszki: dwa razy tequilę dla nas i raz jamesona dla siebie. Stawia trunki na kontuarze i oznajmia:

– Za to, żebyśmy mieli klasę. – Wskazuje brodą w stronę jakichś dupków siedzących w rogu sali i jednym haustem wypija swoją whisky.

David z błagalnym wyrazem twarzy podnosi tequilę i chce, żebyśmy stuknęli się kieliszkami. Widzę jego rumiane policzki i szczerze spojrzenie. Uznaję, że na razie mogę mu darować, i wspólnie wznosimy toast. Raczmy się alkoholem, szeroko się uśmiechając, a potem przyciągam go do siebie i mocno przytulam. Wiem, że posuwam się za daleko, ale z rozpaczy robimy czasami naprawdę dziwne rzeczy.

Stoimy bardzo blisko siebie i wtedy do baru wchodzi AJ. Czuję, jak serce podchodzi mi do gardła. Momentalnie się wyprostowuję i zaczynam poprawiać ubranie, układać włosy i cmokać z zażenowania. David tego nie zauważa i ciągle coś do mnie mówi. Kiedy kładzie dłoń na moich plecach, podskakuję jak oparzona. AJ jeszcze mnie nie zobaczył. Nie mogę się jednak na niego gapić, ponieważ nie chcę, żeby widział moje zainteresowanie. Nagle wszystko zaczyna dziać się w zwolnionym tempie. Stoję na środku baru i czekam, aż AJ zwróci na mnie uwagę. Mam wrażenie, że jestem jak ten chłopak z *Powrotu do Garden State*.

1 GRUDNIA, 20.23

Nie mogę jednocześnie zajmować się AJ-em i Davidem. To się nie może udać. Jeżeli AJ zobaczy mnie w takiej sytuacji, już nigdy mnie nie pocałuje, a ja nie będę mogła znowu zapomnieć się w jego ramionach. Jezu Chryste! Wreszcie mnie zauważyła! Zatrzymuje się w drzwiach i do mnie mruga, po czym rusza w moją stronę.

Wita się z Davidem, podają sobie ręce i wymieniają męskie uściski. Po chwili AJ skupia całą uwagę na mnie. Jedną ręką przyciąga mnie do siebie, a drugą obejmuje w pasie. Czuję jego szorstki zarost na swojej skórze. Całuje moją szyję, po czym znowu puszcza do mnie oko. Muszę odwrócić wzrok, żeby nie zdradzić przed nim swoich uczuć. Obraca głowę i zamawia drinka, ale cały czas mnie przytula. Sid kiwa dwoma palcami na znak, że zrozumiał i przygotowuje dla niego gin z tonikiem. To się nie może wydarzyć dzisiaj, a już na pewno nie w obecności Davida. Mam wrażenie, że dostałam trycykl, chociaż wystarczyłby zwykły rower. Muzyka gra coraz głośniej, robi mi się za gorąco i chcę, żeby wszystko było inaczej.

AJ rozgląda się dookoła, szukając znajomych twarzy. Widzę, że gapią się na niego wszystkie dziewczyny. Czuję ukłucie zazdrości, więc sięgam po drinka, ale okazuje się, że trzyma go w ręku David. Wyrrywam mu szklanekę, ale w jego zębach zostaje słomka. Posyła mi głupi uśmiech. Z tą słomką wygląda naprawdę idiotycznie i wiem, że go kocham, ale chciałabym, żeby w tym momencie rozpląnął się w powietrzu.

AJ pozdrawia swoich kumpli, a ja czuję się jednocześnie wyróżniona i trochę przestraszona tym, że zdecydował się właśnie na moje towarzystwo. David chyba to zauważył i uznał, że powinien skupić się na meczu Jetsów. AJ siada na moim stołku i przyciąga mnie blisko, tak żebym stanęła między jego nogami. Pyta mnie, jak minął dzień, i widzę, że chociaż wszyscy go obserwują, poświęca mi całą uwagę. Staram się zachować spokój, lecz nie za bardzo mi to wychodzi. Drżą mi wargi, ale mam obniżone poczucie własnej wartości i jestem zbyt pijana, żeby móc nad tym zapanować.

W tylnej kieszeni spodni wibruje mój telefon, ale wiem, że to na pewno nie David i nie AJ, a z nikim innym nie mam ochoty rozmawiać. Muszę jednak zebrać myśli i na chwilę zająć się czymś innym, więc odklejam się od AJ-a i wyciągam aparat. Widzę, że dostałam wiadomość od Lucasa: „Gdzie jesteś?”. Teraz to zupełnie bez znaczenia.

AJ zaczyna się bawić moimi włosami. Patrzy mi przez ramię i rozmawia z Davidem, ale jednocześnie obiema rękami gładzi blond kosmyki, które opadają mi na twarz. Zastanawiam się, co powinnam odpisać Lucasowi i czuję, jakbym była zgniatana przez olbrzymie fale. Elektryzujący dotyk AJ-a sprawia, że naprawdę trudno jest mi się skoncentrować.

Wkładam telefon z powrotem do kieszeni i udaję, że mój chłopak nie wysłał mi żadnego SMS-a. W końcu zawodowo zajmuję się udawaniem, więc to dla mnie nic nowego. W pewnym momencie AJ odgarnia moje włosy i pyta:

– Co robimy?

Zupełnie nie wiem, jak powinna brzmieć rozsądna odpowiedź, więc mówię pierwszą rzecz, która przychodzi mi do głowy:

– Zamawiamy szoty?

Uśmiecha się do mnie jak kot z Cheshire, po czym całuje mnie w usta. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że otwiera się przede mną cały wszechświat i zostaję wessana w jakieś spokojne miejsce, miękkie, ciepłe i wypełnione muzyką idealnie zgraną z rytmem mojego serca. Niestety po chwili AJ się odsuwa i zaczyna szukać barmana.

Od razu znika poczucie bezpieczeństwa i wydaje mi się, że znowu jestem całkowicie obnażona. AJ zamawia szoty, a David patrzy na mnie zranionym wzrokiem, czekając na jakieś wyjaśnienia. Mam kaca moralnego i nie chcę, żeby David był na mnie zły, więc znowu zaczynam z nim flirtować. Nadal siedzi obok AJ-a, z twarzą zwróconą w stronę telewizora. Biorę go w ramiona i daję całusa w policzek. Pyta mnie, czy jestem pijana, ale kłamię i odpowiadam, że nie. Wyjmuje telefon i zaczyna przeglądać wiadomości, które wysłał mi po południu. Widzę, że jest na mnie wkurzony, i zupełnie nie wiem, co powinnam zrobić.

– Za co pijemy? – AJ odwraca się w moją stronę, a David podaje mi szota nad jego ramieniem. – Wszystko u ciebie dobrze, stary? – pyta AJ Davida.

– Tak, po prostu miałem ciężki dzień w pracy – odpowiada David, ale ciągle siedzi ze wzrokiem wbitym w ekran.

– Aha, w takim razie tym bardziej powinieneś się napić. – AJ posyła mi promienny uśmiech, który od razu odwzajemniam, starając się wzbudzić w sobie odrobinę żalu, ponieważ zdaję sobie sprawę, że zachowując się w ten sposób, ranię Davida. Wlewam w siebie tequilę i paląca słodycz sprawia, że już nic mnie nie obchodzi. Odstawiam kieliszek i zamykam

oczy, po czym zaczynam się kołysać między kolanami AJ-a i zapominam o całym Bożym świecie.

David całuje mnie na pożegnanie. Wyciągam rękę, żeby go zatrzymać, ale on już jest za daleko. Zostaję sama z AJ-em. Czekałam na tę chwilę. Lucas gdzieś zniknął, a David się obraził. Mam przed sobą tylko blade oczy i ciemne brwi mojego adoratora. Czuję, że nic mnie nie powstrzyma przed rzuceniem się w otchłań.

AJ podaje mi kolejnego szota i patrzy na mnie, zagryzając dolną wargę. Wypijam tequilę jednym haustem i pochylam się, żeby go pocałować. Smakuje gorącym alkoholem, papierosami i cynamonową gumą do żucia. Jego ciepły, miękki język ślizga się po moim podniebieniu. Nagle ogarnia mnie panika. Jesteśmy w końcu w miejscu publicznym. Błyskawicznie się odsuwam i oblizuję usta.

Nadal tańczę w rytm głośnej muzyki. Lokal jest wypełniony po brzegi, ale z otwartych drzwi płynie strumień zimnego powietrza i dostaję na szyi gęziej skórki. Nie jestem się w stanie skupić na niczym innym niż na wędrujących pomiędzy moimi nogami dłoniach AJ-a.

– Przestań – mówię, starając się go odepchnąć. – Nie możemy robić takich rzeczy. W końcu mam chłopaka. Nie wolno.

– Czego nie wolno? Przecież ja nic nie robię. – Jego szelmowski uśmiech jest bardzo przekonujący, ale mimo to nie chcę, żeby ktoś widział nas obściskujących się przy barze.

– Nie możemy się tak zachowywać, AJ. Nie i już. – Przygryzam dolną wargę, dając mu okazję, żeby namówił mnie do zmiany zdania. – Tutaj nie będę się z tobą całować.

– A gdzie będziesz?

Robi sobie ze mnie jaja. Do wszystkiego ma taki sam stosunek.

– A tak w ogóle, to co robisz z Lucasem?

– Okłamuję go.

– Zbieramy się stąd. – Płaci rachunek i wychodzimy na ulicę.

– Dokąd?

– Do mnie.

– Nie, nie, nie. – Ciągnie mnie za rękę, ale ja się opieram jak pies na smyczy, który nie chce wracać do domu. – AJ, zrozum, naprawdę nie mogę...

– Bzdury. – Mocno mnie przytula i opieramy się o zamknięte żaluzje małego sklepu spożywczego. AJ przypiera mnie do zimnego metalu i zaczyna całować. Ma ciepłe usta, a wokół nas panuje straszny ziąb. Wpijamy się w siebie jak wygłodniali nastolatki.

Mijają nas przechodnie, ale mam to gdzieś. Podnoszę prawą nogę i owijam ją wokół jego bioder. AJ przytrzymuje mnie umięśnionym ramieniem i jeszcze mocniej wgniata w zasłoniętą witrynę.

Wiem, że mieszka w okolicy, ale nigdy nie byłam u niego w domu. Ruszamy chwiejnym krokiem przed siebie. Czuję się jak gwiazda filmowa osłaniana przed wścibskimi paparazzi przez potężnie zbudowanego ochroniarza.

Wtuleni w siebie przechodzimy przez obrotowe drzwi i stajemy w ogrzonym lobby. AJ wita się z nocnym portierem, od którego dowiadujemy się, że Jetsi przegrali. Nieśmiało się uśmiecham, świadoma, że nie powinno mnie tutaj być.

Wjeżdżamy na dwudzieste siódme piętro i AJ prowadzi mnie korytarzem do swojego mieszkania. W jednej ręce trzyma klucze, a drugą całą czas mnie obejmuje. Otwiera drzwi i wchodzimy do ciemnego przedpokoju, który pachnie drewnem osikowym.

Rozglądam się dyskretnie w poszukiwaniu sygnałów ostrzegawczych, jakichś śladów innych kobiet, czegoś, co sprawiłoby, że odwróciłabym się na pięcie i uratowała przed podjęciem katastrofalnej decyzji. Niestety, nic takiego nie zauważam. Wszędzie panuje porządek, przedmioty leżą na swoich miejscach, z wyjątkiem ręcznika kąpielowego przewieszzonego przez kierownicę roweru treningowego.

W zlewku stoi kilka kieliszków do wina. Wyteżam wzrok, żeby zobaczyć, czy któryś nie jest przypadkiem pobrudzony szminką. AJ zabiera mnie do salonu, pomaga zdjąć płaszcz i proponuje, żebyśmy usiadła na sofie, po czym puszcza moją rękę i podchodzi do lodówki.

– Chcesz się czegoś napić?

– Jasne. – Chyba nie powinnam łać w siebie więcej alkoholu, ale potrzebuję uspokoić nerwy.

Przynosi dwa heinekeny i siada bardzo blisko mnie. Pochyla się, bierze do ręki pilota, którego wcześniej nie zauważyłam, i włącza jakieś niewidzialne urządzenie. Po chwili w pokoju rozbrzmiewa muzyka The National. AJ opada plecami na sofę, przygniatając moje ramię do poduszki,

po czym kładzie mi dłoń na kolanie i zaczyna powoli sączyć piwo.

Jestem spięta i zdenerwowana, chociaż ze wszelkich sił staram się robić wrażenie opanowanej i seksownej. W barze u Nicka otaczał mnie hałaśliwy tłum, co dodawało mi pewności siebie, ale teraz jest cicho i nie ma niczego, co mogłoby mnie osłonić.

AJ patrzy przed siebie i słucha muzyki, ale ciągle gładzi mnie po udzie.

– Muszę się wysikać – mówię, ponieważ potrzebuję chwili dla siebie.

Pokazuje mi ręką, gdzie jest łazienka. Łapię torebkę i wychodzę. Wszystko jest na swoim miejscu: na półce stoją ustawione równo rolki papieru toaletowego, na małym stoliku leży starannie ułożony stosik czasopism, a w różnych miejscach widzę kilka otwartych flakonów wody kolońskiej tej samej marki.

Przeglądam się w lustrze, ale jestem tak pijana, że muszę kilka razy zamrużyć i dopiero wtedy potrafię stwierdzić, jak naprawdę wyglądam. Ścieram z twarzy drobinki tuszu do rzęs, po czym sięgam do torebki i wyciągam swój awaryjny zestaw do nocowania.

Zdejmuję buty i ściągam spodnie, żeby zmienić bieliznę na świeżą. Zawsze noszę przy sobie zapasową parę majtek. Nakładam korektor pod oczy i żałuję, że nie wzięłam czegoś w ciemniejszym kolorze. Boję się, że śmierdzą papierosami, więc wyciskam trochę pasty AJ-a na palec i wcieram w dziąsła. Robię siku, po czym z powrotem się ubieram.

Kiedy wracam do salonu, twarz AJ-a jest rozświetlona niebieskim blaskiem bijącym od włączonego telewizora. Uśmiecha się do mnie, a ja podchodzę do sofy, jednak zanim zdążę usiąść, łapie mnie za rękę i wskazuje na swoje kolana. Siadam na nim okrakiem, z twarzą zwróconą w kierunku ściany. Ściąga ze mnie sweter, a ja podnoszę jego ramiona i pomagam mu zdjąć koszulę. Mam wrażenie, że w tym momencie wszystkie moje troski lądują na podłodze obok rozrzuconych ubrań i poduszek.

AJ leży teraz na mnie, a w jego dłoni pojawia się prezerwatywa. Nawet nie widzę, jak ją zakłada, ponieważ za bardzo kręci mi się w głowie. W pewnym momencie w powietrzu szybuje puste opakowanie i czuję, że AJ jest już we mnie. Zamykam oczy i poddaję się narzuconemu przez niego rytmowi.

Myślę o Lucasie i zdaję sobie sprawę, że od ponad roku nie byłam naga w towarzystwie innego faceta. Od sapania robi mi się sucho w ustach, więc sięgam po butelkę heinekena. AJ całuje moje piersi i jeszcze mocniej mnie

przytula.

Wylewam większość piwa na sofę, ale udaje mi się zaspokoić pragnienie. AJ obejmuje mnie w pasie muskularną ręką, a drugą się podpiera. Porusza się rytmicznie, patrząc mi prosto w oczy. Zatracam się w jego spojrzeniu i mam wrażenie, że to najintensywniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznałam.

Ani na chwilę nie odwraca wzroku, a kiedy na jego skroniach pojawiają się kropelki potu, wydaje mi się to strasznie seksowne. Mój kochanek otwiera usta i ciężko oddycha, po czym wreszcie odrywa ode mnie spojrzenie i przyciska twarz do mojej szyi, a ja czuję, jak jego pot spływa mi po obojczyku.

5 GRUDNIA, 09.21

Siedzę w jednej z najmniejszych sal przeznaczonych na zajęcia grupowe i czekam na pierwsze spotkanie z psychiatrą. Wypiłam mnóstwo kawy, nerwowo zaciskam szczęki i pocą mi się ręce.

Mam bardzo jasne wyobrażenie na temat wyglądu osoby, która będzie mnie oceniać, i odliczam sekundy do jej przyjścia. Spodziewam się zobaczyć wysoką kobietę bez makijażu, z mocno kręconymi niefarbowanymi włosami, niezbyt starannie upiętymi w kok, tak że sterczą z niego spinki. Do tego trochę za duże okulary w rogowej oprawie, które w trakcie mówienia będą się ześlizgiwać po jej ogromnym nosie. Ubranie: golf z nieco za krótkimi rękawami, plisowana spódnica przypominająca zasłonę i wystające spod niej wielkie białe reeboki, które kupiła w 1992 roku.

Nie polubi mnie, ale uzna, że jestem świetną specjalistką. Nie spodobają jej się moje błyskotliwe żarty i stwierdzi, że mam dziwne poczucie humoru. Kiedy myślę o tej kobiecie i zastanawiam się, w jaki sposób będę się zachowywać w jej obecności, otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi mężczyzna.

Od razu czuję ulgę, ponieważ w towarzystwie facetów zachowuję się o wiele naturalniej. Na dodatek jest młody, chyba nawet młodszy ode mnie. Ma około trzydziestu pięciu lat i uroczo rozczochrane włosy. Wygląda na to, że miał problem ze znalezieniem sali i dlatego przyszedł lekko spóźniony. Wyraźnie zmęczony opada na krzesło i rozpakowuje płócienną torbę na ramię.

– Cześć. Nazywasz się Samantha, prawda? Ja jestem doktor Travis Young.

– Cześć, Travis. Wolę skróconą formę mojego imienia. Po prostu Sam. – Prawdopodobnie powinnam zwracać się do niego „doktorze Young”, ale tego nie robię.

– Okay. – Przez chwilę zajmuje się przekładaniem swoich rzeczy, a ja zdaję sobie sprawę, że jeśli poznałabym go w innych okolicznościach, od razu zaczęłabym z nim flirtować. – Dobrze. Zakładam, że wiesz, czym będziemy się zajmować, prawda?

– Tak jest. Czas na szampańską zabawę przy wypełnianiu testów

psychologicznych!

– Ha, ha, tak, mniej więcej o to mi chodziło. Zgodnie z nowymi regulacjami Stanowego Biura do spraw Zdrowia Psychicznego każdy pracownik klinik i szpitali takich jak ten musi być poddany ocenie okresowej przeprowadzonej przez odpowiednie podmioty zewnętrzne. Celem jest ustalenie, czy dana osoba jest zdolna do pracy z chorymi psychicznie. – Słyszę, że wypowiadał tę formułkę wiele razy i wyraźnie go to nudzi.

– Travis, mam do ciebie pytanie. Biorąc pod uwagę fakt, że zgodnie z prawem nie możesz nikogo zwolnić, to jaki jest sens w sprawdzaniu, czy wszystko z nami w porządku? Nawet jeżeli wyjdzie, że cierpię na jakieś zaburzenia psychiczne, to i tak nie będziesz mógł mnie wywalić z roboty. – Sama nie wiem, czy z nim flirtuję czy nie.

– No cóż, w zasadzie masz rację, ale w sytuacji, gdy ustalimy, że stanowisz zagrożenie dla siebie lub dla otoczenia, przełożony dostanie wyniki twoich badań wraz z rekomendacją pozbawienia cię dostępu do poufnych informacji i przesunięcia na stanowisko niewymagające kontaktu z pacjentami.

– Aha, czyli, krótko mówiąc, degradacja. – Szeroko się uśmiecham, starając się oczarować Trávisa i sprawić, żeby mnie polubił.

Zaczynamy od BDI, czyli skali depresji Becka, krótkiego narzędzia diagnostycznego, które ma wykazać, czy cierpię na zaburzenia nastroju. Wyobrażam sobie, że gdybym widziała ten formularz po raz pierwszy w życiu, wyglądałoby to zupełnie inaczej niż w sytuacji, w której sama go uzupełniałam i oceniałam setki razy przy rozmaitych mniej lub bardziej formalnych okazjach.

Obawiam się, że jako zawodowiec nie jestem w stanie udzielić odpowiedzi, które można by uznać za szczerą i uczciwą. Po prostu wiem za dużo i nie potrafię precyzyjnie określić tego, jak się czuję. Patrząc na poszczególne elementy kwestionariusza, doskonale zdaję sobie sprawę, jak zostały zbudowane, do jakich wniosków mają prowadzić, za co przyznaje się punkty, dlaczego pytania sformułowane są tak, a nie inaczej, i czemu wiele z nich jest do siebie bardzo podobnych. Chociaż jestem świadoma, że struktura testu wyklucza manipulację, nie umiem się powstrzymać przed wykorzystaniem swojej wiedzy. Świetnie się orientuję, które odpowiedzi wybierze ktoś cierpiący na depresję, a które osoba tryskająca szczęściem.

Trzymam w ręku świeżo naostrzony ołówek HB i skrobię nim po kartce. Travis od czasu do czasu na mnie spogląda, jak profesor podczas egzaminu,

ale poza tym siedzi z nosem w swoich papierach.

Przesuwam po stole wypełniony formularz i z nadzieją w oczach czekam na dalszy ciąg.

– Aha, już skończyłaś. Okay. Żeby zaoszczędzić czas, proponuję najpierw kilka krótszych testów. Będziesz je wypełniać, a ja znajdę wtedy chwilę na ocenienie tych, które już zrobiłaś. Zgoda? – Przerzuca dokumenty i podaje mi kopię nieco dłuższego kwestionariusza PDQ-4.

– Nie ma problemu. Powiedz mi, co mam robić, a ja się dostosuję. Chcę być bardzo dobrą pacjentką. – Niestety, mój uroczy uśmiech i przymilna poza nie robią na doktorze Youngu szczególnego wrażenia.

Nienawidzę PDQ-4. W Tyflos rzadko z niego korzystamy. Nie lubię go szczególnie dlatego, że wszystko w nim wygląda zbyt znajomo. Mam wrażenie, że jakiś dupek stworzył go specjalnie dla mnie. Składa się ze stwierdzeń, które wydają mi się zbyt wścibskie i za bardzo agresywne. Na przykład coś takiego: „Czasami czuję się wytrącona z równowagi”. Co ja mam, do cholery, odpowiedzieć? Fałsz? Nie, nigdy nie czułam się wytrącona z równowagi, szczególnie teraz, kiedy muszę rozwiązywać ten durny test. Przechodzę do kolejnych pytań i naciskam mocno ołówek, zakreślając kółeczka wokół literek P lub F.

Oddaję Travisowi test razem z arkuszem odpowiedzi, ale tym razem nie silę się na żadne uprzejmości. Bez słowa wręcza mi kolejny kwestionariusz. Siadam na krześle i czuję, że tylne nogi się chyboczą. Przesuwam się w przód i w tył, żeby sprawdzić, jak bardzo jest źle, i decyduję, że lepiej będzie znaleźć jakieś inne.

Wstaję i podchodzę do stojących w rzędzie krzesełek. Zaczynam nimi potrząsać i mocno walić w oparcia, żeby mieć pewność, że są stabilne. Wszystkie są mniej lub bardziej do niczego. Ostatnie wydaje się najsolidniejsze, więc ciągnę je po podłodze i stawiam przy krawędzi stołu. Siadam i pochylam się nad testem. Kątem oka obserwuję Travisa i widzę, że on również na mnie patrzy.

Mam przed sobą CPI, czyli California Psychological Inventory. Obowiązek wypełnienia tego kwestionariusza powinnam potraktować jako obrazę, ponieważ moim zdaniem CPI nie nadaje się do oceniania doświadczonych psychologów.

Nie mam jednak wyboru i brnę przez kolejne pytania, zaznaczając „prawda” lub „fałsz”. Ten test ma dotrzeć do najskrytszych zakamarków mojej psychiki, ale w głowie kołacze mi się ciągle ta sama myśl: co za dupek

to wymyślił! CPI jest dłuższy niż poprzednie kwestionariusze i jego rozwiązanie zajmie mi pewnie resztę czasu przeznaczanego na dzisiejszą sesję.

Podnoszę wzrok i widzę, że Travis ocenia testy, które zdążyłam już skończyć, jednak jego twarz niczego nie zdradza. Staram się skupić, żeby mieć ten głupi CPI z głowy i nie dać Travisowi czasu na wyrobienie sobie złego zdania na mój temat.

Podchodzę do biurka z wypełnionym arkuszem i widzę, że Travis rozłożył na blacie szablony z punktacją, żeby ułatwić sobie życie.

– Gotowe?

– Tak. – Znowu się uśmiecham, dając mu jeszcze jedną szansę, żeby mnie zauważył.

– Dziś po południu mamy kolejne spotkanie – informuje mnie spokojnym głosem. – Do tego czasu przejrzę to, co udało ci się zrobić, i będziemy mogli pogadać o wynikach, dobrze?

– Dobrze, w porządku. – Trudno mi uwierzyć, że dwie godziny przeleciały tak szybko. – Zatem do zobaczenia!

Po zakończonej sesji idę do swojego gabinetu, żeby ochłonać. Od wielu lat daję te same testy swoim pacjentom, ale kiedy sama muszę je wypełnić, czuję, jak gdyby ktoś prześwietlił mnie od środka i zostawił nagą na deszczu. Pytania zostały skonstruowane w taki sposób, żeby nie można było kłamać, i dlatego wbudowano w nie rozmaite mechanizmy, które mają za zadanie wykryć wszelkie niekonsekwencje. Teraz kierujemy te potężne soczewki na samych siebie i widzimy, że to wszystko jest naprawdę popieprzone.

– David! – Nie muszę nawet krzyczeć, żeby mnie usłyszał, ale chcę się z nim zobaczyć w cztery oczy.

– Taaak? – mówi, nie podnosząc głowy.

– Mógłbyś do mnie zajrzeć, proszę? – Wiem, że jest na mnie zły z powodu tego, co się stało w zeszły czwartek w barze u Nicka, więc muszę go jakoś udobruchać.

Nic nie odpowiada, tylko po chwili staje w moich drzwiach z kubkiem porannej kawy w ręku.

– O co chodzi?

– Uff, przesłam właśnie przez pierwszą część procedury lustracyjnej.

Psychiatra jest całkiem przystojny, ale czuję się, jak gdyby grzebał mi w duszy.

– To cudownie, Sam. Nie mogę się doczekać jutra, kiedy zrobi ze mną to samo. – David nawet nie próbuje się nade mną rozczulać, ponieważ zdaje sobie sprawę, że tego nie lubię.

– To jakiś pieprzony koszmar. Proponuję, żeby jak najszybciej zalać to okropne uczucie alkoholem.

– A nie masz dziś przypadkiem dalszego ciągu?

– Owszem, po południu. Nie mogę się już doczekać końca tej szopki – mówię i zaczynam grzebać w szufladach w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

– Muszę iść na sesję grupową. Co robimy z lunchem? – pyta i zbiera się do wyjścia.

– Nie wiem. Może mi coś przyniesiesz?

Zamyka drzwi, dziwnie się do mnie uśmiechając. Zastanawiam się, czy nadal nie może mi się oprzeć, czy może raczej chciałby mnie wyrzucić przez okno.

Na drzwiach łazienki dla personelu znowu widzę tabliczkę z napisem „Awaria”. Mimo to wkładam klucz do zamka i wchodzę do środka. Nie mogę sobie pozwolić na ryzyko pójścia do drugiej toalety i spotkania tam pacjentów. Nie chcę, żeby zobaczyli, jak stoję przed lustrem i doprowadzam się do ładu jak zwykła śmiertelniczka.

Zamykam za sobą drzwi i szczerzę się do lustra, żeby sprawdzić, czy nie mam między zębami ziarenka maku z bajgla, którego zjadłam przed spotkaniem z Travisem. Muszę przyznać, że wyglądam dzisiaj całkiem nieźle. Nie widzę żadnych „obrażeń”, które należałoby schować pod obrzydliwie grubą warstwą makijażu sprawiającego, że wyglądam, jakbym miała milion lat. Moje oczy nie są ani podpuchnięte, ani przekrwione, ponieważ nie miałam ostatnio napadu hysterii i nie jestem odwodniona z powodu nadużywania alkoholu. Podejrzewam, że mój plan spędzenia spokojnego weekendu, żeby dobrze przygotować się do badań, przyniósł pozytywne efekty.

Zaglądam do kabiny, żeby sprawdzić, czy klozet jest rzeczywiście zapchany albo popsuty. Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda w porządku, więc rozpinam spodnie, żeby się wysikać. Kucam i robię swoje, ale już po wszystkim nie spuszczam wody, ponieważ boję się, że z sedesu wyleją się nieczystości.

Z pokoju dla personelu biorę nie swój kubek i nalewam do niego świeżo zaparzonej kawy i dwa małe opakowania śmietanki. Zastanawiam, jak to możliwe, że taka śmietanka nigdy się nie psuje. Przecież inne wyroby mleczarskie trzeba przechowywać w lodówce.

Wracam do sali, w której odbywają się spotkania ewaluacyjne. Widzę, że Travis skończył ocenianie trzech porannych kwestionariuszy i jest przygotowany do kolejnego etapu. Na jego biurku pojawiła się plastikowa butelka Nalgene, wypełniona jednak nie wodą, ale jakimś mętnym płynem.

- Cześć, Samantha. Gotowa na dalszy ciąg?
- Tak, gotowa. Dziękuję.
- Świetnie. Chciałbym przejść do wywiadu.

Odchyłam się na krześle, ściskając w ręku kubek, po czym przysuwam go do ust i zaczynam dmuchać. Travis chciałby wiedzieć więcej o moim

dzieciństwie. Siedzi z jedną nogą założoną na drugą i spod nogawki ciemnozielonych sztruksów wystaje kawałek grubej skarpety.

– No cóż. Dorastałam poza Nowym Jorkiem, w małym miasteczku oddalonym o godzinę jazdy samochodem stąd. Od przedszkola do końca szkoły średniej chodziłam do prywatnych placówek edukacyjnych.

– A twój ojciec?

– Nigdy go nie poznałam. – Znowu dmucham, żeby ostudzić kawę. – Niewiele o nim wiem.

– Czy twoi rodzice kiedykolwiek wzięli ślub? – pyta, wyraźnie unikając kontaktu wzrokowego.

– Nie. Tak jak już mówiłam, naprawdę niewiele wiem o swoim ojcu. W dzieciństwie mama opowiadała mi różne historie, ale było w nich pełno sprzeczności i nie mam pojęcia, co jest prawdą, a co tylko jej wymysłem.

Travis zapisuje coś w swoim żółtym kołonoatniku i zastanawiam się, ile już zdążył się dowiedzieć na mój temat.

– Kontynuuj, proszę.

– Uhm, potem poszłam do Vassar College i...

– Okay, mam przed oczami twój życiorys. Chciałbym, żebyś opowiedziała mi więcej o swoim dzieciństwie, szczególnie o matce.

– No cóż, umarła, kiedy byłam w Vassar.

– Aha, bardzo mi przykro. – Standardowa reakcja psychiatry. Wcale nie jest ci przykro, Travis. Przecież właśnie to chciałeś usłyszeć.

– No tak, teraz jestem sierotą. Nigdy nie poznałam ojca, a matka odeszła z tego świata, kiedy miałam dwadzieścia lat. I zostałam sama.

– Jak umarła?

– Miała tętniaka. – Nienawidzę o tym opowiadać. Bezpośrednią przyczyną jej śmierci był ogromny wylew. Nawet kiedy o tym myślę, robi mi się niedobrze. Mieszkała samotnie w Newburgh, w domu, który dostała w spadku po rodzicach. Chyba była szczęśliwa albo przynajmniej takie odnosiłam wrażenie. Przyjaźniła się z sąsiadami i razem robili różne rzeczy, które robi się w małych miasteczkach: wymieniali się poradami dotyczącymi ogrodnictwa i przynosili sobie kosze ze szparagami albo koprem.

Często ją odwiedzałam po zajęciach, ale nie byłam w stanie mieszkać z nią pod jednym dachem. Po góra dwóch dniach byłam tak roztrzęsiona, że musiałam wracać na kampus albo jechać pociągiem do Nowego Jorku

i nocować u znajomych.

Kiedy zaczęłam college, powiedziała, że wyprowadzając się z domu i zostawiając ją samą, powoli ją zabijam. Od kiedy pamiętam, zatrzymała mi życie, a nigdy nie miałam innych wzorców tego, jak mogą wyglądać relacje międzyludzkie. Jej stosunek do świata był groźny i toksyczny. Myślałam, że każde dziecko, leżąc w nocy w łóżku, zastanawia się, czy rano jego matka będzie aniołem czy potworem. Okazało się, że nie jest to wcale normą.

– To musiało być dla ciebie bardzo trudne.

– Owszem. Na dodatek kiedy umierała, nie było mnie przy niej. Lekarze powiedzieli, że i tak nie mogłabym nic zrobić, ponieważ wylewu nie da się zatamować. Nie można jednak przejść nad czymś takim do porządku dziennego i dalej spokojnie żyć. To był pieprzony koszmar, a potem wcale nie zrobiło się kolorowo.

– Co masz na myśli, mówiąc, że „nie zrobiło się kolorowo”?

O mój Boże, a przecież na początku ten facet tak bardzo mi się spodobał. Teraz zachowuje się jednak jak karykatura typowego psychiatry. Równie dobrze mógłby założyć tweedową marynarkę z zamszowymi łatami na łokciach i zacząć palić fajkę.

– Chodzi mi o to, że zapanował kompletny chaos. Mama od dawna nie pracowała, ale udało jej się wmówić całemu otoczeniu, że jej sytuacja finansowa jest całkiem przyzwoita, tymczasem w rzeczywistości tonęła w długach. Żeby spłacić zobowiązania i zorganizować przyzwoity pogrzeb, trzeba było szybko sprzedać dom i to dużo poniżej wartości rynkowej. Musiałam skremować ciało, ponieważ nie starczyło pieniędzy na wykupienie miejsca na cmentarzu. Mama nie poczyniła żadnych przygotowań na wypadek swojej śmierci i nie sporządziła nawet testamentu, więc zgodnie z przepisami dostałam wszystkie jej rzeczy. To był kompletny szmelc, który poszedł za bezcen na wyprzedazy garażowej, zorganizowanej, jeszcze zanim pozbyłam się domu. Poczułam się, jakby matka po raz ostatni powiedziała mi: „Pieprz się!”, a byłam tylko dwudziestoletnim dzieciakiem, który ciągle nie do końca ogarnia rzeczywistość. Tak więc nie było szczególnie kolorowo.

– Czy zawsze łączyła was trudna relacja?

– Travis, przeprowadzasz badania psychologiczne, którym muszą się poddać wszyscy pracownicy tego szpitala. Wyniki wyślesz do BZP i tam zostaną podjęte decyzje o ewentualnych zmianach kadrowych. Czy naprawdę potrzebujesz pikantnych szczegółów dotyczących mojej więzi

z matką w czasach, kiedy byłam dzieckiem? – Co za wścibski dupek!

– No cóż, jesteś jednym z dwóch zatrudnionych w tym ośrodku psychologów i zakładam, że doskonale znasz narzędzia badawcze, z których korzystałam podczas naszej porannej sesji. Teraz staram się ustalić, dlaczego uzyskałaś tak wysoką punktację, jeśli chodzi o większość kryteriów na osi II, typ B.

– Co takiego? – Prostuję się na krześle. – Zaburzenia osobowości?

– Owszem. Tak wyszło we wszystkich kwestionariuszach.

Tak jak w każdy bezproduktywny wtorkowy poranek Richard kładzie swoją czapkę na leżącym na rogu mojego biurka stosie gazet, po czym wybiera jedną i skupia uwagę na wybranym artykule. Poziom mojej frustracji sięga zenitu, a zdolność do tolerowania takiego zachowania jest jeszcze niższa niż zwykle. Właśnie dowiedziałam się, że cierpię na zaburzenia osobowości, a przynajmniej tak wynika z testów. Nie jestem w stanie w to uwierzyć. Czuję się potraktowana niesprawiedliwie, ponieważ te dupki z BZP postanowiły pogrzebać w moim prywatnym życiu i przez wszystkie nerwy z tym związane nie potrafię nawiązać odpowiedniej relacji z pacjentem.

Chociaż Richard zaczął ze mną rozmawiać, nadal nie mam pojęcia, dlaczego trafił do naszego ośrodka. Chciałabym dobrze wykonywać swoją pracę i w jakiś sposób dotrzeć do wnętrza tego nieprzeniknionego faceta. Spoglądam w stronę leżącej na biurku prawie pustej teczki pacjenta i otwartych na ekranie komputera niewypełnionych formularzy. Szanse na to, że akurat dziś będzie miał ochotę ze mną współpracować, są naprawdę niewielkie. Z każdym tygodniem czuję się coraz bardziej bezużyteczna.

– Richard – mówię tonem, którym trener zwraca się do swojego najlepszego zawodnika, żeby go zmotywować. – A może zajęlibyśmy się wypełnianiem dokumentów?

– Jestem w tym szpitalu już od dość dawna. Nie udało ci się uzyskać ode mnie wszystkich niezbędnych informacji? – Robi niezadowoloną minę.

– No właśnie nie. Na dobrą sprawę nie udzieliłeś odpowiedzi na żadne moje pytanie i nadal nie mam jasności co do celów twojej terapii.

– Moje cele są takie same jak pozostałych pacjentów. – Z powrotem wbija wzrok w gazetę i z niezadowoleniem wzdycha, ponieważ musi znaleźć fragment, na którym skończył.

– Czyli jakie? Czego inni oczekują od terapii? – Biorę do ręki ołówek, żeby zapisać to, co powie.

– Robią to, bo zależy im, żeby stąd wyjść. – Kolejna całkowicie bezużyteczna odpowiedź.

– Okay, ale najlepszą metodą na opuszczenie murów tej instytucji jest współpraca z terapeutą. Na początek powinieneś pomóc mi zrozumieć,

dlaczego w ogóle się tutaj znalazłeś. – Wskazuję na leżące przede mną papiery.

– Sama nie potrafisz tego wywnioskować? Nie jesteś przypadkiem jednym z najlepszych specjalistów w tym szpitalu? Ciągłe słyszę, jak inni pacjenci wychwalają cię pod niebiosa i opowiadają, jaka jesteś wspaniała. Na pewno masz więc wystarczające zdolności poznawcze, żeby się zorientować, dlaczego tutaj jestem.

Co za dupek!

– Nie potrafię czytać w umysłach innych ludzi. Jestem tylko psychologiem. Nie mogę zrobić prześwietlenia i zajrzeć do twojego mózgu. Potrzebuję twojej pomocy.

– No cóż, myślałem, że jesteś najlepsza. Wydawało mi się, że przynajmniej ty będziesz w stanie udzielić mi wsparcia.

Po wczorajszych oskarżeniach Trávisa słowa Richarda brzmią równie niesprawiedliwie i sprawiają mi nie mniejszy ból. Mam ochotę wbić mu ołówek w oko.

Oglądam twarz w lustrze wiszącym w łazience mojego chłopaka. Przyciemnione lampki sprawiają, że wygląda się w nim całkiem korzystnie, szczególnie tak wcześnie rano. Mimo to zauważam na czole zmarszczki, których wcześniej nie było, a dolny rząd moich perfekcyjnie równych zębów wydaje się nieco krzywy. Ślady, które zostawia na mojej głowie Lucas, zakrywam zwykle swoimi gęstymi włosami, a stłuczenia na żebrach i biodrach chowam pod ubraniem. Dziś rano widzę jednak, że na prawej skroni pojawił się zarys siniaka, a po drugiej stronie też się coś wykluwa, ale na szczęście nieco wyżej i przy odpowiedniej fryzurze zasinienie pozostanie niewidoczne.

Mam puderniczkę ze specyfikiem do maskowania tatuaży. W Tyflos leczyła się kiedyś makijażystka, która pracowała wcześniej w branży filmowej. Zakochała się po uszy w jakiejś gwiazdzie, ale on ją zupełnie olał. Przeżyła załamanie nerwowe i rzuciła się z mostu. Trafiała do nas po czterech miesiącach rehabilitacji, podczas której uczyła się od nowa chodzić i mówić. Opowiadała mi o sztuce makijażu i mogłam podpatrzeć, jak maskuje własne blizny. Dostałam od niej specjalny puder w trzech różnych kolorach: jasny na długie zimowe miesiące i dwa ciemniejsze, których używam, kiedy jestem opalona. Najczęściej muszę je wymieszać na dłoni, żeby uzyskać odpowiedni odcień.

Ustawiam mocniejsze światło, żeby zobaczyć wszystkie niedoskonałości. Na skroniach rosną mi jasne włoski i muszę uważać, żeby ich nie pobrudzić ciastowatą masą, ponieważ wtedy zabiegi upiększające staną się za bardzo widoczne. Nie mogę uwierzyć, że znowu to się wydarzyło i po raz kolejny robię to samo, jednak jestem głęboko przekonana, że jeśli będę wystarczająco silna, ten koszmar wkrótce się skończy. Lucasowi bardzo na mnie zależy, tylko nie potrafi panować nad swoimi emocjami. To nie jego wina. Powtarzam sobie w myślach te kłamstwa, zapuszczając do oczu krople z tetryzoliną, żeby nie było widać śladów łez, po czym usuwam brud spod paznokci.

Lucas jeszcze śpi, a ja jestem już ubrana do pracy i gotowa do drogi. Na blacie stoi ekspres do kawy. Wiem, że codziennie rano robi sobie espresso, więc wychodząc z mieszkania, wyciągam wtyczkę z kontaktu.

7 GRUDNIA, 12.27

Siedzę w tej samej sali, w której miałam rozmowę ewaluacyjną z Travisem, i czekam na nowego psychiatrę. Tym razem nie mam siły, żeby włączać odpowiednie mechanizmy obronne: jestem wyczerpana i myślę tylko o tym, żeby stąd wyjść i wypalić pół paczki papierosów w zaciszu swojego mieszkania. Czuję, że mam ciężkie powieki. Kiedy walczę ze snem, do pokoju wchodzi doktor Brooks.

To kobieta, ale poza tym w niczym nie przypomina osoby, którą wyobrażałam sobie w poniedziałek. Doktor Jean Brooks jest wyjątkowo drobna, wygląda jak czwartoklasistka. Sprawia wrażenie o wiele lepiej zorganizowanej od Trávisa i w ogóle pomija oficjalny wstęp. Jestem od niej dużo większa i to, że mam odpowiadać na jej intymne pytania, wydaje mi się komiczne.

Doktor Brooks uważnie czyta dokumenty, które dostała w poniedziałek od swojego kolegi. Zastanawiam się, czy już podjęła decyzję i uznała mnie za beznadziejny przypadek cierpiący na zaburzenia osobowości. Od czasu do czasu chrząka, wydając z siebie przy okazji trochę dziwny pisk. W pewnym momencie otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmienia zdanie i przysuwa papiery jeszcze bliżej, żeby poddać je gruntowniejszej analizie. Na jej twarzy maluje się na przemian zainteresowanie i konsternacja. Mam wrażenie, że rozszyfrowanie notatek Trávisa jest zadaniem trudnym, ale jednocześnie intrygującym. Jestem pewna, że doktor Brooks nie popełni tego samego błędu co Travis i nie uzna mnie za osobę z problemami psychicznymi.

– Tak więc – odzywa się wreszcie – rozumiem, że w tym tygodniu przeszła już pani przez pierwszą serię testów. Jak poszło?

– Całkiem nieźle.

– Okay, w porządku. Doktor Young zajmuje się zazwyczaj różnymi kwestionariuszami, a kiedy zbierze już wyniki, przechodzimy do drugiego etapu, podczas którego przeprowadzam rozmowy i wywiady.

– Tak. W poniedziałek Travis pytał mnie już o moje dzieciństwo.

– Aha... – Wyraźnie nie wie, co zrobić z faktem, że mówię o jej koledze, używając tylko jego imienia. – W takim razie dzisiaj będziemy kontynuować. Przejrzałam notatki doktora Younga, więc nie ma chyba sensu

poruszać tych samych tematów, zwłaszcza jeśli uważa pani, że niektóre szczegóły są nieistotne.

– A pani zdaniem śmierć mojej matki jest nieistotna? – Przed tym spotkaniem powinnam wypalić paczkę papierosów.

– Nie, ale nie będę tego drażnić, jeśli nie ma pani na to ochoty. Jestem zwolenniczką usystematyzowanego podejścia do wywiadu psychologicznego. Czy mogłabym zacząć? Jeśli pani chce, w połowie sesji zrobimy dziesięciominutową przerwę.

– W porządku, pani doktor. – Siedzę na krzeselku z pulpitem. Przede mną stoi kawa i butelka wody, a obok leży rozkład dzisiejszych zajęć oraz kilka spinek, które wyjęłam sobie z włosów. Wyprostowałam nogi i skrzyżowałam je w kostkach. Założyłam też dłonie za szyję, splotłam palce i rozpostarłam łokcie. W tej pozycji bolą mnie plecy, ale chcę zrobić wrażenie wyluzowanej i nonszalanckiej. Nie mam zamiaru dać się sklasyfikować. Nie pasuję do żadnej szufladki.

– Doktor Young zanotował, że była pani wychowywana tylko przez matkę, która umarła, gdy poszła pani do college’u. Zgadza się?

– Tak.

– Czy kiedykolwiek poddała się pani terapii lub zgłaszała się po pomoc do psychologa? – Trzyma długopis nad żółtym kołonoratnikiem, gotowa do zanotowania złotych myśli, które za chwilę wypłyną z moich ust.

– Kiedy robiłam doktorat, musiałam przejść przez dwuletnią terapię. To była obowiązkowa część programu studiów, ale na pewno pani o tym wie.

– Jestem psychiatrą i na akademii medycznej nie było takiego wymogu, ale owszem, zdaję sobie sprawę, jak to wygląda. Czy wcześniej lub później miała pani jakiegokolwiek kontakty z terapeutami lub psychiatrami?

Widzę, że jest podenerwowana. Narodziło się między nami coś w rodzaju rywalizacji, ale naprawdę nie mam ochoty się w to angażować.

– W pierwszej klasie ogólniaka szkolny psycholog polecił mi wizytę w poradni, ponieważ byłam jednym z niewielu uczniów wychowywanych w tak zwanej niepełnej rodzinie. Mama się zgodziła i przez jakiś czas chodziłam do miejscowego psychiatry. Nie pamiętam, jak długo to trwało, ale myślę, że kilka miesięcy.

– Jak wyglądały sesje?

– Pamiętam, że niezależnie od tego, z czym przyszłam i na jakie tematy chciałam pogadać, lekarz zawsze tak kierował naszą rozmową, żeby

dyskutować o moim ojcu. Jego zdaniem wszystkie złe rzeczy, które przytrafiły mi się w życiu, były związane z brakiem męskiego autorytetu. Cały czas powtarzał, że potrzebuję ojca, którego rzecz jasna nie miałam. Zaproponował zupełnie nierealistyczne rozwiązanie. Wtedy zorientowałam się, że jestem od niego mądrzejsza i wybiegłam z gabinetu.

– Wybiegła pani z gabinetu?

– Znaczący, próbowałam, bo okazało się, że za drzwiami jest łazienka, a nie korytarz. Udało się dopiero za drugim razem. Na dodatek zapomniałam wziąć kurtki. To nie był dobrze przemyślany plan.

– Świetnie pamięta pani szczegóły, chociaż od tego wydarzenia minęło już dwadzieścia lat.

– Dwadzieścia trzy. – Nie próbuj ze mną tak pogrywać, doktorku. – To między innymi dlatego zostałam psychologiem.

– Z powodu tego lekarza? Czemu?

– Poczułam, że w tym zawodzie potrzebni są ludzie kompetentni i niepozbawieni empatii.

– I uznała pani, że spełnia te kryteria?

– Właśnie tak.

– Co się później stało? – Doktor Brooks nie wygląda na szczególnie rozbawioną.

– Po tym, jak wyszłam z gabinetu? Lekarz skontaktował się z moją matką i próbował nakłonić mnie do kontynuowania terapii.

– Zrobiła to pani?

– Ja nie, ale ona tak.

– Pani matka?

– Tak, poszła do niego zamiast mnie. Zaczęła się z nim spotykać i rozmawiali o problemach, z którymi się rzekomo borykałam. Bardzo sprytnie i niezwykle skutecznie oddzieliła siebie i swoje zachowanie od moich kłopotów i zrzuciła całą winę na zaginionego ojca, który nawet nie mógł się bronić, ponieważ był w dużej mierze wytworem jej chorej wyobraźni – wyjaśniam coraz nieprzyjemniejszym tonem, opierając się o cienki pulpit. – To właśnie chciała pani usłyszeć?

– A pani właśnie to chciała powiedzieć?

Nienawidzę psychiatrów.

Po zakończonej sesji przytrzymuję drzwi i kiedy doktor Brooks wychodzi z sali, czuję się przy niej jak wielkolud. Przez chwilę mam ochotę wyrwać jej z ręki dokumenty i porzucić po całym pokoju tak, żeby pomieszały się arkusze z odpowiedziami.

Z rozpaczki robimy czasami naprawdę dziwne rzeczy.

Czuję wibracje telefonu i kiedy widzę, że to SMS od AJ-a, pocą mi się dłonie, jakbym była rozemocjonowaną nastolatką. Napisał, że tęskni, i dodał całą serię dwuznacznych emoji. Wszystko, co robi, ma jakiś podtekst erotyczny, ale muszę przyznać, że za każdym razem to na mnie działa. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, że nasza powierzchowna relacja polega na wymianie płynów ustrojowych i komunikowaniu się prawie wyłącznie za pomocą idiotycznych piktogramów. Oddaję się marzeniom, ale już po chwili słyszę pukanie do drzwi.

– Sssssammmm, to ważny dzień i muszę z toobą pooogadać. – Eddie naciska kławkę i wślizguje się do mojego gabinetu.

– W porządku, Eddie. – Chowam telefon do szuflady i próbuję zapomnieć o swoich fantazjach. – Mam trochę czasu, ale niedługo czekają na mnie ważne obowiązki. Proszę, wejdź do środka. Znajdę dla ciebie piętnaście minut. Co ty na to? – Zbyt wiele razy go zbywałam i jestem mu coś winna.

– Tttakkkk, Ssssammmm... Dziękkkkujjjjęęęę.

Wchodzi do mojego pokoju, szurając nogami, i sadowi się na krześle dla pacjentów, po czym zdejmuje brudną bejsbolówkę i kładzie ją na ugiętym kolanie. Wygładza włosy po jednej stronie głowy, jakby zależało mu na dobrej prezencji. Kiedy już dostanie to, na czym mu zależy, czyli w tym wypadku trochę mojego czasu i odrobinę uwagi, z jego głosu znika desperacki ton, a wypowiedane słowa zaczynają brzmieć w miarę normalnie.

– Dlaczego to dla ciebie szczególnie dzień, Eddie?

– Bo wypada rocznica.

– Naprawdę? Rocznica czego? – pytam, pijąc spokojnie kawę.

– Dziesięć lat temu zacząłem się spotykać z moją dziewczyną.

– Nie wiedziałam, że byłeś w poważnym związku. Opowiedz mi coś więcej.

– Bardzo, bardzo trudno mi poruszać teraz ten temat – stęka i kręci głową.

– Masz z nią jakiś kontakt?

– Nie, ona już nie żyje.

– Och, przepraszam. Nie wiedziałam, że umarła.

Eddie wierci się na krześle i odkłada czapkę na parapet, po czym przysuwa się bliżej i zaczyna swoją opowieść:

– Od bbbbardzo dawna cierpiała na depresję. Czasami całymi dniami, a nawet tygodniami nie wstawała z łóżka. Nic nie robiła, nawet nie czytała książek, tylko leżała i oglądała zdjęcia z dzieciństwa, a ja nie potrafiłem jej pomóc. Miała cccciienki sssstosik takich fotografii. Brała je po kolei do ręki i po prostu ppppatrzyła. Obok stała mała lampka, na którą zarzucała swój szalikkkk. Światło w pokoju robiło się pomarańczowe, a moja dziewczyna leżała i pochłaniała wzrokiem stare odbitki.

Eddie znowu się kręci i próbuje wygodniej usadowić. Pochyliła się do przodu, opiera łokcie na kolanach, spuszcza głowę i jeszcze raz wygładza włosy.

– Wtedy chodziłem do pracy i późno wracałem do domu. Przez większość dnia była więc sama. Mieliśmy małe mieszkanie na Brooklynie, a ona wstawała z łóżka tylko po to, żeby pójść do łazienki. Nic nie jadła i była strasznie wychudzona. Nie miałem czasu się nią zająć, bo tyrałem w miejskich zakładach komunikacyjnych MTA i pod ziemią nie działała mi komórka. Moja dziewczyna nie miała żadnej pracy i siedziała w domu.

– Kiedy to było? – Znam Eddiego od dość dawna, a nigdy nie słyszałam tej historii.

– Zanim tu trafiłem, czyli jakieś osiem lat temu. A może nawet więcej. Dokładnie nie pamiętam. W każdym razie to musiało być przed tym, jak się poznaliśmy, a pracujesz tu od sześciu lat.

– Zgadza się. Byłeś w Tyflos przede mną i zawsze zachowywałeś się wobec mnie bardzo serdecznie.

Eddie jest dumny ze swojego długiego stażu.

– Ty także, Sssam. Cieszę się, że z nami jesteś. Jednak wracając do tematu, pracowałem wtedy w MTA i pod ziemią nie miałem zasięgu. Szefowie kontaktowali się ze mną przez krótkofalówkę, ale moja dziewczyna nie miała takiego urządzenia, więc była straszliwie samotna.

– Jak się nazywała?

– Allison, Allisssssson, Allisssson i Eddie – wyśpiewuje jej imię.

– Ładnie.

– No. Była naprawdę fajna, ale niestety miała ciężką depresję. Cały czas drzemała, a kiedy wracałem do domu i chciałem z nią porozmawiać, nie miała na nic ochoty i czuła się strasznie zmęczona. To dlatego, że za mało

jadła i szybko opadała z sił. Brakowało jej też świeżego powietrza. Gotowałem obiady, ale kiedy przynosiłem Allison jedzenie do łóżka, ona już spała.

– Co dla niej gotowałeś? – Czasami szczegółowe pytania pomagają obudzić wspomnienia z przeszłości.

– Zzzzupę z puszki. W zasadzie tylko ją podgrzewałem, bo nie mieliśmy kuchni z prawdziwego zdarzenia, tylko przedpokój z małą lodówką, przenośną kuchenką elektryczną i kilkoma szafkami na naczynia i sztucce. Był też niewielki zlew. Jednak musiałem sam jeść tę zupę, bo moja dziewczyna nie chciała. Później przez jakiś czas było trochę lepiej. W miarę regularnie rozmawiała przez telefon z jednym doktorem i dostawała od niego lekarstwa. W drodze do domu odbierałem je z apteki. Podchodziłem do lady i prosiłem o leki dla Allison Swift. Płaciłem tylko dziesięć dolarów, bo przysługiwała mi częściowa refundacja z Medicaid. Dzięki tym prochom Allison nie spędzała już całych godzin, gapiąc się na zdjęcia. Zdarzało się nawet, że kiedy przychodziłem z pracy i podgrzewałem dla niej zupę, jeszcze nie spała. Czasami rozmawialiśmy i wspólnie jedliśmy posiłek.

– O czym rozmawialiście? – Naprawdę interesuje mnie ta historia, chociaż Eddie często działa mi na nerwy. Nie podoba mi się, że muszę zajmować się nie swoim pacjentem, ale mam do niego słabość. Mimo wszystko znajduję dla niego czas i chcę mu jakoś pomóc.

– Kiedy zaczęła brać leki i jeść zzzzupę, pojawił się temat ślubu. Powiedziała, że kiedy za mnie wyjdzie, na pewno lepiej się poczuje. Jej stan się poprawiał i nie zawsze wracałem do domu zaraz po wyjściu z pracy. Czasami chodziłem do jubilera i oglądałem pierścionki zaręczynowe. Niektóre były zrobione ze złota i ozdobione wielkim diamentem, a inne ze srebra, z małymi brylancikami. Niestety kosztowały mnóstwo pieniędzy, więc mogłem tylko popatrzeć.

Bezwiednie łapię się za palec serdeczny lewej ręki i zaczynam się nim bawić.

– Po takich rozmowach wydawało mi się, że jej ssstan się ppppoprawia. Czuję, że muszę zdobyć dla niej pierścionek. Starłem się oszczędzać i brać nadgodziny, ale praca w MTA to ciężka harówka. Allissson siedziała w domu i nie była w stanie nic robić, więc to ja płaciłem rachunki i z trudem wiązaliśmy koniec z końcem. Dostawała co prawda jakąś marną rentę, ale z forszą było naprawdę krucho, a trzeba przecież jeść coś więcej niż tylko zupę. Wreszcie powiedziałem, że planuję się z nią zaręczyć.

Eddie się odwraca i zdejmuje czapkę z parapetu, po czym wygładza włosy i zakłada ją na głowę. Po chwili wstaje z krzesła, żeby podciągnąć spodnie i z powrotem siada.

– Tak więc pewnego dnia poszedłem do jubilera i kupiłem pierścionek za dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów. Był ze zzzzzłota, ale w złym rozmiarze. Sprzedawca powiedział, że to nie problem, bo łatwo da się go zmniejszyć. Miał na środku pojedynczy brylant osadzony na czymś, co wyglądało jak rożek do lodów. Leżał w wyściełanym pudełeczku ze srebrnym napisem „Tony’s” i ppięknie błyszczał. Przyniosłem go do domu i schowałem w szafce na najwyższej półce, żeby Allison nie mogła go znaleźć. Wiedziałem, że kiedy się zaręczymy, wszystko będzie lepiej, ale musiałem trochę poczekać. Zbliżała się nasza druga rocznica i chciałem, żeby to się stało w ten szczególny dzień. Celowo nie rozmawiałem z moją dziewczyną o ślubie, bo bałem się, że za bardzo się podekscytuję i puszcze farbę. Niestety jej stan się pogorszył. Znowu zakryła lampę szalikiem i zaczęła oglądać zdjęcia. Przestała też jeść zupę. Liczyłem, że poczuje się lepiej, kiedy dostanie ode mnie pierścionek. Od rocznicy dzieliło nas naprawdę niewiele. Nasz szczególny dzień był już tuż-tuż. Jak na złość okazało się, że musiałem wtedy iść do pracy. Wcale nie miałem na to ochoty, bo wiedziałem, że Allison ucieszyłaby się, gdybym został w domu. Podczas lunchu dowiedziałem się od szefa, że dzwoniła moja komórka, a w pracy nie wolno nam było prowadzić prywatnych rozmów telefonicznych. Powiedziałem, że to pewnie jakaś sytuacja awaryjna. Szef twierdził jednak, że w takich wypadkach dzwoni się bezpośrednio do biura. Uznałem, że może mieć rację. Wracalem do domu jak na skrzydłach. Chciałem sprawić Allison niespodziankę, bo byłem pewien, że jej stan niewątpliwie się poprawi.

Opowiadając o tym, Eddie aż podskakuje na krześle z podniecenia. Kładę rękę na jego kolanie, żeby go uspokoić, i delikatnie kiwam głową.

– Po powrocie do mieszkania wyjąłem pierścionek z szafki i wytarłem go z kurzu, żeby pięknie się świecił, po czym poszedłem do sypialni, ale drzwi były zamknięte. To dziwne, bo moja dziewczyna nigdy nie zamykała drzwi. Nacisnąłem na klamkę i wszedłem do środka. Tak jak zwykle leżała na łóżku, więc zrobiłem krok do przodu, żeby ją obudzić, ale ona nawet nie drgnęła. W ogóle się nie ruszała. Zauważyłem, że na stoliku obok lampy walają się puste opakowania po lekach i stoi butelka po jakimś alkoholu. Odłożyłem pierścionek i dotknąłem szyi Allison, żeby sprawdzić puls, ale niczego nie wyczułem.

Eddie opuszcza głowę i zaczyna płakać, a łzy skapują na jego brudne adidasy. Z rozpaczy ciągnie za mankiety koszuli i zakrywa sobie nadgarstki.

Nagle orientuję się, że w jego historii było coś dziwnego. Ani słowem nie wspomniał o tym, że ciało Allison było zimne. Za każdym razem, gdy słyszałam podobną opowieść, ludzie wspominali o tym niepokojącym doznaniu. Byli przerażeni, gdy odkrywali, że skóra ich ukochanej osoby jest lodowata. Eddie nic takiego nie powiedział.

W pewnym momencie sięga do kieszeni, żeby pokazać mi zdjęcie Allison. Patrzy na mnie wymownie mokrymi oczami i podaje mi wymiętą fotografię Reese Witherspoon z czasów, gdy miała brązowe włosy i grała w filmie *Spacer po linie*.

Mam na sobie za wysokie obcasy i ledwie jestem w stanie chodzić. Stawiam drobne kroczki i zginam nogi jak welociraptor. Lucas maszeruje zbyt szybko i wcale nie ma ochoty zwolnić. To on kupił mi te buty i nalegał, żebym dzisiaj je założyła. Wczepiam się w jego ramię, starając się za nim nadążyć, a on pędzi po nierównym chodniku w stronę swojego domu.

To była dziwna kolacja. Lucas rzadko zabiera mnie do knajpy, kiedy wychodzi razem ze swoimi znajomymi z pracy. Nie zdawałam sobie sprawy, że potrafi zrobić przed nimi taką pokazówkę. Trzymał jedną dłoń pod stołem i miętosił mi rękę albo udo. Kiedy chciał, żebym w odpowiednim momencie wybuchła śmiechem lub z przekonaniem potwierdzała jego kłamstwa, naprawdę mocno mnie ścisnął. Kończyło się na tym, że raczej piszczałam, niż się śmiałam, a na moim prawym udzie, pod cienkimi rajstopami, mam teraz czerwone ślady po jego palcach.

– Nie uważasz, że nieźle nam dzisiaj poszło? – mówię, starając się utrzymać równowagę. Mam wrażenie, że zimne powietrze zamrozi mi zęby.

– Gówno prawda. Wcale nie było dobrze. – Wyszarpuje się z mojego uścisku i rusza przed siebie jeszcze szybszym krokiem. Zbliżamy się do jego domu. Prześwity w drzwiach obrotowych są wystarczająco szerokie, żeby zmieściły się dwie osoby, ale Lucas pakuje się do środka beze mnie. Muszę więc sama pchać ciężkie skrzydło, a następnie speszona i cała w nerwach przebiec świńskim truchtem obok portiera, który pozdrawia mnie skinieniem głowy i ciepłym uśmiechem. Z trudem łapiąc oddech, doganiam Lucasa przy windzie. Mój chłopak wślizguje się do otwartej kabiny i nie ma zamiaru na mnie czekać. Wyciągam rękę i macham torebką, żeby zadziałały czujniki. Sukces: drzwi się otwierają i mogę wejść do środka. Lucas udaje, że mnie nie widzi. Kilka razy niecierpliwie wali w guzik i winda wreszcie rusza do góry. Chwytam poręcz i zdejmuję buty, po czym zaczynam podskakiwać, żeby odzyskać czucie w zmarzniętych nogach i rozprostować obolałe stopy.

– Załóż z powrotem te pieprzone szpilki, Sam. Ciągłe jesteśmy w miejscu publicznym. Dlaczego w ogóle siebie nie szanujesz? – warczy, nie patrząc mi w oczy, tylko wbijając wściekłe spojrzenie w buty, które trzymam w ręku.

Nie mam wyboru i muszę je z powrotem założyć. Kiedy dojeżdżamy na właściwe piętro, mija mnie bez słowa i stawiając wielkie kroki, rusza

w stronę swojego mieszkania. Na całe szczęście, potrzebuje trochę czasu, żeby wyjąć klucz i wsunąć go do zamka, więc w ostatniej chwili udaje mi się dokuśtykać do drzwi i wemknąć do środka.

Lucas rozwiązuje krawat i zaczyna chodzić tam i z powrotem po pokojach. Doskonale wiem, co się święci. Zdejmuję buty i ściągam rajstopy, żeby się nie ślizgać po podłodze. Słyszę, jak mój chłopak coś do siebie mruczy, krążąc między kuchnią a łazienką. Zrywa z siebie różne części garderoby i wrzuca kostki lodu do szklanki. Maverick ucieka w popłochu i chowa się za dużą donicą. On także zdaje sobie sprawę, co się zaraz stanie.

Staram się ułożyć w głowie różne zdania, które mogłyby uspokoić Lucasa. Kiedy otwieram usta, żeby coś powiedzieć, podchodzi do mnie i chwytam mnie w pasie. Wiem, że wcale nie chce zrobić mi krzywdy. Jestem świadoma, że gdybym tylko potrafiła lepiej spełniać jego potrzeby, nie działałabym mu tak bardzo na nerwy. Nagle ściska mnie jeszcze mocniej i wywraca na podłogę. Kiedy upadam, trzeszczy skórzana spódnica i słyszę, jak materiał rozdziera się gdzieś w okolicach suwaka. Wyciągam ramiona w obronnym geście i staram się wcisnąć między klozet a ścianę, ponieważ tylko tam mój chłopak nie będzie w stanie mnie dosięgnąć. Przekłada szklankę z drinkiem z prawej do lewej ręki i uderza mnie otwartą dłonią w ucho. Czuję piekący ból i zaczyna mi dzwonić w głowie. Jeszcze bardziej się kulę i wciskam głęboko w róg, zrzucając z uchwytu papier toaletowy. Lucas wymierza jeszcze trzy ciosy w to samo miejsce. Tak mocno napieram na uchwyt, że świecący chromowany metal przecina skórę na moim obojczyku. Zaciskam pięści i zamykam oczy, gotowa na kolejne uderzenie. Jednak cios nie nadchodzi. Słyszę natomiast zgrzyt zapalniczki i czuję zapach dymu papierosowego. Na razie koniec.

Maverick wybiega ze swojej kryjówki i wskakuje mi na kolana. Siadam na podłodze, żeby zrobić mu miejsce. Jest ciągle niespokojny i z desperacją liże mnie po twarzy i szyi. Kiedy Lucas staje w progu łazienki, przytulam do siebie Mavericka, ponieważ wiem, że mój chłopak nigdy nie skrzywdziłby swojego psa. Rzucił w moją stronę worek z lodem, patrzy, jak przykładam go do skroni i powoli wypelzam z kąta. Opuszczam deskę klozetową i siadam na sedesie, cały czas trzymając Mavericka na kolanach. Lucas kuca obok mnie, opierając się plecami o ścianę. Odstawia drinka na podłogę i zaczyna masować moje łydki lewą ręką, a w prawej ciągle trzyma papierosa. Zastanawiam się, czy być może od czasu do czasu nie należy mi się takie lanie i że w gruncie rzeczy nie zasługuję na chłopaka, który kupuje mi szpilki Manolo Blahnika i zabiera na kolację do Four Seasons.

Sesje z Travisem i doktor Brooks sprawiły, że częściej myślę o swoim dzieciństwie. Zastanawiam się, w jakim stopniu moja przeszłość została zmodyfikowana przez późniejsze doświadczenia i jak wiele z tego, co pamiętam, naprawdę się wydarzyło.

Myślę, że przez cały czas doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, co robiła moja matka. Wiedziałam, że jest chora i niewydolna, jednak miałam wystarczająco dużo siły, żeby się jej przeciwstawić. Nie pozwoliłam, żeby mną pomiatała i wydawała mi rozkazy. Zaglądam w wyobraźni do domu, w którym się wychowywałam, i obserwuję sceny z dzieciństwa, interpretując wszystko przez pryzmat mojej dzisiejszej wiedzy o zaburzeniach psychicznych. Staram się widzieć przeszłość w jaśniejszych barwach, nie jestem w stanie dłużej nosić związanego z nią ciężaru.

Kiedy wchodzę do sali, w której mam prowadzić zajęcia grupowe, czuję na sobie wzrok czekających na mnie pacjentów i cały czas mam w głowie żywe, bolesne wspomnienia z dzieciństwa.

– Witam was. Cieszę się, że tu jesteście. – Przyglądam się poszczególnym twarzom i zdaję sobie sprawę, że nie wszystkie są znajome. – Widzę, że mamy kilku nowych uczestników. Może po kolei się przedstawimy? Zacznę od siebie. Nazywam się doktor Sam James, ale możecie do mnie mówić Sam. Pracuję w Tyflos jako psycholog. Lucy, teraz ty.

Lucy siedzi na samej krawędzi krzesła, z podwiniętą spódnicą, spod której wystają przyklejone do niebieskiego plastiku różowe pośladki. Opiera się całym ciężarem na pulpicie i ma podkurczone nogi. Przedstawia się, lekko kręcąc głową:

– Nazywam się Lucy. Od jakiegoś czasu jestem tutaj pacjentką. Lubię sesje prowadzone przez Sam, bo można mówić prawdę i nie ma się z tego powodu nieprzyjemności. – Na jej twarzy pojawia się szeroki głupkowaty uśmiech. Na tylnych zębach ma przyklejoną zieloną gumę do żucia.

Po kolei przedstawiają się pozostali uczestnicy zajęć, ale brakuje im entuzjazmu i zaangażowania Lucy. Zwykle podają tylko swoje imię. Dowiaduję się, że dołączyli do nas nowi pacjenci, ponieważ nie mieli dokąd pójść, więc znajomi i współlokatorzy przyprowadzili ich do mnie.

– Dzisiaj porozmawiamy o rodzinie. Ostatnio dużo myślałam na ten

temat. Rodzina stanowi istotną część tego, kim jesteśmy, i kształtuje naszą tożsamość. Ten wpływ zaczyna się jeszcze przed naszymi narodzinami i trwa przez całe życie. Czy ktoś chciałby opowiedzieć nam o swojej rodzinie?

Kiedy zaczynam tego rodzaju dyskusje, czasami boję się, że otwieram puszkę Pandory i historie, które za chwilę usłyszę, mogą być zbyt traumatyczne. Staram się jednak przekonać samą siebie, że takie wyznania czemuś służą, a podzielenie się przykrymi doświadczeniami jest lepsze niż tłamszenie ich w środku.

– Kto pierwszy? – nalegam.

Pacjenci spoglądają po sobie, wierząc się na krzesłach.

– Wiem, że pewnie jestem w tym gronie wyjątkiem, ale dorastałem w szczęśliwej rodzinie. Mieszkaliśmy w przytulnym małym domku, mieliśmy psa i żółwia. Zarówno ojciec, jak i matka mieli pracę. Naprawdę dobrze się dogadywaliśmy. – To nowy pacjent, którego imienia nie jestem sobie w stanie przypomnieć. Ma wyjątkowo szczupłą twarz, a jego szerokie uszy odstają od czaszki jak otwarte drzwi samochodu.

– Moja mama świetnie gotowała – kontynuuje. – W weekend zawsze piekła chleb z mąki kukurydzianej, a ja kłóciłem się z młodszą siostrą, do kogo będzie należał ostatni kawałek. Kiedy się sprzeczałyśmy, pojawiała się babcia. Zakradała się po cichu i niepostrzeżenie zjadała to, co zostało. Mieszkała w tym samym domu i zajmowała się nami, kiedy rodzice byli w pracy. Moje dzieciństwo to był bardzo przyjemny czas.

– Dziękuję, że podzieliłeś się z nami swoimi wspomnieniami. Wygląda na to, że dorastałeś w przyjaznym otoczeniu. Chciałabym usłyszeć podobne historie od innych pacjentów. Przepraszam, mógłbyś przypomnieć swoje imię?

– Paul.

– Dziękuję. Czy ktoś miał szczęśliwe dzieciństwo tak jak Paul? – Rozglądam się z nadzieją, ale tak naprawdę nie liczę, że zobaczę las rąk.

– Tak, u mnie było podobnie – mówi June. – Mieliśmy mało pieniędzy, a tata spędzał dużo czasu w pracy, ale wszyscy byli dla siebie mili i w domu panował spokój. Nigdy nie dochodziło do żadnych dramatycznych sytuacji.

June jest chora na schizofrenię. Kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych pierwszy raz przepisano jej leki przeciwpsychotyczne, dostała tak zwanej dyskinezyi późnej. To przerażający efekt uboczny, który nieodwracalnie

prowadzi do mimowolnych ruchów mięśni: palce zamieniają się w szpony, wykrzywia się twarz, język się płacze i opada szczęka. June ma trudności z poruszaniem się: wykonuje niekontrolowane ruchy, jej kończyny ciągle drgają, a szyja przekrzywia się na lewą stronę tak, że jej ramię niemal dotyka ucha.

Zwykle nosi za duże męskie koszule, których nie zapina, żeby zasłonić powykręcane ciało. Trudno mi sobie wyobrazić sytuację, w której musiałabym zdecydować, czy nadal brać leki, czy też je odstawić. To wybór między zdrowym ciałem a zdrowym umysłem. June jest w Tyflos prawie tak długo jak ja i nigdy nie słyszałam, żeby się skarżyła.

– Wiem, że zawsze opowiadamy o tym, jak jest nam ciężko. Dorastaliśmy na ulicy, nie mieliśmy grosza przy duszy, nikt nam nie pomagał, więc żeby sobie poradzić, musieliśmy się prostytuować i handlować narkotykami. Jednak w moim przypadku wcale tak nie było. – To Susan. Siedzi obok Tashawndry i zapewne zdaje sobie sprawę, że jej wypowiedź świetnie opisuje życie koleżanki. Położyła dłoń na jej kolanie, żeby Tashawndra nie poczuła się urażona. Pod wpływem wspomnień niektórzy pacjenci kulą się na krzesłach.

– Pochodzimy z rozmaitych środowisk, prawda? – mówi Stephen. – W gruncie rzeczy nie można przewidzieć, kogo dotknie choroba psychiczna, a kto będzie zdrowy. Mój ojciec był alkoholikiem, a matka cierpiała na dwubiegunówkę. W moim domu panowały złość, frustracja i rozczarowanie. Zawsze znalazł się ktoś, kto mnie dołował. Nie można dorastać w takiej atmosferze i wierzyć, że nie wyrze to na ciebie żadnego wpływu. Nie da się wyjść z brudnego domu i myśleć, że jest się czystym. Ja i mój brat skończyliśmy tak samo jak nasi starzy. I nasi dziadkowie. Mówi się, że nałóg to rodzinna choroba. Tak samo jest z dolegliwościami psychicznymi. Jeśli nie znajdziesz jakiegoś sposobu, żeby z tym walczyć, wcześniej czy później zachorujesz, bo masz to w genach. – Stephen opowiada swoją historię z podniesionymi rękami, jak gdyby się poddawał. Kiedy mówi, często kręci głową i wzrusza ramionami.

– Poszedłem do college'u i zdobyłem dobre wykształcenie, ale to wcale nie powstrzymało rozwoju choroby. Możesz się dowiedzieć wszystkiego na temat psychozy maniakalno-depresyjnej: wiesz, skąd się bierze i na czym dokładnie polega, ale i tak nie uda ci się jej powstrzymać. Założę się, że jestem w tej kwestii równie kompetentny jak wszyscy tutejsi lekarze, lecz i tak nie potrafię sobie pomóc. – Na koniec zrezygnowany splata ramiona na piersi. Inni pacjenci gapią się na niego szeroko otwartymi oczami, jak gdyby

wreszcie coś zrozumieli i stanęli twarzą w twarz z rzeczywistością. Ogarnia mnie strach. Kiedy moje wyniki trafią do BZP i zostanie wydany bezwzględny wyrok, nie będę mogła dłużej wtapiać się w tło. Czuję, jak ściska mnie w gardle, i żeby się nie udusić, muszę napić się kawy.

Sid wyciera kontuar w miejscu, w którym stały zroszone szklanki z jackiem daniel'sem i colą. Dzisiaj wieczorem nie jest szczególnie rozmowny i w sumie dobrze się składa, ponieważ ja również nie mam ochoty na pogaduszki. Z głośników leci świąteczna muzyka, a sala udekorowana jest lampkami, girlandami i wieńcami z ostrokrzewu. Ten wystrój sprawia, że czuję się jeszcze mniejsza i bardziej samotna niż przed wyjściem z domu. Żeby się uspokoić, potrzebowałam gwarnej barowej atmosfery. Po opróżnieniu w samotności butelki czerwonego wina włożyłam na spodnie od piżamy płaszcz, wsunęłam adidas i przydreptałam do Nicka. Niestety, nie ma tu nikogo z moich znajomych. Mam wrażenie, że w zwykły dzień tygodnia przychodzą tutaj tylko studenci, przypadkowi goście i żałosne moczymordy takie jak ja.

– Sid, dałbyś mi trochę oliwek koktajlowych? – Jestem głodna, ale nie mam siły przejść na drugą stronę ulicy, żeby kupić kanapkę albo kawałek pizzy, więc po raz kolejny przekąska odgrywać będzie rolę prowizorycznego posiłku. Sid stawia przede mną szklankę wypełnioną tłustymi zielonymi oliwkami oraz kolejnego drinka. Sięgam po plik serwetek i wyciągam z torebki długopis. W głowie kłębią mi się rozmaite myśli i czuję, że muszę je zapisać po to, by lepiej zrozumieć, co się ze mną dzieje. Zastanawiam się nad prowadzonymi przeze mnie raz w tygodniu zajęciami dla osób uzależnionych. Jakie aspekty naszego życia niszczy nałóg? Życie zawodowe, życie domowe, relacje międzyludzkie, samopoczucie, zdrowie psychiczne... Odhaczam wszystko w myślach, a potem zapisuję na serwetce.

Nadal mam problem z nakłonieniem niektórych pacjentów do mówienia. Okłamywałam Rachel, twierdząc, że czynimy postępy, lecz tak naprawdę Richard nie dał mi żadnego punktu zaczepienia i nie dopuszcza mnie do swojej przeszłości. Obserwuje mnie badawczym wzrokiem. Kiedy siedzi w moim gabinecie, mam wrażenie, że ciągle jestem na cenzurowanym, a przecież zawsze świetnie sobie radziłam z takimi przypadkami. Rachel liczy, że uda mi się jakoś dotrzeć do jego psychiki, ale ja nie potrafię tego zrobić. Minęło już sześć tygodni, od kiedy samozadowolenie i zbytnia pewność siebie zgubiły Gary'ego i Richard trafił pod moje skrzydła. Jednak teraz stało się jasne, że ja również jestem bezradna. Nie wyobrażam sobie jednak, że ktoś mógłby mnie zastąpić. Gdyby Rachel przekazała Richarda w ręce innego specjalisty, którego uznałaby za bardziej kompetentnego, nie

byłabym w stanie tego znieść. W końcu to ja jestem najbardziej kompetentna! Muszę się dowiedzieć, dlaczego Richard trafił do Tyflos.

Sid pochyła się nad kontuarem i uśmiecha się do mnie szeroko, błyskając swoim końskim uzębieniem.

– Jeszcze raz to samo czy coś innego?

Patrzę na swoją szklankę i widzę, że jest pusta.

– No cóż, wydaje mi się, że w ogóle nie lejesz do tych drinków whisky, więc poproszę piwo i szota. – Uśmiecham się do niego uroczo z nadzieją, że nie widzi, jak bardzo jestem wstawiona.

– Kochanie, w tym, co wypijaś, prawie nie było coli. Jameson i miller lite?

– Dobrze mnie znasz – mówię i wracam do swojej listy.

Moje życie domowe i relacje międzyludzkie: od czego mam zacząć? Moje życie domowe ogranicza się do kupowania alkoholu, ostrego picia i wnoszenia butelek. Czasami biorę prysznic i zjadam jakiś posiłek, który przyniosę z knajpy w papierowej torbie albo plastikowym pudełku. Do tego karton papierosów tygodniowo i duże ilości advilu. Tak to właśnie wygląda. Zbliży się Boże Narodzenie, a ja nie mam rodziny, dla której mogłabym kupić prezenty. Nie mam też żadnego powodu, żeby wziąć się w garść i zrobić wrażenie na gościach, którzy przyjdą na wystawny świąteczny obiad.

Na domiar złego muszę się jeszcze szarpać z Lucasem. Nie jestem w stanie mu się przeciwstawić i w gruncie rzeczy nigdy go nie zmienię, więc szukam fizycznego zaspokojenia u AJ-a, a David daje mi emocjonalne wsparcie i poczucie intelektualnej bliskości. Gorączkowo zapisuję myśli na rozpadającej się serwetce. W pewnym momencie podnoszę wzrok i przypadkowo widzę w lustrze swoją zatroskaną twarz. Nie jestem w stanie uwierzyć, że wydusiłam z siebie tyle prawdy. Jest tego nawet aż za dużo. Wypijam whisky, zgniatam serwetkę i wrzucam ją do pustej szklanki.

Pływająca na dnie resztką alkoholu zaczyna wsiąkać w papier i niszczyć moje zapiski. Nie chcę być artykułem jednorazowego użytku. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł mnie zastąpić. Pragnę być potrzebna, chociaż wyraźnie widzę, że w każdym aspekcie życia odniosłam wiele porażek. Tylko w pracy są jeszcze ludzie, którzy mogą na mnie polegać, ale chyba tylko dlatego, że mi za to płacą. Niestety, nawet ten atut wyslizguje mi się z rąk. Już wkrótce raport BZP ujrzy światło dzienne i wszyscy

poznają prawdę.

Lucas tak naprawdę wcale mnie nie potrzebuje. Jestem dla niego workiem treningowym, a tę rolę może pełnić każda inna kobieta. Podejrzewam, że AJ nawet nie wie, jak brzmi moje nazwisko, i traktuje mnie jak gumową lalkę do pieprzenia. David lepiej by sobie poradził beze mnie i oboje doskonale zdajemy sobie z tego sprawę. Potrzebują mnie tylko moi pacjenci, którzy nie mają innego wyboru i wierzą, że jestem wystarczająco kompetentna, opanowana i rzetelna, żeby ich obronić przed nimi samymi. Potrzebuje mnie Eddie, Tashawndra, a nawet Richard.

W wiszącym za barem lustrze widzę, że mam załzawione oczy i rozdziawione usta. Kątem oka dostrzegam minę patrzącego na mnie Sida i zdaję sobie sprawę, że powinnam już iść do domu. Wyciągam z kieszeni płaszcza kilka banknotów i wtykam je pod pusty kufel. Wkładam do ust jeszcze jedną oliwkę, żeby pozbyć się smaku alkoholu i chwiejnym krokiem ruszam w stronę wyjścia. Posyłam Sidowi całusa i staram się na siłę uśmiechać. Na zewnątrz jest ciemno i zimno. Wkładam ręce do kieszeni. Natrafiam na zapisane wcześniej serwetki. Ściskam je spoconymi dłońmi z nadzieją, że wilgoć przesiąknie przez papier i zamaże beznadziejnie żalotne słowa, które opisują moje życie.

12 GRUDNIA, 15.23

Siedzę na blacie biurka w sali zajęć i czekam, aż zejdą się wszyscy uczestnicy. Mam zamiar tak poprowadzić sesję, żeby sprytnie wydobyć z Richarda potrzebne mi informacje. Dzisiaj mam grupę mieszaną, składającą się ze starych i nowych pacjentów cierpiących na różne zaburzenia psychiczne. Lubię te zajęcia, ponieważ chorzy, którzy zrobili wyraźne postępy, spotykają się z tymi, którzy dopiero szukają inspiracji. Można się tutaj również zetknąć z odmętami szaleństwa, które nam grozi, jeśli zejdziemy z właściwej ścieżki.

Pod krzesłem Richarda leży starannie ułożony stosik gazet, a on sam siedzi odchyłony lekko do tyłu z nogami skrzyżowanymi w kostkach i dłońmi splecionymi na brzuchu. Widzę, że miejsce obok niego zajęła Adelle. Trochę to dziwne, ponieważ podczas zajęć grupowych Richard zawsze zostawia między sobą a innymi uczestnikami przynajmniej jedno wolne krzesło. Nagle dociera do mnie, że już od jakiegoś czasu widuję Richarda w towarzystwie Adelle.

Pacjentka ma na nogach sandały ortopedyczne i cienkie beżowe skarpetki. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami i rękami złożonymi na podołku. Jej laska opiera się o stojące obok krzesło. Adelle jest ubrana w puszysty fioletoworóżowy kardigan i wygląda jak typowa babcia z telewizyjnych seriali komediowych. Zastanawiam się, co sprawia, że Richard ją toleruje.

Do sali wchodzi kilkoro spóźnialskich i zajmują swoje miejsca. Czas zaczynać.

– Dzień dobry! Witam was na dzisiejszych zajęciach. Zaczniemy od wspólnego omówienia postępów w realizacji założonych celów. Chciałabym jednak zauważyć, że mamy w naszym gronie stosunkowo nowych uczestników, którzy jak do tej pory nie określili tego, co chcieliby osiągnąć... – Wbijam wzrok w Richarda, ale on udaje, że tego nie widzi. – Chodzi o to, żebyście mieli rozeznanie, gdzie się obecnie znajdujecie i jaka droga dzieli was od upragnionego celu. – Z jakiegoś powodu moje słowa wzbudziły entuzjazm i od razu kilka osób podniosło ręce, żeby zacząć dyskusję.

– Okay, Jenni. Chcesz być pierwsza? – pytam, lekko się uśmiechając.

– Moim celem jest nauczenie się, w jaki sposób trzymać się z daleka od heroiny i dokonywać lepszych wyborów, jeśli chodzi o facetów. – Jenni

wyglasza swoje oswiadczenie, jak gdyby mówila przez megafon. Jest wyraźnie zadowolona, że ma tak jasno zdefiniowany zestaw zadań do wykonania.

– A jakie decyzje dotyczące mężczyzn kiedyś podejmowałaś? – pytam, starając się nakłonić ją do dalszych zwierzeń.

– Złe. W zasadzie to była ciągle jedna i ta sama zła decyzja i dotyczyła wszystkich facetów, których spotkałam w życiu. Wydawało mi się, że mogę im coś dać i nie jestem wystarczająco silna, żeby odejść, kiedy przestawali mnie dobrze traktować. – Słucham tych słów z wielką przyjemnością. Jenni musiała dołączyć do grupy wsparcia dla kobiet i zaczyna odkrywać, że jest wartościową osobą.

Zerkam na Richarda i widzę, że patrzy znad okularów na Jenni. W pewnym momencie orientuje się, że jest obserwowany i posyła mi znaczące spojrzenie.

– Kto następny?

Kilku pacjentów podnosi ręce i opowiada swoje historie. Co jakiś czas rzucam okiem w stronę Richarda i Adelle. Okazuje się, że reagują dokładnie w ten sam sposób: albo kiwają z aprobatą głowami, albo krzywią się, odwracają i przestają słuchać, gdy uznają, że opowieść jest banalna lub nieprawdziwa. Czyżby się ze sobą zaprzyjaźnili?

– Adelle – mówię, starając się rozbić ten sojusz – chciałabyś opowiedzieć nam o swoich celach? – Kątem oka obserwuję reakcję Richarda. Rzuca mi gniewne spojrzenie, ale milczy i nie wykonuje żadnego ruchu.

Adelle przez dłuższą chwilę na mnie patrzy, jakby zastanawiała się nad pytaniem, po czym lekko kręci głową. Richard, widząc ten odmowny gest, odwraca się w moją stronę, unosi brwi i posyła mi złośliwy uśmiešek. Równie dobrze mógłby mi pokazać język i zagrać na nosie. Pierdol się, myślę. Najwyraźniej stara się ochronić swoją koleżankę, tylko nie mam pojęcia, przed czym. Kiedy kończymy zajęcia, nadal ich obserwuję i widzę, jak Richard podaje Adelle laskę i pomaga jej wstać z krzesła, po czym powoli idzie za nią w kierunku drzwi, grzecznie się kłania i uchyla czapki, a Adelle znika w głębi korytarza. Jej zachowanie pozostaje dla mnie zagadką.

Wracam do swojego gabinetu, zastanawiając się, w jaki sposób Adelle przekonała do siebie Richarda i przebiła się przez twardą skorupę do jego wnętrza. Kiedy docieram na miejsce, znajduję wsunięty pod drzwi liścik. Zamieram ze strachu. Przed oczami stają mi spotkania ewaluacyjne

prowadzone przez psychiatrów z BZP i zaczynam podejrzewać, że wyszły na jaw wszystkie moje tajemnice. Z obawą podnoszę kartkę z podłogi.

Gdy rozkładam złożony na trzy arkusz papieru listowego z logo szpitala, wypada z niego samoprzylepna karteczka. W środku znajduję napisaną grubym czarnym markerem wiadomość od Davida: „Znalazłem tę karteczkę na korytarzu. Jest na niej twoje imię, więc uznałem, że należy do ciebie. Postaraj się nie zostawiać prywatnych rzeczy poza biurem. Wiesz, jacy są pacjenci”. Podpisane wielką literą D. Schylam się, żeby sięgnąć po zgubę, ale widzę, że karteczka nie należy do mnie i nie odkleiła się od żadnego z moich bloczków. Pasek z klejem zdążył wyschnąć i jest pobrudzony szarą farbą drukarską. Na drugiej stronie widnieje moje imię, mój adres i numery dwóch różnych linii metra, którymi można dojechać z Tyflos do mojego mieszkania. To nie jest moje pismo. To nie jest moja karteczka.

14 GRUDNIA, 19.11

Wracam z pracy i zastaję w swoim mieszkaniu Lucasa. Od razu się orientuję, że jest pijany. Na stoliku kawowym stoi kilka butelek z etykietami skierowanymi w stronę sofy. Mój chłopak siedzi w koszuli i samej bieliźnie, a reszta ubrań leży na stołku barowym.

Jestem trochę zdziwiona, ponieważ Lucas ma usta ubrudzone czerwonym winem, a na blacie widzę tylko butelki po piwie. Obok leżą dwie paczki papierosów i stoi wypełniona niedopałkami popielniczka, której nie jestem w stanie rozpoznać. Lucas ogląda *Pulp Fiction*. Nie słyszy, jak wchodzę do mieszkania, więc celowo trzaskam drzwiami, żeby się zorientował.

– Cześć, kochanie! Gdzie byłeś? Czekam na ciebie z utęsknieniem! – mówi, wyrzucając w górę ramiona i kołysząc nimi w prawo i w lewo, jak gdyby naśladował ruch morskich fal.

– Nie byłeś dzisiaj w pracy? Dlaczego jesteś taki nawalony? – pytam i odkładam klucze na szafkę.

– Nieprawda. Prawie nic nie piłem. Po prostu cieszę się, że cię widzę! Chodź do mnie! – Wyciąga ręce, żeby mnie objąć, ale ja podchodzę do krzesła, zrzucam ciuchy Lucasa na podłogę i wieszam na oparciu swój żakiet. Wszystko widzi, ale nic nie mówi, tylko nadal głupio się uśmiecha. Mam ochotę zwymiotować mu prosto na twarz.

– Słuchaj, miałam koszmarne tygodnie w pracy i nie jestem w nastroju do bycia twoją niańką, więc proszę, weź się w garść. – Siadam na drugim końcu sofy, ponieważ nie chcę, żeby mnie dotykał.

– Kochanie, świetnie się czuję. Wcale nie musisz się mną opiekować. Może masz ochotę na piwo? Albo lampkę wina? Właśnie odkorkowałem butelkę. Chyba nie masz nic przeciwko. Wiem, że lubisz wino, więc przyniosłem ci w prezencie. – Idzie do kuchni, objajając się o meble, i wraca z flaszką, w której zostało nie więcej niż pół kieliszka. Na krawędzi popielniczki leży ćmiący się papieros. Podnoszę go i zaczynam palić. – Chcesz kieliszek czy może od razu całą butelkę? Ha, ha... Tylko żartuję. Zaraz przyniosę szkło.

Po kolejnym wyjątkowo męczącym dniu na oddziale nie mam siły, żeby znowu szarpać się z tym dupkiem, więc rozsiadam się wygodnie na sofie i rozkoszuję tytoniem. Zaczynam fantazjować o AJ-u. Czasami wydaje mi

się, że wydychając dym z płuc, pozbywam się zgromadzonych w ciągu dnia negatywnych emocji. Lubię też dmuchać w środek wiszącej w powietrzu siwej chmury i patrzeć, jak się rozwiewa. Palenie to szkodliwy nałóg, ale jest w nim coś niezwykle oczyszczającego.

Lucas zaczyna się kołysać i wiem, że w jego głowie odzywają się głosy. Widzę, jak powoli następuje zmiana. Mój chłopak przestaje być zwykłym koleśkiem na rauszu i staje się agresywnym dupkiem. Niestety, już za chwilę puszcza wszelkie hamulce i dojdzie do katastrofy. Przygotowuję się na atak. Lucas opiera się jedną ręką o drzwi, lekko się chwiejąc, a w drugiej trzyma papierosa. W jego głowie pojawiła się jakaś uporczywa myśl, ale stara się ją odgonić. Na stole obok niego widzę w połowie pustą butelkę wódki Tito's oraz wypełniony po brzegi kieliszek. Siedzę na sofie i sącząc chablis, uważnie obserwuję swojego chłopaka.

– Od jak dawna pijesz?

Kiedy Lucas jest wstawiony, robi się opryskliwy i arogancki.

– Nie twój zasrany interes.

Odwracam wzrok, żeby nie sprowokować awantury, ale wiem, że i tak zaraz się zaczniesz.

– Jesteś tak samo pijana jak ja. Poza tym to ty codziennie wlewasz w siebie mnóstwo alkoholu, a potem nie jesteś w stanie znaleźć kluczy, urywa ci się film i zasypiasz w korytarzu. Więc nie mów mi, kurwa, kto tu za dużo pije.

– Nic takiego nie powiedziałam. Wydzierasz się na mnie zupełnie bez powodu.

– Naprawdę? Powodów jest od groma. Zamieniasz się we własną matkę. Muszę patrzeć, jak się staczasz, i chce mi się rzygać. Cały czas przesiadujesz u Nicka z tymi wszystkimi facetami, non stop chlejesz i odpalasz jednego papierosa od drugiego. Niby jesteś moją dziewczyną, a zachowujesz się jak dziwka. – Trzyma teraz w ręku butelkę, a kieliszek stoi przy drzwiach.

– Zachowuję się jak dziwka? Sam umawiasz się z prawdziwymi kurwami, a mnie nazywasz dziwką?

– No cóż, może gdybyś była lepszą dziewczyną, nie musiałbym tego robić.

– Wiesz co, wynoś się! Wypierdalaj stąd! Przecież nawet tu nie mieszkasz! Przyłazisz bez zaproszenia i wypijasz mój alkohol. Wynocha! – Podrywam się z sofy i wskazuję palcem na drzwi. Nie chcę go widzieć na

oczy. Mam przecież wystarczający szacunek do samej siebie, żeby oczekiwać właściwego traktowania.

– Co takiego? Mam na sobie tylko bieliznę! Nigdzie nie idę.

– Zakładaj spodnie i spływaj. Nie mam zamiaru tu siedzieć i słuchać, jak wyzywasz mnie od dziwek. A przecież tyle dla ciebie zrobiłam! Opiekuję się tobą, kiedy jesteś chory. Przymykam oko na to, że umawiasz się z prostytutkami. Toleruję prochy i inne gówno. A ty zachowujesz się jak ostatni fiut. Nie masz do tego prawa! Powinieneś całować ziemię, po której stąkam! Złamany kutas! Kanalia! I pieprzony kłamca!

Rusza w moją stronę z wyciągniętymi rękami. Przygotowuję się na odparcie ataku, ale on przyciąga mnie do siebie i obejmuje. W ten sposób chce mnie przekonać, żebym pozwoliła mu zostać.

– Nie dotykaj mnie i wynoś się stąd. – Odpycham go i robię krok w tył, żeby znaleźć się poza jego zasięgiem. Nagle wyrywa mi papierosa z ręki. Niedopałek turla się pod stół kawowy, zostawiając na parkiecie brudny ślad. Lucas chwyta mnie spoconymi dłońmi za ramiona. Czuję kwaśny zapach z jego ust. W kącikach zebrała mu się ślina i podejrzewam, że znowu brał narkotyki. Nie mam w sobie wystarczająco dużo siły, żeby wyrzucić go za drzwi. Nie szanuję samej siebie i nie mówię, żeby przestał wpijać palce w moją skórę, chociaż wiem, że rano będę miała siniaki. Nie obchodzi mnie własny los i nie biorę telefonu, żeby zadzwonić na policję i powiedzieć, że mój chłopak zaraz mnie uderzy.

Lucas ściska mnie coraz mocniej. Na ekranie telewizora widzę scenę z *Pulp Fiction*, w której Samuel L. Jackson opowiada o tym, jak stara się być pasterzem.

Kiedy mój chłopak rzuca mną o ścianę, myślę o poczuciu bezpieczeństwa, które daje mi David.

Kiedy w oczach Lucasa pojawiają się łzy i mówi, że wcale nie chciał zrobić mi krzywdy, myślę o AJ-u.

Kiedy bierze do ręki butelkę i wylewa wódkę na swoją koszulę, myślę, że mogłabym mieć inne życie.

Kiedy podnosi z podłogi wciąż tłącego się papierosa, myślę o koszu na śmieci, który stoi w moim gabinecie.

Kiedy wycieram łzy z oczu, a on uderza mnie w twarz tak mocno, że dzwoni mi w uszach, myślę o Richardzie.

AJ szcztokuje zęby w łazience, a ja leżę w łóżku i rozglądam się po jego sypialni. Moją uwagę przyciągają dwa okna i wyjątkowo miękka pościel, ale poza tym to chyba najbardziej anonimowa sypialnia, jaką kiedykolwiek widziałam. Jednak wcale mi to nie przeszkadza, ponieważ zdaję sobie sprawę, że nie powinno mnie tutaj być.

Kiedy po wybuchu agresji Lucas zapalił papierosa, wiedziałam, że zaraz sobie pójdzie. Zawsze tak robi po tym, jak straci nad sobą kontrolę. Był cały spocony, z trudem łapał oddech i ubierał się, nie wyjmując peta z ust, po czym zarzucił na ramię marynarkę i wyszedł z mieszkania, zostawiając mnie zakrwawioną w łazience. AJ szybko odpowiedział na mój SMS i zaprosił do siebie. Wzięłam gorący prysznic i nałożyłam maskujący makijaż. W porannym świetle nie widać opuchlizny, a rozpuszczone, potargane włosy dobrze zasłaniają siniaki.

AJ wchodzi do pokoju, trzymając w rękach dwie szklanki i dzbanek.

– Lubisz margaritę? Chyba nie muszę pytać. – Jest nagi i wygląda jak neandertalczyk z gabloty w Muzeum Historii Naturalnej. Wchodzi do łóżka, siada przede mną po turecku i nalewa drinki. Wydaje się zupełnie nieskrępowany faktem, że ma fiuta na wierzchu, ale ja nie mogę się powstrzymać i rzucam ukradkowe spojrzenie. Stukamy się szklankami i kiedy schylam głowę, żeby się napić, jeszcze raz patrzę na jego przyrodzenie.

Również nie mam na sobie ubrania, ale przykryłam się kołdrą, ponieważ nie jestem tak pewna siebie jak AJ. Nie chcę też, żeby zobaczył siniaki na moich żebrach. Pijemy margaritę, wpatrując się w siebie i lekko uśmiechając.

W pewnym momencie AJ pociąga za kołdrę, odsłaniając moje piersi i brzuch, po czym wkłada palec do szklanki i rysuje mi na udzie serduszko. Za chwilę jeszcze raz zanurza palec w alkoholu, żeby je pokolorować. Zimny płyn spływa mi między nogami, a AJ pochyla się i zaczyna go powoli zlizywać.

Jego ciepłe usta oraz moje ogromne poczucie winy sprawiają, że zaczynam drżeć i nie jestem w stanie nad tym zapanować. Kiedy AJ zauważy, że się trzęsę, przyciąga mnie do siebie i obejmuje swoimi wielkimi ramionami. Ciężko oddychając, kładzie mi dłonie na plecach i podnosi mnie

do góry tak, żebym mogła usiąść na nim okrakiem. Owijam się nogami wokół jego bioder, a on rysuje margaritą kreski na mojej szyi i obojczykach.

Za każdym razem, gdy alkohol zaczyna spływać, schyla się i szybko go zlizuje. Na całym ciele mam gęsią skórkę i każdy dotyk mojego kochanka sprawia, że głośno wzdycham.

Opadam na poduszki i wpatruję się w sufit, zastanawiając się, co ja tutaj robię. Myślami ciągle jestem w swojej łazience i chowam głowę w kącie, chociaż z całych sił staram się skupić na tu i teraz. Chyba już świta, ponieważ rozciągające się za oknami miasto zaczęło nabierać konturów. Czuję znajomy ucisk w żołądku i ogarnia mnie strach. Zawsze gdy wschodzi słońce, a ja jeszcze nie śpię, mam wrażenie, że czas goni jak szalony, a ja muszę zrobić wszystko, żeby choć trochę zwolnić.

Leżę na poduszce z przechyloną do tyłu głową. Wyglądam przez okno i widzę wszystko do góry nogami. Kontury odwróconych budynków przypominają wielkie litery, które układają się w imię mojego kochanka. Żeby pozbyć się tego obrazu, muszę odwrócić wzrok. Kiedy staram się z powrotem usiąść, AJ lekko mnie przytrzymuje, a moje włosy opadają na jego ramiona. Przytula się do mnie, po czym wyjmuję mi szklankę z ręki i odstawia na nocny stolik. W pewnym momencie mocno mnie chwytą, podnosi z materaca i bez słowa prowadzi do okna. W jego mocnym uścisku czuję się malutka jak balerina. Zasuwa zasłony i wtula twarz w moją szyję. Kiedy znikają ostatnie promienie wschodzącego słońca, rzuca mnie na łóżko i zaczynamy się kochać.

15 GRUDNIA, 06.16

Słońce wygląda zza dachów, a ja stoję przed drzwiami klatki schodowej i szukam kluczy. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam wracać do domu o tej porze, ale po tym, co zrobił mi Lucas, nie mogłam być sama. Musiałam spotkać się z AJ-em. Ale czy trzeba było tyle pić? O Boże! Lekko się zataczając, wchodzę do windy i spoglądam na ekran telefonu: 06.16.

Spokojnie, mam jeszcze czas.

Wypiję kawę, wezmę prysznic, założę świeże ubranie do pracy i jakoś wytrzeźwieję.

Mam czas.

Mam czas.

Wychodzę na korytarz i ruszam w stronę swojego mieszkania, stawiając wielkie kroki, jak pijani ludzie, którzy udają, że są trzeźwi. Opieram się lewym ramieniem o futrynę i kilka razy próbuję trafić kluczem do zamka. Mam wrażenie, że moje palce są jak z gliny. Biorę głęboki oddech, żeby się skoncentrować, i wreszcie udaje mi się dostać do środka. Przez okna wpada poranne słońce, więc kiedy nastawiam ekspres, muszę mrużyć oczy. Nie mam czasu na umycie włosów, ale mogę wejść pod gorący prysznic i jakoś wypocić alkohol. A może lepiej zrobi mi lodowato zimny?

Rozbieram się, wchodzę do kabiny i puszczam letnią wodę. Chrząkam i wypluwam ślinę, żeby pozbyć się nieprzyjemnego smaku, po czym zaczynam szorować zęby i język tak mocno, że aż się krztuszę. Wkładam szczoteczkę głęboko do gardła, żeby sprowokować wymioty. Wiem, że jeśli pozbędę się alkoholu z żołądka, poczuje się lepiej. Po chwili chwytają mnie torsje i stoję w kałuży własnych wymiocin. Myję szczoteczkę, po czym kieruję słuchawkę prysznica w dół, żeby wyczyścić brodzik. Rozprowadzam po skórze płyn do kąpieli o kwiatowym zapachu i staram się przekonać samą siebie, że jakoś sobie poradzę.

Kiedy siedzę już w wagonie metra, ciągle odbija mi się pastą do zębów i wymiocinami. Obserwuję innych pasażerów, ale nikt nie patrzy na mnie podejrzliwym wzrokiem. Chyba wszystko ze mną w porządku. Ta myśl dodaje mi otuchy. Popijam kawę z termosu i dochodzę do wniosku, że przed rozpoczęciem pracy powinnam wstąpić do jakiegoś sklepu. Potrzebuję tłustego jedzenia, najlepiej kanapki z bekonem, jajkiem i serem. To dobrze

zrobi mojemu żołądkowi. Znowu zerkam na ekran telefonu: 7.53. Powinno się udać.

Kiedy już jestem w swoim gabinecie, wypijam drugą kawę i zjadam wysokokaloryczną kanapkę. W pewnym momencie orientuję się, że śmierdzą mi włosy. Rozwiązuję koński ogon i przykładam gruby kosmyk do nosa. Czuję zapach papierosów i długiej nocy spędzonej poza domem. Wyciągam spod biurka butelkę odświeżacza Febreze i spryskuję sobie całą głowę, po czym przeczesuję włosy palcami i idę do łazienki, żeby skorzystać z suszarki. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo to upokarzające, i przeklinam w myślach Lucasa za to, że swoim zachowaniem pchnął mnie w ramiona AJ-a. Wylądowałam w jego łóżku, ponieważ potrzebowałam pocieszenia. A dzisiaj powinnam być przecież w dobrej formie. Wszystko przez Lucasa, tego cholernego dupka...

Kiedy wracam do gabinetu, kręci mi się w głowie. Wiem, że powinnam siedzieć i czekać, aż kawa, woda oraz tłuste jedzenie zaczną wreszcie działać. Mam nadzieję, że Rachel wezwie mnie na spotkanie najwcześniej koło południa. Wypijam resztę wody i delikatnie kładę głowę na oparciu, żeby jeszcze przez chwilę odpocząć.

Z pijackiej drzemki budzi mnie pukanie. To David. Wydaje mi się, że strasznie hałasuje. Z wrażenia nieomal spadam z krzesła, jednak w ostatniej chwili podrywam się na równe nogi i otwieram drzwi. Staram się wyrównać oddech i gapię się na Davida błędnymi oczami.

– Cześć! Dobrze się czujesz?

– Cześć, David. Tak, wszystko okay. Jestem tylko strasznie zmęczona. – Potrzebuję chwili, żeby skupić na nim uwagę.

– Mam dla ciebie wiadomość od Rachel. Czeka na ciebie w sali konferencyjnej. Na pewno dasz radę? Wyglądasz na zupełnie rozkojarzoną.

– Nie, wydaje ci się. Po prostu na moment przysnęłam i mnie obudziłeś.

– Jesteś pijana? – szepcze i przysuwa się bliżej, żeby mnie powąchać, po czym zamyka za sobą drzwi.

– Nie, nie, nie. W ogóle nic nie piłam. Miałam bezsenność i teraz ledwie patrzę na oczy. – Kurczę, ciągle jestem na rauszu. Patrzę na zegar. Dochodzi dziesiąta.

– W takim razie zanim pójdziesz na spotkanie z szefową, lepiej się trochę ogarnij. Wyglądasz, jakbyś spała w śmietniku.

– Super! Dziękuję, David! Naprawdę wszystko ze mną w porządku. A co

u Rachel? W jakim jest dzisiaj nastroju? – Nic nie jest w porządku. Wygładzam włosy i spinam je w kok, po czym płuczę usta płynem Listerine i wypluwam go do kosza na śmieci.

– Rachel ma chyba niezły humor. Właśnie miałem z nią spotkanie i dobrze mi poszło. Powodzenia! – David nie jest w stanie ukryć dezaprobaty i wyraźnie zawiedziony wychodzi z mojego gabinetu. Nie mam jednak siły, żeby przejmować się tym, co o mnie myśli. Otwieram puderniczkę i przeglądam się w lusterku, po czym biorę teczkę pacjentów ze stołu i ruszam pewnym krokiem wzdłuż korytarza.

Rachel siedzi odwrócona plecami do drzwi. W sali konferencyjnej stoi ogromny stół, który w obecności tylko dwóch osób wydaje się jeszcze większy. Witam się z szefową, rozkładam przed sobą dokumenty i mówię, że potrzebuję jeszcze trochę kawy.

– Przynieś też dla mnie, dobrze? Na moim kubku jest kanarek Tweety – mówi, a ja wymykam się do kuchni.

– Z mlekiem i z cukrem? – krzyczę przez uchylone drzwi.

– Tak, poproszę! – Wracam do sali konferencyjnej, trzymając w drżących rękach dwa kubki. Kiedy stawiam je na stole, kawa przelewa się przez krawędź i zalewa blat.

– Dziękuję, Sam. – Rachel wyciera plamę cienką chusteczką i bierze łyk gorącego napoju. – Okay, w takim razie możemy zaczynać. Przypomnij, ilu twoich pacjentów bierze obecnie jakieś farmaceutyki.

To jedno z cyklicznych spotkań poświęconych wykorzystywaniu lekarstw. Każdy klinicysta spotyka się z Rachel raz w miesiącu, żeby przedyskutować następujące kwestie: czy leczenie przynosi pożądane efekty i czy pacjenci w ogóle zażywają przepisane medykamenty, a nie chowają je pod językiem.

– Wszyscy oprócz Richarda – mówię.

– Dobrze. A jak przebiegają wasze sesje? Wiem, że to nie jest związane z tematem, ale nie miałyśmy ostatnio okazji, żeby o tym pogadać.

– Wydaje mi się, że robimy postępy. To twardy facet i bez wątplenia nie lubi wypełniania formularzy, ale zaczynam nabierać pewności, że historie o jego rzekomej brutalności to brednie wyssane z palca. Trudno do niego dotrzeć i czasem milczy jak zaklęty, ale nie przejawia żadnej agresji.

– Cieszę się, że sprawy idą do przodu. Porozmawiamy o tym na naszym następnym spotkaniu poświęconym poszczególnym pacjentom, dobrze?

– Jasne. – Czuję, że zaraz dostanę ataku czkawki.

– Ostatnio wspominałaś, że masz kłopoty z Adelle. Jeśli dobrze pamiętam, rozważałyśmy zmianę dawkowania albo konsultację z psychiatrą w sprawie wyboru innego leku.

Zaczynam przeglądać teczkę Adelle, ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o czym mówi moja szefowa. Nie mogę natrafić na żadne notatki dotyczące tego tematu.

– Uhm, tak, masz rację. Rozważałyśmy podanie olanzapiny, żeby ustabilizować objawy psychozy maniakalno-depresyjnej. – Nie jestem pewna, czy Adelle rzeczywiście cierpi na dwubiegunówkę. Kiedy nie wiem, o czym mówię, staram się używać zawodowego żargonu, licząc, że nikt się nie zorientuje.

– Okay, tylko musisz uważać na interakcje. Adelle jest uzależniona od alkoholu, prawda?

– Tak, ale przeszła terapię i od wielu lat nie pije. Dobija do dziewięćdziesiątki i nie sądzę, żeby zaglądała do kieliszka. – Mam coraz cięższy oddech i z trudem łapię powietrze.

– Dobrze, w takim razie trzeba regularnie badać jej wątrobę i zwracać szczególną uwagę na ewentualne symptomy nadchodzącego ataku lub wstrząsu. Postaram się o tym pamiętać. Miejmy nadzieję, że olanzapina przyniesie więcej pożytku niż rysperydon. Nie chciałabym narażać na szwank organizmu naszej leciwej pacjentki. – Rachel notuje coś w swoim zeszycie.

– Okay. – Trzęsącą się ręką piszę wiadomość do psychiatry z prośbą o receptę na olanzapinę. Czuję, że zaczyna dokuczać mi kac. Robi mi się gorąco i pocę się pod pachami.

– A co z Shawnem? Czytałam sprawozdanie, z którego wynika, że podczas zajęć grupowych jest całkowicie rozkojarzony. Ma problemy z koncentracją i sprawia wrażenie nieobecnego. Udało ci się ustalić, czy ma to jakiś związek z przyjmowanymi przez niego lekami?

Rachel zbyt szybko skacze z tematu na temat. Nie jestem w stanie za nią nadążyć. Shawn... Zaraz, zaraz... O kogo chodzi? Znowu zaczynam przerzucać teczkę z dokumentami.

– Hm, wydaje mi się, że z Shawnem wszystko w porządku. – Wiem, że kłamię jak z nut, ale nie jestem w stanie się powstrzymać. – Widać wyraźną poprawę. Ma lepszą pamięć i nie wygląda już na otumanionego. Moim

zdaniem powinniśmy trzymać się dotychczasowego programu leczenia i cierpliwie czekać. Shawn ma zaledwie dwadzieścia sześć lat. Podejrzewam, że po prostu nie jest w stanie przez dłuższy czas skupić na czymś uwagi.

Po kolei omawiamy wszystkich moich pacjentów, koncentrując się na różnych szczegółach, których rzecz jasna nie potrafię sobie przypomnieć. Dokucza mi przeszywający ból głowy i mam wrażenie, że moje gałki oczne za chwilę eksplodują. Czuję się jednocześnie pijana i skacowana, ale jakimś cudem udaje mi się dotrzeć do końca. Wreszcie wstaję i zbieram się do wyjścia.

Przytrzymuję drzwi, żeby puścić Rachel przodem, jednak ona ciągle siedzi za stołem i obrzuca mnie badawczym spojrzeniem.

– Ja tutaj zostaję, Sam. Mam serię spotkań z resztą personelu – oświadcza, robiąc niezadowoloną minę. – Bardzo cię proszę, spróbuj się dzisiaj wyspać.

Prowadzę zajęcia grupowe w zastępstwie Julie, której nie chciało się przyjść dzisiaj do pracy. Pewnie ma spotkanie ze swoim doradcą finansowym i dyskutują o sytuacji na giełdzie i zyskowych inwestycjach w wieprzowinę. Sesja, którą mam moderować, to jednak kompletna strata czasu, ponieważ rola terapeuty sprowadza się do kontrolowania tego, co pacjenci robią na swoich komputerach.

W całym szpitalu zablokowane są nie tylko strony z pornografią i hazardem, lecz także media społecznościowe, portale plotkarskie i wszystko, co zawiera niebezpieczne określenia, takie jak „broń palna” albo „narkotyki”. Sama nie potrafię obejść tych zabezpieczeń, ale niektórzy z młodszych pacjentów to prawdziwi czarodzieje nowoczesnych technologii. Bez problemu udaje im się złamać wszelkie blokady, dzięki czemu mogą oddawać się masturbacji w zaciszu sali komputerowej. Moje zadanie polega na pilnowaniu, żeby nie świntuszyli. Owinęłam sobie szyję szalikiem AJ-a i co jakiś czas przytykam materiał do nosa, żeby poczuć zapach swojego kochanka. Od razu przenoszę się do jego sypialni i czuję przyjemne ciepło w żołądku.

Eddie i Adelle siedzą obok siebie i oboje mają problemy z komputerem. Eddie naciska guzik na monitorze i czeka, co się stanie. Adelle cierpliwie na niego patrzy. Po drugiej stronie sali Lucy przegląda strony o tematyce edukacyjnej. Planuje zdać egzamin GED będący odpowiednikiem dyplomu ukończenia szkoły średniej i sama chce się do niego przygotować. Położyła na biurku kilka kartek papieru wyciągniętych z kosza do recyklingu i przepisuje z ekranu każde słowo.

Eddie pochyła się w stronę Adelle i naciska guzik na jej monitorze, ale nic się nie dzieje.

– Sssssam, komputer się pppopsuł.

– Przecież możesz skorzystać z innego – mówię, nawet nie podnosząc głowy. Cały czas wbijam wzrok w kubek z kawą i szukam odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

– Ale kkkomputer mojej kkkkoleżanki też pppprzestał działać. – Adelle odwraca się w moją stronę, więc muszę jakoś zareagować. Wydaję z siebie jęk niezadowolenia, wstaję z krzesła i podchodzę do moich podopiecznych, po czym naciskam ten sam guzik co Eddie, z dokładnie tym samym

skutkiem. Klękam i zaglądam pod biurko. Stoją tam trzy komputery. Włączam ten w środku i czekam, co się stanie.

– Hej! Mój komputer się zawiesił! – Tyler rozgląda się rozpaczliwie, szukając jakiegoś wyjaśnienia tego, co się dzieje.

– Przepraszam. Poczekaj chwilę. – Jeszcze raz naciskam przycisk i włączam komputer Tylera. Po chwili udaje mi się znaleźć właściwy guzik i sprzęt Eddiego również wraca do życia. Niestety, nie jestem w stanie pomóc Adelle. Jej monitor jest podłączony tylko do klawiatury i myszki. Brakuje mu kabla zasilającego.

Wyposażenie sali komputerowej zostało kupione przynajmniej dziesięć lat temu i jest całkowicie przestarzałe. Pacjenci muszą korzystać z monitorów, które nie są nawet podłączone do prądu. Witamy w Tyflos! Co za gówno...

– Eddie, co mieliście dzisiaj robić na zajęciach z informatyki? – pytam z nadzieją, że będzie wystarczająco cierpliwy, żeby pracować razem z Adelle.

– Nie wiem, Ssssam. A ccco proponujesz?

Stoję za jego krzesłem i pochylam się nad biurkiem, żeby sięgnąć do myszki. Może znajdę jakąś grę albo program edukacyjny, którym mogliby się wspólnie zająć? Eddie się nie odsuwa, więc muszę położyć swoją rękę na jego dłoni i dopiero wtedy jestem w stanie przesunąć mysz. Uruchamiam program, który ma trenować umiejętność przypominania i zapamiętywania informacji.

– Moglibyście pracować razem? Wydaje mi się, że wspólne uczenie się przyniesie obu stronom wiele pożytku. – Te zajęcia to prawdziwa farsa, i tak robię więcej, niż się da. Mam tego po dziurki w nosie i jestem coraz bardziej sfrustrowana.

Adelle zdejmuje okulary ze szklami grubymi jak denka butelek i zaczyna je wycierać o fartuch, po czym delikatnie szturcha Eddiego w łokieć, zachęcając go do kliknięcia myszką i uruchomienia gry. Eddie spełnia jej prośbę i po chwili na ekranie pokazuje się ramka z pytaniem o imię. Jestem zadowolona, że udało mi się nakłonić ich do współpracy. Z czystym sercem mogę więc wrócić na swoje miejsce przy drzwiach i oddać się błogiemu lenistwu. Przez dobre kilka minut moi podopieczni zastanawiają się, jakie imię wybrać, i wreszcie wpisują w ramkę „Eddelle”.

Rozglądam się po sali i widzę porozrzucane po kątach egzemplarze

specjalistycznego wydawnictwa zatytułowanego *Diagnostyczna i statystyczna klasyfikacja zaburzeń psychicznych*. Zamiast trwać w letargu, wstaję z krzesła i zaczynam sprzątać. Natrafiam na trzecie wydanie tej publikacji, tak zwane DSM-III, otwarte na stronie poświęconej zaburzeniom osobowości. Z dzisiejszej perspektywy to raczej lekcja historii, ponieważ od momentu wydania naprawdę wiele się zmieniło. Na marginesach widać czyjeś notatki, ale zrobione ołówkiem, który zdążył się rozmazać i trudno cokolwiek odczytać. Niektóre strony mają pozaginane rogi. Zamykam DSM-III i zaczynam zbierać pozostałe książki.

Na biurkach znajduję jeszcze dwa egzemplarze czwartego wydania. Na chwilę zagłębiam się w lekturze fragmentów, które znam niemal na pamięć, i staram się odcyfrować zapiski. Widzę jakieś inicjały, parafki albo ptaszki oraz wielkie litery F.W i S.

Zamykam książki, układam je w stos i stawiam z powrotem na półce. W pewnym momencie zauważam włączony monitor, z którego nikt nie korzysta. Podchodzę bliżej, żeby go wyłączyć, i widzę na ekranie otwartą stronę Wikipedii poświęconą zaburzeniom osobowości. Obok na biurku leży plik samoprzylepnych karteczek. Nie ma na nich logo Tyflos, ale z jakiegoś powodu wydają mi się znajome. Lustruję wzrokiem salę, żeby ustalić, kogo mogły interesować kryteria diagnostyczne, lecz nikt obecny na tych zajęciach nie potrafi wystarczająco biegle korzystać z komputera. Nagle ogarnia mnie strach i mam wrażenie, że jestem obserwowana, jednak kiedy znowu się rozglądam, widzę tylko swoich pacjentów, stukających w klawiaturę albo przysypiających na fotelach.

19 GRUDNIA, 13.19

Bardzo chce mi się palić, ale teraz nie mogę wyjść na zewnątrz. Jest strasznie zimno, a na dodatek mogłabym się natknąć na zbyt wiele osób, którym wolałabym nie patrzeć dzisiaj w oczy.

Dlatego krążę po swoim gabinecie, który jest zbyt mały, żeby na dobre się rozpuścić, więc w gruncie rzeczy zataczam niewielkie kółka i po chwili robi mi się niedobrze.

Moje biuro mieści się na trzecim piętrze, a okna wychodzą na boczną uliczkę biegnącą po lewej stronie budynku. Gdyby były od frontu, nie mogłabym się wychylić, nie ryzykując, że zobaczy mnie ktoś z personelu.

Na drzwiach wywiesiłam już tabliczkę informującą o przerwie na lunch. Przez najbliższą godzinę nie mam żadnych zajęć, więc spokojnie zdążę się przewietrzyć, a nawet wyszczotkować zęby.

Zdaję sobie sprawę, że moja kurtka już dawno przesiąkła dymem, więc w zasadzie nie mam się czym przejmować. Otwieram okno i ostrożnie chowam włosy pod kaptur, po czym zdejmuję buty, staję na krześle dla pacjentów i wychylam się na zewnątrz. Mam na dłoniach rękawiczki, więc z trudem trzymam jednocześnie papierosa i zapalniczkę, ale przynajmniej nie będą śmierdzić mi palce.

Wreszcie udaje mi się zaciągnąć i od razu wiem, że wysiłek się opłacił. Kiedy zaczyna działać nikotyna, czuję, że znika gdzieś obezwładniający mnie strach. Skupiam się na wydmuchiwaniu dymu przez okno i patrzę, jak cienkie, białe smużki rozplývają się w zimnym powietrzu. Niebo jest bezchmurne. Niestety, ciemne okulary zostawiłam w torebce. Mrużąc oczy, przez chwilę rozkoszuję się papierosem, po czym wystawiam twarz do słońca, żeby trochę się ogrzać. W pewnym momencie widzę w oknie czyjąś głowę i niemal krztuszę się z przerażenia.

– Sam! – Słyszę wyraźnie, jak ktoś wykrzykuje moje imię. To Rachel: wychyla się ze swojego gabinetu, ma zaciągnięty kaptur, a w lewej dłoni ścisną kurczowo różową zapalniczkę marki Bic. – Gaś tego peta i chodź do mnie szybko na górę.

Bez słowa rzucam niedopałek na ulicę i chowam się do środka. Serce wali mi jak oszalałe, ogarnia mnie panika, a w ustach pojawia się smak żółci. Dlaczego, do cholery, Rachel kopci papierosy? Błyskawicznie

wkładałam buty i odwieszam kurtkę.

Łapię butelkę z wodą i wyciągam szczoteczkę ze swojego awaryjnego zestawu do nocowania. Myję zęby, od czasu do czasu spluwając do kosza na śmieci, po czym skrapiam się perfumami i jeszcze raz spryskuję włosy i sweter stojącym pod biurkiem odświeżaczem Febreze.

Wbiegam po schodach na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Serce niemal podchodzi mi do gardła. W moich żyłach krąży mieszanka strachu i nikotyny. Pędzę, ile sił w nogach, i czuję, jak pulsuje mi tętnica szyjna.

Kiedy staję wreszcie przed gabinetem Rachel, z trudem łapię oddech. Ostrożnie pukam, chociaż na drzwiach wisi laminowana tabliczka z napisem „Trwa konsultacja, proszę o ciszę”. Mimo narastającego niepokoju staram się zachowywać jak zawodowiec. Czuję jednak, że po plecach spływa mi pot. Mam wrażenie, że wizerunek złotej dziewczyny za chwilę legnie w gruzach.

Rachel wciąga mnie do środka, po czym szybko zatrzaskuje drzwi, żeby smród papierosów nie wydostał się na korytarz.

– Sam, ty palisz? – Moja szefowa zdążyła odwieść płaszcz i doprowadzić się do porządku.

– Tak, chociaż muszę przyznać, że zwykle nie robię tego, wychylając się przez okno. Palłam już wtedy, gdy zaczęłam tu pracować. – Siadam na krześle dla pacjentów, chociaż Rachel wcale mi tego nie zaproponowała.

– Ale dlaczego wciąż to robisz? Przecież wiesz, jaka jest sytuacja.

– Przepraszam. Rozumiem, że palenie w gabinecie jest zupełnie niedopuszczalne. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. – Słyszę, jak się kajam, ale jednocześnie nie mogę się nadziwić, jaką wielką hipokrytką jest moja szefowa.

– Nie, nie chodzi wcale o reguły. Po prostu nie mogę uwierzyć, że palisz, chociaż jesteś w ciąży. Przecież skończyłaś studia i masz odpowiednią wiedzę.

– W c i ą ż y? O mój Boże! Wcale nie jestem w ciąży! – Znowu kręci mi się w głowie.

– Nie spodziewasz się dziecka? – Na twarzy Rachel maluje się zdziwienie.

– Nie! Skąd w ogóle ten pomysł?

– O matko, Sam! Myślałam, że... Kiedy ostatnio chciałam zajrzeć do

twojego gabinetu, żeby coś przedyskutować, usłyszałam przez zamknięte drzwi odgłosy wymiotowania. Zupełnie bez zastanowienia założyłam, że cierpisz na poranne nudności i zamykasz się, żeby nikt się nie dowiedział. Teraz naprawdę trudno mi uwierzyć, że tak szybko wyciągnęłam podobne wnioski. Przepraszam!

– Ja tylko... – Jestem kompletnie zbита z tropu. Myślałam, że chodzi o palenie, a teraz muszę się tłumaczyć z rzygania do kosza na śmieci. Cholera! – No tak... Ostatnio naprawdę źle się czułam. Dręczą mnie migreny i czasami robi mi się niedobrze. Niestety, nie zawsze udaje mi się dobiec na czas do toalety. Wiem, że to dość uciążliwa dolegliwość, ale nie ma nic wspólnego z ciążą. – To kłamstwo przygotowałam już wiele lat temu, ponieważ zdawałam sobie sprawę, że wcześniej czy później ktoś zauważy moje dziwne zachowanie. Obserwuję Rachel z nadzieją, że da się nabrać.

– Och, bardzo mi przykro. Nie miałam pojęcia, że cierpisz na migreny. Mój były mąż miał to samo i wiem, jak bardzo destrukcyjny potrafi być ten rodzaju bólu.

– To nic takiego. Jakoś sobie radzę. Zmagam się z tym od wielu lat i do pewnego stopnia zdążyłam się przyzwyczaić. – Czy będziemy też rozmawiać o tym, że obie ukradkiem puszczałyśmy dymka?

– Zauważyłam, że podczas zebrań czasami wolno reagujesz. Teraz znam już przyczynę. Nic dziwnego, że kiedy ostatnio się spotkałyśmy, sprawiałaś wrażenie bardzo zmęczonej i zdezorientowanej.

– Przepraszam za takie sytuacje. Staram się ukrywać swoją niedyspozycję, ale czasami nie daję rady. – Muszę wywołać w niej współczucie i odzyskać jej zaufanie. To dla mnie żaden problem udawać przez cały dzień, że mam migrenę, a nie kaca. – O czym chciałaś ze mną wtedy porozmawiać? Chodziło o jakąś konkretną sprawę? – Staram się przekierować rozmowę na inny temat. Nie chcę być dłużej postrzegana jak ktoś słaby i chory. Albo jak kobieta w ciąży.

– Uhm, tak, tak, miałam zamiar o czymś ci powiedzieć... – Rachel zaczyna się niespokojnie wiercić. – Jednak wydaje mi się, że najpierw powinnyśmy poruszyć jeszcze jeden nieprzyjemny temat.

Podnoszę obie ręce w górę, jak gdybym się poddawała.

– Nikomu o tym nie powiem, Rachel.

– Dziękuję. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam palić w oknie swojego gabinetu. To całkowicie niedopuszczalne. – Bierze głęboki oddech i mam

wrażenie, że dopiero teraz trochę się uspokaja. – Mamy ciężkie czasy i czuję się tym wszystkim nieco przytłoczona.

Od razu włącza się we mnie psycholog i marszczy brwi, żeby się lepiej skupić. Przekrzywiam lekko głowę i nieznacznie przytakuję, chcąc zachęcić szefową do mówienia.

– Ostatnio zrobiło się tutaj dość stresująco – kontynuuje. – Jestem pewna, że kto jak kto, ale ty na pewno zauważyłaś narastający chaos.

Rachel wykonuje patetyczny gest, jakby starała się pokazać, że cały szpital stanął w płomieniach.

Kiwam głową, pokazując, że jestem zainteresowana, ale jednocześnie czuję się nieco winna, ponieważ nie udało mi się dostrzec pogarszającej się sytuacji szpitala.

– Popadliśmy... – Przysuwa się bliżej, żeby zdradzić mi sekret, tak jak robią to małe dziewczynki na placu zabaw. – Popadliśmy w finansowe tarapaty – szepcze, po czym szybko się cofa i obraca na krześle. Zrobiła coś, czego nie powinna, i wyraźnie widać, że czuje się z tym niekomfortowo. Zaczyna rozmasowywać skronie i po raz pierwszy widzę, że ma obgryzione do mięsa skórki wokół paznokci.

– Nie mówiłam o tym nikomu z personelu i wiem, że reszta kierownictwa również nie puściła pary z ust. Ale teraz, kiedy przyłapałaś mnie na paleniu, mój zawodowy wizerunek profesjonalistki szlag trafił. – Ogląda się przez ramię, a na jej twarzy pojawia się kpiący uśmiezek. – Poza tym darzę cię zaufaniem, Sam.

– Rachel, naprawdę jest mi przykro. Nie miałam pojęcia, że nasza firma boryka się z takimi kłopotami. – Teraz widzę, że wszystko układa się w całość. Pracownicy chodzą ciągle poirytowani, a szefostwo jakby zapadło się pod ziemię. Kto może, idzie na zwolnienie. Ze ścian odłazi farba, nikt nie naprawia zepsutych toalet, przyjmujemy coraz więcej pacjentów, ale brakuje nowych ludzi, którzy mogliby się nimi zająć. Nie radzimy sobie z nawałem pracy. Zaczynam się zastanawiać, czy może być jeszcze gorzej.

Rachel głośno wzdycha.

– Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję takiej rozmowy.

Rozglądam się po gabinecie i widzę, że dawno nikt tu nie sprzątał. W oczy rzuca się narastający chaos. Na środku dywanu widzę ciemną plamę; wydaje mi się, że pokrywa ją coś jakby pleśń. Między szafką na

dokumenty a ścianą walają się na pół otwarte parasolki. Stojące na parapecie rośliny doniczkowe dawno temu zwiędły. Padły nawet sukulenty i kaktusy, które są rzekomo nieśmiertelne. Pod biurkiem dostrzegam plastikową torbę wypchaną różnymi rodzajami butów, od ciepłych kozaków po lekkie sandały. Wygląda na to, że nikt do niej nie zaglądał od wielu miesięcy.

– No cóż, jestem tu, żeby cię wysłuchać. Co prawda za czterdzieści minut zacznę zajęcia grupowe, ale jeśli chcesz ze mną pogadać, poproszę Davida o zastępstwo. – Nadszedł czas, żeby wzmocnić więź z Rachel.

Szefowa kiwa głową, po czym robi zrezygnowaną minę. Podnoszę słuchawkę stojącego na jej biurku telefonu i dzwonię do Davida. Zgadza się poprowadzić za mnie sesję i nawet nie pyta, dlaczego będę nieobecna.

– Załatwione – mówię. – Co się dzieje? – Wydaje mi się, że w tej sytuacji powinnam się czuć niekomfortowo. Rachel rzadko pozwala sobie na poufałość, a już na pewno nie ma w zwyczaju zwierzać się swoim pracownikom. Muszę to potraktować jak szansę.

– Nie chodzi tylko o Tyflos. Z podobnymi problemami zmagają się wszystkie placówki finansowane ze środków publicznych. Miasto zakręciło kurek z pieniędzmi, a od rządu federalnego też nie dostajemy ani grosza. Po prostu brakuje nam funduszy. Instytucje zajmujące się ochroną zdrowia psychicznego nigdy nie doszły do siebie po kryzysie z dwa tysiące ósmego roku. Innym udało się odbić od dna, ale my jak zawsze dostaliśmy po tyłku. Na dodatek na jesieni zwykle cierpimy na niedobór pracowników. Zbliża się koniec roku i ludzie mają dość. Tracimy doświadczonych menadżerów, którzy chcą więcej zarabiać, a my nie jesteśmy w stanie im tego zapewnić. Przyjmujemy nowych pacjentów i rośnie obciążenie pracą. – Rachel nawet na mnie nie patrzy. Położyła głowę na oparciu krzesła, rozprostowała nogi i siedzi, lekko się kiwając.

– Od jak dawna mamy do czynienia z taką sytuacją?

– To wszystko zaczęło się wiele miesięcy temu. – Nagle odwraca się w moją stronę i wyjmuje z biurka puszkę kwaśnych cukierków. Bierze jednego, po czym podaje mi opakowanie, ale ja grzecznie odmawiam. W ustach cały czas czuję smak pasty do zębów.

– Jakoś we wrześniu, jeszcze zanim zrobiło się zimno, odbyło się spotkanie z ważniakami z dyrekcji. Poinformowali nas, że szpital znalazł się w poważnych tarapatkach. Zaczęły się wykłady o tym, że powinniśmy zwiększyć wydajność pracy i pozostać lojalni wobec firmy. Snuli też rozważania, kto jest w stanie ponieść większe wyrzeczenia i nie zostawi

kolegów w potrzebie, mimo że oznaczało to kolejne obowiązki bez żadnych szans na wzrost wynagrodzenia. To zawsze wielka przyjemność słyszeć, jak bardzo nam współczują, chociaż jednocześnie wyciskają nas jak cytrynę. Do tego wygłaszają kazania na temat dobra pacjentów. Jestem kapitanem tonącego statku, jednak dyrekcja ciągle do mnie wydzwaniania i przypomina mi, że moja walka ma głęboki sens, a oni stoją przy moim boku. Podejmują masę niedorzecznych decyzji, żeby podtrzymać morale zespołu. Jakiego z e s p o ł u? Przecież nawet nie wiedzą, jak się nazywamy.

Patrzę na jej biurko i widzę stosy porzucanych teczek, notesów i segregatorów. Pod dokumentami leżą pudełka po jedzeniu na wynos i brudne chusteczki.

Nie da się ukryć, że Rachel jest pogrążona w rozpacz. Nie chodzi tylko o to, że rozmawia ze mną na tak drażliwy temat, lecz także o ton jej głosu, bałagan w gabinecie i dziwne zachowanie. Każdy jej gest wskazuje na stan poważnego rozstroju nerwowego.

– Oni nie mają pojęcia, że jestem zdana tylko na siebie – mówi, z trudem powstrzymując łzy. – Sama muszę radzić sobie z kryzysem i tylko ja w ogóle wiem, że coś jest nie tak. Mam na głowie masę obowiązków, z którymi zmagam się w pojedynkę. Poprosiłam ich o wsparcie! Spytałam, czy mogę awansować jednego z psychologów na stanowisko kierownicze, żeby miał z kim o tym wszystkim podyskutować! Miałam na myśli ciebie, Sam.

– I co powiedzieli? – Czy dostanę wreszcie awans?

– Ich zdaniem członkowie personelu nie powinni być informowani o problemach finansowych szpitala. To przejściowe trudności, o których nie należy trąbić na prawo i lewo. – Rachel stara się naśladować ważniaków z zarządu i mówi nosowym głosem jak postać z kreskówki, jednocześnie podnosząc ręce i kreśląc w powietrzu cudzysłowy. – Takie same bzdury jak zwykle. Kłamię w żywe oczy i za wszelką cenę chcę ukryć prawdę.

– Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Rzecz jasna powinnaś mieć możliwość wyrzucenia tego z siebie i podzielenia się wątpliwościami z kimś z personelu. Nie spodziewam się awansu ani żadnych innych profitów, ale jeśli potrzebujesz jakiegokolwiek wsparcia w tym trudnym okresie, służę ci pomocą. Pamiętaj, że zawsze jestem do twojej dyspozycji i nikomu nie powiem o nękających nas kłopotach. – Chyba nie ma sensu aż tak bardzo się angażować, ale warto przynajmniej zachować pozory.

– Nie... Nie wolno mi tego od ciebie wymagać. I tak obarczyłam cię

dotatkowymi obowiązkami. Dostałaś najtrudniejszych pacjentów i prowadzisz najbardziej wymagające zajęcia grupowe. Nie mogę testować twojej wytrzymałości. Uwierz mi, gdybyś odeszła, wszystko szlag by trafił. Jezus Maria... I na dodatek podejrzewałam, że jesteś w ciąży.

– Rachel, ja tylko wykonuję swoje obowiązki. To jest przecież moja praca. Kocham to, co robię, i jestem w tym całkiem niezła. Nie wyobrażam sobie, żebym nie zareagowała, wiedząc, co się dzieje. Chętnie wezmę od ciebie część tego ciężaru. Naprawdę chcę ci pomóc.

Patrzę w jej oczy i widzę, że z radością przyjęłaby moją propozycję. Sama się wcześniej nad tym zastanawiała i czekała na okazję, żeby ze mną porozmawiać. Czuję, że ponownie zaskarbiłam sobie jej łaski i znowu jestem na świeczniku.

– Ostatnio zaniedbałam parę spraw. Odpuściłam comiesięczne spotkania z poszczególnymi członkami personelu klinicznego i zrezygnowałam z tradycyjnej superwizji. Co więcej, jak do tej pory nie miałam czasu przejrzeć wyników oceny pracowniczej. – Pokazuje mi gruby plik teczek, na których wciąż widnieje nietknięta pieczęć Stanowego Biura do spraw Zdrowia Psychicznego. Przypomina to nierozpakowany prezent gwiazdkowy.

A więc właśnie dlatego moje sprawki nie wyszły do tej pory na jaw: po prostu nikt nie zajrzał do dokumentów.

– Już dawno powinnam wysłać raport do BZP, w zasadzie zaraz po tym, jak dostałam papiery od doktor Brooks i doktora Younga. Jednak Biuro do spraw Zdrowia Psychicznego boryka się z takimi samymi problemami jak my: są przepracowani, nie mają pieniędzy i cierpią na niedobór personelu. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

Nigdy nie miałam tyle szczęścia, żeby tak łatwo udało mi się wykaraskać z poważnych kłopotów i jednocześnie zachować twarz.

– Rachel, proszę, podziel się ze mną obowiązkami. – Daj mi do przejrzania wyniki oceny pracowniczej. Błagam!

– Jestem tym wszystkim przytłoczona. Na dodatek mam pod opieką pacjentów, którym nie mogę przecież sprawić zawodu. – W jej oczach pojawiają się łzy i spogląda na mnie mglistym wzrokiem. Tak, daj mi te cholerne wyniki.

– Nie ma problemu. Jestem w stanie wykonywać część zadań administracyjnych lub w razie potrzeby poprowadzić za ciebie zajęcia

grupowe. W zasadzie mogłabym też przygotować raport dla BZP. – Serce wali mi jak oszalałe i czuję bużującą we krwi adrenalinę. Nabrzmiwiają mi żyły na dłoniach, a po plecach zaczyna spływać pot.

Rachel spogląda na teczki, jednak mam wrażenie, że nie do końca rozumie, co przed chwilą powiedziałam. Jej myśli są chyba gdzie indziej.

– Nie... nie mogę pozwolić, żeby odbiło się to na naszych pacjentach. Kłopoty finansowe nie powinny mieć negatywnego wpływu na stan ich zdrowia. Wystarczająco dużo wycierpieli i nie chcę fundować im kolejnej traumy. – W pewnym momencie jej głos się załamuje i zalega cisza. Po chwili wyciąga w moją stronę rękę z dokumentami. Mam wrażenie, że robi to nie do końca świadomie. Ma lekko rozchylone usta i spogląda na mnie, szeroko otwierając oczy. Powoli rozwiera palce, a ja odbieram od niej teczki.

– Nasi podopieczni nie powinni odczuć na sobie tych zmian. Potrzebują wsparcia... – mówi coraz bardziej niewyraźnie, a we mnie wszystko się gotuje: słyszę dzwonienie w uszach, a żołądek podchodzi mi do gardła. Jestem jednocześnie szczęśliwa i przerażona. Właśnie dostałam przepustkę na wolność i spoconą ręką gładzę okładki, w których schowane są upragnione wyniki badań ewaluacyjnych.

– Coś jeszcze? – pytam, cały czas wbijając wzrok w teczki. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Rachel wpadła w dziwny trans i nie jestem pewna, czy w ogóle mnie słyszy.

– Tak, mam do ciebie jeszcze jedną prośbę – mówi, wpatrując się pustym wzrokiem w dal, jak gdyby wzięła jakiś środek halucynogeny, który właśnie zaczął działać. – Nikomu nie mów, co się ze mną dzieje i jak wygląda sytuacja w szpitalu, nawet Davidowi. Staraj się robić dobrą minę do złej gry. Nie pozwól, żeby wyszło szydło z worka, jeśli mogę się tak wyrazić. – Podnosi głowę i patrzy mi prosto w oczy, po czym łapie mnie za rękę. Dotyk jej dłoni jest dla mnie jak wybawienie.

Powoli wstaję z krzesła. Muszę jak najszybciej przejrzeć wyniki, zanim Rachel zrozumie swój błąd i odbierze mi dokumenty. Na razie szefowa prostuje się, nie odrywając ode mnie wzroku. Wciąż jest lekko otumaniona i czeka na moją odpowiedź.

– Nikt się o tym nie dowie – oświadczam. Zawieramy pakt. Pakt między dwoma kobietami, które idą na dno, ale wciąż udają, że umieją pływać.

Trzymam pod pachą gruby plik teczek i czuję się jak diler heroiny, który stara się ukryć nową partię towaru. Jestem podniecona, a jednocześnie sparaliżowana strachem. Rachel musiała postradać zmysły. Jakim cudem doszła do wniosku, że najlepiej nadają się do przeprowadzenia analizy wyników oceny pracowniczej i przygotowania raportu dla BZP? Przecież jestem niestabilna emocjonalnie i mam skłonności autodestrukcyjne. Tymczasem moja szefowa uznała doktor Samanthę James za godną podziwu supermankę!

Muszę jak najszybciej zabrać się do pracy, ponieważ Rachel wkrótce dojdzie do siebie. Chociaż Tyflos zмага się z poważnymi problemami, szefowa na pewno odzyska wreszcie równowagę i zrozumie, że popełniła błąd.

Rozrywam spinającą plik dokumentów tasiemkę z logo BZP i teczki pęcznią jak otwierany akordeon. Wyniki ewaluacji zostały posegregowane według działów. Z trudem powstrzymuję się przed zajrzeniem do części dotyczącej moich kolegów i koleżanek. Uznaję, że jeśli chcę rzetelnie podsumować badania, muszę pracować zgodnie z jakimś rozsądnym systemem. Najlepiej będzie robić notatki, na wypadek gdyby Rachel chciała sprawdzić, jak mi idzie. Zaczynam więc od tego, co najnudniejsze, czyli od ekipy technicznej i obsługi kuchni. Następnie ochroniarze, potem sanitariusze i pielęgniarki, a na koniec personel kliniczny.

Cały czas łudzę się, że Travis i doktor Brooks wystawili wszystkim pozytywną opinię i nie grozi mi zdemaskowanie. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby okazało się, że jestem w błędzie. Kładę teczkę z moim nazwiskiem na samym spodzie.

David nadal prowadzi za mnie zajęcia. Poprosiłam go o to, ponieważ potrzebowałam czasu na rozmowę z Rachel. Podejrzewam, że po zakończeniu sesji zajrzy do mnie i opowie mi o swoich wrażeniach. Zostało mi dziesięć, może piętnaście minut. Na resztę popołudnia mam przewidziane kilka innych obowiązków: indywidualne spotkania z pacjentami, trochę roboty papierkowej związanej z bieżącą dokumentacją i pewnie jakieś nagłe wypadki. Wieszam na drzwiach tabliczkę „Trwa konsultacja”, włączam generator szumów i sprzątam z biurka niepotrzebne papiery i śmieci. Kiedy biorę do ręki telefon, widzę, że dostałam pełną sugestywnych emoji

wiadomość od AJ-a. Uśmiecham się i wyłączam komórkę. Wyjmuję dwa długopisy: czerwony do robienia notatek i czarny do napisania raportu. Obok pliku teczek z ocenami pracowniczymi kładę blok firmowego papieru i jestem gotowa do pracy.

W każdej tezcze znajdują się wypełnione formularze, wyniki ewaluacji oraz krótki komentarz psychiatry. Jest też oddzielny dokument zawierający streszczenie wywiadu. Dla specjalistów z BZP przygotowano też kopię historii zatrudnienia danego pracownika oraz jego życiorys.

Travis i doktor Brooks przeprowadzili badania, a zadaniem Rachel jest analiza wyników i podjęcie decyzji dotyczących dalszego zatrudnienia. Jednak teraz to ja jestem za to odpowiedzialna. Oryginały opinii psychiatrów trafią do teczek osobowych przechowywanych w dziale administracyjnym i prawdopodobnie nigdy więcej nie ujrzą światła dziennego. Stanowe Biuro do spraw Zdrowia Psychicznego otrzyma końcowy raport przygotowany przez Rachel, czyli mnie.

Otwieram pierwszą teczkę z brzegu: Salvatore Valbuena, pracownik obsługi technicznej. Zatrudniony w Centrum Psychiatrycznym Tyflos jedenaście lat temu. Wykształcenie? Dyplom ukończenia szkoły średniej. Wyniki badań ewaluacyjnych i wywiadu? Wszystko w normie. Nic ciekawego. Decyzja? Nadal może wykonywać powierzone obowiązki. Robię notatki i ostrożnie zamykam teczkę, po czym odkładam ją na parapet.

Po pewnym czasie orientuję się, że prawie wszyscy członkowie personelu technicznego mają dokładnie takie same wyniki. Wyjątkiem jest Carlos: we wszystkich formularzach udzielał dziwnych, niekonsekwentnych odpowiedzi, a wywiad nie przyniósł jednoznacznych wniosków. To na pewno dlatego, że Carlos nie mówi po angielsku, a Travis i doktor Brooks nie znają hiszpańskiego. Zamiast należycie wykonywać swoje pieprzone obowiązki, najwyraźniej uznali, że ekscentryczne odpowiedzi Carlosa wynikają tylko i wyłącznie z bariery językowej. Mimo ambiwalentnych wyników orzekli, że Carlos może kontynuować pracę na dotychczasowym stanowisku. Ponieważ jestem uważna i skrupulatna, zapisuję w notatniku, na czerwono i wielkimi literami, że następnym razem, gdy dojdzie do takiej sytuacji, badaniem pracowników nieposługujących się biegle angielskim powinien zająć się hiszpańskojęzyczny lekarz. Widzicie? Doskonale sobie z tym radzę.

Przeglądając kolejne teczki, zastanawiam się, czy wyniki ewaluacji zostały odwzorowane na krzywej. Gdybym miała zgadywać, uznałabym, że przynajmniej połowa z nas ma nierówno pod sufitem i nawet jeżeli na

początku naszej pracy byliśmy w formie, teraz na pewno porządnie nam odbiło. Na przykład Rachel: kiedyś była okazem zdrowia psychicznego, a teraz znalazła się na skraju załamania. Czy lekarze z BZP spojrzeli na nas łaskawym okiem? Czy wzięli pod uwagę wysoki poziom stresu związany z pracą w takim środowisku? Być może uznali, że zasługujemy na łagodne traktowanie, ponieważ w obliczu narastających problemów finansowych nie ma sensu zwalniać doświadczonych klinicystów.

Udało mi się przebrnąć przez monotonne i niezbyt interesujące teczki prawie wszystkich członków personelu pomocniczego. Ze spokojnym sumieniem mogłabym na dzisiaj skończyć, wrócić do domu i otworzyć butelkę wina albo nawet dwie. Najlepiej zimnego. Nikt by mi nie przeszkadzał i paliłabym w spokoju papierosy. Jednak nie jestem w stanie się zebrać, ponieważ zżera mnie ciekawość.

Sięgam do leżącej na parapecie sterty, wyciągam swoją teczkę i kładę ją na wierzchu, po czym przez dłuższą chwilę zastanawiam się, czy mam w sobie wystarczająco dużo odwagi, żeby ją otworzyć. Na razie czekam, zbierając siły. Gdzieś schowałam wielką torebkę z kawowymi cukierkami, tylko, do cholery, gdzie?

Wpycham nieotwartą teczkę z powrotem na sam spód i zdejmuję buty. Wiem, że na razie nie jestem w stanie stawić czoła prawdzie. Kładę nieprzejrzone dokumenty na podłodze i zdejmuję płaszcz z wieszaka. Mam zamiar wymościć sobie gniazdo i użyć płaszcza jako poduszki. Zdążyłam się zorientować, że zadanie powierzone mi przez Rachel sprawia mi więcej radości, niż sądziłam. Chciałabym się pośmiać, więc sięgam po teczkę Julie, ale nagle rozlega się pukanie.

– To ja. Jesteś tam jeszcze? – Podnoszę się z legowiska i otwieram Davidowi drzwi. – Cześć! Czym się zajmujesz?

– Cześć. Rachel poprosiła mnie o pomoc i dała mi dodatkową pracę. – Nie mogę mu powiedzieć, że w ten sposób ratuję własną skórę. Nie wolno mi się też wygadać, co planuję zrobić z tymi papierami. – A ty jakie masz plany?

– Zbieram się do wyjścia. Chciałem ci tylko powiedzieć, że podczas zajęć nie wydarzyło się nic szczególnego. Powinnaś jednak zrobić coś z lekami, które bierze Shawn. Był całkowicie rozkojarzony.

– Dobra, zajmę się tym. Dzięki, David. – Macham mu na pożegnanie i zamykam drzwi, po czym zabieram się do teczki Julie.

Przeglądam jej życiorys w poszukiwaniu jakichś smakowitych kąsków.

Adres na Upper East Side, mieszkanie na wysokim piętrze, kod pocztowy 10021. Bez zaskoczeń. Podała nawet średnią ocen ze szkoły. Jezu Chryste, co za idiotka. Skończyła college w tym samym roku, w którym ja obroniłam doktorat. Ma tylko dwadzieścia osiem lat. Jest członkiem personelu klinicznego ze stopniem magistra, zatrudniona w Tyflos na dwa lata. W trzech poprzednich miejscach pracy była tylko rezydentem. Nie zagrzała jednak nigdzie miejsca dłużej niż przez sześć miesięcy. Natrafiam na kopię dwóch formularzy oceny pracowniczej. Pierwszy powstał zaraz po zakończeniu okresu próbnego, a drugi rok później. Wszystko wygląda dobrze: większość ocen to trzy i pół punktu na cztery możliwe. Bardziej interesują mnie jednak komentarze.

Brak profesjonalizmu w kontaktach z pacjentami.

Niestosowne zachowanie: wylewne przytulanie się i zbyt bliski kontakt fizyczny.

Nadmierny zapach utrudniający skupienie się.

Używanie niespecjalistycznego języka w dokumentacji klinicznej.

Zalecana obserwacja innych członków zespołu podczas sesji grupowych.

Uwaga! Proszę nigdy nie używać emotikonów w oficjalnych dokumentach.

Ha, ha! Nie mogę uwierzyć, że już rok temu ktoś zwracał jej uwagę na takie rzeczy, a ona nadal zachowuje się jak rozemocjonowana studentka. Po prostu śmiech na sali!

Wyniki badania ewaluacyjnego są jednak pozytywne. Tak jak u całej reszty. Nic godnego uwagi, żadnych patologii, poza irytującym sposobem bycia. W omówieniu wywiadu jeden z psychiatrów stwierdza, że jej żywa osobowość nie do końca nadaje się do wykonywania zawodu psychologa, ale mimo to Julie może kontynuować pracę. Może powinnam wziąć gruby czarny flamaster i skorygować tę opinię? Na samym dole formularza znajduję jeszcze coś interesującego.

Diagnoza/Oś 1: brak (z wyjątkiem lęku)

Diagnoza/Oś 2: brak (wysoki poziom reakcji histrionicznych)

Psychiatrzy uważają więc, że Julie ma stany lękowe i skłonność do hysterii. Freudowi bardzo by się to spodobało! Odkładam jej teczkę i zaczynam przeglądać dokumenty pozostałych terapeutów i pracowników socjalnych. Robię notatki na wypadek, gdybym natrafiła na coś ciekawego, jednak Travis i doktor Brooks nie zagłębiali się w szczegóły i zachowali

zimny profesjonalizm. Od czasu do czasu znajduję wzmiankę o jakimś dziwactwie albo problematycznej cesze osobowości, ale jak do tej pory nikt nie został uznany za niezdolnego do wykonywania dotychczasowych obowiązków zawodowych.

Przed otwarciem teczki Gary'ego wymykam się do kuchni po jeszcze jedną kawę i paczkę orzeszków M&M's. Gary jest ostatnim z magistrów, potem zostaną mi do analizy dokumenty lekarzy psychiatrów i dwóch psychologów ze stopniem doktora, czyli Davida i mnie.

Odkładam na bok życiorys Gary'ego i rzucam okiem na jego historię zatrudnienia i formularze oceny okresowej: za prawie wszystko dostał trzy punkty. Przeciętnie. Nic szczególnego. Sięgam po wyniki badań ewaluacyjnych i streszczenie wywiadu. Od razu robi się ciekawiej.

Wyraźny dyskomfort i lęk związany z koniecznością wypełniania formularzy i przejściem przez procedurę analizy psychologicznej.

Podczas każdego wywiadu i sesji ewaluacyjnej zauważono obfite pocenie się i ciężki oddech.

Częste prośby o wyjście do toalety i przerwę na coś do picia.

Wszystkie wyniki niejednoznaczne; brak konsekwencji w udzielanych odpowiedziach; niespójne reakcje na pytania kontrolne.

Nadaje się do pracy, lecz pod zwiększonym nadzorem. Zaleca się dalsze kształcenie i ograniczenie kontaktów z pacjentami.

Diagnoza/Oś 1: zespół lęku uogólnionego

Diagnoza/Oś 2: brak

Wychodzi na to, że nie wszystkim udało się ukryć przed radarem. Podejrzewam, że badając personel kliniczny, Travis i doktor Brooks byli bardziej skrupulatni. Już niedługo będę musiała otworzyć własną teczkę i czuję narastający niepokój. Właśnie straciłam pewność, że wyjdę z tego bez szwanku. Kiedy przeglądam wyniki obu zatrudnionych na oddziale psychiatrów, mam spocone dłonie. Rzecz jasna Travis i doktor Brooks oszczędzili swoich: lekarz zawsze stanie murem za innym lekarzem, ręka rękę myje. W sprawozdaniach znajduję tylko przesadzone pochwały i wazeliniarskie komentarze. Co za dupki! Odkładam dokumenty na bok i widzę, że zostały mi jeszcze tylko dwie osoby.

Powoli otwieram teczkę Davida. Robię to ostrożnie, żeby nie zostawić żadnych plam ani śladów po czekoladzie. W końcu nie chcę narazić na szwank reputacji swojego najlepszego przyjaciela. Lekko zwariowany facet,

którego znam i kocham, przypomina z wyglądu wiecznego studenta, z intrygującym uśmiechem i wiecznie potarganymi włosami. Jednak to wcale nie ta sama osoba, która przychodzi codziennie do pracy. David wcale nie udaje i nie stara się ukryć swojej prawdziwej osobowości: on po prostu potrafi z łatwością wkładać i zdejmować maskę zawodowca.

W jego dokumentach wszystko jest perfekcyjne, nawet skserowane podpisy pod formularzami oceny okresowej. Tak jak ja ma prawie same piątki, chociaż nigdy nie uważałam go za równie dobrego psychologa. Rekomendacje na końcu raportu składają się prawie wyłącznie ze słabo zawołowanych komplementów. Jest perfekcjonistą, co ma mieć rzekomo negatywny wydźwięk. Wydawało mi się, że tylko ja cieszę się w tej instytucji tak nieposzlakowaną opinią. Byłam przekonana, że jestem jedynym „złotym dzieckiem”. Tymczasem Davidowi udało się oczarować nawet lekarzy z BZP. Dostał od nich same pochwały i niczego u niego nie zdiagnozowali. To naprawdę nie w porządku.

Ostatnią teczkę zostawiam sobie na jutro. Zanim spakuję się do wyjścia, wyciągam z opakowania żółtego orzeszka M&M's i trzymam go przez chwilę między palcami, po czym rozsmarowuję roztopioną czekoladę na pierwszej stronie raportu ewaluacyjnego Davida. Teraz nie jesteś już taki perfekcyjny, prawda?

Leżę zwinięta w kłębek na sofie w mieszkaniu Lucasa. W kubelku wartym na oko więcej niż mój miesięczny czynsz chłodzi się butelka chablis. Boję się, że kiedy postawię kieliszek na blacie, zostaną mokre ślady. Mam na sobie granatowe skarpetki i istnieje ryzyko, że drobne kłaczki przykleją się do kremowego obicia. Wiem, że nie pasuję do tego miejsca i czuję się z tym bardzo niekomfortowo.

Lucas mieszka w nowoczesnym budynku, który jest w połowie hotelem, a w połowie apartamentowcem. Jako lokator może korzystać ze wszystkich usług hotelowych, między innymi ze sprzątanía. Codziennie przychodzi do niego pokojówka, więc w każdym pomieszczeniu panuje nieskazitelna czystość. Chromowane meble zawsze się błyszczą, a białe dywany są przyjemnie puszyste.

Lucas był wcześniej na zakupach i właśnie urządził mały pokaz mody, żeby zaprezentować nowe ubrania. Chce, żebym pomogła mu wybrać najlepszy strój na jakąś nowojorską galę, na którą rzecz jasna nie jestem zaproszona. „Wziąłbym cię ze sobą, Sam, ale wiesz, jak nudne są takie imprezy. Wolałbym ci tego oszczędzić”. Jestem pewna, że nie chce mnie zabrać, ponieważ ciągle jest zły z powodu kolacji, na którą wybraliśmy się z jego znajomymi z pracy kilka tygodni temu, a ja nie śmiałam się w odpowiednich momentach.

– A to garnitur od Armaniego – mówi, wychodząc z garderoby. – Ma szpiczaste klapy, za którymi nieszczególnie przepadam, ale jest świetnie skrojony i pięknie uszyty.

Dla mnie to zwykły ciemny garniak, taki sam jak trzydzieści innych wiszących w jego perfekcyjnie oświetlonej szafie.

– Czym się różni od poprzedniego?

– No cóż, po pierwsze jest niebieski.

– Ale masz na sobie czarne buty, a przecież czerń i granat nie za bardzo do siebie pasują, prawda? – Zdejmuję z oparcia kaszmirowy koc i zasłaniam nim swoje badziewne skarpetki i dżinsy marki Old Navy.

– Naprawdę nie widzisz żadnej różnicy? Ten materiał ma zupełnie inną fakturę. Zobacz... – Podchodzi bliżej, żebym sama mogła się przekonać. – Jest o wiele cieńszy. – W oczy rzuca mi się metka z ceną. Sama marynarka

kosztowała trzy tysiące sześćset dolarów. Zanim dotknę tego cennego nabytku, wycieram spoconą rękę o swoją bluzę.

– Uhm, bardzo przyjemny w dotyku.

Do pokoju wchodzi Maverick i wskakuje mi na kolana. Mam wrażenie, że lubi mnie bardziej niż Lucas.

Mój chłopak pokazuje mi różne koszule, garnitury, krawaty i spinki. Zakłada je w rozmaitych kombinacjach i udaje, że za każdym razem jest inną osobą. Kiedy znika w garderobie, nadal coś do mnie mówi, ale ja nic nie słyszę. Mimo to od czasu do czasu staram się pokazać, że jestem zainteresowana i krzyczę „Aha” albo „Naprawdę?”. Myślę o swoim raporcie ewaluacyjnym, wyobrażając sobie, że jest tak dobry jak Davida. W głębi duszy wiem jednak, że wcale tak nie jest. Maverick zaczyna oblizywać krawędź kieliszka, jednak go nie odganiam i chętnie dzielę się swoim chablis.

– Chyba podjąłem decyzję – oświadcza Lucas, wyłaniając się z garderoby. – Ten garnitur będzie najlepszy.

Moim zdaniem niczym nie różni się od pozostałych. Mój chłopak ma rozpięty pasek i założył dziwne buty, w których jego stopy wyglądają na nieproporcjonalnie małe.

– Tak myślisz? Faktycznie świetnie wygląda, szczególnie z resztką kokainy na twarzy.

– Co takiego? – Nerwowym gestem dotyka swojego nosa i ust, po czym przygląda się dłoniom. – Nic tu nie ma. – Wpada do łazienki i wyciera twarz ręcznikiem marki Frette.

– Wydawało mi się, że miałeś już więcej nie tykać tego gówna. – Owijam szyję tanim szalikiem z wiskozy i zaczynam pakować swoje rzeczy do torebki.

– Sam, ja nie biorę narkotyków. Nie wiem, co sobie myślisz, ale to na pewno nie była kokaina.

– Okay. W takim razie jestem ciekawa, skąd masz energię, żeby trajkotać jak katarynka i przebierać się w garnitury, których wystarczyłoby dla połowy Manhattanu? Pewnie wypijeś popołudniowe espresso, prawda?

– Po prostu jestem podekscytowany. To u mnie normalne, gdy kupię sobie nowe ubrania. Ale ty musisz od razu robić z igły widły. Oczywiście nie możesz się cieszyć razem ze mną i pomagać mi dokonać właściwego wyboru. Znowu zmuszasz mnie, żebyśmy wszedł w rolę twojego pacjenta.

Robisz ze mnie wariata, a potem wspaniałomyślnie oferujesz mi swoją pomoc. – Lucas jak zwykle odwraca kota ogonem i przerzuca winę na innych.

– W apteczce stoi otwarte opakowanie leku na receptę wydanego na nazwisko niejakiego Michaela Summery. Widziałam też „łyżeczkę”, której używasz, żeby poprawić sobie nastrój. Leży tam, ty pieprzony idioto! –

Kiedy przechodzę obok garderoby, żeby wziąć swój płaszcz, widzę odbitą w lustrze małą torebkę z kokainą i wystający z niej złoty usztywniacz do kołnierzyka. – Więc jeśli nie zmieniłeś ostatnio tożsamości i rzeczywiście potrzebujesz oksykodonu, bo cierpisz na ból pooperacyjny albo coś w tym rodzaju, to nadal jesteś zakłamanym ćpunem. Wesołych świąt, dupku.

Maverick idzie za mną do drzwi, machając zamasyście ogonem. Pochyliłam się, żeby dać mu całusa na pożegnanie, żałuję, że nie mogę go ze sobą zabrać.

– Naprawdę masz zamiar wyjść? A ty jesteś niby taka święta? Uważasz, że na ciebie nie zasługuję? To tylko kokaina, Sam! – drze się wniebogłosy, ale ja zatrzymuję drzwi i nagle robi się cicho.

Kiedyś zatrzymywałam się na korytarzu. Miałam nadzieję, że za mną wybiegnie, przeprosi, obieca poprawę. Jednak teraz idę od razu do windy, ponieważ wiem, że nie ma na co czekać.

Richard siedzi w moim gabinecie i mam wrażenie, że znowu zmierzamy donikąd. Przyszedł do mnie w czwartek, ponieważ zbliżają się święta i połowa personelu wzięła urlop, co oznacza, że odwołano wiele zajęć grupowych. Kiedy stanął rano w drzwiach, jego uwagę przyciągnęła dokumentacja ewaluacyjna: leżała na rogu biurka, tam, gdzie zwykle kładzie swoje rzeczy. Rzucił okiem na stos papierów, zrobił kwaśną minę i położył gazety na parapecie.

Jak dotąd nie zajrzałam do swojej teczki i cały czas myślę o tym, co znajdę w środku. Teraz już wiem, że raporty dotyczącego Gary'ego, a nawet Julie, zostały przygotowane bardzo profesjonalnie, a rekomendacje sprawiają wrażenie rzetelnych. Psychiatrzy z BZP nie wykonali swojej roboty powierzchownie i nie uznali wszystkich pracowników za wystarczająco kompetentnych, co sprawia, że czuję się coraz mniej pewnie.

Richard postanowił, że dzisiaj będzie ze mną rozmawiać, ale nie na żadne istotne tematy. Mówi głównie o pogodzie. Jego zdaniem to świetna aura, żeby iść na ryby, ale niestety w Nowym Jorku nie da się wędkować, bo panuje zbyt duży hałas. Opowiada mi też o tym, jak żyło się w czasach jego młodości, kiedy na ulicach było co prawda niebezpiecznie, ale miasto miało swój charakter. Teraz stało się nijakie i tylko milionerzy dobrze się w nim czują. Richard mówi o nich „mięczaki”. Ludzie, którzy nie wiedzą, co to ciężka praca. Nie zasługują na to miasto, dorabiając się nie wiadomo na czym. W pewnym momencie stwierdza, że pieniądze szczęścia nie dają. Korzystam z okazji i pytam, co w takim razie sprawia, że ludzie są szczęśliwi.

– Skąd mam wiedzieć, do cholery? – odpowiada. – Kiedyś chodziło się po Nowym Jorku z wysoko podniesioną głową. To było, jeszcze zanim nastąpił krach na giełdzie i zaczęli wyburzać starą zabudowę. Ludzie nie sprawiali wtedy wrażenia zrozpaczonych, a przecież nikt ich szczególnie nie rozpieszczał. Teraz ciągle się słyszy o dzieciakach, które przeszkadzają na lekcjach, ale to rzekomo wina jakiejś choroby, a nie braku dyscypliny. Organizuje się dla nich specjalne klasy, mogą przychodzić, kiedy chcą, i dostają leki poprawiające koncentrację. Moim zdaniem to jednak jedno wielkie gówno. Dlaczego nie można nikomu powiedzieć, żeby wziął się w garść i zaczął uważać? Co się stało z dyscypliną? Teraz nie można nikomu

zwrócić uwagi, bo zaraz wytoczą ci sprawę w sądzie.

Kiedy Richard snuje swoje wywody, z korytarza dobiega dziwny hałas. To nie przejeżdżające pod ziemią metro ani odgłosy z budowy. Wydaje mi się, że coś się stało. Nie daję jednak niczego po sobie poznać, tylko staram się nasłuchiwać, jednocześnie udając, że interesują mnie tyrady Richarda.

– Rodzice siedzą na forsie, a wychowaniem dzieci zajmują się nianie i guwernantki... Założę się, że niektórzy tatusiowie nawet nie pamiętają, jak mają na imię ich latorośle... A mamusie chodzą na zabiegi odsysania tłuszczu, wygładzają sobie twarze, wstrzykują różne...

Richard przerywa w połowie zdania, ponieważ zaczyna wyć syrena alarmowa: coś się stało na drugim piętrze. Z interkomu dobiega mechaniczny głos, który co chwilę oznajmia spanikowanym tonem: „Kod niebieski, kod niebieski”. Nie wyjaśniam Richardowi, o co chodzi, tylko wyskakuję na korytarz i rzucam się w stronę schodów. Na dole napotykam kłębiący się tłum. Pacjenci stojący z tyłu podskakują, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Muszę się jakoś przepchnąć, więc łapię za spocone ramiona i szarpię za szlafroki. Kiedy stoję pośrodku zbiegowiska, widzę leżącą na podłodze Adelle i sanitariusza próbującego ją reanimować. Kilka kobiet zanosi się histerycznym płaczem, a jakiś pielęgniarz podaje im tlen. Obok Adelle wala się deska ortopedyczna, w którą kopią przerażeni pacjenci. W tłumie widzę kilku członków personelu klinicznego, którzy usiłują zapanować nad sytuacją. Napotykam wzrok Gary’ego i zaczynam rozpaczliwie machać do niego lewą ręką.

– Gary, pomóż mi. Musimy stąd wszystkich wyrzucić! Gary kiwa głową i zaczyna wypraszać ludzi stojących tuż obok niego. Pielęgniarz, który trzyma butlę z tlenem, to wielki facet i wydaje mi się, że ma na imię Carl.

– Carl, potrzebuję twojej pomocy. W takim tłumie Adelle nie jest w stanie oddychać. Trzeba zrobić więcej miejsca.

– Nazywam się Kyle.

– Przepraszam. Pomożesz mi?

Kyle prostuje plecy i robi się jeszcze wyższy, niż mi się wydawało. W blasku świetlówek jego ogolona głowa lśni od potu. Rozpościera ramiona i widzę, że w jego objęciach mieści się po pięć osób z każdej strony. Niestety okazuje się, że Kyle nie ma wcale donośnego głosu. Kiedy słyszę, jak grzecznie prosi pacjentów o opuszczenie korytarza, postanawiam sama

wkroczyć do akcji.

– Natychmiast się cofnijcie! Dziękuję za zainteresowanie, ale potrzebujemy więcej przestrzeni. Wracajcie do swoich pokoi albo po prostu się rozejdźcie. Wszyscy muszą zniknąć z tego korytarza! Już! – Trzymam ręce w górze i wrzeszczę z całych sił. Gary i Kyle odprowadzają pacjentów i po chwili tłum się przersedza. Słyszę dobiegający z ulicy sygnał karetki pogotowia.

– Co się stało? – pyta mnie zdyszana Shirley, która wyrosła nagle jak spod ziemi.

– Nie wiem. Adelle straciła przytomność i Terry stara się ją reanimować. Wcześniej słyszałam jakieś hałasy, ale nie mam pojęcia, dlaczego Adelle zemdlą.

– Dostała ataku – mówi Gary, odganiając snującego się pacjenta, który ma na sobie tylko spodnie od piżamy. – Była na moich zajęciach i raptem źle się poczuła. Poprosiłem Tylera, żeby skontaktował się przez interkom z Rachel. Ogłosiła alarm, a potem wezwaliśmy pogotowie. Chyba właśnie przyjechali.

– Ona ma padaczkę? – pyta Shirley.

– Nie mam pojęcia, ale dobija do dziewięćdziesiątki – wyjaśnia Gary i ogląda się za siebie. – Już tu są.

O mój Boże, olanzapina.

Razem z Shirley patrzymy, jak w korytarzu pojawia się dwóch sanitariuszy. Biegną, trzymając w rękach wielkie torby lekarskie i butlę z tlenem. Obok nich truchta Rachel, przyciskając teczkę z dokumentami do swoich wielkich piersi. Naprawdę musi się nieźle nagimnastykować, żeby nie wypadły ze stanika.

Terry podnosi głowę i widzi, jak obsługa karetki klęka na podłodze, tuż obok niego.

– Ledwie oddycha. Wyczuwam słaby puls. Jest nieprzytomna od jakichś ośmiu minut.

Reszta personelu odsuwa się do tyłu, żeby zrobić więcej miejsca. Po korytarzu ciągle pałeta się jednak kilku gapiów. Staramy się ich wyprosić, a potem zbieramy się przy recepcji znajdującej się obok windy. Rachel cały czas miętosi w dłoniach teczkę z dokumentacją medyczną Adelle. W pewnym momencie postanawia przejrzeć papiery. Podnosi ręce i pod jej piersiami pojawiają się mokre plamy w kształcie półksiężyców.

– Dziękuję wszystkim za szybką reakcję. Mój Boże, jak ja tego nienawidzę – mruczy Rachel, przeglądając teczkę w poszukiwaniu jakichś użytecznych informacji. – Oddelegowałam pozostałych członków zespołu do opieki nad pacjentami. Jak się domyślacie, wszelkie plany na resztę dnia szlag trafił.

Ogarnia mnie obezwładniający strach i nie mogę złapać oddechu. Co się stanie, jeśli Rachel odkryje, że przyczyną ataku były brane przez Adelle leki?

– Jak to szlag trafił? – pyta Gary.

– Kiedy dochodzi do takiej sytuacji, pacjenci wpadają w panikę i musimy poświęcić dużo energii, żeby ich uspokoić i wyjaśnić, co się stało. Wiele zależy do dalszego stanu Adelle – tłumaczy Shirley.

– Masz rację, jednak na razie wolę o tym nie myśleć – mówi Rachel i odwraca się w stronę sanitariuszy. – Pacjentka nie chorowała na epilepsję i nie miała do tej pory żadnych ataków. Zbadajcie krew, żeby sprawdzić, jakie brała leki – krzyczy i spogląda na mnie troskliwym wzrokiem. Podnoszę w górę ręce, ponieważ czuję się całkowicie bezradna.

Czekamy w napięciu na dalszy rozwój wypadków. Dzwoni mi w uszach i mam zawroty głowy. Na dodatek strasznie się pocę i z trudem łapię oddech. Jeden z salowych przynosi nam cztery małe butelki wody marki Poland Spring.

– Dziękuję, Sal. Ratujesz nam życie – stwierdza Rachel.

– E tam! To oni ratują życie – mówi, wskazując głową na sanitariuszy.

Pijemy wodę i patrzymy, jak kładą kruche ciało Adelle na nosze, wieszają na stojaku woreczki z płynami i mocują na jej twarzy maskę tlenową, po czym ruszają przed siebie powolnym krokiem, mijają nas i stają przed windą. Rachel zaczyna z nimi rozmawiać przyciszonym głosem. Nie wiem, o czym mówią. Widzę tylko, jak przytakują i kręcą głowami. Nie wierzę, że mogłam aż tak bardzo spieprzyć dawkowanie leków. Otwiera się winda i po chwili Adelle znika w kabinie. Rachel krzyżuje ręce na piersi, odwraca się i rusza w naszą stronę. Idzie, lekko powłócząc nogami, ponieważ ma na sobie zbyt obcisłą spódnicę i zimowe buty na misiu.

– Udało się ustabilizować jej stan, ale nie wiadomo, co będzie dalej. Adelle ma już dziewięćdziesiąt lat i musimy uzbroić się w cierpliwość. Będę was na bieżąco informować, co się z nią dzieje. Jeszcze raz dziękuję za szybką reakcję i zachowanie zimnej krwi. Teraz wracajcie do swoich

obowiązków. Sprawdźcie, jak czują się pacjenci, i upewnijcie się, że wszyscy są w dobrym nastroju. Być może zorganizuję wieczorem jakąś grę, seans filmowy albo coś w tym rodzaju... – mówi coraz cichszym głosem, po czym podchodzi do Terry’ego i Kyle’a, którzy ciągle stoją przy windzie. Wymienia z nimi uściski dłoni i coś im tłumaczy, kręcąc głową.

Shirley, Gary i ja powoli kierujemy się w stronę schodów i w ciszy wracamy do swoich gabinetów. Kiedy stajemy w korytarzu, widzimy czekający na nas tłumek pacjentów, którzy zaczynają krzyczeć: „Co się stało? Co się stało?”. Staramy się ich uspokoić i zaprowadzić z powrotem do pokoiów lub do sali wypoczynkowej.

Wiem, że powinnam jak najszybciej wrócić do siebie i przejrzeć papiery dotyczące leków, które zapisałam Adelle. Czy rzeczywiście odstawiłam rysperydon i kazałam jej brać olanzapinę? Czy mam wystarczająco dużo odwagi, żeby powiedzieć Richardowi, co się właśnie stało? Łączyła go z Adelle przyjaźń i nie mam pojęcia, jak by zareagował.

Czuję się strasznie zmęczona. Otwieram drzwi i widzę, że krzesło, na którym siedział Richard, jest puste.

CZEŚĆ DRUGA

Kiedy minęło już nieznośne uczucie samotności spędzonego w pojedynkę Bożego Narodzenia i większość pracowników wróciła z urlopów, mam trochę czasu, żeby stawić czoło zadaniu, którego do tej pory unikałam. Wpatruję się w teczkę z wynikami badań ewaluacyjnych i nie wiem, jak mam się zmusić, żeby ją otworzyć. Powinnam dostarczyć końcowy raport, zanim Rachel nabierze jakichś podejrzeń, więc najlepiej zrobić to jeszcze w tym tygodniu. Nigdy nie nadejdzie dobry moment na lekturę tych dokumentów, ale teraz czuję, jakby ktoś przyłożył mi w skroń i coraz bardziej boli mnie głowa. Na pewno nie jestem w odpowiedniej formie, żeby czytać o delikatnym stanie swojego zdrowia psychicznego.

Chowam teczkę do szuflady i powoli kończę pić kawę. Muszę uspokoić nerwy i pozbyć się resztek krążącego w żyłach alkoholu. Kiedy wieszam na drzwiach tabliczkę z napisem „Trwa konsultacja”, nie mogę pozbyć się wrażenia, że wyniki ewaluacji gapią się na mnie jak czyhający pod łóżkiem potwór. Ogarnia mnie strach i z trudem łapię oddech. Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z dokumentem, który może zrobić mi tyle krzywdy. Zdaję sobie jednak sprawę, że lepiej wiedzieć, co w trawie piszczy, ponieważ w ten sposób będę w stanie jakoś przeciwdziałać dramatycznym konsekwencjom.

Wyjmuję teczkę z biurka i kładę ją na szarym zniszczonym blacie. Zaglądam do środka i widzę, że niektóre kartki zostały starannie ułożone, ale inne trochę wystają i mają pozaginane rogi. Narasta we mnie wściekłość, ponieważ uważam, że świadczy to o niechlujności i braku profesjonalizmu. Wpatruję się w dokumentację, starając się wyrównać oddech. Czuję, że drżą mi wargi i dłonie.

Kiedy zaczynam przeglądać wyniki, serce podchodzi mi do gardła i nie jestem w stanie zapanować nad podskakującymi kolanami. Błagam, niech potraktują mnie łagodnie. Do oczu napływają mi łzy, wzrok zachodzi mgłą. Emocje biorą górę i zaczynam wydawać z siebie stłumione piski, które zwiastują napad hysterii. Narastający ból niemal rozsadza mi tył czaszki. Proszę, chcę wyjść z tego bez szwanku.

W panice przerzucam dokumenty, nawet nie kończąc ich czytać. Robię to zbyt szybko, żeby cokolwiek dobrze zrozumieć, ale natychmiast chcę mieć przynajmniej ogólny zarys sytuacji. Moją uwagę przykuwają określenia

takie jak „niestabilna”, „impulsywna”, „prowadzi bujne życie seksualne”, „manipulorka”. Szczególną przykrość sprawiają mi dwa opisy: „rozpaczliwie stara się uniknąć odrzucenia” oraz „jest prawdopodobnie uzależniona od alkoholu”. W podsumowaniu znajduję następujące komentarze: „cierpi na poważne zaburzenia emocjonalne” i „wszystko potwierdzają wyniki badań psychologicznych”. Błagam, tylko nie to...

To jest jeden wielki błąd. I na pewno to nie są moje papiery. Przecież nikt nie może w ten sposób o mnie myśleć. Przytłoczona tym, czego się właśnie dowiedziałam, opuszczam ręce i kładę głowę na oparciu krzesła. Znalazłam się w pułapce i wiem, że nie ma dla mnie ucieczki.

Staram się wyobrazić sobie konsekwencje. Co się ze mną stanie? Czy stanowią zagrożenie dla innych i dla samej siebie? Wyrzucą mnie z pracy? Przesuną na inne stanowisko? A może grzecznie zasugerują, że powinnam poszukać nowego zatrudnienia? Przecież jestem najbardziej cenionym klinicystą w Tyflos! Czy szpital może sobie pozwolić na taką stratę?

Przed oczami staje mi niezwykle sugestywny obraz: Rachel wzywa ochroniarzy. Najpierw pilnują, żebym zabrała swoje rzeczy z gabinetu, po czym wyprowadzają mnie z budynku. Widzę, jak specjalnie przeszkoleni zawodowcy przetrząsają moją torebkę w poszukiwaniu przedmiotów, których nie wolno wynosić poza teren szpitala. Wszystko rozgrywa się na tle brudnych podłóg i muszę mocno potrzebować oczy, żeby ten nieprzyjemny obraz zniknął.

Jeżeli ktokolwiek się o tym dowie, jestem skończona. Wywalą mnie na zbity pysk, a moja reputacja legnie w gruzach. Wszystko, na co tak ciężko pracowałam – dobra opinia o mojej pracy i wdzięczność pacjentów – skończy się raz na zawsze.

W mojej głowie krążą przygnębiające myśli, a ja pochylam się nad biurkiem i staram się ogarnąć rzeczywistość. Mam wrażenie, że gram w jakimś filmie: kamera jest zawieszona pod sufitem, a operator używa szerokokątnego obiektywu. Patrę na siebie z góry i widzę, jak moja ręka podnosi kubek, jednak kawa nie smakuje już jak kawa. Wydaje mi się, że pije ją ktoś inny. Rzucam się w stronę kosza na śmieci, żeby zwymiotować. Włosy opadają mi na twarz, ale znowu mam poczucie, że to wszystko przydarza się komuś innemu.

Otumaniona wychodzę na korytarz i chwiejnym krokiem idę do łazienki dla personelu, żeby w spokoju pozbyć się resztek treści żołądkowej. Na drzwiach wciąż wisi tabliczka z napisem „Awaria”, ale tym razem bez

zastanowienia wchodzi do środka. Drżącymi ramionami obejmuję muszlę klozetową i czekam na torsje. Kiedy już po wszystkim gapię się na paskudną breję, wcale nie czuję się lepiej. Mam wrażenie, że tracę zmysły. Wydaje mi się, że relacje, które łączyły mnie z moimi pacjentami, również pływają w kiblu. Spuszczam wodę, ale wymiociny wcale nie chcą zniknąć, tylko zbliżają się do mojej twarzy.

Zrywam się na równe nogi i uciekam przed nadciągającą katastrofą. Wymykając się z toalety, wpadam na Sala, który odpowiada za czystość sanitariatów. Ukradkiem ocieram łzy z oczu i mówię:

– Cześć, Sal. Chyba coś popsułam. – Wskazuję na drzwi, odwracając głowę, żeby Sal nie zobaczył, że płakałam.

– Cześć. Dostałem właśnie wezwanie do sali, w której prowadzone są zajęcia grupowe. Doszło do małego wypadku, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Jedną ręką zatyka nos, a drugą wymachuje sobie przed twarzą. – Potrafisz korzystać z przepychacza?

– Jasne. Gdzie go znajdę?

Odpina klucz z przytroczonego do paska wielkiego pęku i rzuca go w moją stronę.

– W schowku dozorczy. Pamiętaj tylko, żeby już po wszystkim zamknąć drzwiczki. Klucz zostaw u ochroniarza. – Sal wyraźnie się spieszy i rusza przed siebie szybkim krokiem, wciąż coś do mnie mówiąc.

Po chwili, kiedy idę korytarzem, mam dziwne uczucie, że jestem obserwowana.

Richard siedzi w moim gabinecie już prawie pół godziny, jednak mam wrażenie, jakby pojawił się tutaj dopiero przed chwilą. Czyta gazetę, ale moim zdaniem tylko udaje. Wydaje mi się, jakby w jakiś sposób był w stanie przeniknąć do wnętrza mojego umysłu i doskonale wie, co się stało. Ogarnia mnie coraz większe przerażenie, ponieważ wyobrażam sobie, że teczka z dokumentami ewaluacyjnymi ma zamontowaną syrenę alarmową, która ryczy teraz na cały regulator.

Wszystko, co wiedziałam, jest już teraz nieistotne. Zupełnie inaczej wszystko widzę i zupełnie inaczej odbieram dźwięki. Płacę, walę pięściami w biurko i wycieram twarz, ale cały czas mam wrażenie, że robi to ktoś inny. Kątem oka widzę, że Richard bacznie mnie obserwuje. Mam nadzieję, że to wszystko jest jedynie złym snem.

– Dostałaś jakąś złą wiadomość? – pyta lekko zdegustowanym tonem. – A może jesteś chora?

– Chora? Nie, nie, wszystko ze mną w porządku.

– Nie najlepiej wyglądasz. Zdaje mi się, że potrzebujesz pomocy – oświadcza, zerkając zza gazety.

– Dziękuję. Wezmę twoją opinię pod uwagę. – Odsuwam się od niego i skupiam na stanie własnej psychiki.

– Nie musisz się mnie bać – mówi. – Nie zamierzam cię skrzywdzić.

– Wcale się ciebie nie boję. Skąd w ogóle przyszło ci to do głowy? Naprawdę wydaje ci się, że obchodzi mnie, co o mnie myślisz? Mam to głęboko w dupie.

Kładę rękę na czole. Nie mam już siły dłużej udawać. Czuję, jakbym znalazła się pod ostrzałem. I wcale nie chodzi o Richarda. On po prostu stanął na drodze pędzącego pociągu i wszystko wskazuje na to, że zostanie przypadkową ofiarą.

– Jednak są rzeczy, którymi się przejmujesz – mówi zupełnie niezrażony moim wybuchem. Najwyraźniej znalazł się już wcześniej w podobnej sytuacji i nie czuje się speszony, gdy terapeuta zaczyna mówić o swoich prywatnych sprawach. – Nie przejmuj się. Nie musisz mieć zawsze wszystkiego pod kontrolą.

– Owszem, muszę – odpowiadam ponurym głosem. – Na tym polega

praca psychologa. Moje życie prywatne też powinno być uporządkowane... Wszystko pod kontrolą.

Nie jestem w stanie dłużej powstrzymać się od płaczu. Łzy zaczynają mi spływać po policzkach, a z nosa ciekną płynne smarki. Co chwilę zanoszę się szlochem. Na czole nabrzmiewają mi żyły, jakby chciały wyrwać się na wolność. Zaciskam i rozwieram pięści, łudząc się, że w ten sposób odegnam wszelkie zmartwienia.

Nie potrafię nad sobą zapanować, a obok siedzi pacjent i wszystko obserwuje. Mokry kołnierzyk przykleił mi się do szyi. Nienawidzę tego uczucia. Na całe szczęście Richard taktownie milczy, chociaż chciałabym, żeby stąd wyszedł, ponieważ znowu zbiera mi się na wymioty.

Słyszę, że na korytarzu robi się ciszej. W innych salach zaczynają się zajęcia grupowe. Kiedy wydaje mi się, że na zewnątrz już nikogo nie ma, uchylam drzwi i pokazuję Richardowi, żeby sobie poszedł. Sama siedzę ze spuszczoną głową na wypadek, gdyby jakiś zbłąkany pacjent zajrzał do środka i chciał zobaczyć, jak moje życie wali się w gruzy.

Richard patrzy na mnie, a potem zerka w stronę korytarza. W pewnym momencie podnosi nogę i ciężkim buciorem zamyka drzwi.

– Zostało nam jeszcze trochę czasu – stwierdza. Ma w sobie jednak na tyle dużo litości, że wbija wzrok w gazetę i nie komentuje mojego stanu. –

Poza tym jestem jedyną osobą, przy której możesz stracić nad sobą kontrolę.

Nie jestem w stanie się bronić. Chyba zapomniałam, jak to się robi. Uznaję, że wystarczy, jeśli postaram się jakoś wybrnąć z tej sytuacji. Udaję, że Richarda w ogóle nie ma w moim gabinecie, a on również zachowuje się tak, jak gdyby był sam i nikt nie przeszkadzał mu w czytaniu gazet.

Przestaję na niego zwracać uwagę i usiłuję się skupić na tu i teraz. Nie jestem supermanką, za którą się wcześniej uważałam. Okazuje się, że udawałam dziewczynę, którą nie byłam. Opieram się łokciami o blat biurka i trzymam głowę w dłoniach, ukradkiem zerkając na Richarda. To ty jesteś wariatem, a nie ja. Widzę jednak, jak zacierają się oddzielające nas granice, i wydaje mi się, że to na mojej twarzy wypisana jest choroba, a on jest okazem zdrowia.

Rzucam okiem na zegar, żeby sprawdzić, ile jeszcze czasu będę musiała się męczyć, gdy nagle zaczyna dzwonić telefon.

– Dzień dobry. Sam James.

Richard wyraźnie zaintrygowany wygląda zza gazety.

– Cześć, to ja. – W słuchawce rozlega się głos szefowej.

– Cześć, Rachel. Co się stało? – Odgrywam teraz przedstawienie zarówno przed nią, jak i przed Richardem i mam wrażenie, że skupia się na mnie światło reflektorów.

– Jak ci idzie opracowywanie wyników badań ewaluacyjnych? Masz już raport dla BZP? Bo widzisz, nie za bardzo mogę dłużej czekać. Brooks i Young przekazali mi dokumenty już dwa tygodnie temu. Jeśli jeszcze nie skończyłaś, będę musiała sama się tym zająć.

Jasna cholera!

– Tak, tak, sprawozdanie jest już prawie gotowe. Jak wygląda dalsza procedura? Mam je wysłać do BZP czy chcesz wcześniej rzucić na nie okiem? – Otwieram szufladę i zaczynam w panice przerzucać papiery w poszukiwaniu notatek. Jeszcze nie zdecydowałam, co zrobię ze swoimi wynikami. Jaki mam wybór? Powiedzieć prawdę czy też raczej sfalszować oficjalną dokumentację, a potem kłamać w żywe oczy?

– Jak skończysz, przynieś do mojego biura wszystkie papiery razem z twoim sprawozdaniem. Dziś rano dzwonił do mnie przedstawiciel BZP i okazało się, że pozostałe jednostki z Nowego Jorku wywiązały się już ze swoich obowiązków, dlatego nie wolno nam dłużej zwlekać. Wyjdziemy na niekompetentnych, a to może mieć zły wpływ na nasze finanse. – Rachel jest zmęczona i chyba żałuje, że oddała tę sprawę w moje ręce.

– W porządku, nie ma problemu. Zaraz u ciebie będę.

Szefowa głośno wzdycha i kończy rozmowę, nawet się ze mną nie zegnając. Przez dłuższą chwilę trzymam telefon przy uchu, udając, że Rachel ciągle coś do mnie mówi. Richard nie powinien się zorientować, że zostałam potraktowana tak obcesowo. Wreszcie szepczę radosnym głosem „Do usłyszenia” i spokojnie odkładam słuchawkę na widełki. Richard nie okazuje żadnych emocji i przez pięć ostatnich minut naszej sesji czyta gazetę.

Rachel zwołała na dzisiaj pilne zebranie. To dziwne, ponieważ prawie nigdy nie organizuje takich rzeczy w ostatniej chwili. Mamy się spotkać o szesnastej w sali konferencyjnej. Poleciała nam również skończyć wcześniej wszystkie sesje indywidualne i zajęcia grupowe, żebyśmy mogli w spokoju podyskutować. Niestety nie mam pojęcia o czym. Może chodzi o wyniki ewaluacji? Czy Rachel każe mi wyjść na środek i na oczach całego personelu wywali mnie z roboty, tłumacząc, że nie nadaję się do leczenia pacjentów? Przecież nie przekazałam jej jeszcze dokumentacji. Czy to możliwe, że od samego początku знаła moją diagnozę, ponieważ dostała od kogoś cynk?

Czas strasznie się wlecze i co dziesięć sekund sprawdzam, która jest godzina. Chciałabym mieć już to za sobą. Jakoś przeżyję upokorzenie i będę mogła w spokoju zalać smutki. Nagle słyszę nerwowe pukanie i truchleję ze strachu. Instynktownie otwieram drzwi. W progu gabinetu stoi Julie. Wślizguje się do środka i opada na krzesło dla pacjentów. Cała się trzęsie.

– Co się dzieje? – pytam.

– Mamy zebranie w sali konferencyjnej i Rachel planuje wszystkich zwolnić. – Jestem całkowicie zdezorientowana i staram się zrozumieć, o co chodzi.

– Co ty bredzisz, Julie? Kto wyleci z pracy? – O mój Boże, miałam rację. Wywalą mnie na zбитy pysk. Wszyscy już o tym wiedzą.

– David tak twierdzi. Rozmawiał przez telefon ze znajomym z BZP i podobno zdarzyło się to już wcześniej. Najpierw przeprowadzają ewaluację i jeśli okazuje się, że pracownicy nie spełniają wymagań, dochodzi do restrukturyzacji i wszyscy lądują na bruku. – Julie dygocze ze strachu jak galareta i zachowuje się tak, jak gdyby zwolnienie oznaczało dla niej koniec świata, a przecież rodzice założyli dla niej fundusz powierniczy i zgromadzone środki spokojnie wystarczą, żeby spadła na cztery łapy obute w szpilki Manolo Blahnika. Oficjalnie nic jednak o tym nie wiem, więc muszę udawać.

– Dostałaś pozytywną ocenę. Nic złego ci nie grozi. Uspokój się – mówię, lekko się od niej odwracając. Julie nie ma pojęcia, że to ja zajmuję się przygotowaniem końcowego raportu.

– Nie, wcale nie jest dobrze. Wiem, że moja praca pozostawia sporo do życzenia i na pewno źle wypadłam.

– Julie, przestań panikować. Naprawdę nic się nie stanie. Uwierz mi na słowo i weź się w garść. – Nie powinnam się do tego mieszać. Julie jest bezpieczna. Zresztą uwielbia robotę papierkową, a z tym jest sobie w stanie poradzić nawet małpa.

– Jasne, i kto to mówi! Przecież tobie nic nie grozi. Nikt się do ciebie nie przyczepi. Rachel cię uwielbia, więc nie musisz się niczym przejmować. – Nie da się ukryć, że jej słowa sprawiają mi przyjemność. – Ale ja to co innego...

Właśnie takie chciałam zrobić wrażenie. Jakimś sposobem udało mi się oszukać resztę personelu Tyflos, ale nie speców z BZP. Teraz szydło wyszło z worka i wszyscy się o tym dowiedzą.

– Nie byłabym tego taka pewna. Wcale nie jest tak różowo. – Staram się okazać współczucie, ale nigdy nie powiem Julie, jak naprawdę wygląda sytuacja.

– E tam, ciebie na pewno nie wyrzucą. – Julie głośno wzdycha i ześlizguje się na podłogę. Zahacza jednak spódnicą o krawędź krzesła i kiedy opiera głowę o kaloryfer, żeby rozmasować skronie, wyraźnie widzę jej bieliznę. Ma na sobie jasnoniebieskie majtki i z jakiegoś powodu jestem tym zaskoczona.

David słyszy przez ścianę, jak rozmawiamy, i puka do drzwi, żeby się do nas przyłączyć. Robi krok, żeby przejść nad Julie, i siada na moim krześle. Kiedy zakłada nogę na nogę, w oczy rzucają mi się skarpetki nie do pary. Julie korzysta z sytuacji i zachowuje się wyjątkowo kokieteryjnie. Nie dziwi mnie to, ponieważ sama często reaguję w ten sam sposób. Moja młodsza koleżanka opiera się o nogę Davida, a on delikatnie gładzi ją po włosach. Naprawdę szczególnie z nich para...

– Nie macie najmniejszych powodów do obaw – oświadcza David, chyba po to, żeby nas uspokoić. – Jestem pewien, że Rachel nie ma zamiaru nikogo zwalniać. – Julie patrzy na niego maślanymi oczami, a ja mam ochotę rzucić w nią zszywaczem. – Mój znajomy z BZP twierdzi, że nasza placówka ma kłopoty z finansowaniem i być może właśnie o tym chce pogadać nasza szefowa. Niewykluczone, że czekają nas zwolnienia grupowe, ale moim zdaniem w pierwszej kolejności pod topór pójdzie personel pomocniczy. Nie mogą przecież postawić wszystkiego na głowie.

W pewnym momencie przestaję skupiać uwagę na rozmowie i zaczyna

ogarniać mnie zazdrość o to, że w tej dramatycznej sytuacji David i Julie szukają w sobie nawzajem pocieszenia. Czuję się osamotniona. Nie ma osoby, o którą mogłabym się oprzeć, i nikt mnie nie przytuli. Dlaczego skupiają się na sobie i zapominają o mnie? David jest przecież moim najlepszym przyjacielem, a Julie chciałyby się wkupić w moje łaski. Czemu więc ze sobą flirtują, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi? Czy powinnam być zadowolona, że przyszli właśnie do mnie, żeby poczuć się lepiej? A może sama moja obecność działa na nich uspokajająco? Tylko dlaczego, do cholery, nikt nie gładzi mnie po włosach?

David patrzy na zegarek i stuka palcem w tarczę.

– Musimy się zbierać. Spotkanie zaczyna się za dwie minuty. – Pomaga Julie wstać z podłogi, a ja przytrzymuję im drzwi. Przez chwilę mam ochotę podstawić Julie nogę. Chciałabym zobaczyć, jak leci na ziemię i wybija sobie te idealnie wyprostowane zęby. Zamiast tego spokojnie zamykam gabinet i ruszam korytarzem.

Po rozpoczęciu zebrania widać, że personel podzielił się na kilka koterii, które spotkały się wcześniej w różnych gabinetach i deliberowały nad tym, co się może wydarzyć. Rachel siedzi za stołem konferencyjnym, pochylona nad stosem papierów, a reszta zajęła miejsca bardzo blisko siebie.

Sama jestem wciśnięta między Davida i Shirley, a Julie siedzi po naszej lewej stronie. Nadal czuję lekkie zdenerwowanie i wciąż roztrząsam w myślach, dlaczego nikt mnie nie dotykał i nie gładził po włosach. Na szczęście stres związany z nadchodzącym spotkaniem pomaga mi nie myśleć o tym, co zaszło w moim biurze. Szybko zapominam, że zostałam wykluczona, i staram się skupić na zachowaniu Rachel. W ogóle na nas nie patrzy, co oznacza, że albo się zastanawia, jak nas ukarać, ponieważ wszyscy zrobiliśmy coś okropnego, albo musi przekazać nam coś, o czym sama wolałaby nie wiedzieć.

Nie mam wyboru, przygotowuję się na to, co nieuniknione. Ogarnia mnie coraz większa panika. Muszę co chwilę przełykać ślinę, żeby choć trochę się uspokoić. Czekam, aż Rachel otworzy usta i spojrzy mi prosto w oczy. Szykuję się na moment, gdy po zakończeniu zebrania weźmie mnie na stronę i wyjaśni, że ma związane ręce. Wyobrażam sobie, jak powołuje się na kryteria DSM, żeby wytłumaczyć moim kolegom i koleżankom, dlaczego nie nadają się do pracy z pacjentami cierpiącymi na zaburzenia psychiczne.

Wydaje mi się, że siedzę w tej sali już od dobrych kilku godzin. Wreszcie Rachel przerywa głuchą ciszę i zwraca się do nas spokojnym głosem.

Zaciskam dłonie na poręczach krzesła.

– Dziękuję, że przyszliście. Zdaję sobie sprawę, że zorganizowałam to zebranie na ostatnią chwilę i zostaliście oderwani od mnóstwa ważnych obowiązków. Tym bardziej doceniam waszą obecność. Jest mi przykro, ponieważ muszę wam przekazać bardzo smutną wiadomość.

Julie wciąga powietrze i ściska kurczowo ramię Davida. Gdy widzę, co się z nią dzieje, moje serce zaczyna walić jak oszalałe, a po plecach spływa mi strużka potu.

– Pracujecie w Tyflos dość długo i macie świadomość, że czasami leczymy pacjentów, którym w gruncie rzeczy nie jesteśmy w stanie pomóc. Jak sądzę, zdajecie sobie sprawę, że nasz zawód ma swoją ciemną stronę i właśnie dzisiaj musimy stawić temu czoło. Chciałam was poinformować o śmierci Eddiego.

Przez salę przechodzi stłumiony okrzyk zdziwienia i nagle robi się gorąco. Moi koledzy i koleżanki szeroko otwierają usta, rozglądając się w poszukiwaniu jakiegoś wyjaśnienia tego, co się stało. Szok jest tak wielki, że przypomina falę uderzeniową, która rozbija się o mnie z wielkim impetem. Chciałabym poczuć ulgę, że to nie ja jestem tematem tego zebrania, ale nie potrafię.

Nikt nie wie, co powiedzieć ani jak zareagować. David odwraca się w moją stronę i widzę, że Julie trzyma go za rękę. Mój przyjaciel wygląda na spokojnego, ale ma łzy w oczach. W pewnym momencie kładzie mi obie dłonie na nodze i spuszcza wzrok. Zerkam mu przez ramię, obserwuję, że Julie się odsuwa, po czym zakrywa twarz dłońmi. Mnie i Davida łączyła z Eddiem szczególna więź, o której tak naprawdę nikt nie wie. Jednak do tej pory nie traktowaliśmy Eddiego poważnie, a teraz nic już nie da się z tym zrobić. Przypominam sobie, jak włożył w szczelinę w drzwiach mojego gabinetu brudnego adidasa bez sznurowadeł i chciał ze mną pogadać. Obiecałam wtedy, że za godzinę znajdę dla niego trochę czasu.

Liczył na naszą pomoc, lecz my go zawiedliśmy. Zamiast zadręczać się myślami o tym, co mogliśmy zrobić, żeby go ocalić, staramy się pocieszać samych siebie i szepczemy sobie do ucha: „Przecież nic nie dało się zrobić”.

– Wszystko wskazuje na to, że popełnił samobójstwo – kontynuuje Rachel. – Nasz dozorca Sal natrafił na ciało wczoraj w nocy w pomieszczeniu gospodarczym na parterze. Nie znaleźliśmy nigdzie listu pożegnalnego, ale biorąc pod uwagę wcześniejsze wypadki, Eddie najprawdopodobniej sam targnął się na swoje życie.

Gary nie wytrzymuje i wybucha płaczem. Jego sąsiedzi starają się go pocieszyć. Gładzą go po plecach i mamrocą słowa pociechy. Nikt nie był przecież w stanie powstrzymać Eddiego. Kładę spoconą dłoń na rękach Davida. Podnosi głowę i patrzy na mnie w taki sposób, jakbyśmy mieli sto lat i znali odpowiedzi na wszystkie pytania.

Rachel informuje nas, że możemy skorzystać z pomocy terapeutów, szczególnie jeśli będziemy mieli problemy z naszymi emocjami. Ludzie zachowują się jednak tak, jak gdyby w ogóle jej nie słuchali. Szefowa stwierdza więc, że zostawi nas na chwilę, żebyśmy pogadali o tym we własnym gronie. Julie od razu wpada w panikę. Z trudem łapie oddech i zaczyna się trząść. Shirley zabiera ją do łazienki, żeby się uspokoiła. W sali jest głośno i panuje nerwowa atmosfera, ale ja i David chronimy się w bezpiecznej bańce, w której królują spokój i cisza.

Minęły już prawie dwadzieścia cztery godziny, odkąd dowiedziałam się o śmierci Eddiego. Jednak ciągle nie mogę przestać o tym myśleć. Czuję się dziwnie znieczulona i zdezorientowana. Na dodatek mam problemy ze skupieniem się na jakiegokolwiek pracy. Wiem, że powstał już oficjalny raport, i zastanawiam się, czy powinnam go przeczytać. Jeśli poznam wszystkie okoliczności, czy będzie mi łatwiej pogodzić się z tym faktem i zniknie poczucie winy?

Z trudem wstaję z krzesła i wychodzę na korytarz. Kiedy docieram do archiwum, spotykam jedną z pielęgniarek. Stoi pochylona nad fotokopiarką i kseruje ulotki informujące o imprezie pożegnalnej któregoś z pracowników, na której mają dawać sernik. Dobrze wiedzieć: na pewno mnie tam nie będzie. Dziewczyna słodko się do mnie uśmiecha, a blask wypluwającej ostatnią kopię maszyny oświetla jej białe zęby.

Podchodzę do szafy z dokumentacją pacjentów i wklepuję kod dostępu. Teczka Eddiego jest gruba i panuje w niej bałagan, jednak niemal od razu znajduję to, czego szukam: raport to pojedyncza niepozaginana kartka, która wystaje spod reszty bardziej sfatygowanych papierów. Kseruję dokument, nawet na niego nie patrząc, po czym chowam oryginał na miejsce.

Kiedy idę korytarzem, mam wrażenie, że raport ciąży mi w ręku, chociaż to tylko jedna kartka. Wchodzę do gabinetu i siadam na dywanie, żeby w spokoju wszystko przeczytać. Imię i nazwisko: Edward „Eddie” William Bailey. Tekst napisano formalnym językiem, co sprawia, że lektura jest jeszcze trudniejsza. Kiedy widzę obok siebie datę urodzin i datę śmierci, jestem zdziwiona, ponieważ nie zdawałam sobie sprawy, że Eddie miał tylko czterdzieści jeden lat. Sama za kilka lat skończę czterdziestkę i trudno mi uwierzyć, że w tak młodym wieku można tak bardzo zrujnować sobie życie.

Czuję, że trzęsą mi się ramiona, a drzenie promieniuje w górę i w dół. Po chwili dygoczą mi też ręce i podbródek. W oczach mam łzy i wydaje mi się, że słyszę jakieś dziwne echo przypominające charakterystyczny głos Eddiego. Wiem, że to tylko złudzenie. Eddie już nigdy nie włoży brudnego adidasa w szczelinę w drzwiach i nie będę mogła mu powiedzieć, że nie mam dla niego czasu. Nigdy to zdecydowanie za długo. Ta myśl jest dla mnie nie do wytrzymania. Głęboko wzdycham, po czym mrugam, żeby pozbyć się łez, i wracam do lektury.

Okazuje się, że nie jest to raport z sekcji zwłok i nie ma pod nim podpisu lekarza sądowego. To po prostu zwykła notatka, którą sporządza się po każdym poważniejszym wypadku. Może chodzić o bójkę, wygłaszanie gróźb karalnych lub nagłe kłopoty ze zdrowiem. Miętoszę w palcach dokument, a margines robi się mokry od moich łez. Przyczyną śmierci było samobójstwo. Czytam opis i odkrywam szczegóły, o których nie poinformowała nas Rachel podczas zebrania. Eddie się powiesił. Otworzył metalową pokrywę wózka do sprzątanía i wyciągnął z niego szary mop z długimi frędzlami, z których ukręcił linę. Przywiązał jeden koniec do wiszącego w schowku haka, a drugim końcem owinął sobie szyję.

Magazynek gospodarczy jest naprawdę nieduży i ledwie mieści się w nim sprzęt dozorczy. Eddie wsadził nogi do wiadra, a zgięte kolana oparł o jego krawędź. Znalaziono go dokładnie w takiej pozycji, z rękami w kieszeniach. Na szyi miał układające się w ligaturę fioletowe siniaki. Wcale nie doszło do przerwania rdzenia kręgowego. Eddie się udusił. To nie był szybki koniec. Wszystko wskazuje na to, że patrzył, jak wokół niego robi się coraz ciemniej, i nawet nie próbował stawiać oporu. Oprócz mopa Eddie nie ruszył żadnego przedmiotu ze schowka. Niczego nie dotknął. Najprawdopodobniej nie chciał, żeby trzeba było po nim sprzątać. Nie majstrował też przy zamku, najwyraźniej drzwi były otwarte. Jestem pewna, że ktoś zostanie za to surowo ukarany.

Opuszczam spocone ręce i bezwiednie zgniatam kartkę papieru. Eddie przyszedł do mnie po pomoc, a ja go odtrąciłam. Powiedziałam mu „nie”. Odmówiłam komuś, kto chciał, żebym wysłuchała jego historii. To, czy mówił prawdę czy zmyślał, nie powinno mieć żadnego znaczenia. Potrzebował mojej uwagi, ale ja go odtrąciłam. Powiedziałam „nie”... „Nie”...

Jestem oszustką, a nie żadną złotą dziewczyną. Wyobrażam sobie, że ratuję zagubione dusze jak jakaś supermanka, ale jestem tylko popieprzoną kanciarą, która całkiem nieźle odgrywa swoją rolę, ale pewnego dnia popełnia błąd i pozwala, żeby jej pacjent wszedł do ponurego pomieszczenia gospodarczego, wsadził nogi do kubła, zawiązał stryczek i udusił się, klęcząc z rękami w kieszeniach. A wszystko dlatego, że jakiś dupek zostawił otwarte drzwi.

Przechodzą mnie ciarki i czuję, że robi mi się niedobrze. Jezu Chryste, czy to możliwe, że zapomniałam zamknąć drzwi, kiedy pożyczalam przepychacz? Co ja, do cholery, nawyprawiałam? Osuwam się na dywan, po chwili słyszę, jak jęczę i błagam o przebaczenie. Zupełnie się rozkleiłam.

Chociaż jest mi wstyd, nie jestem w stanie wziąć się w garść.

Ściągam lewy but i ciskam nim w kierunku drzwi. Kiedy uderza w klamkę, rozlega się satysfakcjonujący brzdęk, więc zdejmuję drugi i robię to samo. Po chwili łapię za leżącą na krześle torebkę i zwalam ją na podłogę, po czym zaczynam w niej grzebać w poszukiwaniu amunicji. Rzucam puszkę z miętówkami, która roztrzaskuje się o zawias i na ziemię spada deszcz białych cukierków. Jestem oszustką! Pierdoloną oszustką! Paczka chusteczek nie robi już takiego wrażenia, a słuchawki zupełnie nie nadają się do moich celów. Jest jeszcze książka! Wstaję, żeby wziąć tę głupią powieść, której ciągle nie jestem w stanie skończyć. Chwytam ją jednak zbyt mocno i niszczę okładkę. Już chcę rzucać, ale w ostatniej chwili się powstrzymuję i zaczynam wrywać kartki. Najpierw po jednej, a potem już całymi garściami. Ogarnia mnie wściekłość! Eddie! Przepraszam! Powinnam ci pomóc, kiedy tego potrzebowałeś. Powinnam ci pomóc!

Wydarte kartki przyklejają mi się do rąk. Kiedy padam z powrotem na podłogę i łapię się z rozpaczy za głowę, papier wczepia mi się we włosy. Ciężko oddycham, starając się zapanować nad narastającą paniką. Wypluwam do kosza gęstą flegmę i kładę się na dywanie, żeby się uspokoić. Żal, że już nigdy nie spotkam Eddiego i nie będę mogła go przeprosić, spycham do najgłębszych czeluści umysłu, tam gdzie trzymam rzeczy, z którymi nie jestem sobie w stanie poradzić. Skupiam się na oddychaniu i powoli odzyskuję kontrolę nad swoim zachowaniem, choć ciągle czuję się otumaniona.

W pewnym momencie zauważam leżący kilkanaście centymetrów od mojej twarzy kłaczek. Niemal od razu całkowicie się na nim koncentruję. Padające na niego światło podkreśla bordowo-oberżynowy kolor włókien z poliestru, z których jest zrobiony. Popycham go kciukiem, ale do mnie wraca, jak gdyby był na sprężynie. Próbuję jeszcze kilka razy, ale zawsze dzieje się to samo. Ten mały kłębek nie chce się poddać i nie pozwala unicestwić. Klękam, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Pstrykam go końcem paznokcia, ale znowu wraca jak wańka-wstańka. Obracam go między palcami i czuję, że mam spokojniejszy oddech. Ocieram łzy z policzków i wydmuchuję nos. Nie mogę oderwać wzroku od tego kłaczka. Delikatnie go głaszczę i wybucham niekontrolowanym śmiechem. Nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo rozbawił mnie czerwono-fioletowy kłębek nitek, który właśnie postanowiłam nazwać Eddie.

Nagle słyszę delikatne pukanie. Nie jestem pewna, czy to nie halucynacja, więc podnoszę głowę, żeby się upewnić, jednak ciągle słyszę

ten dźwięk: powolne skrobanie do drzwi, dokładnie takie samo jak Eddiego.

– Eddie? – Zrywam się na równe nogi i rzucam w stronę drzwi, żeby wpuścić do środka ducha i pokazać mu kłaczek, który nazwałam jego imieniem. Do mojego gabinetu wślizguje się jednak David i spogląda na mnie zatroskanym wzrokiem.

– Sam? Dobrze się czujesz? Słyszałem, co mówiłaś. Co się tutaj dzieje?

Kiedy widzę, że to tylko mój przyjaciel, kucam na podłodze i zajmuję się głaskaniem Eddiego.

David sadowi się obok mnie i zaczyna obserwować dziwny spektakl, który rozgrywa się w moim biurze. Wszędzie walają się powyrywane kartki oraz różne przedmioty z mojej torebki. Buty leżą w różnych częściach pokoju, a apaszka zaplątała się w kółka obrotowego krzesła. David pewnie uważa, że postradałam zmysły. Widzę, że uważnie mnie obserwuje, jednak mam to gdzieś. Gównu mnie obchodzi, co o mnie myśli.

Za każdym razem, gdy dotykam Eddiego, David patrzy na mnie wyraźnie zaniepokojony. Ukradkiem spogląda na leżącą za moimi plecami kopię raportu i stos zużytych chusteczek. Bierze mnie za rękę i podnosi do góry.

– Sam, co się z tobą dzieje?

– Uważaj, nie nadepnij na Eddiego.

– Eddie nie żyje.

– Ale to inny Eddie. – Sięgam do kosza na śmieci i wyciągam z niego pusty kubeczek na wodę. Odwracam go do góry dnem i przykrywam kłaczek, żeby nikt na niego przypadkiem nie wszedł.

David sadza mnie na krzesło i kładzie mi dłoń na spoconym czole.

– Sam, jesteś rozpalona. Brałaś coś?

– Nie, nic nie brałam. Wszystko ze mną w porządku – stwierdzam, odtrącając jego rękę. Nie chcę, żeby się mną opiekował.

– Wcześniej słyszałem, jak płakałaś. Na pewno nie piłaś żadnego alkoholu?

– Nie. Zresztą w moich skrytkach i tak nie mogę niczego znaleźć. – Otwieram dolną szufladę biurka i szukam butelki pod pudełkiem na buty, w którym trzymam teraz kredki.

– Masz dzisiaj jeszcze jakieś zajęcia?

– Tak, owszem. – Mam sesje grupowe i terapię indywidualną. – David, jestem profesjonalistką. Nie rozmawiaj ze mną jak z dzieckiem.

– Mógłbym zobaczyć twój grafik?

– Przecież wiesz, gdzie jest. Przestań zawracać mi głowę. Wszystko ze mną okay.

David obejmuje moją twarz rękami i nie pozwala, żebym spojrzała w dół na Eddiego.

– Co się tutaj stało? Twój gabinet wygląda jak po przejściu huraganu.

– Chciałabym zostać z Eddiem i się nim zaopiekować.

– Kto to jest Eddie?

Wskazuję palcem na odwrócony do góry dnem plastikowy kubeczek, pod którym schowany jest mój podopieczny. David bierze głęboki oddech.

– Poprowadzę za ciebie resztę zajęć, dobrze? Wydaje mi się, że potrzebujesz odpoczynku.

– Okay. Rób, co chcesz, ale mam to gdzieś.

David wyjmuje kartkę papieru z drukarki, a z kubka stojącego na biurku bierze marker, po czym pisze drukowanymi literami: „Proszę nie przeszkadzać” i przykleja ogłoszenie do drzwi taśmą klejącą. Potem zbiera porzucane po pokoju strony z książki i wyrzuca je do kosza. Podnosi z podłogi wymięty raport, kładzie go na blacie i rozprostowuje, a następnie przygniata podręcznikiem do psychopatologii. Stawia buty w równym rzędzie na lewo od wejścia i rozplątuje poniewierającą się pod krzesłem apaszkę.

Wychodzi na korytarz, ale zostawia lekko uchylone drzwi i po kilku sekundach wraca z bananem, nadgryzionym bajgłem i butelką wody.

– Spróbuj coś zjeść, dobrze? Jesteś teraz bardzo roztrzęsiona. Wypij wodę i nigdzie się nie ruszaj. Wezmę za ciebie zastępstwo do końca dnia i wytłumaczę cię przed Rachel, a ty się połóż i postaraj jakoś ogarnąć. Widzę, że trudno ci się pogodzić ze śmiercią Eddiego.

W oczach Davida dostrzegam nieskrywany niepokój i dochodzę do wniosku, że lepiej będzie, jak zostanę u siebie i pozwolę, żeby się mną zaopiekował.

– Okay, zrobię, jak mówisz, a ty poprowadź za mnie zajęcia. – Czuję, jakby w ogóle mnie to nie obchodziło.

– Niestety, ja też mam na głowie swoje sesje, więc poproszę kogoś o pomoc. Ale nie musisz się niczym martwić. Wszystko jest pod kontrolą. Zajmę się tym, tylko błagam, weź się w garść. – David upewnia się, że

kartka z ogłoszeniem nie odkleiła się od drzwi, po czym wyłącza górne światło i zostawia zapaloną lampkę na biurku. – Napisz SMS, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dobrze? Później do ciebie zajrzę.

Wychodzi z mojego gabinetu, a ja czuję, że ogarnia mnie zmęczenie. Zdejmuję kurtkę z wieszaka i zarzucam ją sobie na ramiona. Zakładam na głowę kaptur i sprawdzam, czy u Eddiego wszystko w porządku, po czym zapadam w niespokojny sen.

Nagle się budzę i aż podskakuję z wrażenia. Co się stało? Czy to był tylko senny koszmar, a Eddie wcale nie umarł? Rozglądam się dookoła i widzę resztki bałaganu. To się musiało wydarzyć naprawdę.

Która jest godzina? Ocieram z podbródka strużkę kleistej śliny i patrzę na telefon: 17.11. Dostałam kilka SMS-ów od Davida. Wysyłał je w ciągu dnia, ale miałam wyłączony dźwięk. Informował mnie na bieżąco, co się dzieje, i pytał, jak się czuję. Rozmawiał z Rachel i powiedział jej o moich kłopotach. Oboje uznali, że potrzebuję trochę czasu. Dlaczego nie pozwolili mi po prostu pójść do domu? Pytał też, czy zjadłam bajgla. Spoglądam na zawiniętą w folię kanapkę, ale nie czuję głodu. Natrafiam również na wiadomość od Lucasa. Od kiedy złapałam go na braniu kokainy, staram się z nim nie kontaktować. Pojechał do domu, żeby spędzić święta z rodziną, ale oczywiście nie wziął mnie ze sobą, tłumacząc się naszą kłótnią. Wygodna wymówka. Teraz próbuje się zrehabilitować, zapraszając mnie na imprezę sylwestrową. Kiedy kończę czytać SMS-y, słyszę na korytarzu stukot damskich obcasów i pukanie do drzwi sąsiedniego gabinetu. To Julie. David od razu zaprasza ją do środka. Zrywam się na równe nogi i potykając się o własne buty, przykładam ucho do ściany. Zaczynam podsłuchiwać ich rozmowę.

Pierwszy odzywa się David:

– Powiedziałem Rachel, że Sam bardzo przeżyła samobójstwo Eddiego i jest teraz w kiepskim stanie. Szefowa była naprawdę wyrozumiała.

– Rzeczywiście jest aż tak źle? – Wyobrażam sobie, jak Julie wyciąga rękę, kładzie je na kolanach Davida i wbija w niego błagalne spojrzenie, udając zainteresowanie moim stanem. David, nie daj się nabrać na te brednie. Błagam, tylko nic jej nie mów.

– Tak, przeżywa teraz ciężkie chwile. Chociaż formalnie Eddie był pacjentem Gary’ego, łączyła go z Sam szczególna więź. Ciągle do niej przychodził i dużo ze sobą rozmawiali. Miała do niego słabość.

Nie słyszę odpowiedzi Julie, ale możliwe, że po prostu zaległa cisza. Co oni tam wyrabiają?

– Miałam wgląd w dokumentację, którą prowadziła, ponieważ zastępowałam ją także na zajęciach indywidualnych. – Co takiego?! Jestem

naprawdę wkurzona. Julie spotkała się dzisiaj z moimi pacjentami? Czytała moje raporty i notatki? Ta pieprzona amatorka?!

Odrywam się od ściany i łapię za głowę, po czym zasłaniam twarz kapturem i zaczynam bezgłośnie wrzeszczeć, zakrywając usta podszewką wyłożoną futerkiem. Wiem jednak, że jeśli chcę dalej słuchać, muszę się skupić, więc biorę kilka głębokich oddechów.

– Naprawdę jest świetna. Pisze doskonałe raporty i ma niesamowitą intuicję kliniczną. – Może od razu zrobisz mi łaskę, ty głupia dziwko?

– Tak, jest niewątpliwie bardzo utalentowana. To wyśmienity psycholog. – I ty, Davidzie, przeciwko mnie?

– Nie wszystko było jednak dla mnie jasne i mam parę pytań. Chodzi głównie o leki. Wydaje mi się, że Sam mogła popełnić jakiś błąd.

Chwileczkę, jaki dziś jest dzień tygodnia? Boże, zupełnie straciłam rachubę czasu. Czy miałam dzisiaj sesję z Richardem? Błagam, tylko nie to! Nie wyobrażam sobie, żeby Julie mogła mnie zastąpić. Zaczynam gorączkowo przeglądać grafik, starając się zachować ciszę. Nie powinni się zorientować, że jestem u siebie i ich podsłuchuję. Czwartek! Dzięki Bogu. Julie prowadziła za mnie kilka zajęć grupowych i sesji indywidualnych, ale nie spotkała się z Richardem.

Znowu boli mnie głowa. Będę musiała nieźle się napracować, żeby odkręcić bzdury, które Julie nawygadywała dzisiaj moim pacjentom. To były naprawdę zaawansowane grupy, a jej brakuje odpowiedniego doświadczenia i intuicji, żeby je poprowadzić. Dlaczego David nie poprosił o pomoc kogoś, kto nie jest kompletnym idiotą?

O czym oni teraz rozmawiają, do cholery? Przytykam ucho do ściany. Słyszę głos Davida i szelest przekładanych papierów.

– Aha, tylko trochę posprzątam. Spotkajmy się przy windzie. Chcesz iść na drinka czy raczej... – Czuję, że cała sztywnieję ze złości.

– Chętnie się czegoś napiję. Chciałam jeszcze z tobą omówić dokumentację. Czytałam notatki zrobione przez Sam i wydaje mi się, że moje pozostawiają sporo do życzenia. Ona ma zupełnie inne metody niż ja, wiesz? I nie do końca rozumiem, w jaki sposób stosuje leki.

– Jestem pewien, że świetnie sobie radzisz – mówi David.

– Dziękuję, jednak mimo wszystko potrzebuję twojego wsparcia. Jesteś głodny? Może byśmy coś zjedli?

Zalewa mnie fala wściekłości. Ma swój początek gdzieś w okolicach

uszu, wędruje powoli w dół, zatrzymuje się u nasady czaszki, a następnie przesuwa w stronę oczu. Jest mi gorąco i piecze mnie skóra. Wydaje mi się, że moja twarz robi się szkarłatnoczerwona jak eksplodujący termometr w kreskówkach. Mam napięte wszystkie mięśnie, a lewa powieka zaczyna drgać w zupełnie niekontrolowany sposób. Próbowałam wcześniej panować nad takimi atakami, ale kończyło się na zwicniętej kostce lub nadszarpniętym wiązadle. Wiem, że muszę poczekać, aż złość połączona z upokorzeniem powalą mnie na podłogę. Dopiero wtedy będę mogła się uspokoić, patrzeć na Eddiego i szukać u niego pocieszenia.

Nigdy nie sądziłam, że David mnie zdradzi. Okazało się jednak, że nie można nikomu ufać, nawet najlepszemu przyjacielowi. Najlepszymu przyjacielowi, który traktuje cię jak wariatkę, zamyka cię na cały dzień w gabinecie i oddaje twoich najcenniejszych pacjentów pod opiekę swojej niezbyt rozgarniętej i w dodatku puszczalskiej dziewczynie. Co za wstyd!

Sztywnieją mi mięśnie i stawy, a kąciki ust układają się w pogardliwy grymas. Nagle wibruje mój telefon. Nie zdawałam sobie sprawy, że cały czas ściskam go w dłoni. Patrzę na ekran i widzę, że to wiadomość od Davida:

„Mam nadzieję, że lepiej się czujesz. Ja wracam do domu. Zadzwoń, jak będziesz mnie potrzebowała”.

Co takiego? Jeśli będę go potrzebowała? Potrzebowałam go dzisiaj, ale mnie zostawił. I to dla tej zdziry! Co za obłudny dupek!

Jest sylwester, najbardziej przereklamowany i rozczarowujący wieczór w roku, szczególnie w Nowym Jorku. Turyści ściągają tu z całego świata tylko po to, żeby stać na mrozie w najpaskudniejszej dzielnicy tego miasta, słuchać źle nagłośnionego koncertu, na którym gwiazdy popu i pomniejsi celebryci śpiewają swoje gówniane piosenki, i czekać, aż równo o północy spadnie kryształowa kula. Hura!

Bawię się na imprezie urządzonej w luksusowym apartamencie przy Siódmej Alei w tak zwanym Fashion District, wystarczająco daleko od Times Square, żeby stojąc na balkonie, nie czuć zapachu moczu i wymiocin, ale na tyle blisko, żeby słyszeć hałas i widzieć migające światła. Mam na sobie aksamitną sukienkę, którą dostałam od Lucasa. Powiedział mi, ile kosztowała, więc czuję się zobowiązana ją nosić. Dzisiaj mój chłopak nie pali, mogę więc puścić dymka bez niego i udawać, że wcale nie przyszliśmy razem. Większość gości gdzieś już wcześniej widziałam, ale nie pamiętam ich imion. To ludzie, którym Lucas próbuje zaimponować. W gruncie rzeczy jest zadowolony, że może mnie unikać, ponieważ beze mnie u boku łatwiej mu odgrywać swoje przedstawienie i przypodobać się temu obrzydliwie bogatemu towarzystwu.

Wypiłam sporo szampana i jestem lekko wstawiona, ale to zupełnie inne uczucie niż rausz po mocniejszych drinkach. Mam wrażenie, jakbym wzięła narkotyki, a nie raczyła się alkoholem. Jestem zdezorientowana i wydaje mi się, że moja głowa to balon przymocowany sznurkiem do reszty ciała. Na szczęście zimne powietrze i dym w płucach pomagają mi ochłonąć, ale nie chcę zupełnie wytrzeźwieć, ponieważ wtedy zacznę myśleć o tym, co dzieje się z moim życiem.

Zostałam namierzona przez Stanowe Biuro do spraw Zdrowia Psychicznego i to tylko kwestia czasu, gdy wyciągną wobec mnie poważne konsekwencje.

Patrzę na rozciągające się u moich stóp zimne nieprzyjazne miasto i myślę o Eddiem. Światła imprezy sylwestrowej na Times Square rzucają dziwny blask na chmury i mgłę. Ta mieszanka kolorów przypomina mi zatłuszczoną bejsbolówkę, którą lubił nosić Eddie.

Uginają się pode mną kolana i muszę złapać się poręczy. Wchodzi kelner i wymienia pusty kieliszek po szampanie na pełny, po czym mówi, że

dochodzi północ. Poza mną na balkonie nie ma innych gości. W pewnym momencie słyszę dobiegające z ulicy okrzyki tłumu odliczającego sekundy dzielące nas od Nowego Roku. Zaglądam do salonu i widzę, że światło lamp i migających ozdób choinkowych łączy się w mglistą lunę. Lucas stoi na środku pokoju i wrzeszczy na całe gardło, obejmując jedną ręką blondynkę, a drugą brunetkę. Obserwuję obie dziewczyny, które gapią się na mojego chłopaka maślanymi oczami. Kiedy eksploduje konfetti, Lucas przyciąga do siebie brunetkę i zaczyna się z nią namiętnie całować. Po dłuższej chwili odrywa się od niej i natrafia na moje spojrzenie, ale tylko wzrusza ramionami i posyła mi rozbajający uśmiech. Wznoszę toast i przytulam się do kelnera. Wpizam się w jego usta i wtedy przed oczami stają mi David i Julie, którzy w tej chwili są pewnie razem i również się całują. Odskakuję jak oparzona, a wyraz twarzy zdziwionego chłopaka sprawia, że robi mi się niedobrze.

Znowu ogarnia mnie strach i wpadam w paranoję. Wypizam duszkiem szampana i biorę z tacy kolejny kieliszek. Kelner wyjmuję z kieszeni zapalniczkę i przypala mi papierosa, po czym wraca do pracy, zostawiając mnie samą na balkonie. Patrę na opadające konfetti, z oddali dobiegają radosne śpiewy. Myślę o Lucasie i wiem, że powinnam o nim zapomnieć. Chociaż nigdy nie podejmuję noworocznych zobowiązań, tym razem postanawiam, że Lucas musi zniknąć z mojego życia. Wychylam się przez poręcz i wymiotuję. Mam wrażenie, że moja głowa znowu zamienia się w balon, który szybuje coraz wyżej. Patrę w górę i widzę, że w blasku świateł niebo wygląda, jak gdyby miało syntetyczny kolor.

3 STYCZNIA, 11.40

Od kiedy Richard był świadkiem tego, co stało się z Adelle, nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Oboje pilnie strzeżemy naszych tajemnic, ale nie potrafimy stawić im czoła. Kiedy nie jestem w pracy, dość skutecznie udaję, że wyniki badań psychologicznych wcale nie były dla mnie ciosem w plecy, po którym powoli wykrwawiam się na śmierć. Niestety każdego dnia rano, gdy wysiadam z metra i idę w stronę szpitala, serce podchodzi mi do gardła.

Czy to przeze mnie Eddie popełnił samobójstwo, a Adelle otarła się o śmierć? Naprawdę jestem aż tak beznadziejnym terapeutą i dopuściłam się aż tylu zaniedbań? Mimo wszystko nie zostałam zwolniona ani przeniesiona na inne stanowisko. Nikt nawet ze mną o tym nie rozmawiał. Czyżby na razie mi się udało?

Rachel prosiła o dostarczenie końcowego sprawozdania, ale wciąż tego nie zrobiłam. Tekst jest gotowy, brakuje tylko wyników mojej ewaluacji. Czy mogę skłamać, że przekazałam własne papiery do opracowania komuś innemu, na przykład Davidowi? Takie postępowanie byłoby sprzeczne z zasadami etyki, lecz biorąc pod uwagę obecną sytuację w Tyflos, mało kto zwraca sobie głowę drobiazgami. Niewykluczone, że uszłoby mi to na sucho.

Tak czy owak, jestem pewna, że popełniono jakiś błąd. Niemożliwie, żebyśmy była aż tak nieostrożna i straciła zawodową czujność. Nie wierzę, że spece z BZP byli w stanie odkryć, kim tak naprawdę jestem. Staram się sformułować w głowie teorię wyjaśniającą, jak mogło dojść do tak kolosalnej pomyłki, ale nagle moje rozmyślania zostają przerwane przez Richarda:

– Okay, zostało nam tylko piętnaście minut. Może zabierzemy się do dokumentacji?

– Co takiego? – pytam poirytowanym głosem.

– Chodzi o robotę papierkową. No wiesz, formularze, które chciałaś ze mną wypełnić. Kojarzysz? – Wydaje mi się, że Richard wcale nie żartuje. Najwyraźniej ma zamiar trzymać się planu, chociaż jak do tej pory darzył tę część naszych zajęć ogromną niechęcią i uporczywie odmawiał współpracy.

– O Boże, naprawdę chcesz się tym zająć? Właśnie teraz?

- Zawsze twierdziłaś, że to konieczne, więc nadszedł właściwy moment.
- Jezu Chryste! To się nie dzieje naprawdę! – Z wrażenia mocno zaciskam szczęki. – Dobrze, niech ci będzie. Zajrzemy do tej pieprzonej dokumentacji – mówię, cierpko się uśmiechając, po czym wyciągam jego teczkę z szafy i zacznę nerwowo przerzucać papiery.
- Widzę, że coś cię dręczy, ale to prawie na pewno nie jest moja wina, więc nie powinnaś się na mnie wyżywać.
- Masz absolutną rację. To nie jest najlepszy moment na spotkanie się w cztery oczy. Lepiej zacznij chodzić na zajęcia grupowe. – Energicznym ruchem zamykam teczkę i wkładam ją z powrotem do szuflady.
- Ale nie taka była umowa. Odpowiem na twoje gówniane pytania, a ty wszystko zapiszesz w odpowiednich rubryczkach.
- Wyrażaj się, proszę.
- Mleko już się rozlało, Sam.
- Naprawdę? – Znowu wyciągam jego papiery. Wiem, że zachowuję się arogancko, ale mam to gdzieś. Jestem przygotowana na najgorsze i nic już mnie nie obchodzi. – W porządku. W takim razie powiedz mi, czemu tutaj jesteś i jaką postawiono ci diagnozę. Opisz cele swojego leczenia w Tyflos i wyjaśnij, dlaczego trafiłeś do więzienia.
- Bo zabiłem swoją matkę.

3 STYCZNIA, 14.00

Słyszę pukanie, chociaż na tę godzinę nie mam zaplanowanej żadnej sesji. Moje myśli krążą gdzieś daleko. Po tym, co usłyszałam rano od Richarda, nie jestem w stanie się skupić. Otwieram drzwi, żeby zobaczyć, kto chce się ze mną spotkać. Do gabinetu wchodzi tyczkowaty chłopak z włosami splecionymi w warkoczyki przylegające ściśle do głowy.

– Cześć – mówi i siada na moim krześle.

– Cześć. W czym mogę ci pomóc? – pytam lekko zbita z tropu.

– Sprawdziłem swój plan zajęć. – Sięga do tylnej kieszeni spodni i wyjmuje zgiętą kartkę papieru z postrzępionymi krawędziami. – Według tego mam teraz sesję z lekarzem.

Wyciągam szyję, żeby zerknąć na harmonogram i zobaczyć, jak ten chłopak ma na imię.

– A o kogo konkretnie chodzi... Shawn?

Zaczyna lustrować wzrokiem kartkę w poszukiwaniu odpowiedzi na moje pytanie.

– Hm, nie wiem, ale dzisiaj jest wtorek, prawda?

– Owszem, wtorek. Mogę spojrzeć?

Shawn wręcza mi swój rozkład zajęć i patrzy na mnie wyraźnie zaniepokojony.

– Biorę leki, które sprawiają, że mam problemy z pamięcią, dlatego noszę przy sobie taką rozpiskę. Nigdy się z nią nie rozstaję i dzięki temu mogę sprawdzić, dokąd powinienem pójść. Uczestniczę w zajęciach indywidualnych i grupowych. Wiem, że moje łóżko stoi w sali sto dwadzieścia siedem i właśnie tam śpię.

Przyglądam się uważnie harmonogramowi, ale nigdzie nie jest napisane, że Shawn jest moim pacjentem. Wiem, że gdzieś już go widziałam, ale nie jestem sobie w stanie przypomnieć, w jakich okolicznościach.

– Shawn, czy my mieliśmy kiedyś razem sesję?

– Tak, spotykamy się w każdy wtorek. – Składa kartkę i chowa ją z powrotem do kieszeni.

– W każdy wtorek o czternastej przychodzisz do mojego gabinetu? – Dlaczego w ogóle tego nie pamiętam?

- Uhm. Ty zadajesz pytania, a ja odpowiadam.
- Dobrze. A byłeś kiedyś na zajęciach u innego terapeuty?
- Nie wiem.
- A jak masz na nazwisko?
- Reynolds.
- Okay, muszę coś sprawdzić, dobrze? To zajmie tylko chwilę.
- W porządku. – Shawn odchyła się na krześle i ociera pot z czoła, a ja podnoszę słuchawkę i wybieram #44. Ten numer połączy mnie ze wszystkimi użytkownikami interkomu w naszej placówce.
- Proszę o uwagę. Chciałabym skontaktować się z członkami personelu klinicznego, którzy są u siebie i nie prowadzą teraz sesji. Jeśli jesteście zajęci, wyciszcie telefon. – Odczekuję kilka sekund, słyszę parę kliknięć i powtarzam swoją wiadomość. Zaczynam dopiero, kiedy jestem pewna, że nikomu nie przeszkadzam. – Cześć, mówi Sam. Mam do was krótkie pytanie: kto się zajmuje Shawnem Reynoldsem?
- No cóż, to mój były pacjent – mówi Gary. – Chcesz, żebym przyszedł do twojego gabinetu?
- Tak, dziękuję. – Koledzy i koleżanki wyłączają interkomy, a Gary oświadcza, że za chwilę się u mnie zjawi.
- W takim razie – odzywa się Shawn – o czym będziemy dzisiaj rozmawiać?
- Przykro mi, Shawn, ale niestety nie jestem twoim terapeutą. Na co dzień pracujesz z Garym. Wiesz, o kim mówię? – Jest mi go naprawdę żal. Chłopak wygląda na nieźle skołowanego. Podejrzewam, że Gary przepisał mu złe leki albo spieprzył dawkowanie.
- Gary? Gary... – Shawn podnosi głowę i patrzy w sufit, jak gdyby starał się znaleźć tam odpowiedź.
- Pamiętasz, jak nazywają się tabletki, które bierzesz?
- Są pomarańczowe.
- Zażywasz więcej niż jedną?
- Tak. – Znowu wyciąga swoją rozpiskę i czyta nabazgrany w rogu tekst: – „Rano pomarańczowa, wieczorem różowa”. – Pokazuje mi kartkę, żebym sama zobaczyła. – Biorę jeszcze różową.
- Dobrze, poczekajmy na Gary’ego.

– Okay. – Shawn rozsiada się wygodnie na krześle i zupełnie traci zainteresowanie tym, co się wokół niego dzieje. Po paru sekundach słysząc pukanie. Wstaje i otwiera drzwi. W progu stoi Gary.

– Cześć, Shawn – mówi.

– Cześć – odpowiada Shawn, budząc się znowu do życia. Wskazuje wolne krzesło, a Gary siada i pochyla się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

– Mam do ciebie prośbę, Shawn. Czy mógłbyś poczekać chwilę w sali komputerowej? To po drugiej stronie korytarza. Muszę pogadać z Garym w cztery oczy. Za minutę po ciebie przyjdę, dobrze?

– Jasne, nie ma sprawy. Będę naprzeciwno. Przepraszam za zamieszanie.

– Shawn wychodzi z gabinetu, powłócząc nogami, a ja mogę wreszcie usiąść z powrotem na swoim miejscu.

– Jakże on bierze leki? – pytam.

– Chlorpromazynę.

– Aha. Powiedział, że tabletki są pomarańczowe. Co u niego zdiagnozowano?

– Sam... – Gary patrzy na mnie badawczym wzrokiem. – Shawn cierpi na schizofrenię paranoidalną i zaburzenie eksplozywne przerywane. Dostaje też difenhydraminę.

– Jeśli chlorpromazyna ma tak negatywny wpływ na jego pamięć, powinieneś odstawić difenhydraminę.

– A ty nie możesz tego zrobić?

– Dlaczego niby ja?

– Przecież on jest twoim pacjentem. Sama zanotowałaś mu na kartce dawkowanie leków. To twój charakter pisma. Owszem, kiedyś się nim zajmowałem, ale Rachel sporo ostatnio pozmieniała i przekazała Shawna pod twoją opiekę. Nie pamiętasz?

– Naprawdę? Ja się nim zajmuję? To moje pismo? Jeszcze nigdy mi się nic takiego nie przydarzyło. Jak to możliwe? – Jestem oszołomiona. Czuję się jak sarna, która wbiegła na środek drogi i stoi w świetle reflektorów nadjeżdżającego samochodu.

– Nie wiem, Sam. Dobrze się czujesz?

Z całego personelu Gary jako jedyny zapomina o swoich pacjentach. To on nie jest w stanie wywiązywać się ze swoich obowiązków, a nie ja. Nie

mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Tak, ja... ja... – Zaczynam się jąkać. Nie jestem w stanie zrozumieć, jak mogło dojść do takiego nieporozumienia. Rzeczywiście przepisałam Shawnowi złe leki? Kazałam mu brać otumaniającą dawkę difenhydraminy i dorzuciłam do tego chlorpromazynę? Wykluczone! Nigdy bym do czegoś takiego nie dopuściła.

Gary wstaje z krzesła i kieruje się do wyjścia. Nagle dzwoni telefon.

– Halo? Tu Sam James.

– Cześć. Mówi Rachel. Czy udało ci się rozwiązać problem z Shawnem?

– Uhm, tak, tak. Przepraszam, ale dostałam zaćmienia umysłu i zapomniałam, że Shawn jest teraz pod moją kuratelą. Wszystko wróciło do normy. Nie ma powodów do obaw. – Zanoszę się nerwowym chichotem.

– Znowu jakieś kłopoty z lekami? – pyta Rachel zmęczonym głosem.

Jak to „znowu”?

– Nie! – Staram się udawać pewną siebie i radosną. Przecież do tej pory właśnie taka byłam. – To tylko głupie nieporozumienie.

– Zgłoś się do mnie, gdybyś nadal miała jakieś problemy. Liczę na ciebie, Sam. Nie zawieź mojego zaufania.

– Oczywiście, że nie zawiodę. Przecież mnie znasz.

– Jasne – mówi lekko powątpiewającym tonem. – Mam nadzieję, że sobie poradzisz.

Siedzę z AJ-em w jakimś anonimowym barze na East Village. Wybraliśmy to miejsce, żeby móc się bez skrępowania całować. Na podłodze leżą trociny, a stołki nie są szczególnie wygodne. Telewizory zamontowano za wysoko i muszę wyciągać szyję, żeby cokolwiek zobaczyć. Nie powinniśmy się spotykać w miejscach publicznych i udawać, że coś nas łączy lub że mamy wspólne tematy do rozmów. Czuję się niezręcznie. Jedynym sposobem na przetrwanie jest wlać w siebie odpowiednio dużo alkoholu, pozbyć się wszelkich hamulców i pozwolić, żeby wybuchła między nami namiętność. AJ nie pali, więc kiedy robi się dziwna atmosfera lub zapada kłopotliwe milczenie, zakładam płaszcz i wychodzę na papierosa.

Zaciągam się po raz ostatni i czuję, jak w tylnej kieszeni spodni wibruje mi telefon. To Lucas. Trzymam się swojego noworocznego postanowienia i staram się z nim nie kontaktować. Pyta o jakieś lekarstwa dla Mavericka. Być może to podstęp, ale chyba powinnam coś odpowiedzieć. Lucas doskonale zdaje sobie sprawę, jak bardzo lubię jego psa. Opieram się jednak pokusie, rzucam na ziemię niedopałek i wracam do baru.

– Zamówiłem ci jeszcze jednego drinka – mówi AJ. – Pomyślałem, że będziesz miała ochotę. – Przyciąga mnie do siebie i całuje w usta. Zdejmuję płaszcz i wieszam go na oparciu stołka. AJ pomaga mi ściągnąć apaszkę, ale ta zaplątuje się we włosy. AJ mocno za nią szarpie i odsłania pokrywające moją skroń siniaki.

– Co ci się stało? – pyta.

– Och, to tylko mały wypadek. – Zawstydzona chowam apaszkę do kieszeni, po czym zasłaniam siniaki grzywką. Od tego momentu jestem w pełni świadoma każdego swojego ruchu.

– Jaki wypadek? – AJ znowu odgarnia mi włosy, a ja zalewam się rumieńcem.

– W taksówce. – Mój kochanek delikatnie gładzi fioletowe stłuczenia, żeby nie sprawiać mi bólu. W pewnym momencie widzę na końcówkach jego palców połyskujący puder i mam wrażenie, że żołądek skręca mi się ze strachu, a po plecach zaczyna spływać strużka potu. – Parę dni temu wracałam późnym wieczorem z Upper East Side. – Dodaję zbyt wiele szczegółów, ponieważ muszę na poczekaniu wymyślić przekonujące kłamstwo. Mam sucho w gardle, więc chwytam za stojącą na barze szklanę,

po czym wypijam duży łyk jacka daniel'sa z colą. – Niestety, nie zapięłam pasa, w zasadzie nigdy tego nie robię. Pędziliśmy Park Avenue, a ja wyglądałam przez okno, żeby podziwiać choinki i inne świąteczne dekoracje. Siedziałam za kierowcą, a on w pewnym momencie gwałtownie zahamował, żeby nie uderzyć w jakiegoś dupka, który skręcał w Siedemdziesiątą Piątą, i wyrznęłam czołem w plastikową przegrodę. –

Z trudem łapię oddech i nie jestem w stanie stwierdzić, czy AJ dał się nabrać, ponieważ patrzy na mnie maślanym wzrokiem, ciągle głaszcząc mnie po twarzy i masując mi kark.

– Byłaś w szpitalu? To się mogło skończyć urazem kręgosłupa. – Trudno powiedzieć, czy AJ jest szczerze zatroskany, ale na pewno stara się być miły. Moje serce wali jak oszalałe i czuję pulsowanie w uszach.

– To się stało niedaleko Lenox Hill Hospital, więc kazałam się tam zawieźć. Zapisałam numer boczny taksówki i poprosiłam kierowcę o identyfikator. Zrobiłam niezły cyrk, żeby tylko nie zapłacić za kurs. Nie poszłam jednak na izbę przyjęć, tylko wsiadłam w metro i wróciłam do domu. – Wymyślanie kłamstw to bułka z masłem. Nie musiałam się nadmiernie wysilać, żeby dopasować do całości różne szczegóły dotyczące miejsc i budynków. AJ nie powinien się dowiedzieć, że siniaki na moich skroniach to sprawka Lucasa. Zadaniem AJ-a jest dostarczanie mi rozrywki, a nie ochrona przed moim chłopakiem. Nie mogę sobie pozwolić, żeby ta granica się zatarła.

Zamawiam szoty i staram się zapomnieć o tym, co złe. Czas spędzony z AJ-em ma mi dać wytchnienie od prawdziwego życia: od problemów zawodowych i toksycznego związku. Teraz mogę udawać, że nie cierpię na żadne zaburzenia psychiczne i pamiętam, kim są moi pacjenci. Kiedy jestem z AJ-em, powinnam martwić się tylko tym, że zdradzam swojego chłopaka, a to nie jest jakiś szczególny problem.

Wypijam kolejnego szota z nadzieją, że whisky zabierze mnie wreszcie tam, gdzie nie będę musiała pamiętać o człowieku, który zabił swoją matkę. Chcę zapaść w przyjemne odrętwienie i nie bać się o to, że wszyscy znają moje tajemnice. Niech alkohol stępi moje zmysły i sprawi, że przestanę wątpić w to, co do tej pory wydawało mi się prawdą.

Stoję przed lustrem w toalecie dla pacjentów i wpatruję się w swoje odbicie. Naciągam skórę na policzkach i zdaję sobie sprawę, że wyglądam jak trup. Pod oczami wyraźnie widać nabrzmiałe niebieskie żyłki, a na rzęsach zaschnięte pozostałości wczorajszego tuszu. Moja skóra przybrała niezdrowy odcień, a na dodatek jest jednocześnie sucha i tłusta. Fioletowe siniaki na skroniach zmieniły kolor na zielonożółty. Nie chciało mi się ich maskować profesjonalnym makijażem, ponieważ zajmuje to za dużo czasu. Już kilka dni temu powinnam umyć włosy. Wyjmuję z kieszeni błyszczczyk do ust i rozsmarowuję go na policzkach z nadzieją, że różowy połysk nada mojej skórze zdrowy wygląd.

Wychodzę na korytarz z opuszczoną głową. Kiedy ruszam przed siebie, wycierając dłonie o spodnie, wpadam na Rachel.

– Sam! Byłam właśnie w twoim gabinecie, ale cię nie zastałam. Cieszę się, że udało nam się spotkać.

– Cześć, Rachel. Co się stało? – Od razu przypominam sobie o balsamie do ust i zaczynam trzeć policzki, żeby go usunąć, zanim Rachel coś zauważy.

– Chciałam odebrać końcowe sprawozdanie dla BZP. Muszę je dzisiaj mieć. Wiem, że bardzo przeżyłaś śmierć Eddiego, i trochę ci odpuściłam, ale nie mogę już dłużej zwlekać. – Szefowa sprawia wrażenie zawiedzionej, ale w jej głosie słychać także pobłażliwość.

– Rozumiem. Przepraszam za opóźnienie. Samobójstwo Eddiego było dla mnie prawdziwym szokiem, w zeszłym tygodniu miałam problemy z koncentracją. Teraz wszystko jest już pod kontrolą i nie musisz się martwić. – Zastanawiam się, czy Rachel słyszy, jak głośno bije mi serce.

– To dobra wiadomość. Pomyślałam, że odbiorę od ciebie teczki z ewaluacjami i przy okazji zaniosę papiery do archiwum, ponieważ mam później spotkanie w dziale administracji – mówi optymistycznym tonem, pełna nadziei, że jej nie zawiodę.

– Nie, nie, nie. Przecież sama obiecałam, że zarchiwizuję oryginały. W ogóle się tym nie przejmuj. To moje zadanie! – kłamię w żywe oczy, starając się zapanować nad nadchodzącym atakiem paniki. Znowu czuję, że moje gruczoły potowe pracują na pełnych obrotach. – Jeszcze dziś po

południu podrzucę ci podsumowanie, a do końca dnia zaniosę teczki do archiwum, dobrze?

– Tylko pamiętaj, że muszę mieć te papiery jeszcze dzisiaj. BZP zaczyna się niecierpliwić. – Rachel obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem. Wydaje mi się, że ciągle darzy mnie zaufaniem, chociaż zaczyna budzić się w niej podejrzliwość. Wyciąga rękę i delikatnie się do mnie uśmiecha. Zdaję sobie sprawę, że moja dłoń lepi się od błyszczczyku. Nie mogę tak po prostu wytrzeć jej o spodnie, ponieważ wtedy wyjdzie na jaw, że jestem zdenerwowana. Postanawiam więc zagrać *va banque*. Ściskam dłoń Rachel i czuję, jak klejąca maź oblepia jej palce. Szczerczę zęby w radosnym uśmiechu, szybko się odwracam i ruszam w stronę swojego gabinetu, rzucając za siebie:

– Do zobaczenia!

Skręcam na rogu i już chcę odetchnąć z ulgą, ale wpadam na Davida i Julie, którzy stoją bardzo blisko siebie przed otwartymi drzwiami. Julie opiera rękę na klatce piersiowej Davida. Jest do mnie odwrócona plecami, więc nie wiem, jaki ma wyraz twarzy, ale David cały promienieje. Jestem pewna, że mnie nie widzi. Robi krok do tyłu i wchodzi do swojego biura, machając smukłymi palcami na pożegnanie. Julie obraca się na pięcie i rusza korytarzem, cały czas się uśmiechając i przyciskając do piersi plik dokumentów jak jakaś pieprzona cheerleaderka, którą przystojny rozgrywający zaprosił właśnie na bal maturalny.

Jest zaskoczona, kiedy widzi, jak zamasyście idę w jej stronę. Przez chwilę mruga, żeby ochłonać i ponownie nawiązać kontakt z rzeczywistością. W pewnym momencie zwalnia i otwiera usta. Najwyraźniej w jej kurzym mózdku pojawiła się myśl, że pieprzy się z niewłaściwym facetem i jest mi winna przeprosiny. Zbliżyła się do mojego gabinetu, zastanawiając się, co powinna powiedzieć, a ja przyspieszam i potrącam ją ramieniem, cały czas patrząc jej prosto w oczy. Zatacza się z dziwnym grymasem na twarzy. Wkładam klucz do zamka. Julie mruczy coś pod nosem, próbując sklecić jakieś sensowne zdanie. Klepię ją protekcyjnie po plecach, po czym wchodzę do środka i ze złośliwym uśmiechem powoli zamykam za sobą drzwi. Julie rusza przed siebie, lekko się chwiejąc. Na jej nieskazitelnie białym sweterku widać różową smugę po moim błyszczczyku do ust.

Dwa razy dzwoniłam przez interkom do biura Rachel, ale nie odbierała. Na pewno poszła już na spotkanie w dziale administracyjnym. Nadszedł więc odpowiedni moment, żeby podrzucić jej dokumenty bez konieczności spotkania się z nią twarzą w twarz.

Podnoszę z biurka stos teczek, a na samą górę kładę podsumowanie, które wygląda bardzo niewinnie, jak zwykła notatka służbowa. Staram się utwierdzić samą siebie w przekonaniu, że właśnie tak jest. Chowam gruby plik papierów pod bluzą i ruszam korytarzem w stronę schodów. Delikatnie zamykam za sobą ciężkie drzwi, żeby nie narobić hałasu i nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Słyszę pulsowanie w uszach i mam wrażenie, że ten dźwięk odbija się echem po klatce schodowej. Ostrożnie wychodzę na korytarz i mijam zwinięte w kłębek ciało śpiącego na podłodze pacjenta. Normalnie bym go obudziła, ale teraz przemykam obok na palcach, z nadzieją, że go nie obudzę. Od gabinetu Rachel dzieli mnie nie więcej niż pięć metrów.

Wyciągam podsumowanie spod bluzy, a serce zaczyna walić mi tak głośno, że obudziłoby nawet nieboszczyka. Jeszcze raz rzucam okiem na dokument, po czym wsuwam go w szczelinę pod drzwiami. Zrobione. Teraz nie ma już odwrotu.

Czuję przyływ siły i energii. Ruszam w stronę schodów i zbiegam na dół, żeby jak najszybciej pozbyć się teczek. Co chwilę się jednak potykam i muszę trzymać się poręczy. Wreszcie staję przed wielką dźwignią otwierającą drzwi na pierwsze piętro. W pomieszczeniach administracyjnych panuje upał. Na samym końcu, gdzie nie dociera już zbyt dużo światła, stoi stara drewniana szafa na dokumenty, w której przechowywane są teczki osobowe pracowników Tyflos. Teoretycznie nie wolno mi tutaj wchodzić i nie powinnam mieć dostępu do tych papierów. Nikomu nie chciało się jednak zmienić kodu od czasu, gdy to pomieszczenie przestało być pokojem socjalnym, a stało się archiwum. Pracuję tutaj już dość długo i wiem, że wraz z rosnącą liczbą pacjentów kierownictwo stara się maksymalnie wykorzystać każdy kąt.

Teraz stoję przed szafą i czuję się jak przemytnik, który musi się pozbyć resztek kontrabandy. Nie mam czasu do stracenia i zabieram się do wkładania na miejsce raportów końcowych i arkuszy ewaluacyjnych. Muszę

to zrobić w porządku alfabetycznym: najpierw ochroniarz Frank Ignacio, a potem moja ulubiona pielęgniarka Mary Kinney. Nie ma żadnego nazwiska zaczynającego się na J. Po kilku minutach wsuwam ostatni plik dokumentów do cienkiego segregatora Julie Watson, po czym otrzepuję z kurzu koszulę i zarzucam bluzę na ramiona. Zrobione! Wszystko jest w należyтым porządku. Teraz potrzebuję mocnego drinka, żeby zapomnieć o tym, co zrobiłam.

10 STYCZNIA, 11.00

Nie potrafię przestać się martwić. W głowie kłębią mi się różne myśli, a na twarzy Richarda widzę migający czerwony napis „Morderca!”. Rzucam w jego kierunku nerwowe spojrzenia, ale po chwili przypominam sobie o Rachel. Czy pójdzie do archiwum, żeby przejrzeć oryginalne raporty? Będzie chciała sprawdzić, czy przygotowałam sprawozdanie zgodnie z jej wysokimi wymaganiami, czy też po prostu mi zaufa?

Kiedy rozmyślałam nad możliwymi scenariuszami, Richard rozprasza moją uwagę i kładzie na biurku jakiś mały przedmiot. Wytężam wzrok i widzę małą buteleczkę Jacka Daniela.

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

– Nic takiego. Po prostu widzę, że cała się trzęsiesz – mówi Richard nonszalanckim głosem.

– Wiesz, że nie wolno wносить alkoholu na oddział? Zabieraj to. Przez takie rzeczy mogę stracić pracę.

– Spokojnie, to zostanie między nami. Przecież i tak nikt tu nie zagląda, a drzwi są zamknięte na klucz.

– Wcale tego nie potrzebuję... Richard, nie mogę uwierzyć, że po tym, co dla ciebie zrobiłam, zachowujesz się w ten sposób. Pozwalałam ci siedzieć beczynnym w moim gabinecie, a tobie nawet nie chciało się wypełniać formularzy psychologicznych. Zabieraj to z mojego biurka. – Nie jestem w stanie spojrzeć ani na niego, ani na butelkę. Wreszcie kątem oka widzę, jak wyciąga rękę w stronę blatu. W jaki sposób udało mu się dostać ten alkohol? Otwieram szeroko oczy ze zdumienia i chociaż jestem na niego wściekła, zdaję sobie sprawę, jak bardzo potrzebny mi łyk czegoś mocniejszego.

Richard odkręca korek i podaje mi buteleczkę. Trzymam ją kurczowo w dłoni i patrzę mu prosto w oczy. Zdejmuje czapkę i wyciąga z kieszeni drugiego Jacka Daniela. Otwiera go, wznosi toast i opróżnia jednym haustem. Bez namysłu robię to samo i czuję, jak palący płyn wypełnia moje wnętrze.

Richard wyciąga rękę i zabiera pustą buteleczkę, którą ciągle przytykam sobie do ust, po czym ostrożnie chowa ją z powrotem do kieszeni i zakłada na głowę swój kaszkiet gazeciarza. Po chwili zaczyna czytać gazetę, jak

gdyby nic się nie stało. Siedzę otumaniona, wydaje mi się, że mijają godziny. Kiedy spogląda na mnie znad okularów, prostuję się i sięgam do górnej szuflady po miętówkę. Podaję puszkę Richardowi, a on bierze dwie pastylki, nawet na mnie nie patrząc. Do końca sesji ignorujemy siebie nawzajem, chociaż ja nie mogę przestać o nim myśleć. Ten facet jak nigdy wcześniej zaprzęta całą moją uwagę.

12 STYCZNIA, 15.09

Właśnie obudziłam się na podłodze swojego gabinetu. Znowu miałam jakiś koszmar. W nocy nie sypiam zbyt dobrze, więc popołudniowe drzemki stały się dla mnie ostatnio czymś normalnym. Tym razem śniło mi się, że jestem modelką, która paraduje po ringu bokserkim z tabliczką ogłaszającą numer kolejnej rundy. Miałam idealne ciało i wspaniałe włosy, ale po chwili okazało się, że jestem plastikową figurką, ponieważ ring to tylko popularna w latach osiemdziesiątych zabawka z robocikami „Rock 'Em Sock 'Em”. Lucas był czerwonym bokserem, a AJ niebieskim. Za każdym razem, gdy któremuś z nich udało się wyprowadzić celny cios, głowa przeciwnika odrywała się od korpusu i lądowała gdzieś między publicznością. Maverick rzucał się w pogoń i przynosił głowę z powrotem, a zawodnik wkładał ją sobie na kark. Moim zadaniem było chodzenie dookoła ringu z wielką tablicą. Kiedy patrzyłam na widzów, każdy z nich miał twarz Richarda.

Staram się wrócić do rzeczywistości i przeanalizować znaczenie tego, co właśnie mi się przyśniło. Przygotowałam sprawozdanie dla BZP. Rachel wydaje się zadowolona. Próbuję więc skupić się na obowiązkach zawodowych, żeby nie zdręzczać się wizjami tego, co się stanie, kiedy moje machlojki wyjdą na jaw. Zakładam, że jeżeli czymś się zajmę, to wszystko będzie dobrze.

W każdy piątek po południu odbywa się w Tyflos dzień wizyt. Pacjenci nadający się do kontaktów z bliskimi podają nam listę osób, z którymi chcieliby się spotkać. Potem te osoby są gruntownie sprawdzane i po pozytywnej weryfikacji otrzymują od nas zaproszenie. Już kilka dni temu dostałam spis nazwisk na ten tydzień, ale jak do tej pory nie udało mi się za to zabrać, więc teraz siedzę i robię wszystko, żeby jutro doszło do wyczekiwanych odwiedzin.

Na krześle leży sterta teczek osobowych moich podopiecznych. Przeglądam życiorysy oraz wyniki wywiadów psychospołecznych w poszukiwaniu wskazówek pozwalających zdecydować, czy dany krewny się nadaje, czy też nie. Rozpoznaję większość nazwisk, więc bez wyrzutów sumienia mogę przybić czerwoną pieczęć „Zatwierdzone”. Pracuję bez wytchnienia, zadowolona, że robię coś nudnego, ale za to pożytecznego. Nagle słyszę, jak drzwi do gabinetu Davida zamykają się z głośnym łupnięciem, a po chwili rozlega się infantylny chichot. Tak może śmiać się

tylko jedna osoba.

Mdli mnie z obrzydzenia, a na moim czole pojawiają się kropelki potu. Głośno chrząkam, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale nie jestem pewna, czy usłyszeli. Zanoszę się więc kaszlem i uderzam rękami w krzesło, żeby wzmocnić efekt akustyczny. Po drugiej stronie znowu słyszę chichotanie. Jestem pewna, że specjalnie mnie ignorują. Mogłabym zadławić się na śmierć, ale David i tak nie przyszedłby mi z pomocą, ponieważ jest zbyt zajęty adorowaniem tej pustej laski w kolorowym sweterku. No cóż, jeśli nie mogę ich powstrzymać, to przynajmniej uprzykrzę im życie. Rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do rzucenia o ścianę. Chodzi o to, żeby ich wybić ze stanu samozadowolenia. Nic nie wydaje się wystarczająco dobre, ale w pewnym momencie przypominam sobie, że w prawej ręce trzymam czerwoną pieczętkę.

Jeśli otworzę szufladę i będę z całej siły stemplować dokumenty, zrobi się hałas, a pusta szuflada wpadnie w wibrację. To powinno przerwać ich bezwstydną flirty. Jeżeli przyjdą, żeby sprawdzić, co się dzieje, będę jak gdyby nigdy nic siedzieć na krześle i przystawiać pieczętki. Nikt nie zarzuci mi, że staram się unicestwić rodzący się dopiero związek albo ratować mojego byłego przyjaciela przed podjęciem katastrofalnie złej decyzji.

Stempluję pierwszą kartkę. Najpierw słyszę nieprzyjemny szcęk, a potem szuflada zaczyna się trząść i uderzać w resztę biurka. Zaciskając zęby, walę pieczętką jak oszalała. Hałas i narastające wibracje są naprawdę wkurzające i jestem pewna, że za ścianą nie są już w stanie dalej gruchać jak dwa pieprzone gołąbki. Z nieskrywaną radością pieczętuję kolejne dokumenty. Słyszę, jak otwierają się drzwi gabinetu Davida i rozlega się stukot obcasów na linoleum. Najwyraźniej Julie uznała się za pokonaną i postanowiła wrócić do siebie. Nie zwalniając tempa, przystawiam pieczętkę na ostatniej stronie listy gości i patrzę na otaczające mnie morze postrzępionych papierów z czerwonym stemplem „Zatwierdzone”. Rozpiera mnie duma i czuję się, jakby na moich skroniach spoczywał laur zwycięzcy.

Cały czas dręczy mnie niepokój, że Rachel wszystko odkryje. W każdej chwili może się przecież dowiedzieć, że wyniki mojej ewaluacji wcale nie trafiły do archiwum. Zaprzęłam też sobie głowę myślami o Davidzie i Julie oraz tym, że Richard zamordował własną matkę. Każdy SMS od Davida sprawia, że czuję się coraz bardziej samotna. Z całej siły stara się wszystko naprawić i prawie mu to wychodzi. Chce mnie przekonać, że nadal mu na mnie zależy i nie przelał swoich uczuć na Julie. No właśnie, Julie!

Julie to prostolinijna dziewczyna o niezwykle dobrym sercu. Jak mogę nienawidzić kogoś, kto ma szczerść wypisaną na twarzy? Jak mogę mówić mojemu najlepszemu przyjacielowi, że powinien się od niej trzymać z daleka i nadal darzyć mnie dozgonną miłością bez najmniejszych szans na wzajemność? Jednak tak właśnie robię. Jestem skończoną kanalią. Teraz wydaje się to zupełnie bez sensu. Ze złości na Davida i niechęci do Julie nie wynika dla mnie nic dobrego.

Podnoszę słuchawkę i dzwonię do jego gabinetu. Odbiera już po pierwszym dzwonku.

– Cześć, David. – Nie mam pojęcia, co dalej powiedzieć. – Możesz, uhm, do mnie zajrzeć?

– Jasne – mówi, ciężko wzdychając, i słyszę, jak odsuwa krzesło. Znam ten arogancki ton i od razu jestem wkurzona, że postanowiłam mu przebaczyć. Otwiera drzwi i staje za moimi plecami. Kątem oka widzę, że ma założone ręce i opiera się o szafkę na dokumenty. Żeby z nim porozmawiać, muszę się odwrócić i kiedy to robię, muskam kolanami jego nogi. To pomieszczenie jest wyraźnie za małe na takie gierki.

– David, mógłbyś usiąść? – zwracam się do niego lekko sfrustrowana.

Nawet się nie rusza, tylko unosi brwi, czekając na moje przeprosiny. Zachowuje się tak, jakbym zbiła lampę i rzuciła winę na psa. Patrzy na mnie z góry, więc zaczynam się wiercić, żeby zmienić nieco pozycję. Nie chcę go błagać o przebaczenie za to, że jego zdaniem mieszam się w nie swoje sprawy. Wszystko sobie zaplanował. Co za dupek!

– David! – Uderzam krzesłem w biurko, żeby zrobić sobie więcej miejsca. Przechodzą mi ciarki po plecach i mam wrażenie, że kołnierzyk za mocno ściska moją szyję. – Bardzo cię proszę, usiądź! – Zaczynam mówić

podniesionym głosem. Wbijam wzrok w podłogę i wyciągam rękę w stronę krzesła dla pacjentów, ale ani przez chwilę nie patrzę na Davida. Po chwili głośno wzdycha, robi krok do przodu i siada.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Sam?

Z trudem panuję nad nerwami.

– Słuchaj, jestem naprawdę wkurwiona, że zdecydowałeś się odwalić takie gówno, ale wolałabym oszczędzić nam dalszych przykrości i mimo wszystko chcę ci przebaczyć.

– Ty chcesz mi przebaczyć? A co ja takiego zrobiłem? – Pochyliła się i robi naburmuszoną minę, cały czas patrząc na mnie z wyższością.

– Chodzi o Julie. To naprawdę jedyna osoba w tym szpitalu, której szczerze nie cierpię, a ty właśnie zaczęłaś z nią romansować i nawet nie raczyłaś mnie o tym uprzedzić. Przecież to jakiś absurd! Uważam, że zostałam potraktowana bardzo nie fair. Czy ty w ogóle wzięłaś pod uwagę moje uczucia? Dla ciebie to oczywiście wspaniała przygoda. Jezu Chryste! Zdajesz sobie sprawę, jak to jest dzielić się tobą z taką dziewczyną? Jak możesz lubić jednocześnie dwie tak różne osoby jak ja i Julie? Po prostu ręce opadają.

– Skończyłaś? – Gdybym miała ojca i strasznie bym narozrabiała, spojrzełyby na mnie właśnie w taki sposób, jak teraz David.

– Tak. – Odchylam się na krzesło, zadowolona, że mój przyjaciel wreszcie zrozumiał swój ogromny błąd i za chwilę padnie na kolana, żeby mnie z całego serca przeprosić.

– Sam, kompletnie ci odbiło. – Zaczyna się kazanie. – Po pierwsze, wcale nie romansuję z Julie.

– Aha, jasne! Wiesz, że wszystko słyszę przez ścianę?

– Zamknij się i pozwól mi skończyć. Powtórzę raz jeszcze: nie romansuję z Julie. Zresztą to zupełnie nie twoja sprawa, z kim umawiam się na randki. Nie jesteś moją dziewczyną i nigdy nic nas nie łączyło. Twoja opinia jest więc zupełnie bez znaczenia i nie brałem jej pod uwagę, kiedy umówiłem się na kilka całkowicie niewinnych rozmów z koleżanką z pracy, na którą ty z jakichś zupełnie niezrozumiałych powodów ciągle plujesz jadem. – David mówi to wszystko na jednym oddechu. Kiedy robi przerwę, żeby zaczerpnąć powietrza, podjeżdżam do drzwi i podciągam stopy, po czym stawiam je na krzesle, ponieważ chcę się od niego odgradzić i poczuć bezpieczniej.

– Zioniesz nienawiścią do wszystkiego, co w twoim mniemaniu mogłoby

zagrozić moim uczuciom wobec ciebie, ale jednocześnie traktujesz mnie jak piąte koło u wozu. Mam już tego dość! Jeśli Julie chce mi poświęcić trochę uwagi, a ja nie mam nic przeciwko, to wcale nie oznacza, że od razu jesteśmy parą. Nie godzę się na to, żebyś traktowała nas z takim lekceważeniem. Do cholery! Nie możesz mieć wszystkiego! Musisz wreszcie wydorosnąć i wziąć za siebie odpowiedzialność. Machasz mi przed nosem marchewką, a jak tylko spojrzę w inną stronę, dostajesz napadu zazdrości. Zupełnie straciłaś nad sobą panowanie. Najwyższy czas, żeby wziąć się w garść.

– Ja... Ja po prostu nie lubię, jak ktoś się między nas pakuje. – Kiedy wypowiadam te słowa, od razu tracę zapał do dalszej kłótni. Czuję, jak wściekłość i pogarda powoli znikają. Stawiam stopy na podłodze i mam wrażenie, że miękki dywan pochłania wszelkie złe emocje.

– Ona wcale się między nas nie pakuje. Jednak moim zdaniem mogłabyś się trochę otworzyć i zrobić dla niej miejsce.

– Wiesz, dlaczego chciałam, żebyś tutaj przyszedł? Bo miałam zamiar ci przebaczyć, a ty odwracasz kota ogonem.

– No cóż, w takim razie ja też puszczam wszystko w niepamięć i cieszę się, że nie żywisz już do mnie urazy, chociaż nie zrobiłem przecież nic złego. Czy moglibyśmy wreszcie skończyć tę awanturę i wrócić do normalności? – Wstaje z krzesła i wyciąga rękę na zgodę, po czym stawia mnie do pionu i mocno się do mnie przytula.

– Powinnaś czasem trochę wyluzować – mówi.

– A ty przestań zachowywać się jak ostatni dupek.

Jestem z siebie zadowolona i szeroko się uśmiecham. Czuję, że wracam na należne mi miejsce. Znowu jestem najważniejszą osobą w życiu Davida.

Dzisiaj mój pacjent się spóźnia. Kiedy czekam na faceta, który zamordował własną matkę, zdaję sobie sprawę, że w towarzystwie żadnego mężczyzny nie czułam się nigdy tak bezpiecznie.

Richard staje wreszcie w drzwiach gabinetu.

– Dzisiaj żadnego czytania – oznajmiam, zanim jeszcze zdąży usiąść i położyć swoje papiery na rogu biurka.

– Żadnego czytania? – pyta, spoglądając tęsknie na plik gazet.

– Nie. Najpierw pogadamy o tym, co się tutaj ostatnio stało. – Muszę trzymać się standardów zawodowych i nie powinnam pozwolić na picie alkoholu podczas sesji terapeutycznej. Wiem, że popełniłam błąd, ale mleko się rozlało.

– Nikt się o tym nie dowie i nie widzę potrzeby, żeby dalej to roztrząsać – mówi Richard i zajmuje swoje miejsce.

– Nie boję się, że komuś o tym opowiesz. Chodzi o to, że piliśmy razem alkohol i to u mnie w gabinecie. Staram się zawsze być bardzo profesjonalna. Jestem psychologiem, a Tyflos to moje miejsce pracy. Nie wolno mi robić takich rzeczy. Przyszedłeś tu, żeby się leczyć, a moim zadaniem jest udzielić ci pomocy.

– Jak możesz mi pomóc, skoro sama nie radzisz sobie z własnymi problemami?

Jego słowa zbijają mnie z tropu. Powiedział prawdę i trudno mi stawić temu czoło.

– Świetnie sobie ze wszystkim radzę! Tak naprawdę gówno wiesz i nie zdajesz sobie sprawy, przez co przechodzę. Nie masz bladego pojęcia o moim życiu!

– Okay. – Zawiesza głos, ale nadal na mnie patrzy. Zapada cisza. Po chwili sięga do kieszeni kurtki i wyciąga cztery buteleczki wódki Grey Goose. Jak prawdziwy dżentelmen otwiera jedną dla mnie, a drugą dla siebie, po czym stawia obie na biurku. Cały czas gapię się w ekran komputera. Wydaje mi się, że kursor mruga do mnie oskarżycielsko, przypominając mi o dokumentacji Richarda, którą należałoby wreszcie uzupełnić. Powinnam go trochę przycisnąć i zmusić do mówienia. Wiem, że muszę przewyciężyć własne lęki i nie wolno mi ulec pokusie.

– Zabierz to, Richard. Nie wolno mi pić w miejscu pracy razem z pacjentami. – Spuszczam wzrok, żeby nie patrzeć ani na niego, ani na butelki.

– Powiedz mi, kogo teraz próbujesz oszukać. Od kiedy trafiłem do Tyflos, uważnie cię obserwuję i dawno zauważyłem, że masz problem z alkoholem.

– Ja mam problem z alkoholem? Skąd w ogóle ten pomysł? – pytam i energicznie podnoszę głowę.

Richard sięga po jedną ze stojących na biurku buteleczek i opróżnia ją jednym haustem.

– No cóż, po pierwsze – mówi – kiedy tydzień temu zaproponowałem ci coś mocniejszego, nie odmówiłaś i bez większego wahania raczyłaś się alkoholem w moim towarzystwie. – Robi przerwę i wypija następną buteleczkę. – Po drugie, jak ci się wydaje, skąd to wziąłem? – pyta, wskazując na puste szkło.

– Skąd to wziąłeś? – Nagle czuję suchość w gardle i zerkam w stronę szafki na dokumenty. Doskonale wiem, skąd to wziął.

Richard widzi, gdzie kieruję spojrzenie, i w radosnym geście wyrzuca ręce do góry.

– A nie mówiłem! Który psycholog trzyma u siebie w gabinecie plastikową torebkę na suwak pełną flaszek z wodą?

Trudno temu zaprzeczyć. Wbijam wzrok w dolną szufladę, gdzie pod pudełkiem z kredkami i artykułami plastycznymi schowałam trefny towar. Od bardzo dawna zbieram małe buteleczki z alkoholem i parę miesięcy temu, po jakimś wyjątkowo złym tygodniu, przyniosłam swoją kolekcję do pracy. Często robię zakupy w sklepie monopolowym niedaleko mojego mieszkania i niemal za każdym razem sprzedawca dorzuca mi w prezencie jakiś bonus. Jestem stałą klientką, obsługa doskonale zna moje upodobania. Mogłabym wydać tam prawie całą pensję. Podejrzewam, że z pieniędzy, które zostawiam tam za zakupy, są w stanie zapłacić rachunek za prąd. A teraz moje zbiory znalazły się w rękach Richarda. Wszystkie buteleczki, co do jednej. Pewnie jest tego z kilkadziesiąt sztuk.

– Jak to znalazłeś?

– Przecież nie siedziałem tutaj cały czas, jedynie czytając gazetę. Bacznie ci się przyglądałem i widziałem, co się z tobą dzieje. Kiedy zacząłem myszковать, nie miałem pojęcia, na co natrafie, ale byłem pewien, że znajdę

coś interesującego. – Pochyliła się do przodu i przysuwa krzesło bliżej biurka.

– Co? Grzebałeś w moich rzeczach? – Wpatruję się w Richarda zupełnie osłupiała. – Prosiłeś, żebym poszła na ustępstwa i się zgodziłam. – Zaczynam wyliczać na palcach lewej ręki wszystko, co dla niego zrobiłam. – Chciałeś, żebym zostawiła cię w spokoju i pozwoliła czytać gazety. Nie protestowałam. Praca z tobą była dla mnie prawdziwą katorgą. Żaden terapeuta by tego nie wytrzymał. Odmawiałeś odpowiedzi na najprostsze pytania i nadal nie mam pojęcia, po jaką cholere znalazłeś się w naszej placówce. Mimo to byłam bardzo tolerancyjna! Nie miałam wyboru, musiałam się dostosować. Staralam się jakoś do ciebie dotrzeć, żywiąc nadzieję, że dowiem się wreszcie, dlaczego zostałeś tutaj umieszczony... Ale miarka się przebrała! Wystarczy! Nie interesuje mnie, kiedy szperałeś w moich rzeczach. Jestem na ciebie wściekła. Oczekujesz zaufania, a potem robisz coś takiego? – Z całej siły uderzam pięściami w blat biurka. Na podłogę spada butelka wody.

– Zostawiłaś mnie samego, kiedy doszło do „sytuacji kryzysowej” z Adelle – oznajmia Richard, po czym macha ręką, jak gdyby to, co się stało, nie zasługiwało na miano „sytuacji kryzysowej”.

– Bo miałam do ciebie zaufanie, a ty to wykorzystałeś! – Obrzucam go pogardliwym spojrzeniem. – Dlaczego?

– Potrzebowałem jakiejś karty przetargowej. Chciałem zawrzeć kompromis.

– Naprawdę? Chyba sobie żartujesz! Po tym wszystkim, co się stało? – Wbijam wzrok w ekran komputera.

– Oboje tego potrzebujemy.

– Kolejny kompromis – mówię coraz cichszym głosem, z niedowierzaniem kręcąc głową. Nie chcę, żeby ktoś przechodzący korytarzem usłyszał naszą niedorzeczną rozmowę.

– Postanowiłem, że będę z tobą współpracował. Mam zamiar uzupełnić dokumentację, żebyś wreszcie przestała mi wiercić dziurę w brzuchu.

Odwracam się w jego stronę, unosząc brwi ze zdziwienia, i cierpko się uśmiecham. Chowam część papierów do szuflady i rozprostowuję leżące na biurku niewypełnione do końca formularze.

– Będziesz ze mną współpracował?

– Wiem, z czym wiąże się pobyt w tym ośrodku. Zdaję sobie sprawę, że nie mogę po prostu milczeć, więc odpowiem na twoje pytania.

- Gdzie jest haczyk? Czego ode mnie oczekujesz w zamian?
- Nie chcę, żebyś traktowała mnie jak pacjenta.
- Ale przecież jesteś pacjentem, do cholery. Jak mam cię niby traktować?
- Jak równego sobie człowieka. Nie będę się przed tobą obnażał, dostarczając ci darmowej rozrywki. Nie jestem marionetką.
- Uważasz, że tak to wygląda?
- Sama znalazłaś się w niezłych tarapatkach. Nie pozwolę, żebyś w czasie spotkań milczała i sprawowała nade mną pełną kontrolę. Mam w rękę poważny atut. Mogę wydobyć twoje ciemne sprawy na światło dzienne i wtedy stracisz pracę. Nie wiesz, gdzie schowałem twój skarb. Mogę pokazać torbę pełną butelek z alkoholem i powiedzieć, że właśnie dlatego nie radzisz sobie z codziennymi obowiązkami. Jestem pewien, że wszyscy mi uwierzą. Pamiętają przecież, co się stało z Adelle podczas twojego dyżuru! Wiem też, że to ty nie zamknęłaś na klucz magazynku gospodarczego. Widziałem, jak brałaś stamtąd przepychacz i zostawiłaś drzwi otwarte.
- Adelle nic się nie stało! Wypisali ją ze szpitala w bardzo dobrym stanie. To był fałszywy alarm!
- Czyżby? Fałszywy alarm spowodowany przez błąd pijanego psychologa, który zalecił stosowanie niewłaściwych leków? A co ze schowkiem? Eddie nie walnąłby samobója, gdyby nie miał gdzie tego zrobić. Twoi przełożeni chętnie by o tym posłuchali.
- Dlaczego chcesz, żebym straciła robotę? Przecież nic na tym nie zyskasz. Jaki masz w tym interes? I czemu mnie śledzisz?
- Wcale cię nie śledzę i nie zależy mi, żebyś została bez pracy, ale mogę do tego doprowadzić, jeśli nie zgodzisz się na postawione przeze mnie warunki. Opowiem ci wszystko, lecz w zamian oczekuję od ciebie tego samego: szczegółowej historii twojego życia. Porozmawiamy jak równy z równym. Tak wygląda moja propozycja. Zgadzasz się?
- Najpierw chciałabym wszystko dobrze zrozumieć. – Rozcieram obolałe powieki, starając się skupić na tym, co się dzieje. – Zgadzasz się uzupełnić ze mną dokumentację i zaangażować się w terapię pod warunkiem, że opowiem ci o moim prywatnym życiu, a jeżeli odmówię, pokażesz szefowej torbę z butelkami, którą nawiasem mówiąc, ukradłeś, i wyrzucą mnie na zbity pysk? Aha, i jeszcze poinformujesz wszystkich, że jestem odpowiedzialna za to, co stało się z Eddiem i Adelle?

– Owszem – odpowiada takim tonem, jak gdyby składał mi całkiem rozsądną ofertę.

– I myślisz, że ujdzie ci to na sucho? – Mam ochotę na papierosa.

– Nic mi nie grozi. Z zasadzie już wygrałem. Wiem, że przepisałaś Adelle złe leki i nie zamknęłaś schowka. Skonfiskowałem twój alkohol i mam teraz w rękę mocne argumenty, dzięki którym dostanę to, czego chcę. Zresztą ty też powinnaś być zadowolona. Osiągniesz swój cel, chociaż w nieco inny sposób, niż planowałaś. Będziesz mogła uzupełnić wszystkie formularze i udowodnić wszem wobec, jaką jesteś utalentowaną terapeutką. – Robi ironiczną minę i kręci młynka palcami.

Skąd on może wiedzieć, co takiego chciałam udowodnić? Patrząc na niego z obawą. Zastanawiam się, gdzie schował resztę łupu.

– A co, jeśli się zgodzę?

– Po pierwsze, zachowasz stanowisko, a po drugie, udzielisz pomocy potrzebującemu i zostaniesz prawdziwym bohaterem.

– Jaką mam gwarancję, że i tak mnie nie zadenuncjujesz?

Wstaje z krzesła i podaje mi rękę.

– Naprawdę myślisz, że po tym wszystkim wystarczy uścisk dłoni?

– Nie mam nic innego do zaoferowania, jednak jeśli coś obiecuję, to dotrzymuję słowa. Jeżeli wywiążesz się ze swoich zobowiązań, będziesz mogła spać spokojnie.

Obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem. Uśmiecham się do niego i wlewam zawartość dwóch pozostałych buteleczek z wódką Grey Goose do pustego kubka po kawie. Podaję Richardowi puste szkło, wznoszę toast i jednym haustem wypijam alkohol.

AJ się ode mnie odsuwa, wszystko między nami wygląda inaczej niż na początku. Dostał to, czego chciał, i najwyraźniej stracił zainteresowanie. Byłam dla niego jeszcze jedną zdobyczą, kolejną laską do zaliczenia.

Zmagam się ze swoimi problemami i rozpaczliwie potrzebuję jakiejś odskoczni, jednak boję się z nim spotkać. Nie chcę, żeby mój los został przypieczętowany. AJ mnie nie kocha i już mu na mnie nie zależy. Czuję, że zostanę z niczym. Zapominam jednak, że sama zainicjowałam ten romans i na początku to ja potraktowałam AJ-a instrumentalnie. Poderwałam go, żeby zapomnieć o Lucasie, ale teraz jestem uzależniona i potrzebuję go jak powietrza.

Z utęsknieniem czekam, aż do mnie zadzwoni. Spotykamy się w ukryciu, co sprawia, że czuję się wyjątkowo bezbronna. Ciągłe sprawdzam telefon. Robię to co kilka minut i przestaję dopiero, gdy zasypiam. Pierwszą rzeczą po przebudzeniu jest również rzut oka na ekran smartfona.

Nalewam sobie kolejny kieliszek wina i zaglądam do paczki, żeby policzyć, ile mam jeszcze papierosów. Co prawda w odległości dwudziestu metrów od mojej kamienicy znajdują się delikatesy i sklep monopolowy, ale staram się ograniczać wychodzenie z domu. Zostało sześć. Wystarczy do rana? Raczej nie. Muszę zadzwonić do sklepu i poprosić o dostawę.

Tracę nadzieję i myślę, że AJ to straszny dupek. Chociaż tak naprawdę to ja go wykorzystałam, a nie on mnie! Potrzebowałam go, żeby uciec od Lucasa, ale teraz to zupełnie bez znaczenia. AJ stał się dla mnie całkowicie bezużyteczny. I wcale nie jest taki przystojny. Ma głupkowaty uśmiech i wygląda jak naćpany kot z Cheshire. Na dodatek zachowuje się jak rozkapryszone dziecko... I wtedy wibruje mój telefon.

„Cześć, kochanie...”

Podsakuję z wrażenia i zaczynam się pocić, starając się rozgryźć, co oznacza ta wiadomość. Czy naprawdę jestem tak zdesperowana, żeby od razu odpisywać? Postanawiam czekać i wydaje mi się, że trwa to kilka godzin, chociaż tak naprawdę mijają raptem trzy i pół minuty.

„Cześć”.

Wysłałam niezobowiązującą odpowiedź, jednak teraz zaczyna się najgorsze: okropne oczekiwanie na jego wiadomość. Zależy mi, żeby napisał

coś wspaniałego i to jak najszybciej. Pragnę poczuć, że mu na mnie zależy. A potem piłeczka znajdzie się znowu po mojej stronie. Cierpliwie czekam. Chciałabym zobaczyć na ekranie trzy migające kropki oznaczające, że zaczął odpisywać. No, szybciej!

Wreszcie dostaję wiadomość:

„Wybierasz się dzisiaj do Nicka?”.

Nie miałam w planach żadnego wyjścia, ale teraz zaczynam się wahać. Mimo to coś mnie powstrzymuje. Mam wrażenie, że ktoś położył mi na kolanach jakiś wielki ciężar, którego sama nie jestem w stanie podnieść.

Być może chciałam tylko usłyszeć, że AJ na mnie czeka i mogę się z nim spotkać, jeśli mam na to ochotę. Wszystko się zmieniło dwa tygodnie temu, kiedy mój kochanek zobaczył siniaki i zorientował się, że coś jest nie tak. Nagle przestaliśmy być parą zwariowanych dzieciaków, które bez żadnych zobowiązań baraszkują radośnie w łóżku. AJ dostrzegł coś, czego nie powinien, czyli moje prawdziwe ja. Niewykluczone, że naprawdę mnie lubi. Co za idiota! Mam teraz okazję, żeby coś sobie udowodnić. Przecież nie muszę dalej tego ciągnąć.

„Dzięki, ale dzisiaj daruję sobie wyjście. Baw się dobrze beze mnie”.

Powinam go zostawić, zanim on zostawi mnie. Zranić go pierwsza, żeby oszczędzić sobie cierpienia.

– Sam! Sam! Potrzebujemy pomocy! – Ktoś wali w drzwi mojego gabinetu i słyszę błagalny głos Tashawndry.

– Co się stało? – pytam, otwierając je na oścież. Tashawndra bierze mnie za rękę i wyciąga na korytarz.

– Chodzi o Jenni. Wpadła w panikę, zamknęła się w toalecie i nie chce wyjść. Od rana ciągle płacze.

– Informowałaś o tym Rachel?

– Nie, od razu przybiegłam do ciebie, a Lucy poszła po Julie.

– Okay. – Szybkim krokiem ruszamy korytarzem i wchodzimy do damskiej toalety. Lucy i Julie są już na miejscu. Julie próbuje rozmawiać z Jenni przez zamknięte drzwi.

– Hej, co się z tobą dzieje? – Jenni siedzi na podłodze w kabinie dla niepełnosprawnych. W prześwicie widzimy kawałek jej pleców. Wcisnęła się w kąt i zanosi szlochem. W pewnym momencie pochyła się do przodu, żeby zwymiotować. Lucy otwiera szeroko oczy ze zdziwienia i obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem.

Julie siada na posadzce i zaczyna szeptać przez szparę:

– Jak możemy ci pomóc?

Jenni zaczyna kaszleć, spluwa do sedesu i splukuje wodę. Cały czas ciężko oddycha, widzimy, jak jej ramiona unoszą się w górę i w dół. Julie wsuwa rękę pod drzwi. Podaje Jenni kilka papierowych ręczników, a ta wydmuchuje nos, po czym Julie rozmasowuje kciukiem jej plecy i słyszymy, jak oddech Jenni się uspokaja. Tashawndra kuca w rogu łazienki z kolanami przyciśniętymi do klatki piersiowej i z brodą opartą o zaciśnięte pięści. Lucy uważnie obserwuje Julie, od czasu do czasu zerkając w moją stronę lub patrząc na swoje odbicie w lustrze. Ja również przyglądam się koleżance, zastanawiając się, jak poradzi sobie w tej trudnej sytuacji.

– Nie chcę już tutaj dłużej siedzieć – odzywa się Jenni zachrypniętym głosem.

– To chodź do nas, mała. Czekamy na ciebie – mówi Tashawndra.

– Mam już dość tego szpitala. Chcę wrócić do domu. – Ciężko wzdycha i opuszcza rękę na podłogę. Widzę, jak po posadzce toczy się igła.

– Cholera! Julie, wezwij pomoc medyczną i to jak najszybciej! I nie mów nikomu, co się tutaj dzieje. Bądź dyskretna. – Poprawiam spodnie, opieram się o ramię Lucy dla zachowania równowagi i kładę stopę na umywalce. Podciągam się do góry, łapię rękami za krawędź kabiny i przeciskam się między drzwiami a sufitem. Zeskakuję na sedes i ląduję obiema nogami na podłodze. Jenni zawiązała sobie wokół bicepsa grube pasmo włosów. Na jej kolanach leży zielona zapalniczka. Rozglądam się uważnie, ale nigdzie nie widzę łyżeczki. W muszli klozetowej pływa za to kawałek srebrnej folii.

Jenni opiera głowę o ścianę kabiny. Ma otwarte usta i przymknięte oczy. Nie jestem w stanie stwierdzić, ile heroiny wzięła.

– Jenni! – wrzeszczę jej prosto w twarz. – Jenni! To ja, Sam! Obudź się. Błagam cię, obudź się! – Potrząsam ją za ramiona, ale jej głowa tylko podskakuje jak piłka, a podbródek opada na klatkę piersiową. Wyciągam rękę, żeby otworzyć drzwi. Wypycham nieprzytomną Jenni na zewnątrz i kładę ją na zimnej posadzce.

Tashawndra ciągle kuca w kącie i patrzy na mnie przerażona. W pewnym momencie zaczyna płakać. Lucy siedzi obok niej i wyciąga rękę, żeby ją objąć i jakoś pocieszyć. Do toalety wpada zziębnięta Julie.

– O Boże, Sam! Ona nie żyje? Jezu Chryste! – Julie nie zamknęła za sobą drzwi i jej krzyki na pewno słychać na korytarzu.

– Nie, jeszcze nie umarła. Wezwałaś pomoc? – Łapię Jenni za nadgarstek i badam puls, po czym przytykam ucho do jej ust, żeby sprawdzić, czy nadal oddycha.

– Tak, zaraz tu będą. Ogłosiłam kod niebieski.

– Dziękuję. Świetnie się spisałaś, a teraz zabierz Lucy i Tashawndrę do mojego gabinetu. Tam na mnie poczekajcie, dobrze? – Nie chcę, żeby Julie się tutaj kręciła, ponieważ jest niestabilna emocjonalnie i mogłaby wpaść w histerię.

– Okay – mówi, ale nie wykonuje żadnego ruchu i wbija wzrok w podłogę.

– Julie, rusz się! Nie ma czasu do stracenia. – Rzucam jej klucze.

– Aha, no tak! – Budzi się z letargu, każe wstać dziewczynom z podłogi i wyprowadza je na zewnątrz. Korytarzem biegną dwie pielęgniarki i dwóch sanitariuszy z wózkiem do przewożenia chorych i torbami pełnymi sprzętu medycznego. Wpadają do łazienki, przytrzymują drzwi deską ortopedyczną i pytają, co się stało.

– Heroina. Nie wiem, jaka dawka, i nie wiem kiedy. Pacjentki powiedziały mi, że siedzi tutaj od rana, ale nie wspomniały o narkotykach.

– Jak ona się nazywa? – pyta mnie potężnie zbudowany sanitariusz, po czym wsuwa Jenni pod plecy deskę ortopedyczną.

– Jenni. Nazywa się Jenni.

– Dobra, zaraz ją stąd zabieramy. – Odwraca się ode mnie i przynosi pacjentkę na wózek. – Jenni! Jenni! – krzyczy jej prosto do ucha. – Ile wzięłaś heroiny, kochanie? – Zaczyna pchać wózek w stronę części klinicznej szpitala. Na korytarzu zebrał się już tłumek gapiów.

Nic więcej nie jestem w stanie zrobić, więc wracam do siebie. Na podłodze siedzą trzy kobiety, obejmują się i płaczą.

– Szsz... Już wszystko w porządku. Nie martwcie się. Zabrali ją na oddział ratunkowy. Naprawdę świetnie sobie poradziłyście. Bardzo dobrze, że przyszyłyście do mnie i do Julie. Najprawdopodobniej uratowałyście Jenni życie. – Ocieram pot z twarzy i wypijam duszkiem butelkę wody.

– Skąd ona wzięła narkotyki? – pyta Julie, a ja nie jestem w stanie spojrzeć jej prosto w twarz.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam, a kątem oka widzę, że Lucy i Tashawndra nagle odwracają głowy. – Dziewczyny, wy chyba coś wiecie. To niezwykle ważne. Powiedziała wam, skąd wystraszyła te prochy? Nie będziecie miały z tego powodu żadnych kłopotów. Obiecuję!

Lucy podnosi wzrok i mówi nieśmiałym głosem:

– Ostatnio wspomniała, że siostra przyniosła jej jakieś niezbędne leki. Domyślałyśmy się, że to tak naprawdę narkotyki, ale nie byliśmy pewne. Nigdy nie powiedziała nam, o co konkretnie chodzi.

Jenni ma uzależnioną od heroiny siostrę, z którą nieźle się dogaduje. Jednak w jaki sposób ona się tutaj dostała? Staram się uspokoić oddech, po czym otwieram na komputerze pusty formularz raportu powypadkowego i zaczynam go wypełniać. Julie zabiera Lucy i Tashawndrę do innej sali, żeby z nimi spokojnie pogadać, a ja obiecuję, że później do nich dołączę. Sięgam po teczkę Jenni, żeby znaleźć potrzebne informacje. Na samej górze leży protokół z odwiedzin i arkusz weryfikacji członków rodziny, na którym tuż obok nazwiska jej siostry Jackie widnieje przybity przeze mnie czerwony stempel „Zatwierdzone”.

Do gabinetu wpada dzisiaj wyjątkowo ostre światło i muszę opuścić żaluzje, żeby móc bez mrużenia oczu patrzeć na ekran komputera. Niestety nawet kiedy okna są zasłonięte, w pokoju jest dla mnie zbyt jasno. Moja praca wymaga skupienia, więc zakładam ciemne okulary. Za każdym razem, gdy patrzę na piętrzący się na krzesła dla pacjentów stos papierów, wydaje mi się, że robi się coraz większy. Niezależnie od tego, ile dokumentów przejrzę i odłożę na bok, sterta w ogóle nie maleje.

Piję odgazowany napój marki Mountain Dew o wyjątkowo kwaśnym smaku. Nagle dzwoni interkom i widzę migającą na zielono lampkę. To ktoś z ochrony. Po chwili z głośnika dobiega głos Raula:

– Cześć, Sam. Przyszedł Lucas. Miał przepustkę dla gości, więc pozwoliłem mu wejść na teren szpitala. Idzie do twojego biura.

Skąd, do cholery, Lucas wytrzasnął przepustkę? Przecież do tej pory nigdy mnie nie odwiedzał. Zanim zdążyłam złapać za słuchawkę i powiedzieć Raulowi, żeby pod żadnym pozorem nie wpuszczał tego dupka, słyszę delikatne drapanie w drzwi. Poprawiam okulary, ponieważ słońce ciągle razi mnie w oczy, i wstaję, żeby otworzyć.

Chyba wysiadła żarówka, ponieważ w korytarzu jest ciemniej niż zwykle. Lucas stoi z przywiedłymi kwiatami w ręku. Przyniósł czerwone róże zapakowane w zielony celofan, przewiązane cienką białą wstążką. Bukiet śmierdzi kocimi szczynami i wygląda, jak gdyby wyciągnął go ze śmietnika. Najchętniej odprawiłabym Lucasa z kwitkiem, ale reaguję za wolno i mój chłopak wpycha mnie z powrotem do pokoju. Tracę równowagę, potykam się o krzesło i ląduję na podłodze. Na dodatek na moją głowę spada gruby plik dokumentów i nie jestem w stanie się podnieść.

Mam przekrzywione okulary i oślepia mnie słońce. Widzę tylko sylwetkę Lucasa, który się na mnie rzuca. Staram się osłonić twarz i klatkę piersiową, ale natrafiam na róże, których ostre kolce boleśnie kłują mnie w palce.

Kopię na oślep, żeby zrzucić Lucasa, ale za każdym razem, gdy sięgam celu, mam wrażenie, że moja stopa grzęźnie w jego torsie, jak gdybym uderzyła nogą w miękką galaretkę. Nie mogę się pozbyć tych cholernych róż i po moich rękach spływa lepka krew. Lucas przewraca puszkę mountain dew, otwiera szufladę i wyjmuje z niej nożyczki. Puszka leży na krawędzi biurka, a ciekący z niej napój powoli zalewa cały pokój.

Kolce powbijają mi się w dłonie i nie jestem w stanie zacisnąć pięści. Coraz trudniej mi się poruszyć, ponieważ moje włosy wplątały się w obrotowe kółka krzesła dla pacjentów. Mountain dew zalewa całą podłogę i płyn wlewa mi się już do uszu. Lucas klęczy nade mną, trzymając nad głową nożyczki. Milczy, a metalowe ostrza błyszczą w promieniach słońca. Zachłystuję się kwaśnym napojem i zaczyna mi brakować powietrza. To koniec.

Nagle dzwoni telefon. Podnoszę głowę i wycieram z policzka strużkę śliny. Coraz częściej śni mi się ten sam koszmar. Czasami budzę się złana potem, czasami coś krzyczę, ale zawsze jestem wyczerpana i nie mogę złapać tchu. Gramolę się na czworakach do biurka i podnoszę słuchawkę.

Rachel pyta, co się stało z Jenni, ponieważ do tej pory nie miałyśmy okazji o tym porozmawiać. Opowiadam jej o szczegółach zajścia w łazience i o tym, jak sobie poradziłyśmy, starając się podkreślić zaangażowanie Julie. Mówię, że oddzwonię, kiedy dostanę jakieś nowe wiadomości z oddziału detoksykacyjnego, i wtedy Rachel nagle mi przerywa.

– Zanim się rozłączysz – mówi, ciężko oddychając – chciałabym ci podziękować za przygotowanie sprawozdania dla BZP. Odwaliłaś kawał naprawdę dobrej roboty i bardzo to doceniam. Ciągłe jest u nas straszny bałagan, ale dzięki twojej pomocy łatwiej mi zapanować nad chaosem.

– Nie ma sprawy, Rachel. W końcu jedziemy na tym samym wózku – oznajmiam, trzymając słuchawkę między uchem a ramieniem i rozcierając ślady, które na mojej twarzy zostawił suwak. To wszystko dlatego, że podłożyłam sobie kurtkę pod głowę.

– Powiedz mi jeszcze, co się stało z oryginalnymi raportami przygotowanymi przez psychiatrów z BZP? Nigdzie nie mogę ich znaleźć.

Zamieram z przerażenia.

Wiedziałam, że wcześniej czy później ta sprawa wyjdzie na jaw, więc teraz muszę się jakoś wytłumaczyć. Jeśli tym razem uda mi się wyłgać, powinnam być bezpieczna.

– No tak, kiedy przyszłam do ciebie, gabinet był zamknięty, więc nie mogłam zostawić wszystkich dokumentów. Sprawozdanie wsunęłam pod drzwi, a teczki razem z zawartością zaniosiłam na dół i zarchiwizowałam. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam. – W oczekiwaniu na reakcję szefowej wstrzymuję oddech i zaciskam zęby. Słyszę jej ciężki oddech i szelest przekładanych papierów. Zamykam powieki i czuję, że w kącikach oczu zbierają mi się łzy. Mam zeszywniałe plecy. Nagle w słuchawce rozlega się

trzask.

– Uhm, okay, w porządku. Mam na linii drugi telefon, więc muszę się rozłączyć. Jeszcze raz dziękuję, Sam. – Szefowa kończy rozmowę i mogę wreszcie głęboko odetchnąć. Rozluźniam mięśnie i odkładam telefon na miejsce, po czym otwieram szufladę i widzę swoją teczkę z raportem BZP. Wyjmuję ją i ostrożnie wkładam do torebki.

Poszłam z Davidem na późny lunch, chociaż nadal mam do niego pretensje i rozpamiętuję, jak kilka tygodni temu powiedział, że zionę nienawiścią. Staram się zachowywać normalnie, ale wciąż trzymam go na dystans. Jak dotąd nie wspomniałam mu o dokumentach ewaluacyjnych ani o tym, że pozwoliłam siostrze Jenni na wizytę w szpitalu i nie zamknęłam na klucz pomieszczenia gospodarczego.

Zjadam swoją połowę kanapki, a David próbuje się dowiedzieć czegoś więcej o bieżącym statusie mojego związku.

– Porozmawiamy o tym, jak ci się układa z Lucasem? – pyta z pełnymi ustami, żeby jego słowa nie brzmiały zbyt serio. Wyraźnie stara się zminimalizować powagę sytuacji.

– A o co konkretnie chodzi? – Mam zamiar przekazać mu tylko te informacje, o które zapyta. Nic więcej.

– Od jakiegoś czasu nie mówiłaś nic o swoim chłopaku – kontynuuje David, zasłaniając dłonią usta.

– No cóż, już dawno się z nim nie widziałam. Ciągłe się kłóciliśmy. Nie miałam siły na awantury i jednoczesne zmaganie się z tym głównym w pracy. Postanowiłam zrobić sobie przerwę – wyjaśniam, wbijając wzrok w kanapkę.

– Jak to odebrał?

– Szczerze? Nie jestem pewna, czy w ogóle zauważył. Założę się, że kręca się wokół niego tabuny chętnych pańienek. To się stało trzy tygodnie temu. Od tamtej pory wysłał mi parę SMS-ów z pytaniem, czy celowo go unikam. Wie, że jestem na niego wkurzona. Na pretensjonalnej imprezie sylwestrowej całował się z jakąś laską, a wcześniej kolejny raz złapałam go na wciąganiu kokainy. Nie byłam w stanie dłużej znosić jego kłamstw, więc puściłam go kantem. – Głośno wzdycham i sięgam po wielki kubek z coca-colą.

– A ty nie przelizałaś się z kelnerem? – David unosi brew, odgryza kęs kanapki i wyciera usta serwetką. Jego gabinet jest trochę większy od mojego, ale za każdym razem, gdy David przemawia wyniosłym tonem, mam wrażenie, że ściany są bardzo blisko siebie i brakuje mi powietrza.

– Owszem, ale to było w ramach zemsty. Wcześniej Lucas przystawiał

się do jakiejś przypadkowej dziewczyny. Ja nie poszłam na imprezę z zamiarem podrywania facetów. Po prostu kiedy wybiła północ, tylko kelner był pod ręką. W tamtej sytuacji wyciąłabym nawet rybę.

– Masz zamiar z nim zerwać?

– Uhm, chyba nie. W każdym razie na pewno nie chcę o tym rozmawiać. Wiem, że go nie lubisz i jesteś przynajmniej ogólnie zorientowany w tym, co się między nami działo, ale ja nie mam siły tego roztrząsać. Będę naprawdę wdzięczna, jeśli zmienimy temat i przestaniemy deliberować o Lucasie. –

Słyszę ten żalony ton, ale nie mam siły skonfrontować się z rzeczywistością.

– Od pewnego czasu nie zauważyłem żadnych śladów przemocy – mówi David, starannie dobierając słowa.

– Śladów przemocy? Dlaczego mówisz o tym w ten sposób? Nie jestem pacjentką i nie potrzebuję leczenia. Nie widziałeś zaschniętej krwi we włosach i siniaków na twarzy. Rozumiem. Okay. To dlatego, że od kilku tygodni u niego nie nocowałam, a on również mnie nie odwiedzał. Tak więc... O Boże! Czego ode mnie chcesz? Naprawdę nie mam ochoty o tym rozmawiać. – Wkładałam do ust resztę kanapki z nadzieją, że David zrozumie sugestię i przestanie wtykać nos w nie swoje sprawy.

– Wydaje mi się, że powinnaś go zostawić – oznajmia i podnosi rękę w geście kapitulacji. – To wszystko! Już skończyłem! – Zjada ostatni kawałek bułki i klaszcze w dłonie.

Wyglądam przez okno i patrzę na znajdujące się po drugiej stronie ulicy rusztowania. Zostałam zmuszona do myślenia o Lucasie i zastanawiam się, co z tym wszystkim zrobić. Przyzwyczyłam się, że go kocham lub nienawidzę. Teraz moje życie jest puste i czuję, że muszę czymś zająć głowę. Dochodzę do wniosku, że miłość i nienawiść niczym się od siebie nie różnią, to w gruncie rzeczy pozytywna i negatywna strona tego samego uczucia, a ja rozpaczliwie potrzebuję obojętności.

Kiedy Lucas się do mnie odzywa, mam jakiś punkt zaczepienia. Mogę być na niego wściekła i suszyć mu o coś głowę. Jednak kiedy milczy, tracę grunt pod nogami. Co mam robić? Nie mam czym zastąpić scysji i awantur, a potrzebuję tego, żeby przetrwać. Jestem uzależniona i nigdy nie mam dość. Mówię, że już wystarczy i że oddam wszystko za chwilę spokoju, ale tak naprawdę moje ciało błaga o więcej i domaga się kolejnego starcia.

Zaraz zacznie się sesja grupowa. Siedzę zasepiona, czekając, aż do sali wejdą ostatnie pacjentki. Wreszcie dociera do mnie, że mój czas z Lucasem dobiegł końca. Ten związek od początku miał swoją datę ważności i sama chciałam, żeby tak było. Niedawno wzięłam sprawy w swoje ręce i skończyłam romans z AJ-em. Teraz wiem, że muszę jak najszybciej oficjalnie zerwać z Lucasem, ponieważ w przeciwnym wypadku stracę zimną krew i do niego wrócę. Od wielu dni myślę, że dam sobie radę sama. Lucas nie będzie w stanie mnie zranić, a ja przecież i tak nie potrafię mu pomóc. Od tego wszystkiego zaczyna boleć mnie głowa.

Powoli cichnie gwar rozmów. Pacjentki zajęły już swoje miejsca. Siedzą w okręgu, wpatrują się we mnie i czekają na rozpoczęcie zajęć.

– Witam was! Dzisiaj chciałabym porozmawiać na temat, który może okazać się nieco trudny. Jak dobrze wiecie, podczas naszych spotkań jesteście bezpieczne i możecie rozmawiać o wszystkim, co was nurtuje. Chodzi o to, żebyście poczuły się lepiej, zatroszczyły o siebie i stanęły na nogi. Czasami jednak warto stawić czoło temu, co nas przeraża i właśnie dzisiaj się tym zajmiemy.

– Będziemy rozmawiać o naszych mężach? – pyta Nancy.

– Być może. Tematem jest przemoc w rodzinie.

– Aha! – Anna odchyła się do tyłu i krzyżuje ręce na piersi. – Czyli jednak mężowie.

Jestem lekko zaskoczona, że używa tego słowa, ponieważ jest lesbijką i znęcała się nad nią jej partnerka.

Rozlega się stłumiony chichot. Rozglądam się dookoła i widzę, że niektóre kobiety bezwiednie dotykają swoich blizn, chowają szyje w ramionach i wbijają wzrok w podłogę.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że każda z nas miała agresywnego męża? – pyta Tashawndra.

– No cóż, nie zawsze był to mąż, ale wszystkie kobiety zebrane w tej sali doświadczyły przemocy. – Boję się, że zapytają, czy to stwierdzenie dotyczy również mnie.

– Mamy podzielić się z grupą naszymi historiami? – upewnia się Nancy.

– Czemu nie? Jesteśmy w bezpiecznym miejscu, a zwieranie się ludziom, którym ufamy, zazwyczaj pomaga. Chciałabyś zacząć?

– Okay, mogę zacząć. Mam na imię Nancy. Doświadczyłam przemocy domowej na własnej skórze. Przez jakiś czas byłam mężatką i mój mąż Glenn bił mnie, kiedy wpadał w złość. To wszystko.

– Cześć. Nazywam się Anna. Miałam żonę i ona również mnie lała.

– Świetnie! Dziękuję za rozpoczęcie dyskusji. Czy któraś z was mogłaby powiedzieć nam trochę więcej o swoich doświadczeniach? Uważam, że takie wyznania mają pozytywne działanie terapeutyczne.

– Możesz zacząć – mówi Anna, kiwając głową w stronę Nancy.

– Dobrze. Uhm, no cóż. Byliśmy małżeństwem przez cztery lata. Mam dorosłą córkę z poprzedniego związku. Pomieszkiwała u nas, kiedy akurat była bezrobotna. Lubiłam to, bo wtedy Glenn mnie nie bił. Nigdy nie robił tego w obecności innych ludzi. To wszystko jest strasznie dziwne. Nawet teraz czuję się winna. Jestem smutna i czasami nadal się boję. Ciągłe się zastanawiam, w jaki sposób powinnam była zareagować i co mogłam zrobić, żeby Glenn nie wpadał w złość.

– Ja mam dokładnie to samo! Zawsze myślę w ten sposób – mówi Lucy.

– Przykładowo, gdybym pamiętała, że nie podoba mu się moja różowa koszula, tobym jej nie założyła i nie narobiła sobie kłopotów.

– Tak – kontynuuje Nancy. – Zawsze coś ich wkurzy. Tak łatwo wyprowadzić ich z równowagi.

– Chciałabym też porozmawiać o odejściu od znęcającego się nad wami partnera. Jak udało wam się wyrwać z toksycznych relacji? – Zastanawiam się, czy ich historie mogą mi pomóc i czy to w ogóle ma jakiś sens.

– No cóż, Glenn trafił za kratki, więc kiedy siedział w więzieniu, problem sam się rozwiązał. Przyszła do mnie pani z opieki społecznej. Pomogła mi skontaktować się z prawnikiem i złożyłam pozew o rozwód. Mój były mąż ciągle kibluje.

– Skąd wzięłaś odwagę, żeby zgłosić jego zachowanie na policję? – pyta Tashawndra.

– Wcale nie poszłam na komisariat. Aresztowali go podczas włamania. Nigdy nie powiedziałam gliniarzom, że mnie bił. Za bardzo się bałam.

– Za bardzo się bałam... – powtarzam jej słowa, starając się zapomnieć o tym, jak sama kuliłam się między ścianą a klozetem, zasłaniając głowę rękami. – Strach często działa paraliżująco na ofiary przemocy. Dlaczego tak

się dzieje? Przecież możemy poprosić o pomoc. Co nas przed tym powstrzymuje? – Mam wątpliwości, czy na pewno używam właściwego zaimka.

– A co, jeśli nie mamy wystarczających dowodów? Przecież faceci zawsze kłamią i twierdzą, że nawet nas nie dotknęli. Ich zdaniem same upadłyśmy i nabiłyśmy sobie siniaka z powodu naszego pijaństwa. Co się stanie, jak gliniarz uwierzy im, a nie nam? – pyta Lucy.

– Na dodatek zawsze powtarzają, że jeśli komuś o tym powiemy, to nas zabiją. Glenn powiedział, że zakopie gdzieś moje ciało i nikt nie dowie się o tym, że to jego sprawka.

– Kiedy moja partnerka mnie katowała albo zaraz po tym, jak skończyła, zawsze mówiła, że mnie kocha i jest jej bardzo przykro. Czasami wybuchła płaczem i twierdziła, że wcale nie chciała zrobić mi krzywdy. Było mi jej żal. Nie chciałam, żeby miała przeze mnie kłopoty – tłumaczy Anna, dotykając grubych blizn na swoich ramionach, a ja myślę o tym, jak Lucas podawał mi woreczki z lodem.

– No tak, jeśli ktoś jest zdolny do takich rzeczy, kiedy nas kocha, to co robi, jeśli nas znienawidzi? – Mam wrażenie, że moje słowa zawisają w powietrzu, jak gdyby zamknięte w komiksowym dymku. Chciałabym wessać je z powrotem, zanim ktokolwiek zrozumie, co powiedziałam.

– Pełna zgoda. A najlepszy sposób, żeby nas znienawidzili, to iść na policję. – Na szczęście Nancy odciąga ode mnie uwagę i unikam zdemaskowania.

– Jest jeszcze strach, że nie będziesz miała gdzie się podziać – dodaje Diana. – Dom należy przecież do niego. Tak samo jest z samochodem, pieniędzmi i na dobrą sprawę ze wszystkim. Możesz wezwać gliny i wtedy go zabiorą, ale zostajesz bez dachu nad głową.

– Więc czujesz, że musisz tolerować jego zachowanie, żeby nie wylądować na ulicy? – pytam.

– Tak. Na dodatek wszyscy znajomi to tak naprawdę jego znajomi – stwierdza Sue. – Chciałam zakończyć związek, ale wiedziałam, że zostanę sama jak palec. Strasznie długo byliśmy małżeństwem i czułam się całkowicie odizolowana. Nie miałam kontaktu z ludźmi, z którymi przyjaźniłam się przed naszym ślubem. Wszystkich obecnych znajomych poznałam przez męża. Gdybym puściła go kantem albo poszła na policję, zostałabym bez domu, bez samochodu, bez pieniędzy i bez żadnych przyjaciół. Co jest gorsze?

Sue uciekła od swojego prześladowcy dzięki pomocy innych maltretowanych kobiet, którym udało się zmienić własne życie. Zorganizowały dla niej schronienie i przewoziły z miejsca na miejsce w przebraniu, pod osłoną nocy. Zanim odeszła, miała na imię Rebecca i mąż katował ją do nieprzytomności. Miała złamane oba oczodoły, a pęknięte żebro przebiło jej płuca.

– To ciekawe, że użyłaś słowa „odizolowana”. Wielu dręczycieli stara się odizolować swoje ofiary od znajomych i rodziny. Czasami każą im rzucić pracę i wyprowadzić się z domu. Chodzi o przejęcie pełnej kontroli. – Przypominam sobie, jak Lucas zaproponował, żebym u niego zamieszkała. Jego celem było pozbawienie mnie niezależności. Miałam być zdana całkowicie na niego.

– W takich sytuacjach zawsze czułam się lekko zakłopotana – mówi Chloe. – Wydawało mi się, że powinnam sobie poradzić i zrobić coś, żeby mąż przestał się nade mną znęcać. Myślałam, że jeśli komuś o tym opowiem, ludzie zaczną mnie osądzać albo się nade mną rozczulać. Bałam się, że uznają mnie za słabą.

Chloe skończyła jeden z uniwersytetów zrzeszonych w Ivy League i zrobiła karierę w świecie finansów. Pracowała w dużym banku na Manhattanie, w środowisku, w którym kobiety stanowią zdecydowaną mniejszość. Przez prawie dwadzieścia lat mąż regularnie podawał jej narkotyki i ją gwałcił. Budziła się w nie swoim ubraniu i nie potrafiła sobie przypomnieć, jak znalazła się w pokoju hotelowym w dzielnicy, której nie była w stanie rozpoznać. Zorientowała się, co jest grane, dopiero gdy wsadziła do torebki urządzenie nagrywające.

Pacjentki kontynuują opowiadanie swoich traumatycznych historii, a ja rozmyślam nad własną przeszłością.

Kiedy mówią o ulubionych narzędziach swoich oprawców – paskach, pięściach, butelkach – przypominam sobie, że Lucas zawsze zaganiał mnie do łazienki.

Kiedy Sue opowiada, że jej mąż wiedział, jak bić, żeby nie zostawiać śladów, zastanawiam się, czy Lucas trenował na innych kobietach.

Mąż Nancy najpierw wpadał w gniew, a potem ją katował. Partner Lucy, Julius, dostawał szału, gdy był zazdrosny. Anna nigdy nie była w stanie niczego przewidzieć. A mój chłopak wariował po alkoholu. Ciekawa jestem, jak by się zachowywał, gdyby nie pił.

Potem pacjentki omawiają, w jaki sposób udało im się uciec, a ja

zachodzę w głowę, dlaczego jeszcze nie zostawiłam Lucasa.

– Od dzisiaj obowiązuje nasza umowa – oświadcza Richard, wchodząc do mojego gabinetu. Wygląda na nieco speszonego, ale jednocześnie bije od niego jakaś nowa energia.

– Tak to nazywasz? Moim zdaniem to zwykły szantaż.

– Długo będziesz pieprzyć takie głupoty? Przecież powiedziałem ci, że oboje na tym zyskujemy.

– Wcale nie pieprzę głupot. Lepiej zabierzmy się do roboty. Muszę skończyć twoją dokumentację. Zaczynaj.

Richard chce usiąść na krześle dla pacjentów, ale zawisa w dziwnej pozycji, zastanawiając się, jak zareagować.

– Nie wiem, co powiedzieć. Nie powinnaś zadać jakiegoś pytania? – Podejrzewam, że nie do końca przemyślał swoją strategię. Najwyraźniej chodziło mu tylko o to, żeby mnie usidlić.

– Nie masz pojęcia, od czego zacząć? – Na samą myśl, że miałabym go pytać o szczegóły dotyczące morderstwa, robi mi się niedobrze. Teraz oboje jesteśmy usidleni. – Może dokończysz historię sprzed kilku tygodni? Tę o swojej matce. – mówię i szybko odwracam wzrok.

Richard wreszcie siada i organizuje przestrzeń wokół siebie: kładzie stos gazet na biurku, przykrywa je czapką i wyciąga z kieszeni dwie małe tequile. Odkręca kapsle i podaje mi jedną buteleczkę. Kiedy się stukamy, mówi:

– Jaką historię? Co ci właściwie powiedziałem?

Wypijamy alkohol jednym haustem.

– Nie pamiętasz? Stwierdziłeś, że poszedłeś do więzienia, bo zamordowałeś własną matkę. – Jestem zdenerwowana, słyszę, jak się jąkam. Podaję Richardowi pustą buteleczkę, żeby schował ją z powrotem do kurtki. Odbiera ją i wciska mi w dłoń następną.

– Żeby to usłyszeć, będziesz potrzebowała więcej procentów. Ja zresztą też. – Jeszcze raz odprawiamy ten sam rytuał i dopiero wtedy Richard zaczyna opowiadać.

– To była naprawdę wyjątkowa osoba. Wychowywała mnie sama, a w domu nie było żadnego mężczyzny, który mógłby jej pomóc. Nie mam

rodzeństwa, więc na dobrą sprawę trzymaliśmy się tylko we dwójkę. Woodside to typowo irlandzka dzielnica i chociaż nie było tam szczególnie bezpiecznie, matka nigdy się o mnie nie bała, bo sami także jesteśmy z pochodzenia Irlandczykami. Ojciec zmarł, kiedy byłem jeszcze niemowlakiem, więc matka nie miała łatwego życia.

Wygląda przez okno. Siedzi z wyciągniętymi nogami i rękami założonymi na brzuchu. Panuje między nami dziwna atmosfera, nie mam pojęcia, jak powinnam się zachowywać. Tequila przytępiła moje zmysły, ale tylko trochę, i cały czas mam się na baczności, ponieważ naprawdę czuję strach. Nie jestem w stanie uwierzyć, że zgodziłam się na taki układ.

– Nigdy nie opowiadam tej historii – oświadcza, patrząc mi prosto w oczy.

– A ja nie piję z pacjentami. To był zresztą twój pomysł. Powiedziałaś, że chcesz ze mną rozmawiać jak równy z równym.

– W porządku, niech ci będzie... Po prostu nie wiem, jak się do tego zabrać.

– Chciałabym usłyszeć wszystko, co chcesz mi powiedzieć. – Standardowa odpowiedź.

– Pff! Wszystko... Ach te kobiety... – Bierze głęboki oddech i zaczyna od początku. – Trudno mi wyjaśnić, jak to tak naprawdę wyglądało. Moja matka miała na imię Frances. Razem z dwoma innymi rodzinami mieszkaliśmy w domu na Sześćdziesiątej Czwartej, niedaleko Trimble. Znasz tę dzielnicę?

Kiwam głową, chociaż wiem tylko, że Woodside to część Queens, i nic więcej.

– To nie było przyjemne miejsce, ale jakoś dawaliśmy sobie radę. Obok stał wiadukt kolejowy i przez całą dobę słychać było przejeżdżające pociągi. Trzęsły się ściany, a z półek spadały różne przedmioty. Musiałem często zamiatać podłogę, bo ciągle coś się rozbijało. – Pociera kciuki i patrzy na mężczyzn uwijających się na rusztowaniu po drugiej stronie ulicy. Przez chwilę wierci się na krześle, po czym kontynuuje:

– Ojciec zmarł, gdy byłem bardzo mały, i w ogóle go nie pamiętam. Frances trochę mi o nim opowiadała, ale nie wiem, co z tego było prawdą. W okolicy nie mieliśmy żadnej rodziny. Jej brat i siostry wyprowadzili się z Queens, kiedy zrobiło się niebezpiecznie. Twierdziła, że mieszkają w Ohio, bo tam panują lepsze warunki do wychowywania dzieci. Ona

została ze względu na ojca, który miał w Nowym Jorku dobrą pracę. Po jego śmierci mogła wyjechać, ale rodzina nie chciała mieć z nami nic wspólnego, bo byłem „bękartem”. To mogło popsuć im reputację, więc skończyliśmy na Woodside.

– Kiedy umarł? – pytam, popijając kawę.

– W sześćdziesiątym drugim. Może w sześćdziesiątym trzecim. Nie znam dokładnej daty.

– Dowiedziałeś się, co się stało? – Instynktownie sięgam po długopis i biorę do ręki zeszyt, żeby zapisać jego słowa. Jednak zanim cokolwiek zanotuję, przypominam sobie o naszej umowie: nie wolno mi traktować go jak pacjenta. Wrzucam więc długopis z powrotem do stojącego na biurku kubka.

– No cóż, zginął w pracy, ale nie znam szczegółów. Rodzice nie mieli ślubu i zdaniem Frances firma nie chciała udzielić nam żadnego wsparcia finansowego ani jakiegokolwiek innego. Matka zawsze miała o to pretensje. Nie potrafiła odpuścić. Ciągle powtarzała, że urodziła syna, bo tak chciał mój ojciec, a teraz nikt jej nie pomaga. Nienawidziła tej firmy.

– Czym konkretnie się zajmował?

– Pracował na budowie. Chyba był dekarzem. W latach pięćdziesiątych Irlandczycy bez wykształcenia nie mieli szczególnych perspektyw. Mogli zatrudnić się w pubie albo harować jako robotnicy budowlani. Mój ojciec wybrał to drugie. Podejrzewam, że spadł z dachu, ale nigdy nie udało mi się tego potwierdzić. Po jego śmierci zostałem sam z Frances.

– To musiało być dla was obojga bardzo trudne.

– Naprawdę masz zamiar to wszystko zapisywać? Nie chcę, żeby moja opowieść została w jakikolwiek sposób utrwalona.

Na biurku ciągle leży zeszyt, ale jak do tej pory niczego nie zanotowałam.

– Pamiętasz, co ustaliliśmy? Nie traktuję cię jak pacjenta, a ty nie uważasz mnie za terapeutę. Rozmawiamy ze sobą jak równy z równym. Jesteśmy po prostu ludźmi, prawda?

– Nie będziesz mnie zatem pytać, jak się czuję? – mówi, kiwając palcem.

– Spróbuję się powstrzymać.

Posyła mi pełne niedowierzania spojrzenie, po czym zakłada ręce za głowę. Mam wrażenie, że Richard zajmuje teraz całą przestrzeń w moim niewielkim gabinecie.

– Była nauczycielką i pracowała w prywatnej szkole, do której sam chodziłem aż do strajku w sześćdziesiątym ósmym. Matka brała udział we wszystkich demonstracjach i wymachiwała transparentami. Kipiała wściekłością, ale nie walczyła o jakąś konkretną sprawę. Ona po prostu lubiła wyrażać sprzeciw. Po zakończeniu protestów nie chciała wracać do Świętej Teresy, bo czuła się kompletnie zlekceważona. Powtarzała, że nie ma ochoty znowu patrzeć na te same twarze. Ja również nie mogłem tam dłużej chodzić i po wakacjach przenieśliśmy się do szkoły publicznej. Był z tym pewien problem, ponieważ urodziłem się w lecie, więc nie wiedzieli, czy powinienem być najmłodszym dzieckiem w czwartej klasie, czy najstarszym w trzeciej. Potrafiłem już całkiem niezłe czytać i nie sprawiałem kłopotów wychowawczych. Po strajku panował ogólny chaos, placówki oświatowe były przepełnione, więc w końcu uznali, że mogę przeskoczyć trzecią klasę. Frances opowiadała potem sąsiadom, że jestem najbystrzejszym dzieciakiem w okolicy. Nowa szkoła była całkiem blisko domu i niezłe sobie radziłem, ale po trzech latach znowu musiałem się przenieść, bo w mojej podstawówce było tylko sześć klas. Matka wywierała na mnie presję, żebym dostawał dobre oceny, ponieważ chciała pokazać wszystkim, jaki jestem zdolny. Właśnie wtedy coś się zaczęło psuć. Nie miała normalnej pracy, tylko dorywczo sprzątała domy. Była sfrustrowana, że musi zarabiać na życie w taki sposób. Po lekcjach kazała mi robić porządki w naszym mieszkaniu. Siadała w kuchni na żółtym krześle z plastiku, miała włosy przewiązane chustką, i paliła papierosy. Strzepywała popiół na podłogę i oczekiwała, że będę zamiatał. Kiedy przejeżdżał pociąg, prawie zawsze coś spadało z półek. Specjalnie stawiała na nich jakieś ozdóbki, wazoniki i inne delikatne przedmioty, wiedząc, że roztrzaskają się o posadzkę. Pamiętam, jak pewnego razu trzymała na stołku butelkę wermutu. Piła przez cały dzień i w domu została tylko ta flaszka. Wtedy po raz pierwszy mnie uderzyła. Miałem dziewięć lat.

– Pamiętasz, co się stało?

– Oczywiście, i to ze szczegółami. Niezależnie, jak bardzo chciałbym wymazać to z pamięci, nie jestem w stanie. Ciągłe czuję ten zapach i mam przed oczami kuchenne kafelki z okruchami brudu przyklejonymi do fugi. Pamiętam, że zastanawiałem się, czy terakota może pęknąć. Matka miała w jednym bucie rozwiązane sznurowadło. Bałem się, że jeśli to zauważy, znowu mi się oberwie. Próbowałem je zawiązać, jednocześnie sprzątając popiół. Kiedy butelka spadła na podłogę, wydarła się na mnie i kazała mi ją podnieść. Stałem wtedy w progu, trzymając w ręku miotłę. Podszedłem

i schyliłem się, a wtedy matka kopnęła mnie w żebra. Powiedziała, że strasznie się guzdrzę i przez to rozlewam cenny trunek. Powinienem szybciej się ruszać. Kiedy podałem jej wermut, wyrwała mi butelkę, po czym zaczęła walić mnie otwartą dłonią w twarz, powtarzając, że marnuję jej lekarstwo. Nie pamiętam, czy biła mocno, ale od kolejnych ciosów dzwoniło mi w uszach. Była pijana, więc starałem się nie pyskować, bo wiedziałem, że mogę tylko pogorszyć sytuację. W końcu mnie odepchnęła i oznajmiła, że mam zacząć sprzątać od początku.

Kiedy słyszę opowieść Richarda, w moich uszach narasta charakterystyczne dzwonienie, które kojarzy mi się jednoznacznie z przemocą. Doskonale znam ten dźwięk i jestem w stanie wyobrazić sobie, co wtedy czuł. Ze strachu mrużę oczy.

– Nie mieliśmy gumowych rękawiczek. Od szorowania i używania żrących wybielaczy skóra na moich dłoniach była poobcierana do żywego mięsa. Matka wreszcie zasnęła, ale po paru godzinach znowu się obudziła i kazała mi zabierać się do sprzątnięcia. Harowałem przez całą noc i rano poszedłem do szkoły. Byłem wymazany detergentami i miałem porwane na kolanach spodnie. – Richard spogląda na uwijających się za oknem robotników. Jego głos jest coraz cichszy. W pewnym momencie pochyla się do przodu i patrzy na stojący na biurku zegar. – Strasznie się rozgadałem i chyba nie będzie czasu, żebyś ty też coś powiedziała.

– W porządku. Ta sesja może być twoja – stwierdzam, mając świadomość, że jego historia mówi również bardzo dużo o moim życiu.

– Nie tak wyglądała nasza umowa. – Nagle zmienia pozycję i siada wyprostowany jak struna, ze skrzyżowanymi rękami i stopami podwiniętymi pod krzesło. – A co ty mi opowiesz?

Wzruszam ramionami.

– Co chciałbyś wiedzieć? – pytam.

– Dlaczego schowałeś w szufladzie tyle alkoholu?

– No cóż – zaczynam, starając się mówić lekkim tonem – kiedyś nie mogłam się bez tego obejść. Moje życie legło w gruzach i potrzebowałam czegoś mocniejszego, żeby jakoś wziąć się w garść. Zresztą sam dobrze mnie zdiagnozowałeś. Jestem alkoholiczką.

– To wszystko?

– Nie, to nie wszystko, ale dzisiejsza sesja dobiega końca. Jeśli masz zamiar łamać wszelkie reguły, to potrzebuję czasu, żeby się do tego

przyzwyczaić.

– Powiesz mi, co się naprawdę stało? – Richard wygląda na szczerze zainteresowanego moim losem.

– Może następnym razem. – Przekładam papiery, udając, że porządkuję biurko. – Ja również nie lubię o sobie opowiadać – oznajmiam, machając w jego stronę zeszytem. – To naprawdę niecodzienna sytuacja, żeby pacjent szantażował mnie znalezionym w mojej szufladzie alkoholem, a potem mnie nim częstował, oczekując, że podzielę się historią swojego życia. Musisz zrozumieć, że w tej sytuacji nie czuję się zbyt komfortowo. – Na moich ustach pojawia się drwiący uśmiezek.

– Przecież wcale nie zmuszam cię do picia. Przynosząc te butelki, wyczerpuję zapasy, które są moją kartą przetargową. Po prostu pomyślałem, że odrobina alkoholu pomoże ci się przede mną otworzyć.

Wrzucam zeszyt do szuflady, a Richard podnosi z biurka swoje gazety i zakłada czapkę. Kiedy wychodzi na korytarz, orientuję się, że nie powiedział mi ani słowa o tym, jak zamordował własną matkę.

Richard rozsiadł się na krześle w moim gabinecie. Na rogu biurka leży przykryty czapką stos gazet, a na blacie stoją cztery buteleczki wódki Grey Goose.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym Frances zaczęła pracować na stadionie Shea. W poprzednim sezonie Metsi wygrali World Series i zyskali ogromną popularność, więc matka doszła do wniosku, że to świetna okazja do zarobienia pieniędzy. Okazało się jednak, że kobiety mogą zatrudnić się na stadionie tylko jako kelnerki albo babce klozetowe. Wybrała to pierwsze. Zajmowała się sprzedażą piwa. Roznosiła butelki, hot dogi i inne przekąski siedzącym na trybunach kibicom. Czasami dostawała od nich spore napiwki, szczególnie jeśli byli wstawieni, ale równie często nie dawali jej złamanego grosza.

– Byłeś z nią kiedyś na meczu? – pytam.

– Nie, nigdy nie byłem na stadionie Shea i pewnie już nie będę. Kibicujesz Metsom, Sam?

– Nie, jestem fanką Jankesów. – Wyciągam stojącą za komputerem chorągiewkę i macham w kierunku Richarda.

– Frances też nie lubiła Metsów. Chodziła tam tylko dla pieniędzy. Nie interesowała się baseballlem.

– Ile miałeś lat, kiedy zaczęła tę pracę?

– To było w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, więc miałem osiem, może dziewięć lat. Chodziłem już wtedy do państwowej podstawówki i pamiętam, że wszystkie dzieci uwielbiały Metsów. Były strasznie podekscytowane tym, że moja mama pracuje na stadionie. Ciągłe prosiły o jakieś gówniane pamiątki, bo myślały, że mam darmowy wstęp. Nie zaprzeczałem. Nie chciałem, żeby ktokolwiek zorientował się, że tak naprawdę nie byłem na meczu.

– Nigdy nie widziałeś baseballu na żywo?

– W dzieciństwie jakoś się nie złożyło, a potem siedziałem w więzieniu i też nie było okazji.

– No tak, rozumiem, ale naprawdę powinieneś się wybrać. Super sprawa! Wolność, zdrowie, siła! Po prostu Ameryka! Musisz iść! – mówię z entuzjazmem w głosie, obracając chorągiewkę między palcami.

– Siedzę zamknięty w psychiatryku, a ty opowiadasz mi o zdrowiu i wolności?

– Masz rację. Jednak ja podczas meczu czuję, że naprawdę żyję. – Przed oczami staje mi stadion Jankesów i przypominam sobie ten charakterystyczny zapach. Wydaje mi się, że słyszę konferansjerkę Boba Shepparda i okrzyki tłumu. W pewnym momencie zapala się tablica z wynikami...

Z zadumy wyrywa mnie głos Richarda:

– Kiedy stąd wyjdę, wybiorę się na mecz.

– Na pewno nie pożałujesz. Przepraszam za tę dygresję. Proszę, kontynuuj. – Znowu jestem u siebie w gabinecie, a odgłosy stadionu gdzieś znikają.

Richard otwiera usta, żeby dalej snuć swoją opowieść, ale dokładnie w tej samej chwili w oparciu mojego krzesła uderzają otwierane przez kogoś drzwi wejściowe. Kiedy słyszę skrzypienie zawiasów, błyskawicznie się odwracam i zrywam na równe nogi.

– Shawn! – Nie jestem w stanie uwierzyć, że nie zamknęłam drzwi na klucz!

– Cześć! Nie powinniśmy już zaczynać?

– Ale mnie przestraszyłeś! – Popycham go do tyłu i potykając się o krzesło, wyprowadzam na korytarz. Zdaję sobie sprawę, że na moim biurku stoją cztery buteleczki wódki Grey Goose. Zatrzaskuję za sobą drzwi.

– Mam teraz zajęcia z innym pacjentem. Wiesz, że nie wolno ci tak bezceremonialnie łądować się do mojego pokoju? Powinieneś zapukać i czekać, aż zaproszę cię do środka. – Jestem wyraźnie przestraszona, ponieważ wiem, że zostałam przyłapana na gorącym uczynku.

– Przepraszam. Wydawało mi się, że już czas na naszą sesję.

Czy widział buteleczki? Co zrobi, jeśli je zauważył?

– Przyszedłeś za wcześnie. Zaczynamy dopiero o czternastej, a nie wybiło jeszcze południe. Idź do pokoju i sprawdź harmonogram, dobrze? Ja muszę wracać do swojego pacjenta. – Oblewa mnie pot i z trudem łapię oddech. Kiedy wchodzę z powrotem do gabinetu, od razu zatrzaskuję drzwi, przekręcam klucz i dla pewności sprawdzam zamek. Teraz nikt nieproszony się tu nie dostanie. Jesteśmy bezpieczni. Siadam na krześle i widzę, że Richard zdążył już skitrac buteleczki.

– Schowałeś alkohol? – pytam. – Jezu Chryste!

Odchyła połą kurtki jak uliczny handlarz skradzionym towarem i pokazuje mi wystające z wewnętrznej kieszeni szklane szyjki.

– Dzięki Bogu! – Odchyłam głowę na oparcie krzesła. Mój los wisi na włosku i jeśli Shawn zobaczyłby u mnie wódkę, a potem komuś o tym opowiedział... Czuję, jak w żyłach buzuje mi adrenalina, a ze strachu aż zaciska mi się żołądek.

– W którym momencie skończyłem? – pyta Richard, wykładając buteleczki z powrotem na blat. Mam wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy, jak blisko byliśmy zdemaskowania. Albo w ogóle go to nie obchodzi.

– Stadion Shea, rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty. – Ciągle nie jestem w stanie zapanować nad oddechem.

– No tak. Frances zaczęła tam pracę, po tym jak Metsi wygrali World Series. Chociaż nie musiała już sprzątać cudzych domów i miała stały dochód, nadal była nieszczęśliwa. Siadała na żółtym krzeselku, przez całą noc piła i zmuszała mnie do bezustannego robienia porządków. To musiał być dla niej wyjątkowo trudny okres. Kiedy czyściłem kuchnię, wybuchała płaczem i narzekała, że nikt nie docenia jej wysiłków. Powtarzała, że poświęca się dla innych, ale nie dostaje nic w zamian. Nigdy nie była w stanie się wyspać. Na dodatek cierpiała na nawracające migreny, a kiedy bolała ją głowa, kazała mi zaciągać zasłony i wyłączać wszystkie światła. Przynosiłem jej lód, a ona nie pozwalała mi się odzywać, kładła się na kanapie i jęczała. Gdy przejeżdżał pociąg, robiła taką minę, jakby za chwilę miała umrzeć. Pamiętam, że bardzo chciałem jej pomóc, ale byłem sparaliżowany strachem.

– Wiem, o czym mówisz. Też miałam takie migreny. Bałeś się, że matka wpadnie w złość?

– Nigdy nie wiedziałem, jak zareaguje, ale nawet kiedy skręcała się z bólu, potrafiła nieźle wrzasnąć i zdzielić mnie po głowie, a po chwili powtarzała, że na całym świecie tylko ja się dla niej liczę. Nie miałem pojęcia, co jest grane. Byłem zbyt mały, żeby to zrozumieć, więc zwykle się bałem. Za każdym razem, gdy była dla mnie miła, wpadałem w entuzjazm i miałem nadzieję, że już zawsze tak będzie. Jednego dnia mnie kochała i nie mogła beze mnie żyć, a następnego pałała do mnie nienawiścią i mówiła, że zrujnowałem jej życie.

– Byłeś wtedy jeszcze dzieckiem. Nic dziwnego, że nie potrafiłeś tego ogarnąć. – Naprawdę jest mi go żal. Mam przed oczami małego chłopca

w podartych spodniach i brudnym podkoszulku. Nad jego głową dudni przejeżdżający pociąg, a on kurczowo ściska w rękę mop i gapi się na cierpiącą matkę. Mam ochotę wskoczyć do tej historii i go przytulić.

– Tak, czułem się zbity z tropu. Szczególnie zapamiętałem jeden dzień, to była sobota albo niedziela, bo wieczorem mieli grać Metsi. W nocy Frances znowu nie zmrużyła oka i kazała mi sprzątać. Kiedy dużo piła i płakała, nie pokazywała się w miejscach publicznych. Nie wpuszczała też nikogo do domu, chyba że wcześniej doprowadziła się do porządku. Tak było i tym razem. Nałożyła gruby makijaż i czysty uniform. Wyglądała naprawdę bardzo ładnie. Tego dnia świeciło słońce, więc umówiłem się na dworze z kolegami, żeby razem spędzić czas na świeżym powietrzu. Frances wymagała, żebym był w domu przed jej powrotem z pracy. Twierdziła, że nie chce się o mnie martwić i prosić sąsiadów o zaopiekowanie się synem. Pamiętam, że tamtego popołudnia świetnie się bawiliśmy. Nie wiadomo było jednak, która jest godzina, więc zgadywaliśmy, oceniając pozycję słońca, chociaż żaden z nas nie potrafił tego robić. Jeden z dzieciaków nazywał się Jesse i ciągle powtarzał, że jest dopiero południe. Oznaczało to, że nie trzeba jeszcze iść do domu. Był od nas starszy, więc mu wierzyliśmy, jednak po paru godzinach doszliśmy do wniosku, że musi być już trochę później. Pożegnaliśmy się i każdy wrócił do siebie.

Kiedy słucham Richarda, przed oczami stają mi bawiący się na ulicy umorusani chłopcy. Przypomina to sceny z *Amatorów sportu*, *Prawa Bronxu* i *Przetrwać w Nowym Jorku*. Znowu wyobrażam sobie małego Richarda, jak w brudnej koszulce biega po zakurzonej podwórku i rzuca starymi kołpakami, udając, że gra z kolegami we frisbee.

– Kiedy wszedłem do mieszkania, Frances siedziała już na żółtym krzeselku. Przeprosiłem za spóźnienie. Paliła papierosa i pamiętam, że do kuchni wpadało słońce. Wydmuchiwała dym przez usta, wyglądała jak smok. Powiedziała, że na stadionie wydarzyło się coś niezwykłego i wszystko mi pokaże, jeśli tylko trochę się ogarnę. Poszedłem do swojego pokoju, żeby założyć świeże ubranie i umyć twarz. Nie słyszałem, że za mną idzie. Kiedy ściągałem krótkie spodenki, zobaczyłem, że stoi w progu.

Richard mówi coraz ciszej i lekko się ode mnie odwraca. Nie patrzy już na mnie, tylko siedzi ze wzrokiem wbitym w mężczyzn pracujących na rusztowaniu po drugiej stronie ulicy. Znowu pociera nerwowo kciuki.

– Weszła do mojego pokoju z wielkim kijem baseballowym w rękę. Pokazała mi go i wyjaśniła, że na stadionie odbyło się dzisiaj święto. Kiedy wyciągnąłem dłoń, żeby go dotknąć, mocno się zamachnęła, ale nie tak, jak

robią to zawodowi gracze. Podniosła kij wysoko do góry i walnęła mnie w głowę, jakby chciała wbić gwóźdź. Staralem się jakoś zasłonić i zrobić unik, ale ona się na mnie wydarła. Powiedziała, że mam stać prosto i przyjąć wszystko na klatę jak prawdziwy mężczyzna. Potem zaczęła mnie walić z całej siły. Kiedy wreszcie przestała, upadłem na podłogę i się rozplakałem. Mój pokój zamienił się w istne pobojuwisko. Matka stwierdziła tylko: „Zobacz, do czego mnie doprowadziłeś”. Miałem połamane obie ręce.

Nie jestem w stanie się opanować. Kiedy to słyszę, wydaję z siebie stłumiony okrzyk i zasłaniam twarz dłońmi. Czuję, że zbiera mi się na płacz, więc mrugam oczami, żeby powstrzymać łzy. Richard nie powinien zauważyć, że aż tak bardzo się wzruszyłam. W dzieciństwie miał złamane ręce, właśnie dlatego zginają się pod dziwnym kątem. Po chwili milczenia patrzy na mnie i kontynuuje swoją opowieść.

– W końcu dotarło do niej, co zrobiła. Potrzebowałem pomocy. Poszła do swojej sypialni, żeby się przebrać i poprawić makijaż, a ja w tym czasie próbowałem się ubrać, chociaż strasznie bolały mnie ręce. Nie byłem w stanie założyć koszuli. Całe szczęście, że wciąż miałem na sobie spodenki i wsuwane buty. Kiedy wróciła, owinęła mnie szalikiem i zaprowadziła do doktora, który mieszkał na tej samej ulicy. W tamtych czasach w każdej dzielnicy rezydował lekarz zajmujący się dziećmi w nagłych wypadkach. Nie mam pojęcia, kto za to płacił i czy w ogóle ci ludzie dostawali jakieś wynagrodzenie. Nie zrobiono mi prześwietlenia ani nie wsadzono połamanych kończyn w gips, ponieważ matka nie zabrała mnie do szpitala. Osiedlowy lekarz wziął cienkie deszczułki i owinął je bawełnianym bandażem, a potem zgiął mi ręce w łokciach i unieruchomił na tym prowizorycznym temblaku. Kiedy wieczorem wracaliśmy do domu, matka powiedziała, żebym nikomu nie mówił, co się stało, ponieważ jeśli ludzie dowiedzą się, jakim jestem złym dzieckiem, zabiorą mnie do sierocińca.

– Richard, wcale nie byłeś złym dzieckiem. To nie twoja wina! – Wycieram oczy wierzchem dłoni i sięgam po chusteczkę. – Twoja matka nigdy nie powinna zrobić czegoś takiego. – Nie jestem w stanie dłużej ukrywać łez. Richard wszystko widzi i zalewa się rumieńcem. Wiem, jak to jest. Doskonale zdaję sobie sprawę, jak czuje się ktoś, kto pada ofiarą przemocy i jest całkowicie przekonany, że to jego wina i sam sprowadził sobie nieszczęście na głowę. Znam to aż za dobrze z własnego doświadczenia.

– To była chora kobieta. Nie byłeś w stanie jej powstrzymać!

– Wiem, że była chora. Nawet bardzo. – Richard znowu wygląda przez

okno i rozumiem, że dzisiaj nic więcej mi nie powie. Po chwili głośno wzdycha i splata dłonie na kolanach.

– Teraz twoja kolej, prawda? – pyta wyraźnie zmęczony bolesnymi wyznaniem. Stara się odepchnąć od siebie ich ciężar i przerzucić go na mnie.

– Chyba tak, ale ciężko mi się skupić po tym, co usłyszałam. Trudno uwierzyć, że dorastałeś w takich warunkach. – Czy rzeczywiście powinnam mu opowiedzieć o sobie i o Lucasie? Mam dać mu do zrozumienia, że doskonale wiem, jak się czuje?

– Nie zawsze tak to wyglądało. Czasami wszystko było dobrze. Matka nie biła mnie przecież non stop, ale zdążyłem się zorientować, że nie interesują cię historie, w których nikt nie cierpi. Mam rację? Kiedy w więzieniu pytali o moją przeszłość, zawsze chcieli usłyszeć najbardziej popieprzone szczegóły. Nikt nie był ciekawy tego, że na śniadanie jadłem płatki z mlekiem, a mamie bardzo zależało, żebym przynosił ze szkoły dobre stopnie. Nigdy nie musiałem martwić się o to, co mam zjeść ani w co się ubrać, chociaż w naszym domu ciągle brakowało pieniędzy. Podniecały ich tylko i wyłącznie ciemne strony mojego dzieciństwa.

– Czy komuś wcześniej o tym mówiłeś?

– Nieee... W zakładzie karnym starałem się trzymać z boku. Robiłem, co mi kazali, ale poza tym nie szukałem z nikim kontaktu, czytałem książki. Powiedzieli, że przy takiej liczbie lektur mógłbym spokojnie skończyć studia.

– Byłeś moim książkowym, prawda? – Nie jestem jeszcze gotowa, żeby mówić o sobie. Pochylam się więc do przodu, żeby zachęcić Richarda do dalszych zwierzeń.

– Tak, zawsze uwielbiałem czytać. Nie musiałem się wtedy do nikogo odzywać.

Śmieję się w duchu, wyobrażając sobie więzienną celę z popękana betonową podłogą i ścianami obwieszonymi zdjęciami Farah Fawcett, w której siedzi Richard zatopiony w lekturze zniszczonego egzemplarza *Wojny i pokoju* albo *Koranu*.

– Czy ręce dobrze się zrosły? – pytam, chociaż znam odpowiedź.

– W zasadzie tak, ale śmiesznie się zginają. Jednak mimo to jestem w stanie się nimi sprawnie posługiwać. Strasznie długo musiałem chodzić z temblakiem i trudno było w pełni cieszyć się latem. Na szczęście mogłem

czytać. Kiedy siedziałem w domu, matka była spokojniejsza, więc nie było aż tak źle. – Patrzy na zegar, a potem obrzuca mnie pytającym spojrzeniem. – Znowu nic mi nie powiedziałaś, ale następnym razem już się nie wywiniesz. – Wstaje z krzesła i delikatnie klepie mnie po ramieniu, po czym ciężkim krokiem wychodzi z gabinetu. Zostaję sam na sam ze swoimi myślami. Tak samo jak ja Richard wychowywał się bez ojca. Doświadczył przemocy, czuł się winny i odrzucony, nie potrafił poradzić sobie z narastającym chaosem. Moje życie wygląda podobnie. Richard musiał znaleźć jakiś sposób, żeby się uratować. Ja też będę musiała.

Zlizuję z ust resztkę wódki i ruszam w stronę sali, w której w południe zaczynają się prowadzone przeze mnie zajęcia dla osób uzależnionych. Moi podopieczni siedzą już zgarbieni na krzesłach ustawionych w półkole. Niektórzy mają na sobie kurtki, a inni piżamy. Nancy i Tashawndra usadowiły się bardzo blisko siebie i o czymś plotkują. Od czasu do czasu spoglądają na pozostałych pacjentów i śmieją się, zasłaniając usta.

Wchodzę do środka, udając, że nie wypięłam właśnie dwóch buteleczek mocnego alkoholu, i siadam na biurku. Na wiszącej za moimi plecami tablicy widać jakieś bazgroły z poprzednich zajęć. Wydaje mi się, że jestem w stanie odczytać słowa „hipokryta”, „kłamca” i „oszust”.

Nie mam lepszego pomysłu na dzisiejszą sesję niż rozdać każdemu kilka kartek papieru i puścić w obieg pudełko po butach wypełnione kredkami świecowymi. Zadanie: narysować własne uczucia.

Pacjenci wybierają odpowiednie kolory, a ja zaczynam przeglądać stare zdjęcia na swoim telefonie. Zazwyczaj kiedy z kimś zrywam albo przestaję z nim sypiać, usuwam jego fotografie. Jednak z jakiegoś powodu w wypadku AJ-a nie chcę tego robić. Patrzę na zdjęcia, które zrobiliśmy w barze u Nicka z resztą naszej paczki. Na przykład na to, na którym trzyma mnie za pierś, ale nikt tego nie zauważa. Na moich ustach błąka się kpiący uśmiezek i staram się nie wybuchnąć głośnym rechotem.

W głowie pojawia mi się sugestywny obraz: nagi, roześmiany AJ leży na swoim łóżku z koktajlem w ręku. Ma zarośniętą klatkę piersiową. Gapię się na zdjęcie, na którym robi dokładnie taką samą minę jak w moich wspomnieniach. Nie wiem, dlaczego zdecydowałam się go zostawić, zniszczyć łączącą nas więź i pozwolić, żeby to, co się wydarzyło, zatarło się w mojej pamięci. Patrzę na jego przymrużone oczy i przypominam sobie, z jakiego powodu zdecydowałam się skoczyć za nim w przepaść. Pamiętam obezwładniające poczucie wolności, które mnie ogarnęło, gdy pierwszy raz mnie pocałował.

Pogrążam się we wspomnieniach, roztrząsam podjęte decyzje i zastanawiam się, dlaczego właściwie skończyłam relację z AJ-em. Czuję się zagubiona i szukam jakiejś szalupy ratunkowej. Nagle za moimi plecami pojawia się Lucy.

– Kto to jest? Twój mąż?

– Lucy! Ale mnie wystraszyłaś. – Szybko blokuję telefon i kładę na biurku wyświetlaczem do dołu. – Co się stało?

– Niezłe ciacho. Wiedziałam, że masz przystojnego faceta.

– Ha, ha, ha! Dziękuję, ale to nie jest mój mąż, tylko koleś, którego kiedyś znałam. – Od razu zapominam o AJ-u, a pomyśl, żeby wskoczyć z powrotem do jego szalupy, spada na podłogę i wtacza się pod stół, gdzie na pewno go nie dosięgnę.

Lucy pokazuje mi swój obrazek i pyta, czy może już iść. Zamalowała całą kartkę na różowo. Tematem miały być uczucia, więc dochodzę do wniosku, że najwyraźniej jej uczucia są różowe. Tak mocno naciskała kredkę, że do papieru przykleiły się skrawki parafiny. To niesamowite, jak szybko wymazałam AJ-a z pamięci. W moim życiu nie ma dla niego miejsca.

Podnoszę telefon, żeby usunąć zdjęcia, i widzę, że dostałam SMS od Lucasa:

„Sama sobie nie poradzisz. Potrzebujesz mnie. Inaczej się zabijesz. I chyba dobrze zrobisz”.

To czwarta wiadomość, którą mi wysłał od Nowego Roku. Uznaję, że nie ma sensu odpowiadać i wyłączam telefon.

– Sam, czy terapeuci też mają problemy z narkotykami? – pyta Nancy, najwyraźniej podpuszczona przez Tashawndrę.

– Nie wiem. A jakie to ma znaczenie?

– Hm, wydaje mi się, że gdyby tak było, moglibyście nas lepiej zrozumieć. Jeżeli zawsze jesteście czysti i nawet nie chodzicie na imprezy, to w jaki sposób chcecie nam pomóc?

– Bardzo interesujące pytanie, Nancy. Może porozmawiamy o tym z resztą grupy. Jakie jest wasze zdanie? Czy uważacie, że osoba lecząca uzależnionych powinna również mieć jakieś doświadczenia z narkotykami? – Czuję, jak odbija mi się ciepłą wódką.

– Myślę, że lepiej wiedzieć, jak to jest być na haju – mówi Stephen, który chce przypodobać się dziewczynom i wspiera ich punkt widzenia.

– A czy onkolog będzie lepiej leczył, jeżeli sam jest chory na nowotwór? – pytam, zastanawiając się, dlaczego odgrywam rolę adwokata diabła.

– No cóż, wydaje mi się, że będzie w stanie lepiej zaopiekować się pacjentem. Nie chodzi o samo leczenie, lecz o okazywanie współczucia i sam stosunek do chorego. Niewykluczone, że dzięki temu kuracja jest

skuteczniejsza – kontynuuje Stephen. Teraz nie zwraca już uwagi na koleżanki, ale jest wyraźnie zaintrygowany tematem.

– W porządku, zgoda – mówię. – Też uważam, że osobiste doświadczenie pozwala nam lepiej zrozumieć różne sprawy, niezależnie, czy jest to rak czy uzależnienie od narkotyków.

– Tak – przytakuje Stephen. – Jednak niekiedy ludzie mogą nabrać przekonania, że ich sposób na wyjście z nałogu jest najlepszy albo nawet jedyny możliwy. Czasami chyba lepiej być tylko nauczycielem albo tylko lekarzem. Nie musisz wcale wszystkiego doświadczyć na własnej skórze, prawda?

– Bardzo celna uwaga, Stephen. – Unoszę w górę kciuk, żeby pokazać, jak bardzo się z nim zgadzam. – Czy macie jakieś doświadczenia z ludźmi, którzy również wychodzili z nałogu i albo wam pomogli, albo zaszkadzili? Tashawndra? Nancy? Zaczęłyście tę dyskusję, więc ciekawa jestem waszego zdania. – Naprawdę się zaangażowałam i zastanawiam się, co zrobić, żeby ta rozmowa jakoś przydała się moim pacjentom.

– Chciałyśmy tylko wiedzieć, czy terapeuci też czasem imprezują. Nic więcej.

Moi podopieczni wybuchają chichotem, ponieważ zdają sobie sprawę, że dziewczyny usiłowały jedynie wyciągnąć pikantne szczegóły dotyczące mojego życia. Jestem jednak zaniepokojona, ponieważ niewykluczone, że czegoś się domyślają. Może to dobrze, że za dużo piję, wybieram niewłaściwych mężczyzn, mam nieodpowiednich przyjaciół, a rano budzę się z podbitymi oczami i strupami na głowie. Może dzięki temu lepiej rozumiem pacjentów i jestem bardziej pomocna niż inni terapeuci.

Włączam telefon i jeszcze raz czytam wiadomość od mojego byłego chłopaka, po czym ją kasuję, a potem usuwam wszystkie zdjęcia, na których są Lucas albo AJ.

Jesteśmy w restauracji i jemy kolację. Oboje wiedzieliśmy, że wcześniej czy później tak to się skończy. Z jakiegoś powodu doszliśmy do wniosku, że im bardziej elegancki lokal, tym lepiej. To chyba dlatego, że wciąż mamy poczucie przyzwoitości i nie bylibyśmy w stanie rzucić się na siebie z pięściami w tak wytwornym towarzystwie.

Lucas jest wystarczająco rozgarnięty, żeby zdawać sobie sprawę, po co tu przyszliśmy, ale na razie zachowuje się tak, jakby nie miał o tym bladego pojęcia. Zamiast wypełniać ciszę uszczypliwymi komentarzami lub banalnymi uwagami na temat polityki co chwilę mnie komplementuje i chwali. Doskonale zdają sobie sprawę, że zupełnie na to nie zasłużyłam, ale z jego strony jest to desperacka próba zatrzymania pędzącego pociągu. Całe szczęście, że zdążyłam się już uodpornić na jego zaloty. Chociaż robi wszystko, żebym zmieniła decyzję, nie mam najmniejszego zamiaru do niego wracać.

Czuję się oderwana od rzeczywistości i mam wrażenie, że oglądam film, w którym jedna z postaci, Sam James, zrywa ze swoim chłopakiem Lucasem. Najpierw następuje panoramiczne ujęcie całej restauracji, a potem kamera skupia się na stolikach, przy których siedzą zamożniejsze, lepiej dobrane i szczęśliwsze pary. Widzę talerze z delikatnej porcelany, na których starannie ułożone małe stosiki warzyw spoczywają na mikroskopijnych porcjach tataru z tuńczyka podanego w towarzystwie płam zielonego sosu. Obok gości przechodzi dobrze zbudowany młody kelner, trzymając naczynia z potrawami na wyprostowanym ramieniu. Kamera zatrzymuje się na twarzach Sam i Lucasa.

Lucas siedzi odchylony na krześle. Lewą nogę założył na prawą i delikatnie trzyma w palcach kieliszek z winem. Patrzy prosto na mnie, ale mnie nie widzi. Czekamy na kolejne danie, ale kelner podejdzie do nas nie wcześniej niż za kilka minut. Chyba nadszedł czas, żeby wygłosić parę komunałów.

– Nie jestem już w stanie dłużej tego ciągnąć. – Czuję drgające w moim gardle struny głosowe, ale mam wrażenie, że ktoś inny wypowiada te słowa.

Wydaje mi się, że patrzę na płonący budynek. Ogień powoli obejmuje kolejne pokoje, a potem wszystko staje w płomieniach. Czuję, jakbym była pod wodą, i kręci mi się w głowie. Lucas przyznaje, że spał z Clare, kelnerką

z baru u Nicka, i błaga o przebaczenie. Uderza mnie fala gorąca. Mam wrażenie, że za chwilę to ja zacznę się palić.

W pewnym momencie Lucas wybucha płaczem. Jest mi za niego wstyd i chciałabym się schować przed spojrzeniami innych gości. Zupełnie się rozkleił. Plecie jakieś głupoty o tym, że nie zawsze był dla mnie dobrym chłopakiem. To zupełnie absurdalne, ponieważ zwykle traktował mnie jak śmiecia, chociaż do tej pory nie potrafił się do tego przyznać. Powtarza, że to nie jego wina i ma ze sobą ogromny problem. Potem wpada w złość i pyta, czy moim zadaniem nie jest przypadkiem udzielanie pomocy ludziom takim jak on.

Kołysze się w przód i w tył, zanosząc się łzami. Jest jak doktor Jekyll i pan Hyde. Nasza kelnerka przez grzeczność udaje, że nic nie widzi, i stawia przed nami talerze z daniem głównym.

Chyba nigdy nie byłam tak mało zainteresowana soczystym stekiem. Lucas dziobie widelcem w swoim makaronie i patrzy na mnie wzrokiem zbitego szczeniaka. Uważnie przyglądam się jego twarzy, zastanawiając się, czy gdzieś tam w środku kryją się jakieś ludzkie uczucia. A może ten facet tak bardzo się pogubił, że już nigdy nie będzie w stanie się odnaleźć? Dlaczego w ogóle się z nim spotykam? Widzę w nim jedynie czarną wszechogarniającą pustkę, która całkowicie go pochłonęła. Nic tam nie ma. Potrzebowałam jednak dużo czasu, żeby wreszcie przejrzeć na oczy.

– Nie chcę cię stracić. Wiem, że muszę nad sobą popracować. Nie mogę się dłużej zachowywać tak jak do tej pory. Obiecuję poprawę, tylko błagam, nie zostawiaj mnie. – Między każdym zdaniem robi krótką przerwę i wypija łyk wina.

Już mam mu odpowiedzieć, ale on nagle chrząka i widzę, że coś się w nim zmieniło. Marszczy brwi i obrzuca mnie dziwnym spojrzeniem. Zniknął gdzieś zapłakany chłopczyk i pojawił się bezwzględny biznesmen w garniturze, gotowy negocjować kontrakt wart miliard dolarów. Lucas odstawia kieliszek i wzywa gestem kelnerkę. Łzy nie zostały na jego policzkach żadnych śladów, a oczy nie są nawet zaczerwienione. Czyżby tylko mi się wydawało, że płakał? Na jego twarzy nie widać śladu żadnych emocji. Podchodzi do nas kelnerka i Lucas zamawia podwójną wódkę z martini.

– Sam, to nie brzmi jak rozsądna rozmowa. Staram się otworzyć przed tobą serce, a ty nie jesteś dla mnie szczególnie miła. W jaki sposób mam zareagować? Czego ode mnie oczekujesz?

– Co takiego? – Jestem zupełnie zaskoczona jego słowami.

– Zaproponowałem, żebyś się do mnie wprowadziła – kontynuuje – ale odmówiłaś. Usiłuję ci wytłumaczyć, na czym polega problem z twoim zachowaniem, lecz masz to gdzieś. Może gdybyś zechciała poświęcić mi trochę uwagi, nie musiałbym sypiać z innymi kobietami. Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad swoją rolą w tym wszystkim, co się stało?

– Próbujesz mi powiedzieć, że to z mojej winy pieprzysz inne laski? – Uśmiecham się, nie wierzę w to, co słyszę.

– Nie, Samantha, najwyraźniej źle mnie zrozumiałaś. Wspomniałem jedynie o „twojej roli”. Nie zwałam na ciebie całej winy, ponieważ doskonale zdaję sobie sprawę, że również mam trochę na sumieniu.

– Trochę? W odróżnieniu od ciebie nie wsadzałam kutasa, gdzie popadnie. Nie rzucałam też sama sobą o ścianę, nie waliłam głową w deskę sedesową i nie okładałam siebie pięściami. To twoje osiągnięcia.

– Już cię za to wszystko przeprosiłem. Wiesz, że łatwo wpadam w złość i gdybyś tylko nauczyła się trzymać język za zębami, nie miałbym powodów, żeby się na ciebie denerwować. – Wypija resztę drinka i zamawia kolejnego. Widzę, jak wykałaczką z oliwkami kołysze się na krawędzi jego szklanki.

Nagle zdaję sobie sprawę, że negocjuję z emocjonalnym terrorystą i nie mam żadnych szans na porozumienie. Szklą mi się oczy i całkowicie wyłączam się z rozmowy. Ruszam ustami, ale nie mam pojęcia, co mówię. Przetykam wino, ale nie czuję żadnego smaku. Widzę, jak moja ręka sięga do torebki po portfel, ale nie kojarzę, żebym prosiła o rachunek. Wstaję od stolika i słyszę zgrzyt odsuwanej krzesła, ale nie pamiętam, co przed chwilą powiedziałam. Podważam paznokciem breloczek i wymieniam się z Lucasem kluczami do naszych mieszkań. Kiedy ruszam przez salę w stronę wyjścia, kelnerzy porozumiewawczo się do mnie uśmiechają i mam dziwne wrażenie, jakbym unosiła się nad ziemią.

Jestem jak dom po przejściu huraganu. Muszę poczekać, aż przestanie wiać, ale kiedy będzie już po wszystkim, zrobię porządek w salonie, wyszlifuję i polakieruję parkiet, wymienię powybijane szyby w oknach i ruszę na obchód okolicy w poszukiwaniu dachu. Przynajmniej poszczególne elementy na podwórko i złożę wszystko z powrotem do kupy. Następnym razem, gdy zerwie się wichura i będzie walić w moje drzwi, prosząc: „Mała świnko, uchyl drzwi. Pozwól wejść do środka mi!”, odpowiem: „Nie otworzę drzwi przed tobą, boś jest bardzo złą osobą!”.

7 LUTEGO, 11.22

– Pierwszy raz zostałem aresztowany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym. Doszło wtedy do wielkiej awarii linii energetycznych. Słyszałaś o tym? – Richard podaje mi dwie buteleczki jacka daniel'sa, po czym zdejmuje czapkę. Użył szantażu, żeby wymusić na mnie równe traktowanie, co doprowadziło do serii nieformalnych spotkań, podczas których pijemy i opowiadamy sobie różne historie. W sumie jestem zadowolona, że się przede mną otworzył. Co więcej, jak do tej pory skupialiśmy się na nim i udało mi się uniknąć mówienia o sobie.

– Tak, nie było mnie jeszcze wtedy na świecie, ale wiem, co się stało. – Ostatnio prawie zostaliśmy przyłapani na gorącym uczynku, więc dziś postanowiłam przynieść z dystrybutora wody dwa plastikowe kubeczki. – Przydadzą się. Ostrożności nigdy dość. – Richard kiwa głową i podaje mi jeszcze dwie buteleczki whisky. Otwieram je i wlewam zawartość do kubków.

– Kiedy w całym mieście wysiadł prąd, miałem prawie szesnaście lat. Spędzałem dużo czasu z kumplami i przychodziły nam do głowy głupie pomysły. Tamtego dnia było strasznie gorąco i umieraliśmy z nudów. Jak tylko zapadł zmrok, dołączyliśmy do tłumu i zaczęliśmy okradać sklepy. – Zabiera z biurka puste szkło i chowa je do kieszeni.

– Naprawdę? Myślałam, że byłeś grzecznym dzieckiem – mówię, oblizując z ust resztę whisky.

– Wtedy już nastolatkiem. W tym wieku ma się siano w głowie.

– To prawda. – Odchyłam się do tyłu i splatam dłonie na karku. Pamiętam, jak sama kradłam alkohol i nie potrzebowałam do tego awarii sieci energetycznej. Wkładałam za duże portki i przewiązywałam je w talii starym skórzanym paskiem. Pod spodem nosiłam normalne spodnie i najzwyczajniej w świecie wsuwałam butelki do kieszeni. Pod gigantycznymi džinsami niczego nie było widać. Sprzedawcy zwykle wyrzucali mnie za drzwi, twierdząc, że jestem za młoda, żeby sama robić zakupy. Dopiero później orientowali się, że byłam złodziejką.

– Na początku podpieprzyliśmy coś mocniejszego, a potem poszliśmy po papierosy i napoje gazowane. Myśleliśmy, że nikt nas nie złapie, bo wszyscy robili to samo. W wielu miejscach wybuchły pożary. Gliniarze nie mieli szans zapanować nad chaosem, ale nas akurat aresztowali. I to wszystkich:

mnie, Jessego i jeszcze parę innych dzieciaków. Zapakowali całą grupę do radiowozu i zawieźli na komisariat. Pamiętam, że byliśmy przerażeni i nawet się do siebie nie odzywaliśmy. Na miejscu był straszny tłok. Zatrzymani stali w długiej kolejce do zdjęć, a potem do stanowiska, przy którym pobierano odciski. Kiedy przyszła moja kolej, dłonie miałem już tak spoczone, że musiałem kilka razy maczać palce w tuszu. Jak reszta kolegów nie miałem prawa jazdy ani żadnego innego dokumentu tożsamości. Panował taki chaos, że policjanci kazali się przedstawić i uwierzyli nam na słowo. Nie podałem prawdziwych danych, bo za bardzo się bałem. Czytałem wtedy *Amerykanina* i powiedziałem, że nazywam się Henry James. Zrobili mi zdjęcie i wpisali mnie do kartoteki. Szkoda, że nie zachowałem odbitki.

– Nie chciało im się tego sprawdzić? Naprawdę wszystko uszło ci na sucho? – pytam, dopijając whisky.

– Nie, niczego nie sprawdzali. Pół miasta grabiło sklepy, na komisariacie kłębił się tłum podejrzanych. Moje kłamstwo nie miało większego znaczenia. Zamknęli mnie razem z Jessem w przepelnionej celi, w której było strasznie gorąco. Kiedy przyprowadzili jeszcze czarnych i żółtków, zapanował niezły sajgon.

– Czarnych i żółtków? Ej, nikt nie używa takich określeń.

– Wtedy wszyscy tak mówili. Rasizm był na porządku dziennym. I to jest chyba w całej tej historii najgorsze. Kiedy w areszcie nie było już wolnego miejsca, gliniarze zaczęli wypuszczać białych więźniów. Weszli do celi uzbrojeni w gumowe pałki, odepchnęli na bok Murzynów i Azjatów, złapali nas za fraki i kazali się wynosić. Za kratkami zostali tylko kolorowi, a ja i Jesse odzyskaliśmy wolność.

– Pozwolili wam wrócić do domu? Tak po prostu? Nie dostaliście nawet grzywny ani wezwania do sądu?

– Nie. Nic z tych rzeczy. Potraktowali nas tak, jak gdyby nic się nie stało. Wciąż panował chaos, a my zupełnie nieoczekiwanie znaleźliśmy się znowu na ulicy. Musieliśmy wracać do domu na piechotę, bo nie jeździło metro. Żar lał się z nieba. W tej duchocie ciężko było oddychać. Na początku biegliśmy ile sił w nogach, ale potem zwolniliśmy tempo, żeby przyjrzeć się temu, co się dzieje. Zobaczyliśmy powywracane samochody i płonące domy. Wszędzie były powybijane okna. Ludzie stali na chodnikach i bezradnie rozglądali się dookoła, zastanawiając się, co dalej robić. Strasznie śmierdziało i słychać było tylko trzask ognia.

– Oglądałam kiedyś program telewizyjny o tamtych zdarzeniach, ale

trudno sobie wyobrazić, jak to wyglądało w rzeczywistości. Byłam świadkiem awarii elektryczności w dwa tysiące trzecim, jednak to było zupełnie coś innego. – Wyciągam nogi, kładę je na biurku i odchylam się na krześle.

– Istne szaleństwo. Jesse odprowadził mnie do domu i obiecaliśmy sobie, że nigdy nikomu nie powiemy o tym, co się wydarzyło. Skończył już wtedy osiemnaście lat, więc mógł mieć poważne kłopoty. Na komisariacie powiedział, że nazywa się Jim Morrison.

– Czy ta sprawa jeszcze później wypłynęła? Ktoś się dowiedział, że zostaliście aresztowani?

– Jasne. W końcu pobrali moje odciski, więc kiedy później trafiłem do więzienia, mieli mnie już w systemie. Nie znali jednak mojego prawdziwego nazwiska. Wsadzili mnie do paki dwa lata po tym incydencie, ale ja nadal nie miałem dowodu tożsamości. Byłem sam, bez żadnej rodziny, i nikt nie mógł za mnie poręczyć. Gliniarze nie wiedzieli, co z tym zrobić. Po pierwszym aresztowaniu polubiłem imię Henry i czasami mówiłem ludziom, że tak się naprawdę nazywam.

– Wydawało ci się, że masz podwójną tożsamość, prawda? – Niekiedy ja również chciałabym mieć podwójną tożsamość. Nie musiałabym się wtedy chować za fasadą zawodowej reputacji.

– Tak, coś w tym stylu. Niewykluczone, że pragnąłem być kimś innym, bo kiedy patrzyłem na swoje życie, nie wyglądało ono zbyt różowo.

– Kiedy wróciłeś do prawdziwego imienia?

– Chyba dopiero w więzieniu, ale tam nikt nie mówił do mnie „Richard”. W zakładzie karnym panują inne zasady. Potem trafiłem do ośrodka adaptacyjnego i tam wszystko się zmieniło.

– A jak zwracała się do ciebie Frances?

– Najczęściej „Richie”. – Sięga do kieszeni po kolejne buteleczki. Tym razem na blacie ląduje tequila. Czuję jednak, że nie chcę już więcej pić.

– Chyba na dzisiaj wystarczy – mówię. – Dużo mi powiedziałaś i nie potrzebujemy kolejnej porcji alkoholu.

– Ale ty ciągle milczysz jak zakłeta. Na pewno nie masz ochoty? – Macha buteleczkami, trzymając je za szyjki.

– Nie, chciałabym zachować trzeźwą głowę. – Biorę głęboki oczyszczający oddech i łapię się mocno za poręcz krzesła. – Kilka tygodni temu zapytałeś mnie, dlaczego trzymam w gabinecie tyle alkoholu.

– Tak właśnie było. – Richard kładzie tequilę na kolanach, poza moim zasięgiem, ale jej nie chowa.

– Ostatnio sporo się nad tym zastanawiałam i chyba lepiej rozumiem, jakie są przyczyny tego, że tak dużo piję. I nie chodzi tylko o to, jak bardzo mam popierdolone życie. – Zaciskam powieki, ponieważ nie chcę widzieć jego reakcji.

– Wiem.

– Naprawdę? – Otwieram jedno oko. – Jak to wyjaśnisz?

– Ludzie nie piją dlatego, że mają popierdolone życie, tylko dlatego, że sami są popierdoleni.

– Skąd ten pomysł? – Teraz patrzę mu prosto w oczy i kładę ręce na kolanach.

– Widzę, że nie jesteś szczęśliwa. Coś cię dręczy i starasz się nad wszystkim zapanować, ale sprawy wymykają się spod kontroli.

– Jak możesz to, do cholery, wiedzieć?

– Wystarczy popatrzeć, Sam. Ludzi nie da się tak łatwo oszukać.

– Richard, ja od dawna skutecznie mydlę wszystkim oczy. – Czy on naprawdę nie widzi we mnie supermanki? Nie zdaje sobie sprawy, że skutecznie potrafię się schować za maską perfekcjonizmu i jak do tej pory nikt się nie zorientował?

– Może nie potrafią patrzeć.

– I to jest właśnie największy problem.

– Wracając do pytania: dlaczego tyle pijesz?

Jestem przerażona, że muszę się przed nim wypowiadać. Z trudem przychodzi mi wyznać całą prawdę przed tak byстрыm i przenikliwym facetem.

– Mam pewien problem... To znaczy jestem chora. – Serce podchodzi mi do gardła. Za chwilę po raz pierwszy wypowiem te słowa na głos. – To naprawdę straszne. Od dawna coś przeczuwałam i zawsze chciałam z tym walczyć, ale nigdy nie zostałam oficjalnie zdiagnozowana. Dopiero ostatnio sprawa wyszła na jaw. – Żołądek skręca mi się ze strachu, robi mi się sucho w gardle i mam wrażenie, jakby moje usta były wypełnione żyletkami. Chyba nie jestem w stanie tego z siebie wykrztusić.

– Masz osobowość typu borderline? – pyta Richard, jak gdyby czytając w moich myślach.

– Co takiego? – Z trudem przełykam gromadzącą się ślinę. – Czy ty w ogóle wiesz, o czym mówisz? Masz pojęcie, co to jest osobowość borderline? – Słowa wypadają z moich ust jak wymiociny.

– Tak. Frances była na to chora.

– O Boże! – Jego wyznanie wprawia mnie w całkowite osłupienie. On naprawdę wie, co jest grane. Czy wcześniej też zdawał sobie z tego sprawę? – Okay, wystarczy. Nie mogę o tym rozmawiać. – Kręci mi się w głowie i nie jestem w stanie zapanować nad emocjami. Gdzie jest to cholerne katharsis? Wydawało mi się, że jeśli otwarcie przyznam się do choroby, to od razu poczuję się lepiej!

– Tylko ze mną możesz o tym swobodnie pogadać.

Łapię się za głowę i wybucham płaczem. Łzy ściekają mi po policzkach i skapują na biurko. Muszę stąd uciec.

– Dobrze cię rozumiem i wiem, jak bardzo cierpisz. – Richard mówi do mnie cichym uspokajającym głosem. Nie potrafię mu jednak odpowiedzieć. Słowa grzęzną mi w gardle, nie rozumiem tego wybuchu emocji.

– To nie twoja wina. Nie jesteś złym człowiekiem, po prostu zachorowałaś.

– Błagam, przestań. – Z trudem powstrzymuję szloch i sięgam po leżącą na jego kolanach tequilę. Odkręcam zakrętkę i opróżniam zawartość jednym haustem. Richard uprzejmym gestem podaje mi drugą buteleczkę i odbiera pustą. Wypijam alkohol i kładę głowę na oparciu krzesła, przygniatając sobie włosy, ale nie zwracam uwagi na ból. Zaciskam powieki i pozwalam, żeby łzy spływały mi do uszu. Biorę kilka głębokich oddechów, żeby rozluźnić ucisk w gardle. Zasłaniam twarz mokrymi rękami, ale zdaję sobie sprawę, że Richard tak łatwo nie da za wygraną i nie wyjdzie z mojego gabinetu. Chciałabym, żeby stąd zniknął, ponieważ wie o mnie zbyt dużo. Co mnie podkuśiło? Powinnam trzymać gębę na kłódkę.

– To nie był dobry pomysł. Nie mogę z tobą rozmawiać o takich rzeczach. Mam ci udzielić pomocy, a nie sprawiać, żebyś się o mnie martwił. Nie interesuje mnie ta cholerna umowa. Złamaliśmy wszelkie zasady.

– Nigdzie nie idę.

– Nie masz wyboru. To koniec. Nie możemy kontynuować naszych spotkań. Richard, mówię serio, nie jestem w stanie dłużej tego ciągnąć. – Bardzo długo trzymałam wszystko w tajemnicy. Schowałam ten sekret

głęboko w swoim wnętrzu, tam, gdzie jego miejsce. Chroniła go moja skóra, moje mięśnie i moje żebra. Ale teraz wydostał się na zewnątrz jak jakiś toksyczny gaz i czuję, że zaraz zacznę mnie dusić.

Richard pochyla się do przodu, wcale nie ma zamiaru wychodzić z gabinetu. Przysuwa się coraz bliżej, patrzy na mnie i mam wrażenie, że jego błękitne oczy przeszywają mi duszę na wylot. Jest moim pacjentem i wie coś, o czym nie ma pojęcia nikt inny na świecie.

Muszę stąd wyjść.

Muszę stąd wyjść.

Muszę stąd wyjść.

Oddycham coraz szybciej, serce wali mi jak szalone i mam spoczone dłonie.

Muszę stąd wyjść.

9 LUTEGO, 19.21

Nagle zdaję sobie sprawę, że siedzę w pralni samoobsługowej i czekam, aż otworzą się drzwiczki maszyny, do której wrzuciłam swoje ubrania. Po zerwaniu z Lucasem będę musiała częściej tu przychodzić. Słyszę rytmiczny szum wirujących pralek i zaczynam się zastanawiać nad swoimi tajemnicami. Przed oczami stają mi trochę niewyraźne, wypłowiałe sceny z przeszłości, w których jestem razem z Lucasem, i mam wrażenie, jakbym oglądała stary film.

Przypominam sobie sam początek: wszystko było wtedy ekscytujące i mogłam udawać, że nie dostrzegam pierwszych sygnałów alarmowych. Widzę, jak przynosi mi kwiaty, i wolę nie pamiętać, że prosił mnie w ten sposób o przebaczenie. Obserwuję wydarzenia, które wtedy powinnam interpretować zupełnie inaczej: na przykład Lucas wyslizguje się z damskiej toalety, a zaraz za nim wychodzi brunetka z twarzą wyrażającą skruchę. Albo mój były chłopak utyka w różnych miejscach w naszych mieszkaniach butelki z alkoholem i torebki z narkotykami. Kręcę głową, jakbym chciała rozwiązać te wspomnienia, ale niestety z zakamarków pamięci wychodzi to, co najgorsze. Znikają zdrady, alkoholizm i uzależnienie od prochów, a pojawia się przemoc.

Lucas ciągnie mnie za włosy do łazienki, a ja kurczowo trzymam się obiema rękami jego nadgarstka, żeby przesunąć środek ciężkości i zminimalizować ból. Potem wyciska mi na głowę szampon, który ścieka mi po czole i wlewa się do oczu. Sięgam po ręcznik, żeby go wytrzeć, a Lucas korzysta z okazji i wali mnie w żebra zaciśniętą pięścią. Dzwoni mi w uszach, co oznacza, że oberwałam otwartą dłońią w bok głowy. Mój chłopak przyciska mnie coraz bliżej do klozetu. Chwytam za muszlę, żeby się podnieść, ale kiedy już prawie mi się udaje, Lucas wpycha mi głowę do kibla i przytrzaskuje deską. Na szczęście ślady po tych uderzeniach mogłam zawsze ukryć pod włosami.

Patrzę, jak studenci i gospodynie domowe wydobywają mokre ubrania z pralek i przekładają je do suszarek, jednak sama jestem zbyt wstrząśnięta, żeby ruszyć się z miejsca. Pamiętam metaliczny posmak krwi i nadzieję, że jeśli tylko poczekam, to Lucas wreszcie da mi spokój. Wiedziałam, że wszystko się skończy, kiedy on zapali papierosa. Zawsze z utęsknieniem czekałam na dźwięk zapalniczki, bo to był znak, że mogę zacząć dochodzić

do siebie. Za każdym razem Lucas zaciągał mnie do łazienki i dopiero teraz, siedząc w samoobsługowej pralni, zdaję sobie sprawę, że robił tak po to, by później łatwiej było posprzątać. Nie chciał, żebym obryzgała krwią jego meble. Chociaż był pijany i kipiał wściekłością, to ani na chwilę nie przestawał być pedantem.

Mam głowę wypełnioną przykrymi wspomnieniami, a krążąca w żyłach adrenalina sprawia, że cała się trzęsę. Po policzkach spływają mi łzy i uznaję, że muszę stąd uciekać. Zarzucam na ramię torbę z brudnymi ubraniami i wracam do domu.

Otwieram drzwi do swojego mieszkania i rzucam pranie na podłogę, po czym chwytam za korkociąg i drżącymi dłońmi staram się otworzyć butelkę wina. Wcześniej uznałam, że trzymam ją dla gości i nie muszę jej wcale sama wypijać. Nalewam duży kieliszek bez stopki i opróżniam go niemal jednym haustem. Opierając się plecami o lodówkę, zsuwam się na podłogę i wyciągam telefon.

Wracam na złą drogę i czuję, że cały wysiłek włożony w ogarnięcie rzeczywistości poszedł na marne. Ryczę jak bóbr i wydaje mi się, że w zbierającej się na posadzce kałuży widzę cień mojego lepszego „ja”. Rozglądam się w poszukiwaniu czegoś, co przyniesie mi ulgę. W końcu mam swoje stare sprawdzone sposoby, które nigdy nie zawodzą. Najlepsze jest wino, więc postanawiam sobie nie żałować.

Przestaję się trząść, ale nie potrafię zebrać myśli. Ogarnia mnie jednocześnie żal, nienawiść i strach. Mam wrażenie, że jestem zupełnie bezwartościowa. Myślę o Richardzie, o tym, jak mnie szantażował, i o wszystkich rzeczach, które o mnie wie. Adelle, Eddie, Jenni i jej uzależniona od heroiny siostra. Źle dobrane leki Shawna. Wino pomaga, ale to nie wystarczy. Potrzebuję czegoś mocniejszego, czegoś, co sprawi, że będę się czuła kochana. Potrzebuję AJ-a.

Odblokowuję telefon i przeglądam stare wiadomości. Nie pamiętam, kiedy z nim rozmawiałam. Od bardzo dawna nie byłam w barze u Nicka i nie upiłam się do nieprzytomności. Zaglądam do kieliszka i wpatruję się w czerwoną obwódkę na dnie, po czym wyciągam z lodówki kolejną butelkę, tym razem białego wina. W końcu moi goście powinni mieć wybór. Tylko kiedy ostatni raz ktoś mnie odwiedził? Muszę wyteńczyć wzrok, żeby przeczytać SMS-y od AJ-a. Przypominam sobie, jak jakiś czas temu chciał, żebym przyszła do baru, ale go spławiłam. Teraz jednak czuję, że wrócę do niego z podkulonym ogonem.

Wino świetnie mi wchodzi, ale ciągle mam wrażenie, że piję za wolno. Kiedyś miałam zupełnie inną tolerancję na alkohol. Wreszcie spowija mnie lekka mgiełka otępienia. Zaczynam przeglądać zdjęcia, żeby przypomnieć sobie, czego mi brakuje. Skasowałam większość fotografii, lecz zostawiłam kilka najlepszych. Staram się przywołać uczucie ekscytacji i nie mam nic przeciwko temu, żeby alkohol zaczął podejmować za mnie decyzje.

Kilka razy czytam ostatnią wiadomość, którą wysłałam AJ-owi. „Baw się dobrze beze mnie”. I pewnie tak właśnie zrobił. Świetnie się bawił, zanim mnie poznał, świetnie się bawił w moim towarzystwie, więc niewątpliwie świetnie się bawi również beze mnie. AJ wcale się nie zmienił. Tak samo Lucas. Jednak we mnie dokonała się ważna metamorfoza. Stare rozwiązania sprawdzają się tylko w odniesieniu do starych problemów. Teraz potrzebuję czegoś innego. Wbijam wzrok w kieliszek: na dnie widzę różowo-pomarańczową mieszankę czerwonego i białego wina. Przyglądam się bulwiastemu kształtowi i zastanawiam się, skąd bierze się jego moc.

Nie, dziś sama będę podejmować decyzje. Idę do kuchni i wylewam zawartość kieliszka do zlewu. To samo robię ze stojącymi na podłodze butelkami czerwonego i białego wina. Ostry zapach drażni mnie w nos. Otwieram zamrażalnik i wyciągam flaszkę wódki Tito's. Jeszcze jeden „prezent dla gości”. Zaglądam do salonu i znajduję na półkach z książkami dwie butelki szkockiej. Trzymam je tutaj od bardzo dawna, chcąc sobie wmówić, że mogę mieć w mieszkaniu alkohol i wcale go nie wypić. Na dnie został nie więcej niż jeden szot. Zabieram je do kuchni i starannie opróżniam. Opary whisky szczypią mnie w oczy. Mieszanka gryzących aromatów sprawia, że robi mi się niedobrze. Przypominam sobie wszystkie poranki, kiedy wymiotowałam do kosza w swoim gabinecie.

Kiedy idę do śmietnika, szklane butelki obijają się o siebie, wydając głośny brzęk. Po powrocie do mieszkania szoruję kieliszek, używając jabłkowego płynu do mycia naczyń, a potem zdejmuję ubrania. Wrzucam je do torby z brudnymi rzeczami i wchodzę pod prysznic. Odkręcam gorącą wodę i patrzę, jak moja skóra nabiera różowego koloru.

Wchodzę do sali, w której odbywa się poranne zebranie, i widzę, że wszyscy są już na swoich miejscach za stołem konferencyjnym. Na blacie leżą jakieś teczki i niektórzy zaczęli je przeglądać. Pod ścianą stoi grupka pracowników pomocniczych: ochroniarz, dwóch sanitariuszy i dozorca. Oni również trzymają w rękach ten sam pakiet materiałów. Nie mam pojęcia, jak bardzo się spóźniłam, ale nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

David wysuwa spod stołu puste krzesło i przywołuje mnie skinieniem głowy. Widzę, że jeszcze nie otworzył swojej teczki. Siadam obok niego, a on puka palcem w zegarek i obrzuca mnie protekcjonalnym spojrzeniem. Owszem, spóźniłam się. I co z tego? Ja przynajmniej nie poszłam do łóżka z Julie.

– Skoro wszystkim udało się dotrzeć – oznajmia Rachel, wbijając we mnie wzrok – to możemy zaczynać. Na pewno zauważyliście, że mamy dzisiaj kilku gości. To przedstawiciele personelu pomocniczego, których obecność na tak ważnym spotkaniu jest niezbędna. Nie wszyscy ich znają, więc chciałabym ich przedstawić. Sal z działu technicznego. – Sal szeroko się uśmiecha i macha ręką na powitanie. – Gerard i Abdul, nasi sanitariusze. – Gerard unosi w górę kubek z kawą, a Abdul stoi z pochyloną głową, wbijając wzrok w teczkę. – No i nasz ochroniarz Raul. – Raul ma stoicki wyraz twarzy i nie wykonuje żadnego ruchu. Pod koszulą rysują się napakowane sterydami ramiona i nawet przez materiał widać charakterystyczne trądzikowe wypryski.

– Zaprosiłam dzisiaj personel pomocniczy, ponieważ musimy przedyskutować kilka drażliwych kwestii, o których się ostatnio dowiedziałam. W leżących przed wami teczkach znajdziecie najnowszą wersję obowiązującego w Tyflos kodeksu etycznego. Dostaliście go w momencie zatrudnienia i powinniście dobrze znać jego zasady, jednak od czasu do czasu wprowadzamy drobne modyfikacje i dostosowujemy terminologię do obowiązującego języka administracyjnego. Chciałabym, żeby wszyscy podpisali się na liście, którą za chwilę puszcze w obieg. Macie potwierdzić, że wszystko przeczytaliście i zrozumieliście.

Terapeuci i pracownicy socjalni wetknęli już nosy w dokumentację. Wszyscy oprócz Shirley. Powszechnie wiadomo, że Shirley ma gdzieś takie rzeczy. Pracuje tu na tyle długo, że przeżyła już co najmniej pięć wersji

kodeksu etycznego, i nigdy nie zmienia swojego zachowania tylko po to, żeby zadowolić szefostwo.

Gary gorączkowo przerzuca papiery, zastanawiając się, czy nie łamie przypadkiem jakichś przepisów. David odchylił się na krześle i powoli sączy kawę. Na razie ignoruje leżącą na stole teczkę, ale w zaciszu swojego gabinetu przestudiuje uważnie każde słowo.

– Na pewno zauważycie – kontynuuje Rachel – że zgodnie z nowymi wytycznymi powinniście przestrzegać zasad nie tylko w pracy, lecz także w miejscach publicznych. Dotyczy to metra, niedzielnego wyjścia do restauracji z rodziną i każdej sytuacji, w której reprezentujecie nasz szpital.

– Czyli nie wolno przeklinać w jakimś barze na Bushwicku? – pyta Gary.

– Niepotrzebnie bierzesz wszystko tak dosłownie. Prosimy o respektowanie podstawowych reguł kodeksu. Chodzi o zachowanie pewnego decorum, ponieważ niezależnie od tego, gdzie się znajdujecie, jesteście pracownikami Tyflos i powinniście dbać o dobrą reputację firmy.

– Skąd ten pomysł? – Rzucam teczkę na stół i odchylam się na krześle, pokazując, że jestem ponad to, chociaż w głębi duszy boję się, że chodzi właśnie o mnie.

– No cóż, nie wziął się znikąd. Ostatnio doszło do niepokojących incydentów, które wskazują, że najprawdopodobniej złamano nie tylko obowiązujące w Tyflos zasady etyczne, lecz być może także prawo. Uznaliśmy więc, że należy się zabezpieczyć przed różnymi ewentualnościami i dać wszystkim równe szanse. Każdy pracownik powinien jeszcze raz zapoznać się z kodeksem i odświeżyć sobie informacje dotyczące odpowiedniego zachowania. Dotyczy to całego personelu. –

Rachel wyciąga przed siebie palec wskazujący i kciuk i zaczyna do nas mierzyć jak z pistoletu. – Psychologów, terapeutów, ochroniarzy i tak dalej. Nikt nie został zwolniony z tego obowiązku: nawet lekarze psychiatry dostali takie teuczki i muszą potwierdzić podpisem, że wszystko przeczytali i zrozumieli.

– Jakie incydenty masz na myśli? – pyta Julie, przekonana, że sama na pewno niczego nie przeskrobała.

– Hm, Sal i jego ludzie kilka razy znaleźli na oddziale alkohol. – W moich uszach pojawia się przeszywający pisk i robi mi się gorąco. Nagle przypominam sobie, że mam ręce i zupełnie nie wiem, co z nimi zrobić. Nie mogę przecież zwrócić na siebie uwagi. Uspokój się! Nikt cię na razie o nic nie podejrzewa.

– Alkohol? – David przysuwa się bliżej stołu i robi zaintrygowaną minę.

– Tak, małe buteleczki, które stanowią zwykle wyposażenie hotelowego minibaru. Znalaziono je w męskiej toalecie oraz w kilku salach do zajęć grupowych. Sprzątający natrafili również na potłuczone szkło.

Cholera jasna! To sprawka Richarda.

– Zawsze wydawało mi się, że te butelki są zrobione z plastiku – mówi Gary.

– Najwyraźniej nie. Było tego naprawdę dużo. Pacjentom nie wolno wychodzić poza teren szpitala. Mogą zaczerpnąć świeżego powietrza na balkonie i czasem pozwalamy im na spacer w towarzystwie opiekuna, ale rzecz jasna nie w taką pogodę. Natomiast goście są zawsze starannie przeszukiwani. Trzeba jednak przyznać, że były to małe buteleczki, które dałoby się jakoś przemyścić.

– Czy to możliwe, żeby jakiś nowo przyjęty pacjent przyniósł ze sobą zapasy? – pyta Abdul, jeden z sanitariuszy.

O Boże! Dlaczego powiedział „zapasy”? Tylko nie to!

– To bardzo mało prawdopodobne – wyjaśnia Gerard. – Gruntownie sprawdzamy rzeczy osobiste. Żadnego alkoholu, żadnych narkotyków, żadnej broni. Niedozwolone przedmioty są natychmiast konfiskowane.

– A gdzie potem trafiają? Macie jakąś specjalną szafkę, przechowalnię czy coś w tym rodzaju? Nie można przecież wykluczyć, że ktoś wy dostał stamtąd przeschumowane wcześniej napoje wyskokowe – stwierdza Gary. W jego głosie pojawia się dziwny ton, jak gdyby czuł się winny. Mam nadzieję, że zauważą to pozostali uczestnicy zebrania. Modlę się w duchu, żeby nikt na mnie nie spojrział. Sama siedzę z pięścią przyciśniętą do podbródka i przyglądam się kolegom i koleżankom zblazowanym wzrokiem.

– Zanim zamkniemy trefny towar w szafkach znajdujących się w biurze ochrony, sporządzamy szczegółowy inwentarz. Jak do tej pory nikt nie próbował wnieść na teren szpitala większych zapasów alkoholu. – Gerard na pewno nie chce być kozłem ofiarnym.

– W biurze cały czas siedzi przynajmniej jeden ochroniarz, więc nie ma szans, żeby ktoś się włamał i dokonał kradzieży. Tylko nasi pracownicy znają kody do szafek. – Raul również nie ma zamiaru brać odpowiedzialności za to, co się wydarzyło.

– Czy znalezione butelki były puste czy pełne? – pytam, udając całkowicie niewinną.

– Rzecz jasna puste – stwierdza Shirley lekko szyderczym tonem.

– Nie wiem, co w tym takiego oczywistego. Pacjenci mogli zostawiać je dla swoich kolegów. Mieliśmy już wcześniej do czynienia z podobnymi przypadkami. Pamiętacie, jak Frankie i Harry urządzili sobie grę w podchody? Jeden dostawał od lekarza valium i podrzucał sekretne wiadomości o miejscach, w których ukrył opakowania z lekiem, tak żeby ten drugi mógł je znaleźć. Obecnie w szpitalu przebywa około stu alkoholików. Być może rozwiązanie zagadki jest bardzo proste. – Najlepsza strategia to odwrócić uwagę. Niech podejrzewają wszystkich, tylko nie mnie.

Trochę się jednak niepokoję: czy mogą zdjąć odciski palców ze szkła i odkryć prawdę?

– Butelecзки znalezione przez ludzi Sala były puste. To prawda, że pacjentom udawało się w przeszłości szmuglować alkohol i narkotyki na teren szpitala, lecz wydaje mi się, że tym razem mamy do czynienia z czymś innym. Moją uwagę zwróciła jedna rzecz: mówimy o gatunkowych trunkach z wyższej półki, a nie o taniej gorzale. Na buteleczkach widnieją etykiety Grey Goose albo Patron Silver. To są drogie marki i nie chodzi o jedną czy dwie sztuki. W ciągu ostatnich kilku tygodni znaleźliśmy tego naprawdę sporo. – Rachel opowiada o szczegółach, starając się nie patrzeć na nikogo przez dłużej niż kilka sekund. Nie chce wzbudzać kontrowersji i formułować przedwczesnych oskarżeń, ale mimo to nie jestem w stanie pozbyć się wrażenia, że tak naprawdę mówi tylko do mnie.

Richard jest dzisiaj wyjątkowo spięty. Siedzi sztywno i ciągle się wierci: przekłada gazety z miejsca na miejsce, przebiera palcami, bawi się suwakami od kurtki. Kiedy zaczyna mówić, obrzucam go podejrzliwym spojrzeniem.

– Wiem, że trudno było ci wyznać prawdę o chorobie, więc dzisiaj ja opowiem najgorszą historię mojego życia.

– Najpierw chciałabym porozmawiać z tobą o czymś innym. – Pochyliłam się na krześle, opieram łokcie na kolanach jak baseballista Johnny Bench i patrzę Richardowi prosto w oczy. – Czy zostawiłeś na oddziale puste szkło?

– Co masz na myśli? Chodzi o alkohol? – pyta, zmieniając wyraz twarzy.

– Tak. Co zrobiłeś z butelkami? Dozorcy i pacjenci znaleźli je w różnych miejscach na terenie szpitala. Jeśli dasz się złapać, to nie będziesz mógł mnie dalej szantażować i koniec z naszymi spotkaniami. Rozumiesz?

– Po prosu wyrzucałem je do śmieci i to nie wszystkie naraz. Korzystałem z koszy znajdujących się w różnych częściach budynku, jednak nigdy w pobliżu naszych pokojów. Wybierałem ogólnodostępne miejsca. Każdy mógł to zrobić. Nie ma szans, żeby wpadli na mój trop, a już na pewno nikt nie będzie podejrzewał ciebie.

– Mieliśmy w tej sprawie ważne spotkanie. Szefostwo zaczęło węszyć. Pozwoliłam ci na zbyt wiele, ale koniec z tym. Nie chcę więcej widzieć alkoholu w moim gabinecie. Mówię serio.

– Tylko dlatego, że mogą cię podejrzewać?

– Nie ma znaczenia dlaczego! Po prostu musimy przestać. Od dzisiaj nie piję, a już na pewno nie z tobą, i nie mam ochoty na dalsze dyskusje. Teraz możesz opowiedzieć swoją historię. – Robię oburzoną minę, krzyżuję ręce na piersi i rzucam w jego kierunku wyzywające spojrzenie.

– Zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób nie odsuniesz od siebie podejrzeń? Nawet jeśli przestaniemy wspólnie raczyć się procentami, nadal mam twoje zapasy alkoholu. Umowa nie uległa zmianie – mówi, wskazując na mnie swoim wielkim palcem.

– W porządku. – Kiwam głową. – Jednak nie życzę sobie, żebyś przynosił butelki do mojego gabinetu. Czy to jasne? Naprawdę nie wiem, dlaczego

w ogóle zaczęliśmy te zakrapiane posiadówki. Powinieneś dobrze schować swój łup i w ogóle się tutaj z nim nie pokazywać. To jak puszka Pandory. Teraz musisz dobrze wszystko ukryć, bo cały personel jest w stanie podwyższonego pogotowia.

– Pomyślałem, że trzeba jakoś przełamać pierwsze lody. Uznałem, że będzie nam łatwiej zawrzeć umowę i opowiadać o swoim życiu.

– Trzeba dużo więcej niż dwóch malutkich buteleczek, żeby mnie upić i do czegoś nakłonić. Zgodziłam się, bo zacząłeś mnie szantażować, a nie dlatego, że byłam wstawiona.

– Okay, rozumiem. Będę trzymał alkohol u siebie jako dodatkowe zabezpieczenie.

– Dobrze. W każdym razie nie chcę tego widzieć na oczy. – Odchyłam się na krześle i bezczelnie na niego patrzę.

Richard siedzi z nerwowym wyrazem twarzy, czekając, aż atmosfera między nami się rozluźni. Po dłuższej chwili przekrzywia głowę i oznajmia:

– Jeszcze nikomu nie powiedziałem, co się wydarzyło tamtego dnia. – To zdanie brzmi tak, jak gdyby je wcześniej przygotował.

– Dlaczego więc wybrałeś właśnie mnie? – pytam niskim spokojnym głosem.

– Jesteś jedyną osobą, która może wykorzystać tę historię, żeby sobie pomóc.

– Myślisz, że dzięki tobie w moim życiu dokona się zmiana na lepsze? – Uśmiecham się, z trudem powstrzymując szyderczy ton.

– Bardzo cię proszę, po prostu mnie wysłuchaj. – No tak, w tej opowieści sarkazm i niedowierzanie będą zupełnie nie na miejscu. – Miałem osiemnaście lat. Od jakiegoś czasu spotykałem się z dziewczyną, która najprawdopodobniej również miała osobowość typu borderline. Dopiero w więzieniu dowiedziałem się, że pociągają nas ludzie, którzy są podobni do naszych rodziców, nawet jeśli chodzi o bardzo złe cechy. Dzieje się tak dlatego, że pewne rzeczy dobrze znamy i jesteśmy do nich przyzwyczajeni. Podejrzewam, że pociągają mnie kobiety z problemami psychicznymi i skłonnością do manipulacji. Krótko mówiąc, wariatki, które... – Przerywa w pół zdania. – Przepraszam, nie chciałem powiedzieć, że jesteś wariatką. Po prostu życie z kimś takim jest naprawdę trudne. Jednego dnia taka osoba jest ideałem, a następnego wstępuje w nią diabeł. Nigdy nie wiadomo, co cię czeka.

Przytakuję, po czym wypijam łyk kawy i macham ręką, dając do zrozumienia, żeby kontynuował.

– W każdym razie umawiałem się z tą dziewczyną i wydaje mi się, że Frances była zazdrosna. Kiedy wybierałem się na randkę, zwykle dostawała ataku i musiałem zostać w domu, żeby się nią zaopiekować. Nie miałem więc wyboru i wymykałem się po kryjomu, często późnym wieczorem, kiedy Frances traciła kontakt z rzeczywistością. Moja wybranka miała na imię Samantha. Hm... – Na jego twarzy pojawia się kpiący uśmiešek. – Po jakimś czasie Frances też zaczęła spotykać się z facetami, być może po to, żeby wyrównać ze mną rachunki. Zawsze podobała się mężczyznom i łatwo się w niej zakochiwali. Umawiała się z jednym przez jakiś czas, ale szybko się nudziła: zaczynał jej działać na nerwy albo po prostu męczył ją swoim zachowaniem. Potem brała następnego. Po zerwaniu zawsze była dla mnie bardzo miła. W tamtym czasie randkowała z facetem, który przychodził do nas do domu, co na dobrą sprawę nigdy się nie zdarzało. Od dłuższego czasu była w świetnym nastroju i wydawało mi się, że jej stan się poprawia. Jednak któregoś razu wieczorem przyszedł po nią ten koleś. Byłem od niego wyższy i chyba mu się to nie spodobało, bo od samego początku nie szczędził mi złośliwości i traktował mnie protekcyjnie. Zachowywał się naprawdę okropnie i w pewnym momencie złapał Frances mocno za nadgarstek. Pamiętam, że chciałem go wtedy uderzyć, ale ona wzięła jego stronę i zaczęła na mnie wrzeszczeć. Oboje byli już wtedy pijani. Wreszcie sobie poszli. Czekałem na powrót matki cały w nerwach, bo ten facet sprawiał nieciekawe wrażenie. Powiedziałem Samancie, że nie mogę się z nią zobaczyć, bo muszę zostać w domu. To wszystko działało się wiosną. Frances wróciła bardzo późno, kiedy stanęła w drzwiach, zaczynało już świtać. Wiele razy widziałem, jak była wściekła, często się na mnie wyżywała, ale nigdy nie przyszła z randki w takim stanie. Miała podartą sukienkę i rozmazany makijaż. Wyglądało na to, że pokłóciła się ze swoim adoratorem.

Richard zaczyna ciężko oddychać, jakby skupiał się na wydobyciu z zakamarków pamięci nieprzyjemnych wspomnień. Po chwili zamyka oczy i kontynuuje:

– Miała też ubłocone kolana. Kiedy to zobaczyłem, byłem nie na żarty przestraszony. Spytała, dlaczego na nią czekam. Przecież pozwoliłem jej wyjść z jakimś popaprańcem, więc nie rozumie, dlaczego w ogóle interesuję się, czy wszystko z nią w porządku. Stwierdziła, że na pewno wiedziałem, jak to się skończy. W ogóle nie powinienem pozwolić jej na spotkanie z tym

dupkiem. To wszystko moja wina. Z papierosem w ustach zaczęła grzebać w kuchennych szafkach. Wyjęła z szuflady patelnię i z wściekłością ruszyła w moją stronę. Byłem od niej znacznie większy, ale robiłem uniki i starałem się zasłonić głowę. Waliła mnie bez opamiętania, powtarzając, że wcale jej nie kocham. W pewnym momencie zgasła mi papierosa na karku.

Richard bezwiednie wyciąga rękę i dotyka blizny.

– Kiedy ułamała się rączka patelni, pomyślałem, że da mi spokój, ale się myliłem. Stało się coś naprawdę złego i szukała winnych. Chciała za wszelką cenę pokazać, kto jest górą. Zaczęła mnie kopać i rzucać czym popadnie. W pewnym momencie nie wytrzymałem. Nie byłem w stanie dłużej tego znosić. Wyrwałem jej z ręki parasol, którym mnie uderzyła, i rzuciłem go na podłogę. Wszystko działo się w kuchni, w której panował straszny bałagan. Kiedy zorientowała się, że mam zamiar się bronić, zaczęła wrzeszczeć. Nigdy wcześniej nie słyszałem podobnego krzyku. Było w tym coś diabelskiego. Rzuciła się na mnie z pięściami, a ja próbowałem złapać ją za ramiona i jakoś powstrzymać. Cały czas się na mnie wydzierała i młóciła powietrze rękami. Trzymałem ją na dystans i robiłem wszystko, żeby jej ciosy nie sięgnęły celu. Potem wpadłem na pomysł, żeby zepchnąć ją do rogu, ponieważ wtedy nie miałyby szans na wzięcie zamachu. Jednak w pewnym momencie... na coś nadepnąłem i runąłem na ziemię.

Widzę, że Richard cały się trzęsie i z trudem łapie oddech.

– Trzymałem ją blisko siebie, więc oboje straciliśmy równowagę. Frances poleciała na plecy, a ja upadłem prosto na nią. Jej głowa odbiła się od progu spiżarni i uderzyła mnie czołem prosto w nos. Wiedziałem, że coś jest nie tak, bo nagle zapadła kompletna cisza. Jej twarz była wykrzywiona w niemym krzyku. Nie wiedziałem, czy ma pękniętą czaszkę, skręcony kark, a może jeszcze coś innego. Byłem jednak pewien, że nie żyje. To stało się zupełnie niespodziewanie. W jednej sekundzie starałem się ją obezwładnić, a w następnej była już martwa. Pamiętam, że usiadłem obok i przyłożyłem chusteczkę do jej ust, żeby sprawdzić, czy oddycha, bo nie miałem pojęcia, jak wyczuć puls. Ukląknę na podłodze, starając się uspokoić oddech. Właśnie wstało słońce i wtedy usłyszałem, jak do drzwi dobija się pani Choi.

Serce podchodzi mi do gardła i nie jestem w stanie przełknąć śliny. Obserwuję, jak z Richarda uchodzi powietrze i ten wielki mężczyzna zmienia się w osiemnastoletniego chłopca.

– Pani Choi mieszkała w tym samym budynku co my i wiedziała, że Frances często mnie bije. Zdarzało się, że kiedy słyszała krzyki,

przychodziła, żeby mnie ratować. Jej interwencja zwykle pomagała, bo Frances nigdy nie uderzyła mnie w obecności innych ludzi. Tak więc sąsiadka dobijała się do nas jak oszalała, ponieważ podejrzewała, że stało się coś niedobrego. Niestety, rzadko zamykaliśmy drzwi na klucz i po chwili pani Choi po prostu weszła do środka. Musiała być przerażona tym, co zobaczyła. To było istne pobojuwisko: połamany parasol, patelnia bez rączki, poobijany i poparzony chłopak w zalanym alkoholem ubraniu i jego matka leżąca na podłodze. Wokół nas wałało się szkło i jakieś śmiecie. Siedziałem na środku tego bałaganu i głośno dyszałem, bo wciąż nie mogłem uspokoić oddechu. Sąsiadka od razu wybiegła na korytarz i zadzwoniła po policję. Gliniarze pojawili się dopiero po dwudziestu minutach, ale nie byłem w stanie nigdzie się ruszyć. Przyjechała też karetka pogotowia. Sanitariusze wpadli do kuchni i spytali, co się właściwie wydarzyło. Nie potrafiłem wykrztusić z siebie ani słowa i zacząłem wymiotować na podłogę. Potem zajęli się Frances i domagali się ode mnie odpowiedzi na różne pytania. Policjantów nie było jeszcze w mieszkaniu, ale widziałem, że stoją przy drzwiach wejściowych. Jeden z sanitariuszy zapytał, czy wszystko ze mną w porządku, ale ja nadal milczałem. Kątem oka dostrzegłem panią Choi. Stała razem z funkcjonariuszami, kręcąc głową i unosząc do góry otwarte dłonie. Dostałem dreszczy i co chwilę targały mną mdłości. Ktoś nakrył mnie grubym wełnianym kocem. Resztę pamiętam jak przez mgłę. Policjanci zaczęli mnie przepytywać, ale miałem wrażenie, że mówią w jakimś obcym języku. Niewiele rozumiałem i nie byłem w stanie niczego wyjaśnić. Nie wiedziałem, co się tak naprawdę stało, i nie potrafiłem sklecić najprostszego zdania. Potem wepchnęli mnie do radiowozu. Cały czas miałem ze sobą ten koc. Siedzący z przodu gliniarze o czymś rozmawiali, ale prawie ich nie słyszałem. Zabrali mnie do szpitala i zaprowadzili do izolatki. Policjanci dyskutowali półszeptem z pielęgniarkami, co ze mną zrobić. Czułem się jak w dniu, w którym doszło do wielkiej awarii elektryczności: panował chaos, ale było cicho. Nie wiem, jak długo mnie tam trzymali. Myślę, że kilka godzin. Dostałem jakieś papiery do wypełnienia i ciągle zadawali mi pytania, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. Potem mam wielką dziurę w pamięci. Ocknąłem się dopiero w więziennej celi.

Mój umysł działa na zwolnionych obrotach i dopiero po dłuższej chwili jestem w stanie coś z siebie wydusić.

– Richard, to nie była twoja wina. Jak mogli cię skazać za morderstwo? Przecież działałeś w obronie własnej. Jesteś niewinny! – krzyczę, zasłaniając

dłonią usta, a słowa wydobywają się przez szpary między palcami.

– Jak już wspominałem, jesteś pierwszą osobą, z którą podzieliłem się tą historią.

– Dlaczego im tego nie powiedziałeś? Czemu nie pokazałeś siniaków i oparzeń? – Czuję, że wpadam w histerię. Wybucham płaczem i zaczynam rozpaczać, że nie da się zmienić przeszłości.

– Nie mogłem tego zrobić. Nie chciałem przynieść jej wstydu, opowiadając o tym, co mi zrobiła. Czułem się winny. Od kiedy pamiętam, byłem święcie przekonany, że ponoszę pełną odpowiedzialność za wszystkie złe rzeczy, które mi się przytrafiają. Frances zawsze powtarzała, że to ja prowokuję ją do bicia, to przeze mnie zagłęda do kieliszka i nie może znaleźć pracy. Nawet tamtej feralnej nocy stwierdziła, że to z mojej winy kochanek zrobił jej krzywdę. – Richard opowiada w taki sposób, jak gdyby wciąż we wszystko wierzył. Dla mnie ta historia brzmi zaskakująco znajomo.

– I nie przeprowadzili śledztwa? Jak to w ogóle możliwe? Bez żadnego powodu spędziłeś pół życia w więzieniu?

– Nie do końca, ale trudno to wyjaśnić. – Kręci głową i wbija wzrok w podłogę.

– Nie mogę uwierzyć, że się nie broniłeś i tak po prostu dałeś się zamknąć w pierdlu na długie lata.

– Bronilem się. – Widzę, jak drgają mu usta. – I właśnie dlatego trafiłem za kratki.

Nie potrafię dłużej zapanować nad emocjami. Po policzkach ściekają mi łzy. Rozpaczliwie szukam jakiejś różnicy między mną, Richardem i Frances, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Jestem jak Richard: regularnie bite, zżerane przez poczucie winy dziecko. Jestem jak Frances: niestabilny emocjonalnie, agresywny wrak człowieka. Odgrywam te wszystkie role. Czuję, że muszę się wyrwać z tego zakłętego kręgu.

14 LUTEGO, 12.11

Opowieść Richarda idealnie rezonuje z moim własnym życiem. Wiem, że czeka mnie taki sam los, i wpadam w histerię. Skończę jak on i nie potrafię w żaden sposób temu zapobiec.

Wchodzę do gabinetu Davida, klękam na podłodze, obejmuję jego kolana i błagam o przebaczenie.

– David, ja już dłużej nie dam rady! Nie chcę, żeby to tak wyglądało. On ją zamordował! I to dlatego, że była dokładnie taka sama jak ja! – bełkoczę, zanosząc się płaczem i brudząc mu spodnie. – A takich jak ja się zabija!

– Szsz... Spokojnie... – David odgarnia mi włosy z twarzy i chwytą za podbródek, żebym na niego spojrzała. – O kim mówisz? Co się stało?

– O Richardzie! Trafił za kratki, bo zabił własną matkę. – Mam tak spuchnięte oczy, że łyzy zatrzymują się na powiekach i nabrzmiewają jak wypełnione wodą baloniki. – Ona miała osobowość typu borderline. Tak samo jak ja! I właśnie dlatego ją zamordował! – Wtulam twarz w jego kolana, licząc na rozgrzeszenie, ale jednocześnie żywiąc nadzieję, że nie usłyszał tego, co przed chwilą powiedziałam.

– Szsz... Wszystko w porządku, Sam. – David zsuwa się z krzesła i siada obok mnie na podłodze. Obejmuje mnie jedną ręką, a drugą gładzi po ramieniu. Od płaczu i spazmów cała się trzęsę. David szepcze mi coś do ucha i całuje moje włosy. Robi wszystko, żebym się uspokoiła.

Z opuchniętych oczu wciąż ciekną mi łyzy, ale zachowanie Davida sprawia, że zaczynam spokojniej oddychać i moja klatka piersiowa nie unosi się już tak spazmatycznie. Siedzimy blisko siebie. David obejmuje mnie ramieniem. W pewnym momencie odgarnia spocone włosy, które przykleiły mi się do czoła, i uważnie na mnie patrzy.

– David – mówię spokojnym głosem – mam osobowość typu borderline. Potwierdziły to badania przeprowadzone przez psychiatrów z BZP. Wiedziałam, że jestem popieprzona. Nie sądziłam jednak, że jest ze mną aż tak niedobrze. Przeczytałam wyniki własnej ewaluacji, ponieważ Rachel poprosiła mnie o przygotowanie końcowego sprawozdania. Nie mam żadnych złudzeń. Cierpię na poważne zaburzenia osobowości. – Biorę głęboki oddech i staram się zapanować nad nerwami. – Pracuję z Richardem i robimy spore postępy. Ostatnio wyznał, że zamordował swoją matkę.

Zgodnie z naszą umową ja również musiałam mu o czymś opowiedzieć i przyznałam, że mam borderline. Okazało się, że na to samo cierpiała jego matka. To było dla mnie zbyt wiele. Zupełnie mi odbiło. Zaczęłam na niego wrzeszczeć i wywaliłam go z gabinetu, a potem przyszedłam do ciebie. – Kołyszę się w przód i w tył, trzymając się spoconymi rękami za kostki. – Zdradziłam też Lucasa i kilka razy przespałam się z AJ-em. Biegałam do niego, kiedy mój chłopak był nie do zniesienia. Jednak teraz to już przeszłość, bo zerwałam z Lucasem prawie dwa tygodnie temu. Nie wiem, dlaczego wcześniej ci o tym nie powiedziałam.

David milczy i pozwala, żebym wszystko z siebie wyrzuciła. Cały czas głaszcząc mnie delikatnie po włosach i ramionach. Od czasu do czasu kiwa głową i mruży: „Szszz...”. Przestałam płakać i teraz szczypią mnie oczy.

– Mam wrażenie, jakby cały świat zawalił mi się na głowę. Kiedyś wiedziałam, kim jestem i co robię, lecz okazało się, że wszystko jest inaczej, niż mi się wydawało. Wolałabym nie być świadoma swojej choroby.

– Sam, przestań wygadywać takie bzdury. Nie możesz tutaj siedzieć i pieprzyć głupot. To przecież nie twoja wina. Postawiono diagnozę i trzeba stawić temu czoło. Zaburzenia psychiczne nie definiują cię jako osoby. Jak w ogóle możesz tak myśleć? – Przyciąga mnie bliżej i patrzy mi prosto w oczy. – Przecież nigdy nie powiedziałabyś czegoś takiego pacjentowi z BPD[1]. Dlaczego więc mówisz tak o sobie?

– Bo okazało się, że sama mam nierówno pod sufitem, a to zupełnie inna sytuacja – wyjaśniam, odwracając wzrok.

– Dlaczego nie przyszedłaś do mnie wcześniej?

– Nie miałam pojęcia, jak ci o tym wszystkim opowiedzieć. Bałam się, że jeśli dowiesz się o AJ-u, będziesz na mnie wściekły – szepczę, wbijając w niego błagalne spojrzenie.

– Akurat tak się składa, że wiedziałem o twoim romansie. Cieszę się jednak, że wreszcie zerwałaś z Lucasem.

Kręcę głową, ponieważ jestem świadoma, że David znał prawdę o naszym związku.

– Wszyscy myślą, że to chodzący ideał.

– A ja codziennie cię obserwuję i widzę siniaki oraz zaschniętą krew na twoich włosach. Naprawdę niezbyt dobrze się kamuflujesz.

– Myślisz, że ktoś jeszcze zdaje sobie z tego sprawę?

– Nie, nie sądzę. Znajomi chcieli w was widzieć idealną parę i woleli być

ślepi. Ludzie w ogóle lubią udawać, bo udawany świat jest ładniejszy. – David zawsze potrafi wszystko dobrze wytłumaczyć.

– W jaki sposób mam teraz odbudować swoje życie? Zupełnie nie wiem, jak się do tego zabrać.

– Niczego nie musisz odbudowywać.

Siedzimy po turecku na podłodze ze zwróconymi ku sobie twarzami. Nachylam się i łapię rękami za głowę. Po korytarzu chodzą jacyś ludzie, więc zacznam mówić ściszym głosem.

– W takim razie co mam teraz zrobić? Wszystko się zmieniło. Mój związek legł w gruzach, naraziłam na szwank swoją reputację zawodową i zostałam z niczym – szepczę.

– Po pierwsze, głęboko oddychaj. Potrzebujesz trochę czasu, żeby zapanować nad emocjami i wziąć się w garść, a potem zastanowimy się, co dalej.

– Wywalą mnie z pracy?

– Oczywiście, że nie. Jesteś przecież złotą dziewczyną. Rachel cię uwielbia. Nie wyobrażam sobie Tyflos bez ciebie. – David nie ma pojęcia, że sfabrykowałam dane do końcowego sprawozdania i nie zarchiwizowałam wyników własnej ewaluacji.

– Ale przecież powinni mnie zwolnić, prawda? Czy zaburzenia osobowości nie wykluczają pracy w zawodzie psychologa? – Potrzebuję więcej otuchy, chociaż zdaję sobie sprawę, że nie mówię mu całej prawdy.

– Nie i dobrze o tym wiesz. Z BPD możesz nadal wykonywać swoją pracę. Prawdopodobnie właśnie dzięki temu jesteś tak dobrym terapeutą i wywiązujesz się ze swoich obowiązków lepiej od reszty z nas. – Słyszac te bzdury, mam ochotę wybuchnąć śmiechem. Chociaż być może David ma rację. Jestem jak ślepiec prowadzący innych ślepców i właśnie stąd bierze się moja skuteczność.

– Nie jesteś na mnie zły? Wiem, że ostatnio nie byłam najlepszą przyjaciółką. Po prostu trudno mi zaakceptować twoje relacje z Julie.

– Nie, nie byłem zły. Co najwyżej się o ciebie martwię.

– Przepraszam. Czuję, że muszę zmienić swoje życie i znowu poczuć grunt pod nogami.

– No cóż, dobrze, że zerwałaś z Lucasem i przestałaś się widywać z AJ-em. Żaden z tych dupków nie był ci do niczego potrzebny. Teraz musisz

przestać pić z pacjentami w pracy.

Kiedy to słyszę, siadam wyprostowana jak struna.

– Skąd to wiesz, do cholery? – pytam. Czuję, że czerwienieją mi uszy, a po plecach zaczyna spływać pot. Nagle gabinet robi się mały i znowu ogarnia mnie panika.

– Podczas jednej z twoich sesji z Richardem słyszałem, jak ze sobą rozmawiacie, a ten facet nie jest przecież szczególnie gadatliwy. Pomyślałem, że to dziwne, więc zacząłem go śledzić i zobaczyłem, jak wyrzuca puste buteleczki po alkoholu do kosza na śmieci w męskiej toalecie.

– Czy na ostatnim zebraniu było widać, że jestem zamieszana w tę aferę?

– Nie, naprawdę nieźle mydliłaś nam oczy. – Uśmiecha się i podaje mi chusteczkę.

– Czy spotykasz się teraz z Julie? – Wykładam wszystkie karty na stół, czuję, że to właściwy moment na zadawanie pytań i dzielenie się wątpliwościami.

– Nie, nie jesteśmy parą – odpowiada zdecydowanym tonem. – Wiem, że myślisz inaczej, ale obecnie z nikim się nie umawiam. Zresztą już wcześniej cię o tym informowałem. Rzeczywiście, Julie spędza ze mną ostatnio więcej czasu, ale to dlatego, że chce się zbliżyć do ciebie.

– Gówno prawda! Ona chce być twoją dziewczyną, a ja jestem tylko wygodną wymówką.

– Wiem, że jej nie lubisz, ale Julie jest całkowicie niegroźna. Żałuję, że sprawiłem ci przykrość, zapraszając ją do swojego gabinetu. Przysięgam, że nic się między nami nie dzieje – tłumaczy przekonującym tonem i robi wszystko, żebym mu uwierzyła.

– Ktoś powinien naprawić te ściany – mówię. – To naprawdę dziwne, że słyszymy każde słowo wypowiedziane w naszych pokojach.

David patrzy na mnie z troską.

– Na pewno sobie poradzisz?

Z trudem powstrzymuję nerwowy chichot, ponieważ trochę mi głupio, że znowu doprowadziłam do sytuacji, w której David prosi mnie o przebaczenie.

– Tak mi się wydaje. Mam dużo tematów do przemyśleń. Proszę cię jednak, żebyś nikomu o tym nie mówił. To nasza tajemnica. Okay?

– Okay. Nikt się o tym nie dowie, rzecz jasna poza Richardem –

stwierdza David i przybijamy piątkę.

CZEŚĆ TRZECIA

Nie jadłam w domu śniadania, więc kupiłam w automacie smakołyki, które leżą teraz na moim biurku: serowe krakersy Cheez-It i drażetki M&M's nadziewane orzeszkami ziemnymi. Ciągle mam ochotę na cukier, ponieważ zrezygnowałam z alkoholu i dokuczają mi objawy odstawienia. Naprzeciwko siedzi Richard, gotowy do dalszych zwierzeń. Uznaję, że najlepiej zacząć w tym samym miejscu, w którym ostatnio skończyliśmy.

– Co się działo podczas procesu?

– Pamiętam to jak przez mgłę. Nikomu nie powiedziałem, co się tak naprawdę wydarzyło: ani swojemu adwokatowi, ani sędziemu, ani policjantom. Mieli do dyspozycji tylko zeznania pani Choi i dowody zebrane na miejscu wypadku. – Wyciąga rękę, bierze jednego krakersa i wsadza go sobie do ust. – Pamiętasz awarię sieci elektrycznej i to, jak mnie aresztowali za szabrownictwo?

– Tak, wylądowałeś w pierdłu razem z Jessem, ale szybko was wypuścili.

– Założyli mi wtedy kartotekę, ale pod innym nazwiskiem. Nie podałem im prawdziwych danych osobowych.

– Uhm. – Częstuję go jeszcze jednym krakersem, ale odmawia, kręcąc głową.

– Na początku figurowałem w papierach jako Joe Doe, a potem jako chłopak od Williamsów, bo tak brzmiało panięńskie nazwisko mojej matki. Wreszcie jakiś gliniarz znalazł w systemie odciski palców i zostałem Henrym Jamesem. W gruncie rzeczy nikogo nie obchodziło, jak się naprawdę nazywam. Dla nich byłem przede wszystkim „oskarżonym” albo „mordercą”. Do tego ograniczała się moja tożsamość. Nie istniała żadna dokumentacja medyczna potwierdzająca, że miałem połamane rękę. Tak samo było z siniakami, oparzeniami i bliznami: nie było żadnych dowodów, że to sprawka Frances. Byłem przecież młodym chłopakiem, który na pewno rozrabiał, wygłupiał się i wdawał w bójki. Mogłem sobie zrobić krzywdę sam albo doznać kontuzji podczas uprawiania sportu. Nie byli w stanie wydobyć ze mnie zeznań i nie mieli żadnego punktu oparcia, ale mimo to postanowili zrobić ze mnie potwora, zwyrodnialca i czarną owcę. Uznali, że Frances się przede mną broniła i stąd wzięły się te wszystkie obrażenia. Obarczyli mnie również winą za ślady pobicia, którego sprawcą był jej facet. Nie miałem pojęcia, jak się nazywa, więc nie byłem w stanie go o nic

oskarżyć.

Tak samo jest z kobietami, ofiarami przemocy domowej: przedstawiciele władz nigdy im nie wierzą.

– Ciągłe powtarzali, że zamordowałem własną matkę. Słyszysz coś takiego tyle razy, że wreszcie sam zaczynasz w to wierzyć. Wmówili mi, że jestem bezwartościowym, podłym i niegodziwym człowiekiem... – W jego oczach pojawiają się łzy, a ja się zastanawiam, czy nadal w to wierzy.

– Jak było w więzieniu? – Stawiam łokcie na biurku i opieram podbródek na zaciśniętych pięściach jak dziecko, które czeka na historię o duchach.

– O Boże... Jak było? Trudno powiedzieć w jednym zdaniu. Podobało mi się uczucie odosobnienia. Nikt nie zawracał mi głowy. Jeśli trzymasz się na uboczu, to zwykle dają ci spokój. Na początku siedziałem w Green Haven, ale dość szybko, bo po dwóch i pół roku, przenieśli mnie do słabiej strzeżonego więzienia. Adwokat twierdził, że Green Haven było przepełnione, a ja nie miałem na koncie innych wyroków. Cieszyłem się, bo w nowym miejscu było więcej swobody. – Wyciera ręce pobrudzone krakersami w chusteczkę i chowa ją do kieszeni.

– Gdzie trafiłeś?

– Do Ogdensburga.

– Naprawdę? Myślałam, że wysyłają tam głównie ludzi z wyrokami za przestępstwa na tle seksualnym. Wielu naszych pacjentów ma na koncie pobyt w tym więzieniu.

– Rzeczywiście tak jest, ale nie wszyscy z osadzonych to zwyrodnialcy. Jednak w Ogden było mi ciężko. Kiedy wyszedłem z Green Haven, zacząłem lepiej ogarniać, co się ze mną dzieje. Więźniowie rzadko są przenoszeni z jednego zakładu do drugiego i nie mają szans na zmianę otoczenia. Zrozumiałem powagę sytuacji i dotarło do mnie, ile czasu mam jeszcze spędzić za kratkami. Miałem dwadzieścia lat i czekała mnie odsiadka dłuższa niż moje dotychczasowe życie. Przed oczami stanęły mi wspomnienia z wczesnego dzieciństwa, które wydawały mi się prehistorią. Zdałem sobie sprawę, że już wkrótce wszystko ograniczy się do pobytu w więzieniu. Świat zewnętrzny powoli zatrze się w mojej pamięci i kiedy wreszcie mnie wypuszczą, okaże się, że za kratkami spędziłem więcej czasu niż na wolności. Ta perspektywa zaczęła mnie przerażać.

– Choooooleeeera – jęczę, celowo przeciągając samogłoski. – Byłeś wtedy bardzo młodym facetem. – Z niedowierzaniem kręcę głową. Dwadzieścia lat

temu skończyłam liceum, a za kolejne dwadzieścia będę dobiegać sześćdziesiątki.

– Wpadłem w depresję i przestałem jeść. Nie chodziło jednak o to, żeby zagłodzić się na śmierć, po prostu jedzenie nie sprawiało mi żadnej przyjemności. Nigdy nie przeszkadzał mi głód, a na dodatek w stołówce serwowali naprawdę kiepskie żarcie. Zacząłem chudnąć i miałem problemy ze snem, więc w nocy miałem dużo czasu dla siebie. Ceniłem samotność i rzadko wychodziłem z celi, a podczas posiłków siadałem z dala od innych. W pewnym momencie moje zachowanie rzuciło się w oczy strażnikom. Kiedy zauważyli, że prawie nie jem, wysłali mnie do psychiatry. Lekarz powiedział, że powinienem z kimś porozmawiać. Od wielu lat tego nie robiłem i nie wydawało mi się to w ogóle możliwe. Nalegał, powtarzając, że przecież nie mam nic do stracenia, i umówił mnie na kilka spotkań z więziennym psychologiem. Dostałem też parę broszurek na temat terapii grupowej. Brałem udział w sesjach i chodziłem do lekarzy. Byłem młody i robiłem, co mi kazali.

– Powiedziałeś komuś, co tak naprawdę stało się z twoją matką?

Richard spogląda na mnie wyraźnie zraniony.

– Przecież wiesz, że nie.

– Co cię powstrzymywało? Wydaje się, że to była świetna okazja do przepracowania uczuć związanych ze śmiercią Frances.

– Rzecz w tym, że ja nigdy otwarcie nie przyznałem, jak wyglądały nasze relacje. Nie opowiadałem kolegom o tym, jak zachowuje się Frances. Moja dziewczyna też o niczym nie wiedziała. Kiedy nie mogłem się z nią spotkać, mówiłem, że Frances cierpi na migrenę i muszę się nią opiekować. Za każdym razem okazywała zrozumienie i bardzo ją za to kochałem. Chociaż również cierpiała na zaburzenia psychiczne, zawsze stawała po mojej stronie. Jednak nawet jej nie byłem w stanie wyznać prawdy.

– Chciałabym dowiedzieć się o niej czegoś więcej. – Zbieram z biurka puste opakowania po smakołykach z automatu i wyrzucam je do kosza na śmieci.

– O mojej dziewczynie? Myślałem, że chcesz usłyszeć o więzieniu.

– Owszem, ale następnym razem możemy o niej pogadać.

– Uhm – burczy pod nosem. – Okay.

– Opowiesz mi jeszcze o sesjach grupowych? Jak wyglądały zajęcia z terapeutą?

– Było zupełnie inaczej niż z tobą – mówi, szeroko się uśmiechając. – Pracowałem z jednym lekarzem. Był ode mnie tylko trochę starszy, miał nie więcej niż trzydzieści lat. Chciał się dowiedzieć, co się tak naprawdę wydarzyło. Nie wierzył prawnikom i nie za bardzo ufał temu, co było zapisane w aktach. Zadawał mnóstwo pytań, ale ja tylko siedziałem u niego w gabinecie i udawałem, że go słucham. Nie byłem niegrzeczny, nie zachowywałem się lekceważąco, nie czytałem gazet. Nic z tych rzeczy. Po prostu się nie odzywałem.

– Nabrałeś wody w usta? Nie mówiłeś mu nawet „dzień dobry”?

– Przez prawie sześć lat nie wykrztusiłem z siebie ani słowa.

– Co takiego? Przez sześć lat? Wydawało mi się, że żartujesz. Zdawałam sobie sprawę, że nie chciałeś rozmawiać o swojej matce, o procesie, wypadku i tak dalej... Jednak nie wiedziałam, że dosłownie milczałeś jak zakłęty.

– Chyba nie miałem nic do powiedzenia. – Richard sprawia wrażenie, jakby zupełnie nie widział nic dziwnego w tym, jak się zachowywał.

– Kiedy to się zaczęło? W którym momencie przestałeś się odzywać?

– To było związane z moją chorobą, chociaż już sam wypadek sprawił, że niewiele mówiłem i odpowiadałem na pytania tylko wtedy, gdy było to konieczne. Byłem posłuszny sędziemu i robiłem to, co sugerowali prawnicy, ale poza tym wolałem milczeć. Naprawdę nie miałem im nic do powiedzenia.

– Niewiarygodne. Trudno to sobie wyobrazić. – Najwyraźniej wyrobił sobie opinię milczka jeszcze w więzieniu.

– Ten lekarz był jedyną osobą, która nie zmuszała mnie do mówienia. Niektórzy strasznie się wściekali i zaczęli krzyczeć. Inni się bali i woleli trzymać się ode mnie z daleka. Jeden z więźniów doszedł do wniosku, że pewnie ktoś uciął mi język. Potem łąził za mną przez parę tygodni i powtarzał, że zostałem ukarany za bycie kapusiem. Twierdził, że najlepiej przebywać w moim towarzystwie, bo nikomu o niczym nie powiem. Szeptał mi do ucha różne sekrety i czekał na reakcję. Nazywał się Victor i został skazany za molestowanie swoich bratanków. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek znajdzie się na wolności, to będzie robił to samo.

Wzdrygam się z obrzydzenia i kładę dłonie na kolanach.

– Ale wracając do lekarza: próbował stosować podobną strategię do twojej. Zapraszał mnie na prywatne sesje i zadawał dużo pytań, chociaż nie

oczekiwał ode mnie żadnych odpowiedzi. Często zagadywał mnie o pobyt w więzieniu. Chciał też wiedzieć, jak wyglądał proces i moje życie przed wypadkiem. Nazywał to „zdarzeniem wyzwalającym kryzys”. Był naprawdę niezłym terapeutą albo potrafił czytać w myślach, ponieważ po pewnym czasie zaczął podejrzewać, co się wydarzyło. Uważał, że źródło wszystkiego tkwi w moich relacjach z matką. Któregoś dnia poprosił mnie o zgodę na przeprowadzenie badań medycznych. Ostatni raz przechodziłem takie badania jeszcze w dzieciństwie, chyba kiedy chodziłem do Świętej Teresy. Skinąłem głową albo wzruszyłem ramionami na znak, że nie mam nic przeciwko, więc umówił mnie na wizytę. Poszliśmy do przychodni z jeszcze jednym lekarzem i zrobili całą serię testów: analiza krwi, prześwietlenia i tak dalej. Wszystko po kolei.

– Chodziło o to, żeby potwierdzić jego teorię, prawda? Czegoś się domyślał i szukał twardych dowodów?

– Bingo! Na rentgenie widać było ślady po złamaniach. Zauważył też oparzenia po papierosach oraz blizny na plecach i nogach. Podejrzewam, że wtedy miał już pewność i zaczął mnie znowu wypytywać. Nadal trzymałem język za zębami, ale on i tak już wiedział.

– Niby skąd? Tak po prostu się domyślił?

– Chyba tak. Zaczął przynosić książki związane z tym, co mi rzekomo dolegało. To były publikacje o depresji, nerwicy frontowej, chorobie, na którą cierpiała Frances, i zespole stresu jakiegoś tam.

– Zespole stresu pourazowego. Kiedyś podobne objawy diagnozowano jako nerwicę frontową.

– Dziękuję, pani doktor.

– Nie ma za co, proszę pana.

– Dostałem też od niego artykuł o syndromie sztokholmskim. Słyszałaś o tym? W Szwecji doszło do napadu na bank i wzięto zakładników.

– Tak, znana sprawa. Facet spojrzał na rentgen i próbował z tobą porozmawiać, po czym doszedł do wniosku, że twoje doświadczenia mogą być wyjaśnione syndromem sztokholmskim? Hm, tak zwane „traumatyczne wiązanie”. Niewiarygodne.

– Twierdził, że być może właśnie dlatego nawet nie próbowałem się bronić. Uważał, że jeśli Frances się nade mną znęcała, czego dowodem były złamania i blizny, to jego teoria trzyma się kupy.

– Tak, to wszystko ma głęboki sens – mówię i głośno wzdycham.

– Zaczął się zastanawiać, co dolegało mojej matce. I właśnie wtedy dowiedziałem się o osobowości typu borderline.

– To naprawdę niesamowity koleś. Jak się nazywał? Co się z nim stało? – Teraz rozumiem, dlaczego Richard musiał zrzucić ciężar z serca i postanowił przychodzić do mnie w każdy wtorek, żeby opowiedzieć mi swoją historię.

– Nie mam pojęcia. Zmienił pracę albo przeszedł na emeryturę. Trudno powiedzieć. Kiedy skończyliśmy terapię, czasami widywałem go na terenie zakładu, a nawet zdarzało nam się zjeść razem obiad, jednak nigdy się do niego nie odezwałem. Teraz żałuję. Mogłem mu chociaż podziękować.

– Nie pamiętasz jego nazwiska?

Richard przez chwilę się waha.

– Minęło strasznie dużo czasu. Przypominam sobie tylko, że mówiłem do niego „doktor Mark”.

– Świetnie – mówię z ironią w głosie. – To bardzo pomocne. – Nonszalanckim gestem rzucam na biurko długopis. – Naprawdę nie jesteś w stanie podać jego nazwiska?

– Nie jestem pewien. Być może Scharf albo Stein. W każdym razie coś żydowskiego.

– Okay, to już jakaś wskazówka. Czy kiedykolwiek próbowałeś się z nim skontaktować?

– Po tym, jak wyszedłem z więzienia? Nie, nie chciałem nikomu zawracać głowy.

– Richard, ten człowiek bardzo ci pomógł. Sam chciałeś mu podziękować. Chociaż ostatnio się przede mną otworzyłeś, to jednak rozmowa z kimś, kto cię dobrze poznał, byłaby dla mnie niezwykle pożyteczna!

– Mam pięćdziesiąt pięć lat, więc on musi być już po sześćdziesiątce. Na pewno nie chce, żeby odwiedzał go jakiś były pacjent z pierdla.

– Zgodzisz się, żebym go odnalazła?

– Po jaką cholere?

– Chcę się tobą jak najlepiej zaopiekować! Muszę porozmawiać z osobą, która miała z tobą tak dobry kontakt i na dodatek jest wysokiej klasy specjalistą. Na razie mam wrażenie, że strzelam na oślep. Wymiana doświadczeń na temat twojego przypadku byłaby dla mnie bezcenna.

– Mojego przypadku? Tym właśnie dla ciebie jestem? Przypadkiem? Sama widzisz! Dokładnie to miałem na myśli, kiedy negocjowaliśmy, co zrobić ze skonfiskowanym zapasem alkoholu. Zgodziłaś się traktować mnie jak równego sobie. Miałem już nie być pacjentem. – Głośno wzdycha, opada na krzesło i z rozniewaną miną wygląda przez okno.

– Powiedziałeś, że jeśli zawrzemy umowę i podzielimy się tajemnicami, to terapia będzie skuteczniejsza, a twój stan szybciej się poprawi – wyjaśniam życzliwym tonem, po czym wyciągam dłoń i kładę ją na zgięciu jego lewego ramienia. – Czy nie tak wyglądał nasz układ? A może coś się zmieniło i nie chcesz, żebym wykonywała swoją pracę?

Robi głęboki wdech, zamyka oczy i powoli wypuszcza powietrze przez usta. Po chwili dotyka mojej ręki i delikatnie mnie poklepuje. Jestem zaskoczona, że ma tak miękką i ciepłą skórę.

– Dobrze, zgadzam się. Ale nie wszystko, czego się dowiesz, może ci się spodobać.

Właśnie wyszłam ze spotkania w biurze Rachel i kieruję się w stronę tylnych schodów. Mam przy sobie torebkę, butelkę wody, kubek kawy i dwie teczki z dokumentacją pacjentów. Stawiam stopy trochę za bardzo na zewnętrznej krawędzi, co sprawia, że kołyszę się jak nowo narodzony źrebak. W pewnym momencie zauważam, że zgubiłam gdzieś plastikową nakrętkę. Kiedy zaczynam schodzić w dół, mam problemy z utrzymaniem równowagi. Wciskam dokumenty do torebki i chwytam za poręcz.

Im niżej, tym schody robią się mniejsze. Wreszcie stoję na parterze przed wielką dźwignią otwierającą wyjście awaryjne i ze zdziwieniem stwierdzam, że jestem dwa razy większa od drzwi. Z trudem przeciskam się na drugą stronę i wchodzę na jasno oświetlony korytarz przystrojony świątecznymi dekoracjami. Kurczę, wydawało mi się, że jest już prawie wiosna. Ruszam w kierunku swojego gabinetu, cały czas śmiesznie się kiwając. Nie jestem w stanie tego kontrolować i co chwilę z butelki tryska strumień wody, który nie spada jednak na podłogę, tylko zawisa przede mną w powietrzu. Kiedy przez niego przechodzę, moczę sobie twarz i włosy, ale to przyjemne orzeźwiające uczucie i specjalnie potrząsam butelką, żeby wyleciało z niej jeszcze więcej płynu.

Na końcu korytarza widzę drzwi do swojego gabinetu, ale framuga jest wielka jak góra lodowa. Na dodatek mieni się różnymi barwami, jak gdyby była inkrustowana kawałkami szkła i kamieniami szlachetnymi. Przed drzwiami stoi szary kucyk, a na jego grzbiecie siedzi mała, która w jednej ręce trzyma szklankę martini, a w drugiej żarzące się marlboro light. Kiedy się zbliżam, mała wybuchu śmiechem i zdają sobie sprawę, że to Lucas, a koń wygląda zupełnie jak Sid, kelner pracujący w barze u Nicka. Zwierzęta wchodzą do gabinetu, a ja podążam ich śladem. W środku wszystko wygląda całkiem normalnie. Torebka, którą jeszcze przed chwilą miałam przy sobie, wisi na haczyku za drzwiami, a na biurku stoi pełna butelka wody i kubek świeżo zaparzonej kawy. Teczki z dokumentacją pacjentów, które zabrałam ze sobą na spotkanie z Rachel, leżą na drucianej podstawce obok telefonu.

Szary kucyk z twarzą Sida wskakuje na krzesło dla gości i zwija się w kłębek, ściskając blisko siebie kopytka. Po chwili szeroko ziewa i układa się do snu. Mała z fizjonomią Lucasa wypija do końca martini, zaciąga się

po raz ostatni papierosem i wrzuca niedopałek na dno szklanki, w której została jeszcze odrobina alkoholu, po czym poklepuje Sida po głowie i wdrapuje się na blat.

– Co ty tutaj robisz? – pytam.

– Przyszedłem cię zabić. W pokoju ukryto zatruty przedmiot. Nie wolno ci go dotknąć, bo wtedy zginiesz. – Lucas bierze do ręki słuchawkę i zaczyna wybierać numer do mojej matki.

– W jaki sposób mogę go zidentyfikować?

– Metodą prób i błędów. Musisz sprawdzić wszystko po kolei. – Rozplątuje kabel telefonu i zaczyna wspinać się na ścianę. Zdejmuje z sufitu jeden z brudnych paneli, wkłada stopę w szczelinę i zawisa w powietrzu, ściskając pod brodą wielki aparat telefoniczny. Zaczynam gorączkowo przetrząsać szuflady w poszukiwaniu podejrzanie wyglądających przedmiotów. Liczę, że znajdę starą apteczną fiolkę z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, taką jak w kreskówkach wyświetlanych w sobotnie poranki. Słyszę, jak Lucas papla do słuchawki i knuje coś z moją matką.

Znowu ogarnia mnie panika i mam wrażenie, że zaraz dostanę zawału. Z coraz większą desperacją przeczesuję wszystkie zakamarki gabinetu. Biorę do ust wodę i od razu ją wypluwam. Tak samo robię z kawą. Wyciągam z kosza na śmieci nadgryzionego bajgla, żeby sprawdzić, czy nie jest przypadkiem zatruty. Nic, żadnej reakcji. Nie mam pojęcia, gdzie szukać i wpadam w coraz większy popłoch. Czas płynie, a w różnych miejscach pojawia się coraz więcej przedmiotów i nie nadążam z ich sprawdzaniem. Słyszę szum w słuchawce telefonu i skrzeczący głos gadającej małpy.

Z rozpaczy zaczynam lizać dokumenty. Po jakimś czasie orientuję się, że polizałam już prawie wszystkie kartki, ponieważ spod sterty papierów wystaje dywan. Wszystko w tym pomieszczeniu pokryte jest już lepką śliną: teczki pacjentów, pojemniki z napojami, papierosy i odpadki z kosza. Wydaje mi się, że sprawdziłam dosłownie każdy przedmiot, ale ciągle nie znalazłam trucizny. Podnoszę głowę, żeby zapytać Lucasa, gdzie popełniłam błąd, ale zamiast zawieszonyj pod sufitem małpy widzę pędzące w moją stronę ostrze gilotyny pokryte jakimś zielonym toksycznym płynem. Jest za późno, żeby zrobić unik.

Momentalnie się budzę. Mam mokre włosy przyklejone do czoła i czuję w głowie pulsujący ból. Chyba płakałam przez sen, a paraliżujący strach sprawia, że z trudem łapię oddech. Dotykam twarzy, żeby sprawdzić, czy po

policzkach spływają prawdziwe łzy. Podświadomie musiałam coś wyczuć, ponieważ na ekranie telefonu widzę nową wiadomość od Lucasa: „Sam, muszę z tobą pogadać. Przepraszam”. Otwieram szuflady i patrzę na sufit, żeby sprawdzić, czy wszystko było tylko wytworem mojej wyobraźni. Sen się rozwiął, ale przy krawędzi biurka nadal stoi kubek z poranną kawą i butelka wody. Kasuję SMS od swojego byłego chłopaka.

Poprosiłam Davida, żeby do mnie zajrzał, ponieważ potrzebuję pomocy w odnalezieniu tajemniczego doktora Marka.

– David, czy mógłbyś rzucić okiem na te dokumenty? – Klęczę na podłodze otoczona stertą papierów i przeglądam teczkę Richarda, szukając jakichś wskazówek, które mogłam wcześniej przeoczyć.

David siada obok mnie.

– Czego konkretnie szukasz?

Od kiedy zwierzyłam się Davidowi ze wszystkiego, nie potrafię spojrzeć mu prosto w oczy, więc wbijam wzrok w ziemię.

– Muszę odszukać psychiatrę, który zajmował się Richardem, kiedy ten był w więzieniu. Dowiedziałam się o tym dziś rano i okazało się, że ten facet rozumiał znacznie więcej niż my i udało mu się wyciągnąć niezwykle interesujące wnioski. Chciałabym potwierdzić, że Richard mówi prawdę i wreszcie się dowiedzieć, dlaczego tutaj trafił. Naprawdę zależy mi na rozmowie z tym lekarzem!

– O które więzienie chodzi?

– Richard siedział w Ogdensburgu i znalazł się pod opieką tamtejszego psychiatry. Mówił na niego „doktor Mark”, ale niestety nie pamięta nazwiska. Najprawdopodobniej zaczyna się na S.

– Sprawdziałaś stronę internetową? Być może jest tam lista personelu medycznego.

– Nie, nie zrobiłam tego. Ten koleś odszedł z pracy jeszcze przed końcem wyroku Richarda. Nie jestem pewna, kiedy przenieśli go do Ogden. W osiemdziesiątym czwartym? Wcześniej był w Green Haven. Masz to gdzieś w papierach?

– Chwileczkę... – David gorączkowo przerzuca dokumenty. – Chyba znalazłem. Został aresztowany w maju siedemdziesiątego dziewiątego, proces zaczął się we wrześniu tego samego roku, w lutym osiemdziesiątego zamknęli go w Green Haven, a we wrześniu osiemdziesiątego drugiego przenieśli do Ogdensburga.

– Okay. Richard twierdzi, że dopiero po jakimś czasie pojawiły się objawy depresji i wysłali go do lekarza. Nie wiem jednak dokładnie kiedy.

Masz tam jakieś daty?

– Nie, ani słowa o leczeniu. Jest tylko lista kryteriów zwolnienia warunkowego i trochę prawniczego żargonu, którego nie rozumiem, ale na pewno nic związanego z psychiatrią. W każdym razie nie w tych papierach.

– Nadal nie wiem, w jaki sposób można zostać przeniesionym z jednego zakładu karnego do drugiego. – Kładę teczkę na kolanach i spoglądam na Davida.

– Nie rozmawialiście o tym?

– Wspomniał coś o przepełnionych celach i o tym, że nie był recydywistą. Może właśnie dlatego go wybrali? Nie jestem pewna.

– Nigdy nie słyszałem, żeby morderca trafił do więzienia o łagodniejszym rygorze.

– Ja też nie, ale może skazali go za nieumyślne spowodowanie śmierci? Nie dało się ustalić motywu zbrodni, więc oddalono zarzut morderstwa. Czy to ma jakiś sens? – Nie znam się na prawie i nie mam bladego pojęcia, jak zapadają wyroki.

– Trzeba znaleźć tego lekarza. W tej historii coś śmierdzi.

– Masz rację. To się nie trzyma kupy. Richard to dla mnie prawdziwa zagadka, chodzący znak zapytania. Opowiadał mi o pobycie za kratkami i o swoim dzieciństwie, ale nadal pozostaje tajemnicą, dlaczego do nas trafił. Zdajesz sobie sprawę, że pracuję z nim od paru miesięcy i nadal nie wiem, co mu dolega oraz dlaczego umieścili go w szpitalu psychiatrycznym? Musimy namierzyć doktora Marka!

Z coraz większą niecierpliwością grzebiemy w papierach, szukając czegokolwiek, co mogłoby nas naprowadzić na jakiś ślad.

– Poszperam w internecie. Moim zdaniem należy spróbować. – David wstaje z podłogi i siada przy biurku.

– Dobra. Mark plus jednosylabowe nazwisko na S, na przykład Stein. Ja będę dalej babrać się w tym gównie.

David wklepuje w wyszukiwarkę kilka słów i dostaje setki trafień.

– No cóż, właśnie znalazłem listę wszystkich obecnych więźniów Ogdensburga. – Przysuwa się bliżej ekranu, żeby wyłowić jakieś interesujące informacje. – I nawet mogę do nich napisać! Jest specjalna zakładka, przez którą można się kontaktować z osadzonymi.

– David, błagam, skup się!

– Na stronie BZP jest spis psychiatrów sądowych. – Zaczyna klikać i przeglądać różne witryny, ale siedząc na podłodze, niewiele jestem w stanie zobaczyć. – Kurczę, nieszczególnie pomocne. Podają tylko nazwisko kierownika. Poczekaj chwilę. – David bierze telefon i wybiera numer znaleziony w sieci. Wstrzymuję oddech, ale powoli tracę nadzieję, że kiedykolwiek dowiem się, co Richard robi w Tyflos.

– Dzień dobry, nazywam się David Bloomfield. Jestem psychologiem w Centrum Psychiatrycznym Tyflos. Z kim mam przyjemność rozmawiać? – Wyteżam słuch, żeby usłyszeć każde słowo. – Cześć, Kathy. Potrzebuję twojej pomocy. Mam pacjenta, który przebywał kiedyś w Ogdensburgu. Chciałbym się skontaktować z lekarzem, który się nim wtedy zajmował. Jak mógłbym go namierzyć?

David podnosi głowę, zasłania ręką słuchawkę i szepcze w moją stronę:

– Muszę poczekać, włączyła jakąś okropną muzyczkę.

Zdejmuję okulary i masuję grzbiet nosa.

– Dobrze, w takim razie spróbuję jeszcze czegoś poszukać w tym bałaganie.

David chwyta długopis i pstryka palcami, dając mi do zrozumienia, że potrzebuje kartki papieru. Sięgam do kosza i podaję mu lekko zatłuszczoną torebkę, w której rano przyniosłam bajgla. David zaczyna zapisywać informacje, które przekazuje mu Kathy.

– Mam tylko jego imię. Mark. Nic więcej. Wydaje mi się, że w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych był u was psychiatrą. – Znowu coś notuje. – Aha, od jak dawna prowadzicie dokumentację? – Zakrywa słuchawkę i mówi cichym głosem. – Nie mają danych osobowych personelu klinicznego zatrudnionego przed wprowadzeniem internetu.

– W jaki sposób przygotowywali wtedy listę płac? – szepczę. – Cholera jasna, przecież w latach osiemdziesiątych istniały już komputery. Powiedz jej, żeby szukała dalej. – David kiwa głową, dając mi znaki oczami, po czym macha ręką i pokazuje, żebym się nie odzywała.

Sam słucha uważnie i co chwilę potakuje. Oboje zdajemy sobie sprawę, że to jedyna szansa na rozwiązanie zagadki. David znowu musi czekać, a Kathy zapewne grzebie w papierach, starając się znaleźć odpowiedzi na nasze pytania. Ja również przeglądam porzrzucone po podłodze dokumenty, ale mam wrażenie, że szukam igły w stogu siana. Teczka Richarda jest niepełna i zawiera nieprecyzyjne dane.

– Tak, był więziennym psychiatrą. – David prawie krzyczy do słuchawki.
– Opiekował się jednym z naszych pacjentów. Leczenie zaczęło się najprawdopodobniej w osiemdziesiątym drugim albo trzecim.

Znowu zasłania mikrofon i szepcze:

– Jak długo Richard się z nim spotykał?

Wzruszam ramionami i kręcę głową.

– Niestety, nie jestem tego pewien. Udało ci się coś znaleźć? – Na dłuższą chwilę zalega cisza. – Tak, tak, byłoby super, gdybyś podała mi jego nazwisko. Dziękuję. – Patrzy na mnie i robi zeza, po czym odchyła się na krzesło, wyciąga nogi na biurku i kładzie głowę na oparciu, cały czas ściskając telefon między ramieniem a uchem. „Robię, co mogę”, mówi, bezgłośnie poruszając ustami.

Nagle wyprostowuje się jak struna, stawia stopy na podłodze, chwytając papierową torebkę i zaczyna coś gorączkowo notować.

– Nie masz aktualnych adresów? Trudno. Dam sobie radę. Jak się to zapisuje? O-a-n. Okay. Świetnie. – Zrywa się na równe nogi i unosi w górę długopis, ustawiając się jak Statua Wolności. – Mam! – szepcze do mnie tryumfalnym tonem.

Jednak po chwili na jego twarzy malują się zawód i niedowierzanie.

– Przepraszam, nie dosłyszałem. – Przyciska ucho mocniej do telefonu. – Aha, rozumiem. W porządku. Dlaczego nie możesz mi podać pozostałych informacji? – Przystawia sobie palce do skroni i udaje, że strzela, po czym opada na krzesło, głośno wzdycha i dalej robi notatki, od czasu do czasu znacząco chrząkając. – Bardzo ci dziękuję, Kathy. Miłego dnia! – Kończy rozmowę i odwraca się w moją stronę. – Mamy trzech lekarzy. Trzech Marków z nazwiskami na S, którzy pracowali w Ogden w latach osiemdziesiątych. Udało ci się wydusić z Richarda coś jeszcze?

– W zasadzie nie. Powiedział tylko, że to było jakieś krótkie, żydowskie nazwisko. Nic więcej.

– Świetnie. Mam wrażenie, że tych facetów zatrudniał Woody Allen: Mark Sloan, Mark Schiff i Mark Steele. Dostałem też ich ostatnie znane numery telefonów.

– Trzech Marków z nazwiskiem na „s” pracujących w Ogdensburgu w latach osiemdziesiątych? I na dodatek wszyscy byli psychiatrami? – Zgarniam na kupę leżące na podłodze papiery, biorę krzesło dla pacjentów i siadam obok Davida. – Albo Mark było wtedy najpopularniejszym

imieniem na świecie, albo Kathy coś spieprzyła. Lepiej zapytajmy wujka Google'a.

Siedzimy z Richardem w moim gabinecie i jemy bajgla z serkiem o smaku młodej cebulki. Richard przyszedł wcześniej niż zwykle i zastał mnie w czasie śniadania. Wyglądał na głodnego, więc podzieliłam się z nim kanapką. Teraz rozmyślam o naszej umowie: zgodziłam się opowiedzieć o swoim życiu, ponieważ szantażował mnie ukradzionym zapasem alkoholu. Od kilku tygodni nie piję, więc jego karta atutowa do niczego się nie przyda. Znam jego sekrety, a on zna moje.

– Pobrudziłaś sobie usta serkiem – mówi, podając mi serwetkę.

– Dziękuję. Wróćmy jednak do naszych spraw. Możesz w to wierzyć lub nie, ale nadal mam zamiar uzupełnić twoją dokumentację. Ten sam zestaw pytań, który dostałeś, kiedy zaczęliśmy się spotykać: historia choroby, informacje o stanie zdrowia, pobycie w więzieniu i poprzednich hospitalizacjach.

– W mojej teczce nic nie znalazłaś? – Na jego twarzy pojawia się złośliwy uśmieszek.

– Nie. Dlaczego się do mnie szczerzysz?

– Nie szczerzę się. Wiesz, dlaczego tak często proszę, żebyś nie robiła notatek? Po prostu chcę mieć puste akta. – Kiedy to mówi, nawet na mnie nie patrzy, tylko bawi się czapką leżącą na stosie gazet.

– A doktor Mark? Nie musiałeś podpisać jakiejś oficjalnej zgody? Nie dostałeś żadnych dokumentów, kiedy wypuszczali cię z więzienia? Naprawdę nic?

Kręci głową.

– Doktor Mark nigdy nie prosił, żebym coś podpisywał. Przez całe życie byłem na cenzurowanym. Nie chcę zostawiać żadnych śladów.

– Czy w Ogden oficjalnie zdiagnozowano u ciebie depresję?

– Tak mi się wydaje. Doktor Mark powiedział, że mam objawy depresji i nerwicy frontowej, ale wydało mi się to dość głupie, bo nie jestem weteranem wojennym.

– To ciekawe. – Wbrew woli Richarda zaczynam robić notatki i wypełniać rubryki w formularzu diagnostycznym.

– Co masz na myśli?

– No cóż, przez wiele lat mieszkałeś z Frances pod jednym dachem, a tę relację można opisać jako coś w rodzaju walki.

– Uhm, jednak nigdy nie bałem się o swoje życie, nie nosiłem broni, nie wykonywałem rozkazów i nie zabijałem wrogów.

– Jesteś pewien?

Richard milczy, ale widzę, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Jakich informacji brakuje do uzupełnienia papierów? Zdaję sobie sprawę, że powinienem wywiązać się ze swojej części umowy. – Podciąga się na krześle i siada wyprostowany.

– Możemy zacząć od historii rodziny z formularza oceny psychologicznej. Do tej pory kategorycznie odmawiałeś odpowiedzi na te pytania.

– Historia rodziny? No cóż, przecież już prawie wszystko wiesz. Nie mam pojęcia, kim był mój ojciec. W zasadzie to jedna wielka zagadka. Z Frances było chyba tak samo, ale znam jej imię i inne szczegóły. Czego jeszcze potrzebujesz?

– Czy kiedykolwiek zdiagnozowano u niej borderline?

– Nie, nic o tym nie słyszałem.

– W tamtych czasach używano innej terminologii. Może była kiedyś u psychologa albo brała jakieś leki?

– Nie mam pojęcia.

Czy ty w ogóle cokolwiek wiesz?

– Okay. A dzieci?

– Chyba tylko ja.

– Nie chodzi mi o Frances. Pytam ciebie: masz jakieś dzieci?

– Przecież bym ci o tym powiedział. – Obrzuca mnie piorunującym spojrzeniem, wyraźnie zszokowany, że zadałam takie pytanie.

– W porządku. Jakieś przerwane ciąże lub poronienia?

– Skąd mam to wiedzieć? – Wyrzuca w górę ręce i odchyła się do tyłu. – Kobiety zazwyczaj nie mówią takich rzeczy, tylko robią, co uważają za stosowne. Czasami proszą o pieniądze.

– W takim razie czy któraś z twoich byłych partnerek prosiła cię o pieniądze?

– Nie, nie pamiętam takiej sytuacji. Chociaż muszę przyznać, że zanim

trafiłem za kratki, moja ówczesna dziewczyna coś sugerowała, jednak nic z tego nie wyszło. Myślę, że chciała mnie zmobilizować do walki o pozostanie na wolności. W tamtych czasach kobiety często posługiwały się podobną strategią. Jeśli chciały coś zmienić albo zmusić faceta do większego zaangażowania, mówiły, że są w ciąży. Znam wiele podobnych historii.

– Masz z nią jakiś kontakt? Odzywaliście się do siebie, kiedy siedziałeś w więźniu?

– Nie.

– Przecież to była miłość twojego życia. Sam tak twierdziłeś.

– Co ja mogłem wtedy wiedzieć? Kiedy wsadzili mnie do pierdła na dwadzieścia lat, byłem jeszcze dzieciakiem. Przecież nie mogłem wymagać, żeby na mnie czekała! Miała przed sobą całe życie. Nie zamierzałem jej go rujnować tylko dlatego, że spieprzyłem swoje.

– Przepraszam, nie chciałam uderzyć w czułe miejsce.

– To była popieprzona dziewczyna. Gdyby siedziała tutaj z nami, szybko uznałabyś, że ma osobowość typu borderline. Zachowywała się jak diabeł wyskakujący z pudełka. Raz mnie kochała, raz nienawidziła. Nie potrafiła znieść tego, że idę do więzienia. Nie chciała zostać sama i kompletnie jej odbiło. Chyba wydawało jej się, że mogę coś zmienić i mam jakiś wpływ na wyrok sądu. Twierdziła, że nie starałem się, jak należy, i obarczyła mnie winą za nasze rozstanie. Jestem pewien, że mnie nienawidzi, jeśli rzecz jasna w ogóle o mnie pamięta.

– Nie mam wątpliwości, że cię pamięta! Kiedykolwiek starałeś się dowiedzieć, czy naprawdę spodziewała się dziecka?

– Nigdy nie sądziłem, że mówi prawdę. Była notoryczną kłamczuchą.

– Opowiedz mi o niej coś więcej. Jak wyglądała?

– Prawdziwa piękność. Najładniejsza dziewczyna w okolicy. Niebieskie oczy, blond włosy, drobna budowa ciała. Zjawiskowa delikatna uroda. A do tego niewyparzony język. W tamtych czasach kobiety rzadko pyskowały. To było naprawdę coś niesłychanego. Paliły staniki i żądały równych praw, ale w zasadzie nie używały wulgaryzmów. Natomiast ona klęła jak szewc. Do tego była zabawna, miała cięty dowcip i nikogo się nie bała. Potrafiła sprowadzić cię do parteru złośliwym komentarzem, a potem zatrzepotać rękami i patrzeć, jak liżesz rany.

– Miała charakter.

– Tak, to była niewątpliwie silna dziewczyna. – Richard kiwa głową. –

Niestety, miała też swoją ciemną stronę. Jej psychika była skomplikowana, a zachowanie trudne do przewidzenia. W towarzystwie Samantha zawsze czułem się lekko podenerwowany, bo nie wiedziałem, z którą jej wersją będę miał do czynienia. Tak samo było z Frances, ale w wypadku Samantha czułem, że w pewnym stopniu to kontroluję. Mogłem jej pomóc i sprawić, żeby nie zachowywała się jak wariatka, ale jak w miarę normalna osoba.

– To dlatego, że byliście na tym samym poziomie i mogliście rozmawiać jak równy z równym. Frances zawsze miała nad tobą władzę.

– Całkiem możliwe.

– Jak skończył się wasz związek?

– Poszedłem do więzienia i zerwałem z nią kontakt, bo uznałem, że to nie fair. Miała przed sobą całe życie i nie mogłem od niej wymagać poświęceń.

– Ciągłe o niej myślisz?

– A jaki to ma związek z dokumentacją?

– Pytam z czystej ciekawości.

– Od kiedy tu trafiłem, coraz częściej. Na początku pobytu w więzieniu nie mogłem o niej zapomnieć i martwiłem się, jak sobie beze mnie poradzi. Jednak z czasem wspomnienia zatarły się w mojej pamięci. Jestem pewien, że znalazła innego faceta, wyszła za mąż i urodziła dzieci. Na pewno dobrze jej się wiedzie. Kiedy wypuścili mnie na wolność, jeszcze zanim trafiłem do pierwszego ośrodka resocjalizacyjnego, myślałem o tym, żeby się z nią skontaktować, ale uznałem, że upłynęło za dużo czasu i nie ma sensu ładować się z butami w jej życie.

– Mam wrażenie, że nie lubisz zawracać głowy ludziom, których kiedyś spotkałeś. Mniej więcej to samo mówiłeś ostatnio o doktorze Marku.

– A ty chciałabyś, żeby dopadły cię demony przeszłości?

– Jasne, że nie. – Obracam się i biorę zatłuszczoną torebkę po bajglu, na której David zapisał nazwiska lekarzy z Ogdensburga. – A propos doktora Marka... Czy znasz któregoś z tych psychiatrów? – Czytam listę na głos, po czym spoglądam na Richarda. – Coś ci to mówi?

– Tak, to było żydowsko brzmiące nazwisko.

– Konkretnie które?

– Jedno z nich, nie jestem pewien. – Odwraca wzrok i wygląda przez okno.

Razem z Davidem ustaliliśmy, że doktor Steele zmarł w 1996 roku, więc

najprawdopodobniej nie chodzi o niego. Zostawiliśmy wiadomości dwóm pozostałym, ale wciąż czekamy na odpowiedź.

Położyłam nogi na biurku, ale nie chciało mi się zdejmować butów. Koszulę powiesiłam na oparciu krzesła. Od kiedy przestałam pić, mój organizm wariuje i pocę się jak mysz. Koszula jest tak mokra, że można ją wyżymać. Zamykam drzwi na klucz i jeszcze raz próbuję skontaktować się z dwoma lekarzami. Jeden z nich może być tajemniczym doktorem Markiem.

Po sześciu sygnałach wreszcie ktoś odbiera i w słuchawce rozlega się męski głos.

– Halo?

– Dzień dobry! – Zdejmuję nogi z blatu i siadam prosto. – Nazywam się doktor Sam James i jestem psychologiem w Centrum Psychiatrycznym Tyflos na Manhattanie. Czy rozmawiam z panem Markiem Sloanem?

– Tak, przy telefonie. – To on! Wreszcie!

– Przepraszam, że niepokoję. Kontaktuję się z panem w sprawie pacjenta, który przebywał kiedyś w Ogdensburgu. Chodzi o Richarda McHugh. Zostawiłam w tej sprawie kilka wiadomości.

– Tak, tak, kojarzę. Jak mogę pani pomóc? – Udało się! To na pewno ten facet! Serce podchodzi mi do gardła i z ekscytacji podskakuję na krześle.

– Richard trafił do nas na przymusowe leczenie i próbuję dowiedzieć się czegoś więcej na temat jego przeszłości. – Staram się trzymać słuchawkę i jednocześnie wkładam mokrą koszulę. – Jest zamknięty w sobie, a w jego dokumentach nie można znaleźć zbyt wielu informacji. Ostatnio wspomniał, że kiedy był w więzieniu, łączyła go z panem szczególna relacja. Czy mógłby pan podzielić się ze mną swoimi spostrzeżeniami?

– O co konkretnie pani chodzi? – pyta doktor Sloan, a jego głos brzmi znacznie młodziej, niż się spodziewałam. – Proszę pamiętać, że zajmowałam się Richardem McHugh bardzo dawno temu.

– Cokolwiek, co pomoże mi go lepiej zrozumieć. Na przykład, jaką postawiono diagnozę? Z dokumentów wynika, że stwierdzono u niego zespół stresu pourazowego i objawy depresji. Poza tym natknęłam się na kilka uwag na temat Osi Drugiej i myśli samobójczych. Brakuje jednak formalnej diagnozy. Nie mam też dostępu do potwierdzonej historii rodziny. Moja wiedza wynika tylko i wyłącznie z prowadzonych przez nas rozmów.

Spotykamy się od kilku miesięcy i nadal nie wiem, dlaczego został skierowany do naszego ośrodka. – Ściskam słuchawkę między brodą a obojczykiem, jednocześnie zapinając guziki koszuli.

– Pamiętam, że był jednym z najbardziej fascynujących pacjentów, jakich kiedykolwiek spotkałem.

– Naprawdę? Co wzbudziło pańskie zainteresowanie? – Przypominam sobie o ostrzeżeniu Richarda: „Nie wszystko, czego się dowiesz, może ci się spodobać”, ale mimo to jestem ciekawa, co powie doktor Sloan.

– No cóż, nieczęsto mamy do czynienia z młodym, silnym, potężnie zbudowanym więźniem, który z własnej woli trzyma się na uboczu. Kiedy dowiedziałem się, że Richard milczy i prawie nic nie je, byłem zaintrygowany. Uznałem, że musi się za tym kryć nietuzinkowy człowiek.

– W jaki sposób udało się panu poznać jego historię? Przecież on nigdy się do pana nie odezwał.

– Patrzyłem mu w oczy i obserwowałem język ciała. Kiedy pierwszy raz się u mnie pojawił, był zgarbiony i wyglądał na całkowicie załamane. Patrzył na mnie spode łba, jeśli wie pani, co mam na myśli. – Oczywiście, że wiem. – Jednak kiedy poruszyłem jakiś ważny temat, jego spojrzenie się rozjaśniało. Na początku błądziłem we mgle, ale po jakimś czasie skierowałem go na badania lekarskie i wszystko zaczęło układać się w jedną całość.

– Tak, mówił mi o tym. Jak pan się domyślił, skąd pochodzą rany?

– Nie miałem bladego pojęcia. Dopiero kiedy zasugerowałem, że to wina jego matki, coś się zmieniło. Wyglądało to tak, jakbym zdjął z jego pleców ogromny ciężar. Podniósł głowę i usiadł prosto. To było niesamowite. Nigdy nie widziałem tak gwałtownej zmiany w czyimś zachowaniu.

– Czy to właśnie pan powiedział mi o osobowości typu borderline? – Jestem jak podekscytowane dziecko, które rozpakowuje świąteczny prezent. Za bardzo skupiam się na zadawaniu pytań i nie poświęcam należytej uwagi odpowiedziom.

– Tak. Kiedy zorientowałem się, że znęcała się nad nim matka, w naszej relacji coś się zmieniło. Wydawało mi się, że Richard chce zrozumieć, dlaczego Frances zachowywała się tak, a nie inaczej. Zacząłem więc wypytywać o jej zachowanie i uczucia, które do niej żywił w okresie dorostania. Odpowiadał mi na swój własny sposób, nie wypowiadając ani jednego słowa. Wiedziałem, że coś jest na rzeczy, kiedy nieznacznie

zmieniał pozycję ciała albo pocierał kciuki. Zacząłem kojarzyć fakty i w mojej głowie powstał profil choroby. To było bez dwóch zdań BPD.

– Niewiarygodne. Udało się panu poprawnie zdiagnozować nieżyjącą kobietę, mając do dyspozycji jedynie jej milczącego syna. – Jak ten facet mógł dojść do podobnych wniosków i na dodatek po tylu latach wszystko pamiętać?

– Oczywiście nie mogłem postawić żadnej formalnej diagnozy. Matka Richarda od dawna nie żyła, nigdy nie miałem z nią kontaktu i nie widziałem wyników jej badań ani żadnej innej dokumentacji medycznej. To była lekarska intuicja. Być może odpowiedzi Richarda naprowadziły mnie na właściwy trop. W więzieniu był moim księżkowym i trzymał się na uboczu. Dałem mu więc trochę lektur: głównie broszury i teksty naukowe opisujące kryteria diagnostyczne osobowości typu borderline. Richard wszystko przeczytał. Wydaje mi się, że kiedy wychodził na wolność, był już w tym temacie ekspertem. Pożyczył ode mnie nawet klasyfikację zaburzeń psychicznych DSM[2] i widać było, że pasjonuje się podobną tematyką. – Czy to właśnie on zostawił otwarte książki w sali komputerowej?

– Czy pamięta pan jeszcze jakieś inne szczegóły, które mogą być istotne w tej sytuacji? Wie pan może, dlaczego Richard trafił do naszego ośrodka? W jego papierach nie ma na ten temat żadnych informacji. Czy w więzieniu postawiono formalną diagnozę? Wiem, że Richard odmawiał wypełniania jakichkolwiek formularzy, ale być może pan sporządzał raporty i ma do nich dostęp? – Cały czas robię notatki z nadzieją, że wreszcie uda mi się ułożyć w całość tę skomplikowaną układankę.

– No cóż, od kiedy przeszedłem na emeryturę, straciłem kontakt z systemem penitencjarnym i nie mam żadnego wglądu w dokumentację.

– Wydaje mi się, że doskonale pamięta pan spotkania z Richardem. Na pewno nie ma nic innego, co mogłoby mi choć trochę pomóc?

– Szczerze mówiąc, nie jestem w stanie stwierdzić, czy kiedykolwiek postawiono formalną diagnozę. Pamiętam nasze sesje, ponieważ były wyjątkowe. Diagnoza to coś banalnego i łatwo o niej zapomnieć.

– Czy ktoś go odwiedzał? Miał jakichś przyjaciół?

– Nie wiem. – W jego głosie pojawia się nieufność.

– Czy dowiedział się pan czegoś o jego partnerce? Ostatnio rozmawiałam z nim o dziewczynie, z którą się spotykał przed pójściem do więzienia. Wspominał o niej?

– Hm, nie jestem sobie w stanie przypomnieć. – Doktor Sloan sprawia wrażenie lekko poirytowanego, jak gdyby moje pytania zaczynały go męczyć.

– Przepraszam za nadmierną dociekliwość, ale od wielu miesięcy usiłuję ustalić, co tak naprawdę dolega Richardowi, a pan jest jedynym łącznikiem z jego przeszłością. Czy istnieją jakiegokolwiek dokumenty, do których mógłby pan zajrzeć? Muszę się dowiedzieć, dlaczego trafił do Tyflos, jaką postawiono diagnozę i jakie są cele jego leczenia. To wszystko nie trzyma się kupy.

Doktor Sloan bardzo głośno wzdycha.

– Utrzymuję jeszcze kontakty z niektórymi kolegami pracującymi w Ogdensburgu. Mógłbym uzyskać dostęp do archiwum i sprawdzić, czy nie ma tam czegoś związanego z tą sprawą.

– Świetnie. Każda informacja będzie dla mnie pomocna. Bardzo dziękuję.

– Zadzwoń do pani, jeśli coś znajdzie.

– Tak, będę czekać. Jestem wdzięczna za poświęcony mi czas.

Kiedy odkładałam słuchawkę, czuję, że nie ruszyłam z miejsca. Mark Sloan nie odpowiedział na żadne z moich najważniejszych pytań.

W takim razie przed czym próbował mnie ostrzec Richard?

2 MARCA, 15.20

Siedzę przy biurku, gdy nagle rozlega się pukanie. Zamykam przeglądarkę i podnoszę się z krzesła, żeby otworzyć drzwi.

Muszę poprawić okulary i mocno się skupić, ponieważ nie jestem w stanie uwierzyć w to, co widzę. W progu mojego gabinetu stoi Lucas. Patrzę na jego ręce, żeby sprawdzić, czy przyniósł zwyczajowy bukiet róż. Wciągam głęboko powietrze, spodziewając się zapachu wody kolońskiej. Jeśli nic nie poczuję, uznam, że ta scena znowu mi się śni. W nosie pojawia się jednak aromat ambry z pikantną nutą, a do tego słaba woń alkoholu i aromat owoców przywodzący na myśl używany przez Lucasa lakier do włosów. Czuję dziwny ciężar na ramionach i widzę wszystko jak przez mgłę. Lucas nie ma przy sobie kwiatów, ale trzyma w rękach szarą kartonową tackę z czterema kubkami kawy na wynos. Gorący napój pachnie karmelem i wanilią.

Miałam podobny sen już wiele razy i zdaję sobie sprawę, że powinnam się bać. Wiem, że najlepiej zatrzaskać drzwi i wezwać na pomoc Davida, ale nie jestem w stanie się ruszyć. W pewnym momencie orientuję się, że Lucas przyniósł kawę na przeprosiny i zapewne chce się pogodzić. Czas mija, a ja nie wiem, jak długo tak sterczę.

– Cześć, Sam – odzywa się Lucas słabym, zachrypniętym głosem, który przypomina dźwięk miękkiej wody spadającej na mokre kamienie. Mam wrażenie, że coś wnika do pokoju jak gęsta mgła.

– Nie mogę... – Nie witam się z nim i nie mam na podorędziu żadnej wymówki. Staram się jakoś otrząsnąć z szoku i sklecić pełne zdanie. Muszę się go jak najszybciej pozbyć.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie powinienem tu przychodzić, ale musiałem się z tobą zobaczyć. Nie odpowiadasz na moje wiadomości, jednak wiedziałem, gdzie cię znaleźć.

Jego słowa działają na mnie ożywiająco i mam wrażenie, że z mojego mózgu opada wreszcie pajęczyna.

– Pod żadnym pozorem nie możesz tu zostać. To naruszenie prywatności i jeśli zaraz stąd nie znikniesz, wezwę ochronę.

– Okay, okay. – Podnosi do góry ręce w obronnym geście. – To zajmie tylko chwilkę. Obiecuję!

– W ogóle nie chcę cię widzieć, rozumiesz? I nie mam ci nic do powiedzenia. Spadaj!

– Proszę cię tylko, żebyś mnie wysłuchała i wypła ze mną kubek kawy.

– Nie ma mowy. Musisz stąd zniknąć.

– Przyniosłem najlepsze smaki: jest karmel, wanilia oraz czekolada z miętą. Wybierz, na co masz ochotę. Możesz też wypić wszystko, tylko błagam, pozwól mi wejść, przynajmniej na chwilę. – Wskazuje kartonową tacką na krzesło dla pacjentów i zaczyna się przeciskać obok mnie. Między dwa kubki wetknięta jest przepustka dla gości. Mam nadzieję, że wpuszczając mojego byłego chłopaka na teren szpitala, Raul gruntownie go przeszukał.

Lucas stawia kawę na rogu biurka i zatrzymuje się obok krzesła, czekając, aż pozwolę mu usiąść. Trzyma ręce na udach i ma zmarszczone czoło. Przymykam drzwi, a on traktuje to jak zaproszenie. Podciąga nogawki i siada, ciężko wzdychając, po czym rozgląda się po moim gabinecie, jak gdyby chciał się zorientować w sytuacji. W pewnym momencie odwraca się, żeby wyrzeć przez okno, i wyobrażam sobie, że na budowie po drugiej stronie ulicy dochodzi do wypadku: przez okno wpada do mojego gabinetu wielka drewniana belka i rozgniata głowę Lucasa na drobną miazgę.

Przysuwam do siebie krzesło i stawiam je obok drzwi, które wciąż są lekko uchylone. Dzięki temu jeśli tylko podniosę głos, na pewno ktoś mnie usłyszy. Prawą stopą wyłączam generator szumów, który ma zagłuszać rozmowy prowadzone podczas sesji terapeutycznych. Serce wali mi jak oszalałe i co chwilę muszę sobie przypominać, że to się dzieje naprawdę. Wiem przecież, że podobny koszmar śnił mi się już tyle razy wcześniej.

Rzucam okiem na stojący na biurku zegar: 15.21.

– Masz cztery minuty, a potem wzywam ochronę.

– Spokojnie, na początek napij się kawy. – Lucas przesuwa tackę w moją stronę, ale ja nawet się nie ruszam. – Okay, w porządku. – Wyciąga kubek z napisem „karmel” i zdejmuje pokrywkę, po czym dmucha, żeby ostudzić napój, który na pewno jest już zimny. – Przyszedłem, żeby się z tobą pogodzić.

– Nie ma potrzeby. Ja się nie gniewam.

– Dobrze, ale mimo wszystko chciałbym wyjaśnić parę spraw. Nadal jest mi bardzo przykro z powodu tego, co się stało.

– To twój problem, a nie mój.

– Tak, to prawda, ale mogę go rozwiązać, tylko jeśli będziesz na tyle życzliwa, żeby mnie wysłuchać. Pracuję nad sobą i chcę zostać lepszym człowiekiem, jednak potrzebuję twojej pomocy. Zresztą na tym polega twoja praca. Czy psycholog może odprawić z kwitkiem człowieka, który prosi o wsparcie? – Szeroko się uśmiecha i wypija łyk kawy. Co za dupek!

– Normalnie mi za to płacą. Poza tym nie jesteś moim pacjentem.

– Okay... – Sięga do tylnej kieszeni i wyciąga portfel z cielęcej skóry. – Ile się należy za czterominutową konsultację? Dwadzieścia dolarów? – Kładzie na biurku złożony na cztery nowiutki banknot i wkłada portfel z powrotem do spodni.

Bez namysłu wyciągam rękę i wrzucam dwudziestodolarówkę do kubka z kawą.

– Powtarzam: nie jesteś moim pacjentem. Zostały trzy minuty.

– Co za wspaniałomyślność. – Stawia kubek na biurku, ale nie wyjmuje z niego mokrego banknotu, tylko sięga po chusteczkę i wyciera plamy ze swojej koszuli marki Thomas Pink. – Zacząłem się z kimś spotykać...

Chodzi o romans czy terapię? Nie potrafię zdecydować, która z tych możliwości jest bardziej wkurwiająca.

– Ta osoba myśli, że najlepszym sposobem na poprawę mojej sytuacji jest rozmowa i przepracowanie tego, co się między nami wydarzyło. Powinniśmy się wzajemnie zrozumieć.

– Ja nie potrzebuję żadnych wyjaśnień. Jesteś kompletnym dupkiem, ale na szczęście teraz rujnujesz życie komuś innemu. – Albo kochance, albo jakieś biednej terapeutce.

– Czyli mówiąc krótko, nie masz zamiaru zmienić nastawienia?

– Nie. Zostały dwie minuty.

– W jaki sposób mam naprawić swoje błędy? Przecież nie chcesz, żebym zasypywał cię SMS-ami i przychodził do twojego biura. Jak zamierzasz to skończyć?

– Zakaz zbliżania się?

– Mówię serio, Sam. Naprawdę nie chcę ci się naprzykrzać, ale jeżeli mam znowu wyjść na prostą, musisz podać mi rękę.

– To zupełnie bez sensu. Jeśli chodzi ci o tak zwane „domknięcie”, znajdziesz je po drugiej stronie drzwi. Skończyłam naszą rozmowę i nie mam zamiaru do niej wracać, ani w bliższej, ani w dalszej przyszłości.

Gdybyś jednak nadal mnie nagabywał, pójdę na policję i będę wnioskować o sądowy zakaz zbliżania się. Twoje życie zamieni się w koszmar. Wyrzuciłeś już wystarczająco dużo szkód. Czas najwyższy, żebyś podwinął ogon i stąd spadał. Masz jedną minutę.

– A więc odmawiasz? Nie zamierzasz udzielić pomocy tonącemu?

– Nieźle kombinujesz.

– Wcale nie kombinuję. Chciałbym tylko mieć w tej kwestii pełną jasność: proszę o wsparcie, a ty mnie odtrącasz?

– Właśnie tak, lepiej bym tego nie ujęła. Czas się skończył. – Sięgam po telefon i bez najmniejszego wahania wybieram numer do ochrony. Nie czekam, aż Lucas wstanie, żeby mnie powstrzymać albo zaprotestować. Odbiera Raul, przedstawia się i pyta, z kim rozmawia.

– Cześć, Raul, tu doktor James. Czy możesz przysłać kogoś na górę? Mam gościa, który dość niechętnie zbiera się do wyjścia. – Wcale nie żartuję i nie odrywam wzroku od Lucasa, żeby był tego w pełni świadomy. – Dziękuję, Raul. Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

Lucas podrywa się z krzesła i wygładza spodnie, po czym narzuca na ramiona ciemnografitowy płaszcz z kaszmiru, prostuje się i spogląda na mnie z pogardą.

– Myślałem, że masz w sobie więcej klasy, Sam.

Odstawiam krzesło, żeby zrobić mu przejście, i delikatnie otwieram drzwi. Lucas na chwilę przystaje i rozgląda się po moim gabinecie. Podchodzi do biurka, wyciąga swoją długą wymanikiowaną dłoń i niby niechący przewraca kubek. Wypada z niego mokry banknot, a kleista kawa zalewa blat i krzesło dla pacjentów.

– Ojej! – mówi i wychodzi na korytarz. Z oddali słyszę kroki zbliżającego się Raula.

3 MARCA, 13.14

Zastanawiałam się, czy zajrzeć do Davida, ale uznałam, że muszę się przewietrzyć, i poszłam do parku Riverside. O tej porze roku dni stają się dłuższe, a słońce mocniej świeci, jednak wciąż jest dość chłodno. Staram się głęboko oddychać, żeby oczyścić organizm. Świeże powietrze łaskocze mnie w nos.

Siadam na zielonym składanym krzeselku i obserwuję ludzi. Obok mnie stoi duży znak z napisem „Zakaz palenia”. Dochodzę do wniosku, że to doskonałe miejsce na zgaszenie papierosa. Odstawiłam alkohol i przestałam sypiać z nieodpowiednimi facetami, ale nadal lubię zaciągnąć się nikotyną. Co chwilę mijają mnie pędzący gdzieś ludzie. Mają opuszczone głowy i są ubrani w zbyt cienkie kurtki jak na taką pogodę. Chyba chcą w ten sposób przyspieszyć nadejście wiosny. Żeby się rozgrzać, dmuchają w kubki z gorącą kawą albo idą skuleni, obejmując się rękami.

Patrzę na przechodniów i zapalam następnego papierosa. W pewnym momencie napotykam wzrok bezdomnego mężczyzny, który siedzi po drugiej stronie ścieżki. On również pali, ale z jakiegoś powodu wskazuje ręką na znak zakazu. Ma na dłoniach dwie pary rękawiczek: czarne bez palców i szare z palcami. Zastanawiam się, jak jest w stanie tak zręcznie wymachiwać ćmiącym się niedopałkiem. Wkładam swojego papierosa między zęby i odwracam znak tak, żeby żadne z nas go nie widziało. Mężczyzna szeroko się uśmiecha i unosi do góry kciuk, po czym wystawia twarz do słońca.

Bardzo dawno nie siedziałam w parku w taką pogodę. Kiedy jeszcze dużo piłam, starałam się unikać światła. W dzień leczyłam kaca i klęczałam nad muszlą klozetową albo kubłem na śmieci. Nie byłam też w stanie dobrze zamaskować siniaków i prawdy o Lucasie. No i nie mogłam całować się z nieznanymi facetami. Mam wrażenie, że przez całe życie gdzieś się chowałam, ponieważ niektóre sprawy musiały pozostać w ukryciu. Zawsze byli też ludzie, z którymi nie mogłam się publicznie pokazywać. Teraz czuję się naga i bezbronna. Kiedy w październiku pojawił się Richard, miałam przeczucie, że dokona się jakaś istotna zmiana. Nie podejrzewałam jednak, że dotknie ona również mojego wnętrza. Poznałam go mniej więcej w tym samym czasie, gdy coś zaczęło się dziać z moim starym ja, czyli męczenniczką, supermanką, ofiarą losu i karykaturą samej siebie w jednej

osobie. Zawsze miałam dobrą wymówkę: za swoje wysoki mogłam obwiniać alkohol. Byłam w sztok pijana. Na trzeźwo nigdy bym tak nie postąpiła. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby użalać się nad sobą, odgrywać rolę ofiary i nie brać za nic odpowiedzialności. Teraz, kiedy zerwałam z twarzy wszystkie maski, pozostała tylko naga prawda. Najwyższy czas znaleźć grunt pod nogami.

Muszę wracać do pracy. Wstaję z krzeselka i rzucam na chodnik do połowy wypalonego papierosa. Czuję się wysoka, wyższa niż kiedykolwiek wcześniej. Mam wrażenie, że zdjęłam ciężki plecak, który przygniatał mnie do ziemi, i wreszcie mogę się wyprostować.

W wejściu spotykam Raula i przybijam z nim piątkę. Do mojego gabinetu wpada słońce i jest przyjemnie ciepło. Siadam przy biurku i od razu robię się senna. Wiem, że zaraz odpłynę.

Z zadumy wyrywa mnie brzęczenie telefonu. Po trzecim dzwonku chwytam za słuchawkę.

– Halo? – warczę.

– Doktor James?

– Tak, tak, to ja – mówię, lekko się jąkając, i od razu się ożywiam.

– Dzień dobry, tu Mark Sloan.

– O, dzień dobry. Nie spodziewałam się, że pan do mnie zadzwoni.

– Ma pani chwilkę czasu?

– Tak, oczywiście. – Odchyłam się na krześle i wypijam łyk kawy z brudnego kubka.

– No cóż, po naszej ostatniej rozmowie pogrzebałem trochę w archiwum.

– I udało się coś znaleźć?

– Tak. Ciągle mam kontakt z paroma osobami z Ogdensburga. Ze starych pracowników została zaledwie garstka, ale są tam jeszcze ludzie, których kiedyś znałem. W aktach pochodzących sprzed ery internetu panuje bałagan, jednak przy odrobinie wysiłku można zlokalizować wszystkie papiery. Podejrzewam, że to bardzo użyteczne, szczególnie jeśli bawimy się w detektywów.

– Na pewno. Przepraszam, że muszę panu przerywać, ale analizowałam to, co pan ostatnio powiedział, i nadal mam wiele wątpliwości. Jaką diagnozę postawiono Richardowi? Uzyskał pan dostęp do tych dokumentów?

– Tak, właśnie ich głównie poszukiwałem. Richard chorował na depresję i miał zespół stresu pourazowego. Powinna znaleźć pani taką informację w więziennych aktach. Szpital nie dostał tych dokumentów?

– Nie, prawie nic nie mamy i właśnie to mnie niepokoi. Rozumiem, że została postawiona diagnoza, ale to było wiele lat temu. Od czasu, kiedy Richard wyszedł na wolność, nie pojawiły się żadne nowe okoliczności.

– Naprawdę? – Mark Sloan wydaje się być lekko dezorientowany.

– Nie jestem w stanie stwierdzić, co mu dolega. Richard nie zdradza żadnych objawów i wszystko wskazuje, że nie jest na nic chory – tłumaczę z nadzieją, że doktor Sloan wreszcie pojmie, o co mi chodzi.

– Uhm...

Nadzieja matką głupich.

– W takim razie co robi w szpitalu?

– No tak.

Doktor Sloan jest wyraźnie zbity z tropu.

– No cóż, chyba musi pani z nim o tym porozmawiać. – Kolejna ślepa uliczka.

– Okay. – Głośno wzdycham, ponieważ mam wrażenie, że Richard ciągle mi się wymyka. – O czym chciał mnie pan poinformować?

– Znalazłem coś, ale ten dokument nie pochodzi z Ogdensburga. To notatka służbowa sporządzona w zakładzie penitencjarnym w Green Haven. Pytała mnie pani, czy Richard miał przyjaciół lub jakichkolwiek gości.

– Tak. Czy z tej notatki wynika, że utrzymywał z kimś kontakty?

– Kilka razy odwiedzała go jakaś blondynka, ale on nigdy nie chciał się z nią spotkać. Przechodziła przez kontrolę bezpieczeństwa i siedziała w poczekalni, lecz wszystko na nic.

– Blondynka? Drobnej budowy ciała? Czy dotarł pan do jakichś szczegółów?

– Owszem, znalazłem coś bardzo interesującego. Ta kobieta była w ciąży.

Chociaż przed południem mieliśmy już jedną sesję, Richard ponownie zajrzał do mojego gabinetu. Teraz siedzi na krześle i czeka, aż zatwierdzę propozycje zmian w jego harmonogramie. Był już u mnie wiele razy, lecz dzisiaj wszystko wygląda inaczej.

Odkładam papiery i wyglądam przez okno. Po drugiej stronie ulicy od dawna trwa renowacja starego domu i właśnie zaczęli demontować rusztowanie. Co chwilę słychać odgłos desek rzuconych na ciężarówkę. Richard bacznie mi się przygląda, ale w pewnym momencie jego wzrok pada na uwijających się na budowie robotników.

– Chyba skończyli, prawda? – mówi.

– Tak – odpowiadam. – Wreszcie im się udało. Kamienica świetnie teraz wygląda. Przede wszystkim jest o wiele czystsza.

– Zupełnie jakby ktoś tchnął w nią nowe życie.

– Słuchaj, ostatnio coś nie daje mi spokoju. – Kładę na biurku długopis i zdejmuję okulary. – Jesteśmy do siebie bardzo podobni. Zawsze ślepo wierzyliśmy w to, jak postrzegają nas inni ludzie. A oni widzieli w nas kogoś, kim nie byliśmy. Z ciebie zrobili potwora, a ze mnie supermankę. Jednak koniec końców jesteśmy tylko ludźmi i powinniśmy rozmawiać jak równy z równym. Sam tak powiedziałeś.

– Pamiętaj jednak, że potwory nie istnieją. Superbohaterowie zresztą też nie. – Uśmiecha się do mnie porozumiewawczo i wkłada czapkę na głowę.

Odwzajemniam uśmiech i podaję mu podpisany dokument. Wsuwa kartkę papieru do kieszeni i otwiera drzwi.

W progu stoi Shawn. Wygląda na zaniepokojonego, myśli pewnie, że znalazł się w niewłaściwym miejscu.

– Cześć, Shawn. Richard właśnie wychodzi.

Richard przytakuje i wymyka się na korytarz.

– Aha... Okay, w porządku. Bałem się, że znowu przyszedłem o zły godzinie. – Shawn wzdycha z wyraźną ulgą, a ja wstaję, żeby zaprosić go do środka.

– Rozgość się, proszę, i połóż swoje rzeczy tam, gdzie chcesz – mówię, po czym wracam na swoje krzesło. Shawn siada i zaczyna się rozglądać

w poszukiwaniu najlepszego miejsca na plastikową torbę, w której trzyma swój cenny dobytek. Chcę mu pomóc i też lustruję wzrokiem gabinet. W pewnym momencie orientuję się, że Richard zostawił na blacie swoje gazety. Spotykamy się już od wielu miesięcy i zawsze je ze sobą zabierał, ale dzisiaj z jakiegoś powodu tego nie zrobił.

Shawn uznaje, że najlepiej będzie trzymać reklamówkę na kolanach. Przerzywa poszukiwania i patrzy na mnie, czekając na rozpoczęcie rozmowy. Kiedy otwieram usta, żeby zadać pierwsze pytanie, dzwoni telefon.

– Poczekaj chwilę, Shawn – mówię, po czym podnoszę słuchawkę. To Rachel. Utknęła na jakiejś konferencji poświęconej kwestiom administracyjnym i prosi, żebym zastąpiła ją na zebraniu, które zaczyna się za godzinę. Podnoszę palec i daję Shawnowi do zrozumienia, że potrzebuję więcej czasu. Żeby się czymś zająć, Shawn sięga po zostawione przez Richarda gazety. Sprawdzam swój kalendarz, po czym wpisuję ołówkiem kilka zmian, żeby pomóc szefowej w tarapatkach. Znowu chcę być złotą dziewczyną i mówię, że zrobię wszystko, o co mnie poprosi. Rachel gorąco mi dziękuje i kończymy rozmowę. Jestem zadowolona, ponieważ mam wrażenie, że wszystko wraca do względnej normalności.

– Przepraszam, że musiałeś tyle czekać, ale teraz poświęcę ci całą swoją uwagę. Co u ciebie słychać, Shawn?

– Hm, zastanawiałem się, dlaczego trzyma pani takie stare gazety. Przecież te wiadomości są już dawno nieaktualne. – Pokazuje mi kilka egzemplarzy z samej góry stosu, żebym sama się przekonała.

– Naprawdę? – Patrzą na okładkę „New York Timesa” z wiosny 2012 roku. Przerzucam gazety i widzę, że wszystkie pochodzą z tego samego okresu: kwiecień i maj 2012.

11 MARCA, 13.41

Zabrałam gazety do domu, ale potrzebuję siły, żeby do nich zajrzeć, więc na razie wzmacniam się kawą i napojem gatorade. Chodzę po mieszkaniu, rzucając nerwowe spojrzenia na leżącą na podłodze torbę ze starymi dziennikami, w których zaczytywał się Richard. Poprosiłam Davida, żeby do mnie zajrzał, i czekam na jego przyjście.

Na razie snuję się z kąta w kąt, szukając jakiegoś sposobu na zabicie czasu. Wszystko już posprzątałam, więc poprawiam poduszki i sprawdzam telefon. Zaglądam do łazienki i wyciągam z szafki pod zlewem lakier do paznokci, po czym siadam przy stoliku w salonie, odkręcam nakrętkę i biorę do ręki pilnik. Dopiero teraz widzę, jak bardzo trzęsą mi się dłonie.

Nagle rozlega się dzwonek. Zupełnie się tego nie spodziewam, więc aż podskakuję z wrażenia i butelecarka ląduje na podłodze. Na nogę stolika wylewa się smuga szarego gęstego lakieru. Kiedy podchodzę do wideofonu, serce wali mi jak oszałałe.

Na ekranie widzę rozmazaną twarz Davida. Naciskam guzik, żeby wpuścić go na klatkę schodową. Potem patrzę, jak stoi w holu i czeka na windę. W lewej ręce trzyma papierową torbę, a prawą odgarnia z czoła niesforne włosy.

Otwieram drzwi i staję w progu. Po kilku chwilach nadjeżdża winda i zza zakrętu wyłania się David. Podnosi wzrok i kiedy mnie widzi, jest wyraźnie zaskoczony. Nie spodziewał się, że spotkamy się już na korytarzu.

Mija mnie, podchodzi do kanapy i wyjmuje z torby kanapki owinięte w woskowany papier. Kładzie je na stoliku i siada, nie mówiąc jednak ani słowa.

– Nie chcesz wiedzieć, dlaczego poprosiłam cię, żebyś do mnie wpadł? – Przynoszę z kuchni dwa talerze i zajmuję miejsce obok niego. Zdaję sobie sprawę, że wysłana przeze mnie wiadomość była niezbyt jasna i raczej enigmatyczna. Mimo to wydaje mi się, że David nie jest tym szczególnie zainteresowany. – Nie jesteś ciekaw? Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz?

– Wiem, że zaprosiłaś mnie do siebie, bo chciałaś ze mną rozwiązać jakąś „niesamowitą” zagadkę. Nie jestem pewien, o co ci chodzi, ale martwię się i zanim zaczniemy, muszę z tobą porozmawiać, dobrze?

– Okay. – Robię zatroskaną minę, zastanawiając się, co może być ważniejsze od wyjaśnienia tajemnicy gazet sprzed pięciu lat, w których zaczytuje się mój pacjent.

David oddycha głęboko i przez chwilę bawi się papierem, w który zapakowana jest jego kanapka. Ja siedzę z podwiniętymi stopami, oparta o poręcz kanapy. Patrzę na niego, a on pochyła się do przodu i mówi:

– Kilka dni temu dostałaś ataku w moim gabinecie i od tamtej pory dużo o tym myślę.

– Uhm...

– Zdaję sobie sprawę, że według ciebie diagnoza jest jak wyrok śmierci. Boisz się, że ucierpi na tym twoja reputacja, ale ja widzę to trochę inaczej. –

Głośno wzdycha i zaczyna rozpakowywać kanapkę. Mam sucho w ustach, ale mimo to biorę kęs swojej, czekając, aż David przejdzie do rzeczy. –

Muszę przyznać, że zawsze o tym wiedziałem. Fakt, że do takich samych wniosków doszli psychiatrzy z BZP, niczego nie zmienia. – Wstaje z kanapy i idzie do kuchni po coś do picia. – Pierwszy raz widziałem cię w takim stanie, ale już dużo wcześniej wszystkiego się domyśliłem. Nie zmieniło to jednak mojego stosunku do ciebie, nawet jeśli sama myślisz teraz o sobie inaczej. – Podaje mi sprite'a, ale na mnie nie patrzy. – Tak naprawdę cieszę się, że sprawa wyszła na jaw. Dzięki temu odkryłaś wreszcie, co ci dolega. –

Odgryza kawałek kanapki i mówi z pełnymi ustami. – Muszę przyznać, że długo na to czekałem. – Powoli gryzie i przełyka, po czym przez chwilę milczy, wpatrując się w stolik. – Pomyślałem, że kiedy ogarniesz swoje sprawy i lepiej się poczujesz... – W jego głosie słyszę coraz większe wahanie. – To wtedy moglibyśmy... – Przerzywa w pół zdania i wbija we mnie błagalny wzrok.

Wiem, co ma zamiar powiedzieć, i muszę zrobić wszystko, żeby go powstrzymać. Wyciągam rękę i niezdarnym gestem usiłuję zasłonić mu usta, ale tracę równowagę i upuszczam kanapkę, która ląduje na obiciu sofy. Przez chwilę się chwieję, starając się na niego nie upaść.

– David... – Zgarniam porzrzuconą sałatę na swój talerz i próbuję ratować, co się da. Tak naprawdę jestem wdzięczna za ten wypadek, ponieważ nie muszę patrzeć na Davida. – Słuchaj, wydaje mi się, że wiem, co chcesz powiedzieć, ale chyba nie jestem jeszcze na to gotowa. – Czuję, że sytuacja robi się niezręczna i nie za bardzo potrafię prowadzić tę rozmowę. –

Potrzebuję cię teraz jako mojego najlepszego przyjaciela i na razie nie mogę być dla ciebie nikim więcej. – Prawą rękę mam pobrudzoną majonezem,

a w lewej trzymam talerz z resztkami kanapki z indykiem. David patrzy, jak niezdarnie staram się zapanować nad sytuacją. Robi przy tym dziwną minę: nie jest to ani uśmiech, ani drwina, lecz raczej coś pomiędzy, chociaż nie potrafię tego dobrze określić.

– A co niby chcę powiedzieć? – Teraz w jego głosie na pewno słyszę ironię.

– Eee... – Nagle boję się, że wszystko źle zrozumiałam. Byłam pewna, że David chce wyznać swoje uczucia, poprosić, żebym została jego dziewczyną, lub nawet się oświadczyć. W każdym razie coś w tym stylu. –

Miałeś zamiar zaproponować, żebyśmy byli... – Ze wstydu przerywam w pół zdania. Właśnie zasugerowałam coś, czego on w ogóle mógł nie mieć na myśli.

Bierze głęboki oddech i odstawia talerze na stolik, po czym ściska mnie za rękę. Całuje moją prawą dłoń i brudzi sobie usta majonezem.

– Sam, coś do ciebie czuję i chciałbym być kimś więcej niż tylko twoim przyjacielem, ale ty rzecz jasna wszystkiego już dawno się domyślałeś. Zawsze jesteś dwa kroki do przodu. Zdaję sobie sprawę, że nie jesteś jeszcze gotowa, jednak na ciebie poczekam. Czekać od sześciu lat i jeśli będzie trzeba, poczekam następne sześć albo nawet sześćdziesiąt sześć. – Jeszcze raz całuje mnie w rękę, po czym oblizuje wargi i zabiera się do swojego lunchu.

– Wiedziałeś, że chcę to wreszcie usłyszeć?

David sprawia wrażenie zadowolonego z takiego obrotu sprawy. Nie spodziewałam się, że ma w sobie tyle cierpliwości.

– Tak, wiedziałem. – Jego pewność siebie może działać na nerwy. – Dobrze cię znam. Pamiętaj tylko, że jestem blisko. Naprawdę blisko. – Uśmiecha się i niemal od razu znika niezręczna atmosfera, która wytworzyła się w moim mieszkaniu po jego przyjściu.

11 MARCA, 19.11

David stoi w kuchni i zmywa po obiedzie, nucąc motyw przewodni z jakiegoś programu telewizyjnego. Zarzucił na ramię ścierkę w niebieskie paski i po umyciu każdego naczynia starannie je wyciera i wkłada na swoje miejsce, jak gdyby mieszkał ze mną od wielu lat.

Ja siedzę na podłodze w salonie, gotowa do gruntownej analizy prasy przynoszonej do mojego gabinetu przez Richarda. Gruby plik dzienników z zagiętymi rogami wystaje z płóciennej oliwkowej torby opartej o nogę stolika, na którym wciąż widać szarą plamę po rozlanym lakierze do paznokci. Kiedy wysypuję gazety na parkiet, w powietrzu zaczyna się unosić zapach Richarda.

Gdyby Shawn nie pokazał mi dat wydania, sama nie domyśliłabym się, co jest grane. Od pięciu miesięcy Richard przynosi na nasze sesje ten sam stos gazet. Powoli zaczynam sobie przypominać fragmenty tych samych zdjęć, coraz bardziej pozaginane rogi, wytarte grzbiety i wyświechtane kartki papieru. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się temu lepiej przyjrzeć. Przecież to były niczym niewyróżniające się, zupełnie niegroźne przedmioty codziennego użytku. Dlaczego miałabym być podejrzliwa? Nigdy nie interesowało mnie, co czyta Richard. Dopiero za sprawą Shawna przejrzałam na oczy.

Teraz rozumiem, dlaczego zawsze zdejmował czapkę i kładł ją na samej górze sterty. Gdyby cały czas były widoczne te same pierwsze strony gazet, na pewno zwróciłabym na to uwagę.

Siedemnasty kwietnia 2012 roku: taka data widnieje na egzemplarzu „New York Timesa”. Obok leży „Post” z trzeciego maja. Reszta gazet też pochodzi z wczesnej wiosny 2012: mają pożółkłe strony, lekko postrzępione krawędzie i dziury w miejscach, w których były wielokrotnie składane na pół. Na marginesach dostrzegam tłuste plamy i odciski palców.

Znajduję też odręczne komentarze i samoprzylepne karteczki z notatkami, które zwykle pojawiają się na środkowych stronach. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że najwięcej jest ich w tabloidach: „Daily News” i „New York Post”.

Pismo jest drobne i często trudne do odczytania. Lwia część to bazgroły, ale czasem zdarzają się słowa celowo wykaligrafowane wielkimi literami. Krzyżówki i sudoku są w większości rozwiązane. Do kilku stron we wnętrzu

gazet przyklejone zostały skserowane arkusze papieru z notatkami napisanymi suchym, rzeczowym językiem. Na samoprzylepnych karteczkach pochodzących z różnych bloczków uwagę przyciągają reklamowe nagłówki z nazwami leków na receptę. Richard często posługiwał się skrótami i nie wszystko jestem w stanie zrozumieć. Wiem, że lektura będzie ode mnie wymagać sporo wysiłku. Przechodzi mnie dreszcz i biorę głęboki oddech, żeby się uspokoić. Nagle przed moimi oczami pojawiają się brudne trampki Davida.

– Hej, skończyłem zmywanie. Czym się teraz zajmujesz? – pyta i siada obok mnie na podłodze, po czym całuje mnie w czoło i bierze do ręki „amNewYork”.

– To są gazety Richarda. Właśnie dlatego chciałam, żebyś do mnie wpadł. W zasadzie się bez nich nie rusza i wszędzie je ze sobą zabiera. We wtorek zostawił je u mnie na biurku, więc wzięłam całą stertę do domu.

– I to jest ta wielka tajemnica?

– On nie czyta tych gazet z powodu wiadomości.

– Naprawdę? W takim razie czego w nich szuka? – David zaczyna kartkować egzemplarz „amNewYorka”. Kiedy widzi artykuł o burmistrzu Bloombergu, szybko sprawdza datę wydania. Na jego twarzy maluje się zdziwienie. – Przecież to dziennik z dwa tysiące dwunastego roku.

– Właśnie to usiłuję ci wyjaśnić. Popatrz... – Pokazuję mu gazetę z notatkami, odręcznymi dopiskami i wklejonymi do środka kartkami papieru. Okazuje się, że Richard nie czyta wcale wydrukowanych artykułów, tylko studiuje własne uwagi i komentarze.

– Co to jest?

– Dane. Informacje. Schowane w gazetach, które Richard codziennie gruntownie analizuje. Większość wyszła spod jego ręki, ale niektóre fragmenty napisał ktoś inny.

David gorączkowo przegląda kolejne numery. Nie jest w stanie skupić się na detalach lub zrozumieć poszczególnych słów, jednak szybko orientuje się, że w każdym egzemplarzu ukryte są jakieś zapiski.

– O czym to jest?

– O mnie.

Przed nami leżą rozłożone gazety Richarda. David postawił na podłodze lampę, żeby wszystko lepiej oświetlić. Przygotował też zeszyt, w którym notujemy tematy pojawiające się w zapiskach. Na razie mamy cztery: „Sam”, „BPD”, „Tyflos” i „Powrót do zdrowia”.

– Na szóstej stronie „Timesa” jest kserokopia formularza oceny psychologicznej – mówi David. – Jest niewypełniony, ale na górze znajduje się logo Tyflos. Natrafiłem też na inne dokumenty, które pacjenci dostają w ramach procedury przyjęcia do szpitala. Wszystkie są puste.

Nie potrafię stwierdzić, dlaczego Richard postanowił zatrzymać akurat te papiery, a nie inne. To dla mnie zagadka.

– Jest też coś w „Financial Timesie”. – Wygląda zza gazety, a na jego twarzy pojawia się drwiący uśmiezek. – Naprawdę uwierzyłaś, że on czyta takie rzeczy? – Skupia uwagę na notatce i poprawia okulary, które zsunęły mu się na czubek nosa. – To lista kryteriów diagnostycznych osobowości typu borderline. Część zakreślona na czerwono.

– Które?

– W zasadzie prawie wszystkie. Obok są inicjały: S.J. oraz F.W. S.J. to na pewno ty, ale kim jest F.W.?

– Frances Williams, jego matka.

– O cholera! Zrobił też o was notatki, coś w rodzaju diagnozy.

– Możesz przeczytać na głos?

– Okay, punkt pierwszy. Cytat z DSM: „Gorączkowe wysiłki uniknięcia rzeczywistego lub wyimaginowanego odrzucenia”. Obok wasze inicjały. Punkt drugi: „Niestabilne i intensywne związki interpersonalne, charakteryzujące się wahaniem między ekstremami idealizacji i dewaluacji”. Inicjały jego matki. Twoje też, ale ze znakiem zapytania. Dalej „Zaburzenia tożsamości”. Tym razem tylko Frances. Punkt czwarty: „Impulsywność w co najmniej dwóch sferach, które są potencjalnie autodestrukcyjne”. Znowu wasze inicjały, a potem strzałka w stronę bardziej szczegółowych notatek. – David mruży oczy, próbując odczytać drobne pismo na samym dole strony. – Hm, nie jestem w stanie tego odcyfrować. Pomożesz mi? – Podaje mi gazetę i przysuwa bliżej lampkę.

– Okay, spróbuję. „F.W.: alkohol, mężczyźni, papierosy, złe jedzenie”.

„S.J.: alkohol, mężczyźni i narkotyki”. To ostatnie ze znakiem zapytania. – Oddaję gazetę Davidowi. Jestem wkurzona, bo nie podoba mi się, co myśli o mnie Richard.

– Skąd on mógł wiedzieć, że tyle pijesz? I jak dowiedział się o twoich facetach?

– Pewnie znalazł jakiś sposób. Tylko popatrz. – Pokazuję Davidowi numer „Metra”, który wcześniej przeglądałam. W środku jest lista moich ulubionych knajp, dni tygodnia, w które najczęściej piję, imiona barmanów i najchętniej zamawiane drinki. Jest też spis znajdujących się w mojej okolicy sklepów monopolowych i całodobowych lokali z wyszynkiem. Obok piwa Miller Lite widzę zapisane z błędem Chablis. – Pamiętasz, jak znalazłam samoprzylepną karteczkę z moim imieniem, adresem i opisem trasy, którą codziennie rano pokonuję do pracy? Myślisz, że stąd wypadła? To była jego notatka?

David kładzie gazetę na kolanach i patrzy mi prosto w oczy.

– Na pewno. Tylko do czego mu to było potrzebne?

Pełna obaw spoglądam na Davida. Nagle przypominam sobie słowa Richarda: „Nie wszystko, czego się dowiesz, może ci się spodobać”.

Staram się zapomnieć o tym ostrzeżeniu i skupić uwagę na dalszym śledztwie.

– A co z resztą kryteriów? Gdzie one są?

– Proszę... – David podaje mi „Financial Timesa”, a sam zabiera się do analizy innych dokumentów.

Richard napisał moje inicjały przy jeszcze trzech kryteriach. Numer sześć: „Niestabilność emocjonalna spowodowana wyraźnymi wahaniami nastroju”. Numer siedem: „Chroniczne uczucie pustki”. Oraz numer osiem: „Niestosowny intensywny gniew lub trudności z kontrolowaniem gniewu”. Tak samo zdiagnozował swoją matkę, ale jej inicjały pojawiają się jeszcze przy punkcie dziewiątym: „Przelotne, związane ze stresem myśli paranoiczne lub poważne symptomy rozpadu osobowości”. U żadnej z nas nie zauważył skłonności samobójczych i nie zaznaczył piątego kryterium. Czy doszedł do tych wniosków tylko na podstawie obserwacji? Nauczył się w więzieniu wystarczająco dużo, żeby prawidłowo ocenić moje zachowanie?

Natrafiam też na spis książek i publikacji encyklopedycznych oraz notatki pełne skrótów i liczb przedzielonych kropkami. Czy to odniesienia do zbiorów bibliotecznych? A może klasyfikacja dziesiątna Deweya? Czyżby

Richard chodził do bibliotek i wszystko sprawdzał? Na kolejnych stronach odkrywam jeszcze więcej bazgrołów. Nie dotyczą one jednak tylko osobowości typu borderline, lecz także depresji i zespołu stresu pourazowego. Widzę, że Richard odznaczył poszczególne kryteria, ale nie dopisał inicjałów. Najprawdopodobniej zdiagnozował samego siebie. W końcu właśnie takie zaburzenia rozpoznano u niego, kiedy był jeszcze za kratkami.

– Okay, poczekaj chwilę. O co tutaj, do cholery, chodzi? Czy on cię śledził, zanim trafił do Tyflos? Skąd wie o barze u Nicka? Jest znajomym Sida? Poszedł tam i z nim rozmawiał?

– Wszystko na to wskazuje, nie sądzisz? Richard musiał wiedzieć, jak piję. Potem znalazł w moim gabinecie plastikową torebkę na suwak, w której trzymałam buteleczki z alkoholem. To musiało potwierdzić jego przypuszczenia.

– A faceci? Przecież zanotował coś takiego przy twoich inicjałach. Byłaś z Lucasem przez mniej więcej rok, prawda? Zdradzałaś go z kimś poza AJ-em?

– No cóż, całowałam się z paroma kolesiami, ale skąd on mógł to wiedzieć? Od jak dawna mnie obserwuje?

– Ważniejsze jest chyba, dlaczego to robi i w jakim celu ma zamiar wykorzystać te wszystkie informacje.

– Nie mam pojęcia, David. – Wydaję z siebie głośnie westchnienie. – Szukajmy dalej. – Zakładam z powrotem okulary do czytania i biorę łyk zimnego sprite'a. „Nie wszystko, czego się dowiesz, może ci się spodobać”.

Przeglądam gazety i próbuję odszyfrować nabazgrane w różnych miejscach tajemnicze zapiski i komentarze. W notesie Davida pojawia się coraz więcej uporządkowanych wniosków i coś, co zaczyna przypominać oś czasu. Na marginesach natrafiamy na kilka niewyraźnych rysunków wykonanych czarnym długopisem. Wszystkie przypominają rusztowanie.

– Cholera jasna! – David blednie i wyprostowuje się jak struna. – Właśnie znalazłem twoją roczną ocenę pracowniczą.

– Co takiego? Którą? – Wrywam mu z ręki gazetę i wbijam wzrok w znajomy dokument, na którym widnieje podpis Rachel. Niektóre fragmenty zostały zaznaczone na czerwono, a kilka słów jest specjalnie podkreślonych. Trzy razy. To kopia formularza z 2012 roku.

– Co podkreślił? – pyta David, wyciągając szyję.

– Wszystko, co potwierdza moje kompetencje. Na przykład, że „wzorowo” radzę sobie z trudnymi pacjentami. Mam „charyzmę”, jestem „urodzonym przywódcą” oraz „osobą wyrozumiałą i pełną empatii”. W części dotyczącej możliwości awansu Rachel dała mi najwyższe oceny, a obok Richard postawił czerwony wykrzyknik. Skąd on, do cholery, wziął te papiery?

– Ja trzymam u siebie kopie, a ty nie?

– Naprawdę? Takie są odgórne wymagania? – Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wynosiła z gabinetu Rachel jakieś dokumenty. Muszę jednak przyznać, że moje wspomnienia o wielu wydarzeniach z przeszłości są co najmniej mętne.

Pamiętam, że po spotkaniach poświęconych ocenom pracowniczym zawsze czułam się jak oszustka. Wydawało mi się, że jestem Wilusiem E. Kojotem: nad moją głową wisi wielkie kowadło, które za chwilę spadnie, a ja mam do dyspozycji jedynie małą parasolkę. Po takiej przygodzie z animowaną postacią zostawała mokra plama. Procedura ewaluacyjna nie kończyła się jednak tak źle: w porównaniu z miażdżącym kowadłem była jak zabłąkany liść przyniesiony przez tuman kurzu.

Niewykluczone, że mam gdzieś kopie dokumentacji, tylko gdzie je wsadziłam?

– Jezu Chryste, jeśli znalazł w moim gabinecie zapas alkoholu, to bez problemu wyszperał też papiery służbowe.

– No tak, tylko wszystko pochodzi z dwa tysiące dwunastego. Dlaczego akurat z tego roku? Czy naprawdę miał tyle czasu, żeby wybrać to, co akurat było mu potrzebne? Buteleczki schowałeś w dużym plastikowym worku na suwak. Takie coś rzuca się w oczy, ale dokumenty? W twoim pokoju pełno jest teczek i segregatorów. Skąd wiedział, co może mu się przydać? To zupełnie bez sensu. Moim zdaniem już dawno temu musiał mieć te papiery.

– Nic z tego nie rozumiem. – Upuszczam gazety na podłogę i patrzę na Davida, szukając wsparcia. Cała ta sytuacja wydaje się naprawdę absurdalna. Zafiksowaliśmy się na ekscytującym odkryciu i w ogóle nie dopuszczamy do siebie myśli, że to czyste szaleństwo. Dlaczego jeden z moich pacjentów postanowił mnie śledzić? Kiedy to się zaczęło? Mam do dyspozycji mnóstwo danych, ale nie znajduję żadnych odpowiedzi.

– Oddzielnym tematem jest kwestia przebaczenia. Popatrz... – David uznał, że nie należy tracić czasu na poszczególne znaleziska i trzeba prowadzić dalsze poszukiwania. – Tak mocno naciskał długopis, że niektóre

słowa przebijają się na następnych dwóch stronach. Na przykład „rozgrzeszenie” i „oczyszczenie”. A tutaj na dole „darowanie winy”. Przypomina to jakiś poradnik motywacyjny. Wiele notatek jest skreślonych albo poprawionych, więc trudno cokolwiek zrozumieć. Widziałaś tę krzyżówkę? „Przebaczenie samemu sobie to wolność”. Postarał się nawet, żeby pasowało do kratki.

„Przebaczenie samemu sobie”. To brzmi jak jakiś manifest. Ewangelia według Richarda. Wskazówki pozwalające zagłębić się w jego psychikę. To tutaj tkwi odpowiedź na wszystkie pytania zawarte w formularzu ewaluacyjnym.

– A kto jest autorem pozostałych notatek? To inny charakter pisma i bardziej naukowy język. – David trzyma teraz w rękach większość gazet.

– No cóż, starałam się rozwiązać tę zagadkę. W „New York Post” znalazłam bardzo dużo informacji związanych z leczeniem, ale niezbyt przydatnych dla zwykłego pacjenta. Nie natrafiłam na żadne praktyczne porady, opisy technik panowania nad emocjami lub podobne pierdoły. Natomiast pełno tam szczegółów dotyczących terapii dialektyczno-behawioralnej. Jezu Chryste! O co tutaj, kurwa, chodzi? – Staram się zapanować nad nerwami, ale ogarnia mnie coraz większa frustracja i zaczynam się bać.

– Hm, DBT to najskuteczniejsze narzędzie w leczeniu zaburzeń osobowości.

– Dziękuję za wyjaśnienie, doktorze Bloomfield! – mówię sarkastycznym tonem i wyrzucam w górę ręce. – Dlaczego w takim razie mój pacjent powtykał do gazet karteczki ze specjalistycznymi notatkami dotyczącymi sposobów leczenia zaburzeń osobowości? Może jest tym zainteresowany? W końcu jego matka cierpiała na BPD i dręczą go wyrzuty sumienia, ponieważ uważa, że nie udzielił jej pomocy i najprawdopodobniej przez to umarła! Tak, to dla mnie jasne. Rozumiem, że szuka przebaczenia i chce mieć spokojne sumienie. Tylko dlaczego wszędzie są informacje na mój temat? Co to ma ze mną wspólnego?

– O mój Boże! Wiem, czyj to charakter pisma.

– Naprawdę? Jak to odkryłeś? – Klękam, żeby zobaczyć, co znalazł.

– Chodzi o tego więziennego psychiatrę z Ogdensburga, doktora Marka jakiegoś tam. Próbowaliśmy go namierzyć, pamiętasz? Udało mu się ustalić, co się wydarzyło w życiu Richarda, chociaż nigdy ze sobą nie rozmawiali.

– Doktor Sloan? Skąd ten pomysł?

– Tylko popatrz... – David podaje mi egzemplarz „Daily News”. – Widzisz karteczkę z inicjałami M.S.? Jest przyklejona do nagłówka kserokopii listu, który zawiera odpowiedź na jakieś pytanie. Spójrz na sam początek: autor pisze, że znalazł informacje, których szukał Richard. Dalej następuje całkiem kompetentny opis sposobów leczenia BPD. Miejscami tekst jest trochę niewyraźny, ale nie powinniśmy mieć chyba żadnych wątpliwości. W rogu jest data: dwudziesty siódmy marca dwa tysiące dwunastego, czyli niedługo przed wydaniem tych gazet.

Skupiam się na lekturze wyblakłej fotokopii listu z odręcznymi komentarzami Richarda na marginesach. Na samym dole strony widać miejsce, w którym zgięto oryginał i ostatnie zdanie jest w połowie urwane. Potrafię odczytać tylko początek: „Życzę powodzenia w szukaniu...”. Niestety, brakuje reszty.

13 MARCA, 09.22

Siedzę na porannym zebraniu i wyglądam przez okno. Zza budynku naprzeciwko wychyla się słońce. Promienie oświetlają przyklejoną do szyby grubą warstwę kurzu i brudu, która sprawia, że w zasadzie nic nie widać. Mam wrażenie, że patrzę na ścianę obrzyganą przez kota.

Co chwilę drgają mi kolana. Nie zjadłam dziś śniadania, ponieważ mam problemy żołądkowe i boję się, że jedzenie od razu wyleci ze mnie drugą stroną. Wypiłam za to mnóstwo kawy i walczę ze szczękościskiem.

W torbie mam gazety Richarda. Co jakiś czas spoglądam nerwowo pod stół konferencyjny, żeby sprawdzić, czy z torbą wszystko w porządku. Boję się, że jeśli tylko nadarzy się okazja, gazety wyskoczą i uciekną gdzie pieprz rośnie. Mam nadzieję, że Rachel szybko skończy zebranie i będę mogła poszukać swojego pacjenta.

Nie jestem w stanie się skupić, ale zdaję sobie sprawę, że szefowa i reszta personelu omawiają jakieś prozaiczne kwestie związane z sytuacją na oddziale. Czuję się jak Charlie Brown, który gapi się na kostki nauczycielki, a wokół słychać tylko monotony szmer rozmów. Działam na zwolnionych obrotach, chociaż życie wokół mnie toczy się w normalnym tempie.

W pewnym momencie widzę, że koledzy i koleżanki zbierają swoje rzeczy, porządkują notatki, wyciągają klucze z kieszeni i zaczynają zbierać się do wyjścia. David kiwa głową w moją stronę, a ja wypijam ostatni łyk kawy i przerzucam torbę przez ramię. Zanim ktokolwiek do mnie zagada, wypadam na korytarz i szybkim krokiem ruszam w kierunku swojego gabinetu.

Wyjmuję dokumenty Richarda ze stojącej obok komputera drucianej podstawki i delikatnie kładę je na biurku, po czym spoglądam na swoją koszulę: serce wali mi tak mocno, że materiał porusza się w górę i w dół, a od nadmiaru kofeiny trzęsą mi się ręce.

Pierwsza luźna kartka, którą znajduję w teczce, to kserokopia tygodniowego planu zajęć. Kilka razy mrugam, żeby lepiej się skoncentrować, i sprawdzam, co Richard robi w poniedziałki o dziesiątej rano. Choćbym nie wiem jak się starała, nigdy nie udaje mi się zapamiętać grafiku swoich pacjentów. Wyteżam wzrok i widzę, że Richard przebywa najprawdopodobniej w sali komputerowej, kilka kroków od mojego gabinetu. Stojący na biurku zegar wskazuje za sześć dziesiątą.

Uznaję, że najlepiej będzie wykorzystać ten czas na ostatnie przygotowania. Ostrożnie wyjmuję gazety z torby, żeby nie uszkodzić sfatygowanego papieru. Razem z Davidem staraliśmy się zostawić notatki i karteczki dokładnie tam, gdzie umieścił je Richard. Zapamiętałam też kolejność ułożenia poszczególnych dzienników. Richard jest bardzo skrupulatny: krawędzie gazet są zawsze wyrównane i nic nigdzie nie wystaje. Dokładałam więc wszelkich starań, żeby stos wyglądał tak, jak gdyby to właśnie on położył go na rogu biurka, blisko swojego krzesła.

Ostatni raz czułam się tak bardzo zdenerwowana tuż przed naszym pierwszym spotkaniem, kiedy wszyscy spekulowali na temat przestępstw popełnionych przez nowego pacjenta, jego zachowania i tego, czy kogoś zabije. Mam wrażenie, że krzątam się już od wielu godzin, jednak kiedy patrzę na zegar, jest dopiero za cztery dziesiąta.

Otwieram butelkę wody i zaczynam wolno pić, głęboko oddychając przez nos, żeby zachować spokój i należycie przygotować się na to, co się niedługo wydarzy. Chociaż wydaje mi się, że czas się zatrzymał, to jednak mijają kolejne sekundy i na cyfrowym wyświetlaczu 09.59 zmienia się wreszcie na 10.00. Odstawiam krzesło i wychodzę na korytarz.

Richard siedzi na krześle i patrzy na ekran spod przymrużonych powiek. W sali komputerowej jest jeszcze dwoje pacjentów: Barry i Tashawndra. Tashawndra przesuwą myszką po stole, ale monitor jest wyłączony. Powinna tu być jeszcze Shirley, ale nigdzie jej nie ma.

Nagle Richard odwraca głowę, ale kiedy mnie widzi, nie zmienia wyrazu twarzy, tylko wskazuje palcem na siebie i pyta bezgłośnie: „Ja?”. Przytakuję i przekrzywiam głowę, wskazując na swój gabinet. Richard jeszcze raz rzuca okiem na ekran, zamyka stronę, którą przeglądał, i wyłącza komputer. Kiedy przysuwa do biurka jasnoniebieskie plastikowe krzeselko, odgłos szurania przyciąga uwagę Barry’ego.

Barry odkręca się i łapie za oparcie krzesła, żeby zobaczyć, kto narobił tyle hałasu. Wbija wzrok w Richarda i obserwuje, jak ten wstaje i do mnie podchodzi. Barry wreszcie się orientuje, o co chodzi, i zaczyna entuzjastycznie machać do mnie ręką. Lekko się uśmiecham i wyprowadzam Richarda z sali.

Przygotowywałam się do tej rozmowy od czasu, gdy razem z Davidem zarwaliśmy noc, próbując rozwikłać zagadkę Richarda i jego gazet. Teraz, kiedy nadszedł decydujący moment, nie jestem w stanie znaleźć właściwych słów, a głos grzęźnie mi w gardle.

Richard siedzi naprzeciwko i patrzy na mnie z niewyraźną miną.

– Byliśmy dzisiaj umówieni na sesję?

Gapię się na niego, starając się coś wykrztusić, i zupełnie nieświadomie przenoszę wzrok na stos gazet.

– Aha. – Richard orientuje się, co przyciągnęło moją uwagę. Zerka na biurko, po czym znowu patrzy na mnie. – O to ci chodzi?

– Tak, właśnie o to. – Mam wrażenie, że skrupulatnie przygotowane pytania i błyskotliwe komentarze uciekają z mojej głowy, zeskakują na podłogę i rozbiegają się w popłochu.

Richard bierze kilka głębokich oddechów i splata ręce na brzuchu. Wygląda przez okno i przez chwilę obserwuje znajdujący się po drugiej stronie ulicy plac budowy, czyli świeżo odremontowaną fasadę z resztką rusztowań, na których wala się jeszcze jakieś żelastwo.

– Wszystko przeczytałaś? – Odchyła się niedbale na krześle, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z wagi tej rozmowy.

– Owszem, przynajmniej fragmenty, które byłam w stanie odcyfrować.

– I co?

– To jest twoje pytanie? Śledziłaś mnie? Zbierałaś informacje na mój temat? O co w tym wszystkim chodzi? Czy ty w ogóle jesteś pacjentem? – Znika gdzieś spokój i zaczynam tracić nad sobą kontrolę.

– Ej, spokojnie! – Wyprostowuje się i patrzy mi prosto w oczy. – Oczywiście, że jestem pacjentem! Nazywam się Richard McHugh i nigdy nie kłamię. To znaczy, nigdy ciebie nie oszukałem. W każdym razie nie bezpośrednio.

– Co próbujesz mi przez to powiedzieć? – Zalewam się potem i drgają mi kolana. Żałuję, że wypiałam tyle kawy.

– Dostałem się do tego ośrodka nie do końca uczciwymi metodami – mówi, pocierając nerwowo kciuki.

– Nie do końca uczciwymi? Czyli nie jesteś pacjentem! – Cofam się na krześle w stronę drzwi. Znowu czuję strach, tak jak za pierwszym razem, gdy pojawił się w moim gabinecie.

– Formalnie rzecz biorąc, jestem. Dostałem skierowanie od psychiatry, jednak nie był to warunek otrzymania zwolnienia warunkowego. Przecież wyszedłem z więzienia kilka lat temu. Dlaczego mieliby mnie teraz wysyłać do wariatkowa? Powinnaś chyba zdawać sobie z tego sprawę. I jeszcze jedno: tak naprawdę nie wymagam leczenia. – Podnosi w górę ręce, jak gdyby się poddawał.

– W takim razie co ty tutaj robisz? I w jaki sposób udało ci się dostać do szpitala?

– To nie było wcale takie trudne. Wystarczy, że jeden lekarz zadzwoni do drugiego, a potem należy wypełnić parę formularzy i gotowe.

Próbuję głęboko oddychać, ale przychodzi mi to z trudem, ponieważ czuję, że smarki zablokowały lewą dziurkę nosa i wydobywa się z niej dziwny świst. Wyciągam papierowe chusteczki ze stojącego na biurku pudełka i próbuję wydmuchać nos. Głośno smarkam i widzę, że wyprowadzam tym Richarda z równowagi. Na jego twarzy maluje się obrzydzenie.

– Uspokój się, Sam.

– Zdajesz sobie sprawę, że ludzie trafiają do Tyflos, ponieważ naprawdę potrzebują pomocy? – mówię nieprzyjemnym tonem, przyciskając chusteczkę do twarzy. – Chcą się leczyć i wyjść stąd w lepszym stanie, niż kiedy tu trafili. Nie mam pojęcia, jakie chore myśli chodzą ci teraz po głowie, ale mam wrażenie, że kierujesz się wyłącznie egoistycznymi pobudkami! Wiesz, że takim zachowaniem utrudniasz terapię innych pacjentów? Czy ty w ogóle się nad tym zastanawiałeś? Kłamałeś i oszukiwałeś, żeby wykorzystać system do własnych celów, ale jednocześnie zrujnowałeś życie niewinnych ludzi!

– Nie, szczerze mówiąc, nie przyszło mi to do głowy. – Jego opanowanie jaskrawo kontrastuje z moją niechęcią i wybuchem złości. Mam wrażenie, że jesteśmy postaciami z dwóch zupełnie różnych filmów.

– Co ty sobie myślisz? Oczekuję wyjaśnień! – Uderzam otwartymi dłońmi w leżący na biurku stos gazet, ale jak na złość nic nie spada na podłogę.

– Mam zamiar wszystko wytłumaczyć, tylko najpierw musisz się

uspokoić. Uwierz mi, to nie jest dla mnie łatwe. Odpowiem na twoje pytania pod warunkiem, że opanujesz nerwy. – Krzyżuje ramiona na piersi, dając mi do zrozumienia, że na razie zakończył rozmowę.

Wciągam bardzo głęboko powietrze i mówię:

– Kontynuuj, proszę. Obiecuję, że będę już spokojna. – W środku wszystko się we mnie gotuje. Mam ochotę złapać go za ramiona i tak długo potrząsać nim, aż wydusi z siebie prawdę. Muszę zrozumieć, po jaką cholere od tyłu miesiąc przesiaduje w moim gabinecie i zawraca mi głowę.

Richard opuszcza ręce i ponownie zabiera głos:

– Okay. Dziękuję. Jak już wcześniej mówiłem, dostanie się do szpitala psychiatrycznego nie jest wcale takie trudne. Potrzebny jest tylko odpowiedni człowiek, który wystawi skierowanie. Nigdy nie kłamałem, Sam. Nigdy nie powiedziałem niczego, co było niezgodne z prawdą. Chciałbym, żebyś była tego świadoma.

– Doktor Mark. To on jest „odpowiednim człowiekiem”, prawda? To on cię tutaj przysłał?

– Tak. Po wyjściu z więzienia nadal utrzymywałem z nim kontakt. Powiedziałem mu, że potrzebuję leczenia i staram się znaleźć jakiś dobry ośrodek. Wybrałem Tyflos.

– Twierdziłeś, że kiedy odszedł z pracy w Ogdensburgu, nigdy więcej się z nim nie spotkałeś.

– Tak, masz rację. Rzeczywiście coś takiego mówiłem. Przepraszam. Nie mogłem jednak pozwolić, żebyś dowiedziała się, co jest grane, zanim będę gotowy.

– Gotowy? Na co gotowy? Powiesz mi wreszcie prawdę, do jasnej cholery? – Mam ochotę wybuchnąć płaczem, zrobić scenę i tupać nogami, żeby zmusić go do odpowiedzi na moje pytania!

– Tak. Gotowy, żeby wszystko wyjaśnić.

– I co?

– No cóż, wydaje mi się, że nie mam wyjścia. Znalazłaś moje gazety i przeczytałaś notatki. Nie chcę wywoływać w tobie strachu i mieszać ci w głowie. Najwyższy czas wszystko wytłumaczyć. – Wyciąga przed siebie ręce w uspokajającym geście.

– Jak mogę się nie bać? Cały czas myślę o tym, żeby wezwać ochronę. Uważnie przestudiowałam twoje zapiski. To było dziwne doświadczenie.

Czuję, jakbyś wszedł z butami w moje życie. Czego niby miałam się dowiedzieć? Uważasz, że znalazłam tam odpowiedzi? Nie, mam teraz jeszcze więcej pytań. – Zrywam się na równe nogi i ze złością kopię generator szumów. Dopiero teraz orientuję się, że straciłam nad sobą panowanie i zaczęłam krzyczeć.

– Może będzie łatwiej, jeśli sama zapytasz mnie o kwestie, które cię interesują?

Opadam na krzesło, dysząc ze złości.

– Ale ja nic nie rozumiem! Do czego były ci potrzebne szczegółowe kryteria diagnostyczne, na przykład DSM?

– Musiałem wiedzieć, jak się zachowywać, a ostatnio szwankuje mi pamięć. Kiedy naprawdę cierpisz na depresję, nie ma potrzeby niczego udawać, ale jeśli poczujesz się lepiej, nagle zapominasz, jak to wcześniej wyglądało. Nie miałem wyboru i musiałem przekonująco odegrać swoją rolę. Dowiedziałem się, że jesteś w tym szpitalu najlepszym psychologiem. Nie było wątpliwości, że jeśli się nie postaram, szybko mnie przejrzysz.

– Sporządziłeś więc listę kryteriów, żeby symulować depresję i zespół stresu pourazowego? To wszystko było kłamstwem?

– Nie, Sam. Chyba mnie nie słuchasz. – Richard robi sfrustrowaną minę i gwałtownie kręci głową. – Nie okłamywałem cię.

– Naprawdę zabiłeś swoją matkę czy tylko wciskałeś mi kit? – Mam wrażenie, że pokój zaczyna wirować i niczego już nie jestem pewna.

– Wszystkie wydarzenia, o których ci opowiedziałem, rzeczywiście się wydarzyły. Nie pominąłem żadnych szczegółów i ani razu cię nie oszukałem.

– Ale na oddziale byłeś zmuszony odpowiednio się zachowywać. W przeciwnym razie zostałbyś zdemaskowany.

– Na tym polegał mój plan. Okazało się jednak, że nie muszę się do niczego zmuszać. Nigdy nie miałem wrażenia, że gram jakąś rolę. Byłem sobą. W szpitalu psychiatrycznym łatwo popaść w depresję.

– W takim razie dlaczego tu jesteś? Przecież sam powiedziałeś, że nie pasujesz do tego miejsca. – Chowam głowę między kolanami i odjeżdżam na krześle najdalej od Richarda, jak się da. Przed oczami migają mi fragmenty notatek, przypomina to kalejdoskop: obrazy zmieniają się tak szybko, że nie jestem w stanie skupić się na szczegółach. A przecież wydawało mi się, że mam do przekazania tyle przenikliwych uwag. Kręci mi

się w głowie i wciąż nie znalazłam żadnych odpowiedzi. Niewiele z tego wszystkiego rozumiem.

Richard milczy jak zakłęty. W pewnym momencie splata palce i pochyla się w moją stronę, krzyżując nogi pod krzesłem.

– Pisałeś coś o przebaczeniu. – Podnoszę głowę, żeby zobaczyć jego reakcję. Skupiam uwagę, żeby przypomnieć sobie konkretne pytania, które chciałam mu zadać. Richard wykazuje chęć współpracy i stara się jasno wyrażać, co sprawia, że trochę się uspokajam. Mówi powoli i z namysłem, żebym dobrze go zrozumiała.

– Owszem. To był cytat z doktora Marka. Kiedy przebywałem w ośrodku resocjalizacyjnym Revelations, było ze mną źle. Wyjście z więzienia okazało się trudniejsze, niż mi się wydawało. Oczekiwałem, że wolność da mi nową energię i jakoś odbuduję swoje życie, ale tak się nie stało. W ogóle nie poczułem się z czegokolwiek wyzwolony. Niezależnie od tego, ile książek przeczytałem, ile mądrych zdań wypowiedziałem na głos i ile razy zapewniłem sam siebie, że mogę iść do przodu, nie byłem w stanie ruszyć z miejsca. Wydawało mi się, że mój wyrok wcale się nie skończył. Nie miałem nikogo bliskiego, ponieważ własnymi rękami zabiłem ostatniego członka rodziny. Było naprawdę źle. Bałem się, że nigdy nie poczuję się lepiej. Zadzwoiłem do jedynej osoby, z którą łączyła mnie jakaś więź, czyli do doktora Marka. Umówiliśmy się na coś w rodzaju telefonicznej terapii. Uznał, że nie powinienem opuszczać Revelations, ponieważ potrzebuję spokojnego azylu, w którym będę mógł dojść do zdrowia. Rozmawialiśmy ze sobą co tydzień.

– Teraz rozumiem, dlaczego tak dobrze cię zapamiętał. Nigdy nie wspomniał jednak o tym, że był twoim terapeutą. Czemu?

– No cóż... – Richard patrzy na swoje stopy i nerwowo pociera kciukami.
– Kiedy dowiedziałem się, że planujesz się z nim skontaktować, byłem naprawdę zdenerwowany. Chciałem ci utrudnić zadanie i powiedziałem, że nie potrafię sobie przypomnieć jego nazwiska. Potem do niego zadzwoniłem i poinformowałem go, że nie jestem jeszcze gotowy na rozmowę z tobą. Poprosiłem, żeby nie dzielił się z tobą żadnymi historiami związanymi z moją przeszłością. Oświadczył, że nie może cię okłamywać i nie chce mieć z tym nic wspólnego. W końcu obiecał, że będzie ci dawał tylko ogólnikowe odpowiedzi. Chyba jednak mijałem się z prawdą częściej, niż mi się wydawało. Przepraszam. Nie miałem takich zamiarów.

– Mam nadzieję, że za chwilę wszystko mi wytłumaczysz.

– To właśnie doktor Mark sprawił, że zacząłem myśleć o przebaczeniu. Zresztą ty również rozmawiałaś ze mną na ten temat. To było całkiem niedawno. Powiedział, że jeśli chcę ruszyć z miejsca i znowu poczuć się wolny, muszę przebaczyć samemu sobie. „Przebaczenie samemu sobie to wolność”, tak to ujął. Postanowiłem się z tym zmierzyć. Na początek poszedłem do terapeutów zatrudnionych w ośrodku Revelations i poprosiłem ich o pomoc. Niestety psychologowie zawsze mówią, co powinieneś robić, ale nigdy w jaki sposób. Zacząłem więc dużo czytać. Przestałem zadawać pytania, tylko poświęciłem się lekturze. Pochłaniałem głównie książki filozoficzne i psychologiczne oraz wspomnienia i biografie. Szukałem odpowiedzi i, jak się później okazało, zadośćuczynienia. „Oko za oko”. Ponieważ zabiłem własną matkę, to teraz powiniennem uratować komuś życie.

– Potrzebny ci był nieszczęśnik, którego mógłbyś ocalić? Chyba powinieneś zostać strażakiem albo coś w tym stylu – oświadczam drwiącym tonem i kręcę głową.

– Pamiętasz Jessego? To był mój kumpel z Woodside. – Wyciąga mięsistą dłoń i kładzie ją na biurku.

– Tak, zostaliście razem aresztowani w czasie wielkiej awarii elektryczności.

– Zgadza się. Kiedy wyszedłem z Revelations, postanowiłem go odnaleźć. To był dla mnie jedyny punkt zaczepienia w świecie zewnętrznym. Zacząłem szukać Jessego. Od razu go odnalazłem. Natrafiłem na jego nazwisko w książce telefonicznej. Nadal mieszkał w tej samej dzielnicy. Skontaktowałem się z nim i umówiliśmy się na kawę w jakiejś taniej knajpie na Manhattanie, niedaleko miejsca, w którym kiedyś stały wieże WTC. Prawie wcale się nie zmienił: te same rozwichrzone włosy i tyczkowata sylwetka. Chyba ucieszył go mój widok. Okazało się, że jest kierownikiem w firmie budowlanej. Trochę pogadaliśmy, a w pewnym momencie zapytałem, czy nie załatwiłby mi jakieś roboty. Chciałem pracować na czarno, Jesse obiecał, że coś dla mnie znajdzie. – Richard powoli odwraca ode mnie wzrok i znowu wygląda przez okno.

– Załatwił ci fuchę na budowie po drugiej stronie ulicy? Naprawdę? Właśnie w ten sposób mnie namierzyłeś? – Rzucam okiem na prawie wyremontowaną fasadę. Czyżby rzeczywiście Richard skakał po tych rusztowaniach?

– Poprosiłem go o pracę dokładnie w tym miejscu. Już wcześniej cię

znalazłem, ale musiałem zebrać na twój temat więcej informacji.

– Richard, to jest chore. Jak długo trwało, zanim pojawiłeś się w Tyflos?
– pytam, nerwowo bawiąc się rękawami koszuli i naciągając je na nadgarstki. Instynktownie staram się przyjąć pozycję obronną, z nerwów zaczyna mnie swędzieć cała skóra. „Nie wszystko, czego się dowiesz, może ci się spodobać”.

– Pracowałem tam parę miesięcy, nie więcej. Kilka razy cię śledziłem. Na początku nie za bardzo wiedziałem, co mam zrobić. Musiałem cię lepiej poznać, rzecz jasna z pewnej odległości.

– Dlatego zabrałeś ze szpitala moją dokumentację? Chciałeś mnie prześwietlić? W jaki sposób udało ci się dostać formularz oceny pracowniczej? – Mam sucho w ustach i czuję ucisk w gardle.

– To był prawdziwy łut szczęścia. Przeszukiwałem stojące na tyłach budynku kosze na śmieci i pojemniki na makulaturę. Były tam głównie paski papieru z niszczarki, ale od czasu do czasu natrafiałem na coś w jednym kawałku, najczęściej niewypełnione kwestionariusze, testy psychologiczne i karty pacjenta. Było to dla mnie bardzo przydatne, bo mogłem się odpowiednio przygotować i dowiedzieć, o co mogą mnie pytać. Pewnego dnia znalazłem formularz oceny pracowniczej z mnóstwem ciekawych informacji na twój temat. Dokument był pognieciony i zaplamiony kawą, ale widniał na nim podpis, więc uznałem, że to coś ważnego i schowałem do kieszeni. Dowiedziałem się, że jesteś niemal idealnym pracownikiem i najlepszą terapeutką w całym szpitalu. Jednak kiedy ruszyłem twoim śladem i miałem okazję obserwować cię w codziennych sytuacjach, poza miejscem pracy, okazało się, że nie wszystko wygląda tak różowo. Wiedziałem sporo o osobowości typu borderline, ponieważ przez wiele lat zgłębiałem ten temat i po jakimś czasie zorientowałem się, na czym polega twój problem.

Nagle ogarnia mnie dziwny spokój i mam wrażenie, że ktoś otula mnie ciepłym kocem. Oddycham spokojnie, a po policzkach spływają mi powoli wielkie łzy. Chyba zaczynam wszystko rozumieć.

– To właśnie dlatego miałeś przy sobie listę kryteriów diagnostycznych. Chciałeś mnie wyleczyć. Przystudiowałeś różne sposoby terapii, żeby udzielić mi pomocy. Poszedłeś do szpitala, ponieważ miałeś zamiar mnie ocalić i przebaczyć samemu sobie, co było podstawowym warunkiem odzyskania wolności. – Przed oczami znowu stają mi jego notatki, z podkreślonymi słowami i pozaznaczanymi na czerwono fragmentami

tekstu. Składam poszczególne części układanki w jedną całość i wydaje mi się, że już wiem, o co tak naprawdę chodzi.

- Tak, pojawiłem się w Tyflos z twojego powodu.
- Ale dlaczego? Dlaczego wybrałeś właśnie mnie?

Jadąc pociągiem, zawsze czuję się trochę dziwnie. Nie jestem przecież w żadnym konkretnym miejscu, tylko się przemieszczam i w ten sposób dokonuje się we mnie jakaś zmiana. Mam wrażenie, że wsiadając na stacji przy Czternastej Ulicy, jestem jedną osobą, a wysiadając na końcu trasy, już kimś zupełnie innym.

Staję na peronie i wyrzucam do kosza wyniki mojej oceny pracowniczej przygotowanej dla BZP, po czym patrzę, jak pracownik obsługi technicznej ładuje wszystkie śmieci do żółtego worka. Przestałam walczyć z prawdą i nie zaciskam już pięści, ponieważ uznałam, że najwyższy czas ratować własną skórę.

Między budynkiem stacji a szpitalem znajduje się przejście, w którym zawsze wieje wiatr. Hulają tam małe trąby powietrzne przynoszące z centrum miasta różne odpadki. Wyjmuję z oka jakiś brudny farfocel i przeczesuje palcami włosy, żeby pozbyć się drobnych paprochów. Dopiero teraz jestem gotowa na nowy dzień.

Na rogu spotykam się z Davidem i biorę go za rękę. Całuje mnie w policzek i od razu robi mi się ciepło na sercu. Podaje mi kawę i idziemy razem w stronę Tyflos. Jest wtorek.

Kiedy wchodzimy do szpitala, David spogląda na mnie i pyta:

- O której masz dziś sesję ze swoim tatą?
- O jedenastej – odpowiadam. – Tak jak zwykle.

PODZIĘKOWANIA

Szczególne podziękowania należą się mojej wspaniałej agentce Marian Young. Gdyby nie jej pomoc, siedziałabym teraz sama w kawiarni i zastanawiała się, czy jestem w stanie opublikować jakąś książkę. Jestem jej wdzieczna za wsparcie i poświęcenie, nieustającą zachętę, cenne wskazówki i dobre rady. Marian zawsze wierzyła we mnie i w *Na krawędzi*, a w najtrudniejszych chwilach stała przy moim boku.

Chciałabym również gorąco podziękować mojej niezrównanej redaktorce Lizie Stein. Jestem wdzieczna, że podjęła ryzyko i zaufała debutantce. To dzięki niej Sam i Richard stali się pełnokrwistymi postaciami, a ja prawdziwą pisarką.

Dziękuję wam obu za cierpliwość, wyrozumiałość, przymykanie oka na moje dziwactwa i ekscentryczne upodobania.

Razem tworzymy drużynę prawdziwych supermanek!

Składam też podziękowania utalentowanemu i pełnemu zaangażowania zespołowi pracującemu dla Park Row Books/Harlequin/HarperCollins. Jestem wdzieczna za waszą pracę i ogromne wsparcie.

Pragnę również podziękować swojej rodzinie. Dostałam od was miłość, wsparcie, wiele ważnych sugestii i poczucie, że zawsze jesteście ze mnie dumni.

Mojemu mężowi Bobby'emu należą się słowa uznania za dosłownie wszystko, a szczególnie za wielokrotną lekturę tekstu, niekończące się rozmowy i cierpliwe słuchanie moich wynurzeń. Bez ciebie nic by się nie udało.

Jestem także wdzieczna doktor EB, doktor EF oraz JLBZ za ich eksperckie opinie, stałe wsparcie i umiejętność dbania o to, żebym zawsze była sobą.

Na koniec specjalne podziękowania dla M, za ratowanie sytuacji.

- [1] BPD – *borderline personality disorder* (ang.) – zaburzenia osobowości typu borderline, osobowość niestabilna emocjonalnie (przyp. red.).
- [2] DSM – *Diagnostics and statistical manual of mental disorders* (ang.), *Diagnostyczny i statystyczny podręcznik zaburzeń psychiatrycznych* wydany przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne (przyp. red.).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz